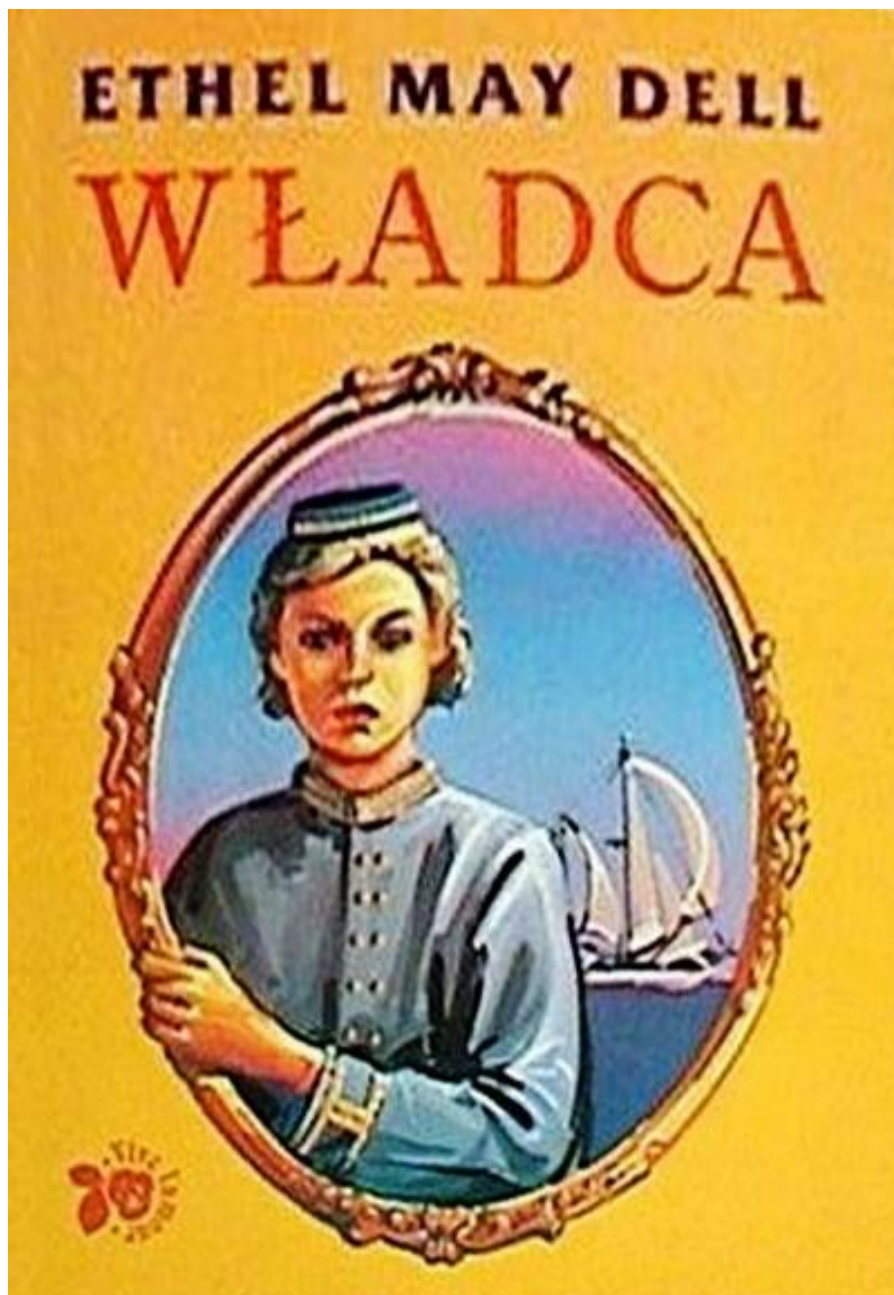




**ETHEL MAY DELL**

**WŁADCA**



Ofcyna wydawnicza  
GDAŃSK 1991

## CZEŚĆ I

### I. ZNUDZONY

— Jutro odpłyniemy — rzekł lord Saltash z nagłą stanowczością. — Mam już powyżej uszu tej dziury.

— Wobec tego, milordzie, oczywiście jedźmy — rzekł kapitan Larpent, uśmiechając się niedostrzegalnie pod wąsem.

— I pan ma już tego dość, zdaje mi się - zauważył Saltash, rzucając na niego badawcze spojrzenie.

Kapitan Larpent nie odpowiedział. Uważał za straconą każdą chwilę spędzoną na lądzie.

Saltash odwrócił się i przechylając się przez balustradę jachtu spoglądał na daleką linię widnokregu. Na jego kanciastej twarzy malowało się niezadowolenie. Miał oczy niejednakowej barwy, jedno czarne, drugie szare, co nadawało jego obliczu, skądinąd nie pozbawionemu mocy, charakter dziwnego niepokoju. Brwi, czarne i silnie zarysowane, poruszały się pod naporem myśli, co jeszcze zwiększało owo wrażenie niepokoju.

Podobno w jego żyłach płynęła królewska krew. Zanim odziedziczył tytuł lorda, w czasach, kiedy jego nazwisko brzmiało po prostu Charles Burchester, przezywano go „Wesołym Monarchą”, może z powodu pewnych szalonych i niezupełnie chwalebnych wybryków młodości, ale wśród najbliższych przyjaciół znany był jako „Charles Rex”.

Ta nazwa pasowała do niego: była w nim, w jego postawie, pewna hardość, królewskość, całkowicie nieświadoma. Mimo swych szaleństw i wybryków miał w sobie coś, co imponowało, gdziekolwiek się zjawiał. Nawet kapitan Larpent, który kierował jego prywatnym jachtem, zwanym „Ćma”, człowiek mrukliwy i chmurny, był pod jego urokiem. Saltash mawiał, że gdyby powiedział kapitanowi, że zamierza zostać piratem, ten nie przestałby pełnić swoich obowiązków i nawet nie zadałby najmniejszego pytania.

Teraz, po włóczędze od portu do portu wzdłuż wybrzeży Morza

Śródziemnego, trwającej już sześć tygodni, niewątpliwie rad był znaleźć się z dala od zniechęconego łądu.

— Cieszy mnie, że ta włóczęga po portach i szukanie przygód na lądzie się kończy — zauważył.

— Zaciekawia mnie, czy też kochał się pan kiedy? — spytał lord.

— Raz jeden — odparł Larpent chmurnie.

— Tylko jeden raz! — roześmiał się Saltash. — Ależ, człowiecze, jestem od pana o dwadzieścia lat młodszy, a przechodziłem tę chorobę już z dziesięć razy.

Wzrok Larpenta pozostał utkwiony w migotliwy błękit zatoki. — Przechodził ją pan tak często, że jej przebieg jest dla pana lekki.

— A dla pana był co najmniej równie groźny jak dzuma — zaśmiał się Saltash.

— W każdym razie przeżyłem to — odparł kapitan.

— Więc może owa dama umarła?

— Nie — odrzekł Larpent, podnosząc z wolna swe niebieskie oczy. — Jak wiem, żyje dotąd.

— I nie strawił pan tej historii do tej pory! — dziwił się lord. — Ileż to lat temu, ze dwadzieścia?

— Coś koło tego — mruknął kapitan.

— Wielkie nieba! zaśmiał się Saltash. — Chciałbym widzieć kobietę, która by miała nade mną moc po dwudziestu latach.

— I ja również — zauważył Larpent oschle.

Saltash machnął ręką. — Taka nie istnieje, mój stary — rzekł. — Ale gdyby istniała, na Jowisza! Jakże by ten cały świat wyglądał inaczej!

— Nie byłby i tak dość szeroki, by pana pomieścić, milordzie — mruknął drwiąco.

Saltash przeciągnął się leniwie. — No, w każdym razie idę na ląd. Kto wie, co mi ześlą bogowie? Niech mi pan życzy szczęścia.

— Życzę panu szczęśliwego powrotu — rzekł kapitan, spoglądając na jego niespokojną postać z niewzruszoną, lodowatą pobłażliwością.

Saltash roześmiał się i odszedł wzdłuż pokładu swym skocznym, lekkim krokiem.

Małe miasteczko włoskie, uczipione do zboczy skalistego wybrzeża, jaśniało wśród swoich ogrodów niby różnobarwny klejnot w bla-

skach zachodu. Lord nie spojrzał nawet na ten widok. Na jego twarzy malowało się znużenie. — Starzeję się — mruknął sam do siebie.

Wcale jednak nie był stary, miał zaledwie trzydzieści sześć lat. Tylko że za długo już świat kładł się mu do stóp.

Kolorowe latarki i wieńce kwiatów zdobiły wybrzeże. Szykowała się tu dziś zabawa na wodzie, ostatnia zapewne w tym sezonie. Saltash bez zaciekawienia spoglądał na te przygotowania, zmierzając w stronę hotelu, gdzie postanowił zjeść obiad. Spore grono znajomych powitałoby go tu mile przy partyjce brydża, gdyby przyszła na nią chętka, co zaś do hazardu, do dyspozycji było kasyno. Ale nie pociągała go gra. Chciał czegoś nowego. Żadna z pospolitych rozrywek światowych nie miała dziś dla niego uroku.

Szedł po stopniach od tarasu do tarasu w cieniu cyprysów, coraz to przystając, żeby spojrzeć na cudowne morze, zmieniające się wciąż w żarach zachodu. Tak, to istotnie było miejsce do marzeń. Cienie zapadały coraz głębsze, słońce znikło na widnokręgu.

Z ogrodów doleciało go brzęczenie strun gitary. Przystanął, nasłuchując, z zamyśleniem w oczach, z drwiącym uśmiechem na ustach.

Nagle przedarł się przez ciszę inny dźwięk i Saltash pobiegł naprzód żywo. Dźwięk ten doleciał go z bliska, od strony hotelowego ogrodu. Był to krzyk, ostry krzyk bólu, a tuż potem nastąpił potok urągania, wykrzykiwanych po włosku rozwścieczonym męskim głosem, i zabrzmiały głuche odgłosy razów.

— Do diabła! — syknął Saltash i w kilku susach był już przy wąskiej furtce w kamiennym murze ogrodu. Otworzył ją i znalazł się w ogrodzie. Odgłosy uderzeń dolatywały z cienistej ogrodowej altanki.

Przedarł się przez gąszcz krzaków, które ją otaczały, i stanął w wejściu.

— Do licha! — wybuchnął. — Proszę natychmiast puścić tego chłopca!

Mężczyzna we fraku szarpał za jasną czuprynę chłopca w hotelowej liberii i tłukł go z całej siły po głowie. Odwrócił się raptownie na wołanie Saltasha. Ten poznał zaczerwienioną twarz zarządzającego hotelem.

Ale i hotelarz poznał swego dostojnego klienta. Odepchnął chłopca w róg altany i stanął przed lordem w postawie pełnej uszanowania, choć jego czarne oczy ciągle jeszcze miały błyskawice wściekłości.



— Ach, to milord! — zawołał łamaną angielszczyzną — ukłonił się unieżenie, choć cały dygotał z pasji. — Czym mogę służyć milordowi? — Co się stało, u licha? — zawołał Saltash. — Czemu pan tłucze tego biedaka? Nie mógłby pan znaleźć przeciwnika równego sobie siłą?

Włoch obrzucił pogardliwym spojrzeniem skuloną w kącie ofiarę. — To nicpoń! — powiedział. — Dałem mu czas na próbę, ale *bueno* okazał się do niczego. Milord wybaczy... on jest Anglikiem. A z Anglików nie ma pociechy w robocie.

— To jeszcze nie powód, żeby go pan mordował! — zawołał Saltash.

— Ale, milordzie, ja go wcale nie mordowałem! Ukaralem go tylko. To przecież dla jego własnego dobra.

— Och! — rzekł Saltash, spoglądając na drżącą postać skuloną w kącie.

— Kuracja, co? Trochę za mocna dla takiego dziecka, nie uważa pan? Na przyszły raz radziłbym stosować mniej silną dozę.

Antonio roześmiał się brzydtko. — Na przyszły raz, milordzie, wezmę go ot, tak i ukręcę mu kark! — Głos jego przeszedł w warknięcie.

— Wynoś się stąd, ty synu świni, wracaj do swojej roboty.

— Spokojnie! Spokojnie! — rzekł Saltash z uśmiechem. — Tak się nie mówi do Anglika, Antonio, nawet do najmniejszego i najslabszego z nich. Niechże się przyjrzę temu egzemplarzowi, za pańskim pozwoleniem. — Pochylił się nad skulonym chłopcem. — Głowa do góry, mały. Niech cię zobaczę!

Chłopiec się nie poruszył, a gdy Saltash położył rękę na jego ramieniu, otrząsnął się konwulsyjnie od tego dotknięcia.

— Zdaje mi się, że pan mu wyrządził krzywdę — mruknął. — Hej, Tommy, głowa do góry. Nie bój się. Dobrze ci życzę.

W odpowiedzi szczupła postać skuliła się tylko jeszcze bardziej.

— Na imię mu Toby — rzekł Antonio cierpko. — Jak pies, milordzie, nazwa w sam raz dla niego. Leniwe szczenię!

Saltash nie zwrócił uwagi na jego słowa. Pochylony był nad chłopcem, usiłował unieść go do góry — Nie bój się — perswadował — nikt ci nie zrobi krzywdy.

Nagle chłopiec szarpnął się gwałtownie w jego rękę, niby dzikie stworzenie schwyte w potrzask. Wyrwał się i po chwili już go nie było. Pomknął jak błyskawica i znikł w ciemnościach.

— Bystre diabłatko — mruknął Saltash.

— Istny diabeł wcielony, milordzie — potwierdził Antonio z pasją. — I dość go już mam. Niech sobie ginie z głodu!

— Bardzo to miłe z pana strony, Antonio — rzekł Saltash lekko. — Tak się też zapewne i stanie, jako że sezon się już kończy.

Antonio oblizał swe grube czerwone wargi w sposób świadczący o dobrym apetycie. — Spodziewam się — mruknął.

HLR

## II. POŻEGNANIE

Późno już było i zabawa trwała w całej pełni, gdy Saltash wracał w cieniu cyprysów ku wybrzeżu. Szedł z twarzą zwróconą ku wodzie, gdzie miriady kolorowych światełek kołysały się migotliwie. Muzyka napełniała powietrze, zachęcając do marzeń, ale jej urok nie miał nad nim mocy.

Wracał sam, a mógł pozostać w miłym i wytwornym towarzystwie. Spotkał w hotelu znajomych, ale odsunął się od nich. Była tam młoda panna, której najwyraźniej wiele zależało na tym, żeby pozostał, on jednak udawał, że tego nie dostrzega.

Głupie stworzonko — pomyślał — chętnie by się zgodziła, żebym złamał jej niemądre serduszko, gdybym tylko chciał.

Tak, Sheila Melrose była głupią gąską. Czyż nie wiedziała, że jest dla niego jedną z tysiąca? Czyż nie знаła jego reputacji? Czy wyobrażała sobie, że potrafi go zatrzymać dłużej niż na przelotną chwilę?

Grupa roześmianych dziewcząt włoskich, z chusteczkami na głowach, otoczyła go nagle na bulwarze, zasypując ulewą barwnych *confetti*. Pochwycił jedną z nich w pól, uniósł z ziemi i ucałował dziko i bezwstydnie, aż poczęła dyszeć w jego ramionach z rozkosznego lęku, po czym puścił ją i chwycił w objęcia drugą.

Dziewczęta z Valrosa długo wspominały szalonego Anglika, który odszedł dalej obojętnie. Niech się Sheila Melrose przekona, czym są dla niego kobiety. Zapewne była z dala świadkiem tej sceny, bo gdy znowu przechodził koło niej wśród świateł i tłumu, odwróciła się od niego ze wstrętem. Roześmiał się do niej przekornie, drwiąco, jak ongiś śmiać się mógł jego królewski przodek, i znikł znowu w tłumie.

Wiele godzin upłynęło, skończyła się zabawa i wybrzeże spało cicho pod sklepieniem gwiazd, gdy wracał na jacht swym lekkim, zuchwałym krokiem, z papierosem w zębach, z drwiącym błyskiem w oczach. Noc jednak była wcale zabawna.

Gdy wchodził na pokład „Ćmy”, doleciały go znów, z jednego z ogrodów rozkoszy, dalekie dźwięki gitary. Skłonił głowę w stronę, skąd płynął ten dźwięk.

— Żegnaj, piękna i przewrotna — powiedział przez zaciśnięte zęby. — Już nie wrócę.

Wrzucił do wody papierosa przez burzę i słuchał, jak zgasł z cichym wężowym sykiem. Roześmiał się i odwrócił od wody.

Zszedł do salonu, rzucił się na szkarłatną sofę i zapalił cygaro. Usłyszał nad sobą tupot nóg, a po chwili jacht zaczął pulsować, jakby wstąpiło w niego jakieś tajemne życie. Słyszał, jak podnoszono kotwicę, słyszał plusk wody rozbijanej przez dziób statku. Jacht mknął jak uskrzydłona istota.

Larpent dotrzymał słowa — pomyślał lord. — Nie lubi zwlekać z odpłynięciem.

Saltash wstał; przez chwilę zamierzał pomówić z kapitanem, ale wnet się rozmyślił. Nie było czego żałować. Pożegnał już piękne miasto Valrosa i nie chciał go więcej oglądać. Zawrócił i poszedł do swojej kajuty.

Jacht urządzone luksusowo, a kajuty były istnym cudem wygód i elegancji. Saltash otworzył drzwi, ale nie zapalił świateł. Przez otwarty luk widział blade migocące gwiazdy odbite w wodzie. Podeszedł bliżej, by spojrzeć na morze.

Nagle przystanął. Wydało mu się, że dosłyszał jakiś szmer. Nikt nie miał prawa wchodzić do jego kajuty i w podróż nigdy nie brał z sobą lokaja. Lubił na statku zupełną swobodę i samotność.

— Kto tu jest? — spytał i cofnął się ku drzwiom. Przekręcił wyłącznik i w tej chwili jasne światło zalało kajutę. Przed nim stał drobny jasnowłosy chłopak w liberii hotelowej i wpatrywał się w niego oszołomionymi, szeroko otwartymi oczyma.



### III. DAR

Saltash pierwszy oprzytomniał.—Halo! — zawołał. — To ty, co? Po co tu przyszedłeś?

Intruz opuścił wzrok i zarumienił się aż po korzenie włosów. — Przyszedłem — wyjąkał — żeby... żeby... prosić pana o coś.

— Dość daleką wybrałeś drogę, mój mały — rzekł Saltash lekko. — Bo ja nie mam zwyczaju się cofać. A może tego właśnie chciałeś, co?

— Nie, nie! — zawołał chłopiec, gwałtownie potrząsając głową. — Nie myślałem, że statek szybko ruszy. Myślałem, że wprawdzie będę mógł... pomówić z panem.

— Och, tak? — spytał Saltash, kładąc dłoń na wątlym ramieniu wyrostka. — No, naznaczył cię ten łotr! Tak myślałem! Powiedz mi teraz, czemu cię tak okładał, co?

Wielki siniak pod okiem świadczył o surowości zadanych razów. Pod badawczym spojrzeniem lorda wątlą postać chłopca przebiegł dreszcz. Nagle dwie chude drżące ręce pochwyciły błagalnie jego dłoń.

— I cóż? — spytał Saltash.

— Och, proszę pana, to jest, proszę jego lordowskiej wysokości... proszę mi pozwolić zostać tu! Potrafię jakoś zapracować na siebie... i nie zajmę dużo miejsca.

Oczy chłopca spoglądały na niego błagalnie, wielkie niebieskie oczy o krótkich czarnych rzęsach, oczy o wyrazie dziwnie dziecięcym w tej twarzy wychudłej, mizernej, o ostrych, rysach.

— Wszystko potrafię robić, wszystko, co mi każą. Nie chcę być ciężarem. Mogę pracować. Byłbym szczęśliwy pracować... dla pana.

— Dobry z ciebie numerek, co? — spytał Saltash.

— Jestem uczciwy, proszę pana! Naprawdę! — Chude ręce czepiały się w rozpaczliwym błaganiu jego rękawa. — Pan nie pożałuje, że mnie wziął. Przysięgam, że pan nigdy nie pożałuje.

— A ty? — rzucił Saltash, spoglądając we wzniesione oczy chłopca z właściwym sobie ironicznym współczuciem. — Myślisz, że i ty nie po-

żałujesz?

Nagły uśmiech rozjaśnił wyniszczoną twarzyczkę. — Oczywiście że nie! — powiedział chłopiec. — Pan jest przecież Anglikiem.

— Ach, tak — rzekł Saltash drwiąco. — Niekoniecznie z tego powodu jestem zaraz aniołem, mój mały. Potrafiłbym sprawić ci gorsze lanie, niż zacny Antonio, gdybyś na nie zasłużył. Bywam czasem bardzo straszny, wiesz. Ale, słuchaj no, smyku? Czy ciebie tam morzono głodem, czy co? Zjadłbyś coś?

Chude palce zacisnęły się na jego rękawie. — Och, nie, proszę pana, to jest... proszę jego lordowskiej wysokości... naprawdę nie. Często nie dojadalem. Przywykłem do tego.

— Ale czemu, u licha? — spytał Saltash. — Nie dawali ci tam jeść?

— Tak... och, tak. Tylko... nie mogłem jeść. Zanadto mi było źle... — Niebieskie oczy zamrugały szybko i lękliwie.

— Mały głuptasie! — rzekł Saltash głosem dziwnie dodającym otuchy.

— Siadaj no tu i nie ruszaj mi się, aż wrócę.

Wskazał na sofę i łagodnie, choć zdecydowanie oswobodził się z uścisku chudych dłoni, które się go czepiały.

— Nie odeśle mnie pan? — spytał chłopiec, a głos jego drżał błagalnie.

— Nie, nie bój się — rzucił Saltash, wychodząc.

Idąc, zaklął siarczyście pod adresem dalekiego Antonia, a po chwili wrócił, niosąc jakiś naprędce zdobyty posiłek. Zastał chłopca skulonego w kłębek na sofie, z głową skrytą w poduszkach, jakby się chciał ukryć przed światem. Niema udreka bijąca z jego postaci była wymowniejsza od wszelkich słów.

— Słuchaj, Toby — rzekł. — Masz, jedz, a potem prześpij się. Pomówić o wszystkim możemy jutro, jeśli chcesz.

Chłopiec drgnął i wyprostował się na dźwięk jego słów. Spojrzał lękliwie na Saltasha, jakby lada chwila oczekiwał uderzenia.

Potem jego wzrok padł na tacę, którą tamten przyniósł, i dziwny spazm wykrzywił jego rysy. Zakrył twarz dłońmi.

— Ech, dajże spokój — mruknął Saltash. — Trochę więcej rozsądku, mój mały.

Postawił tacę i odgarnął z czoła chłopca jasne włosy. — No, uszy do góry! — powiedział.

Z niesłychanym wysiłkiem chłopiec opanował drzenie. Wyprosto-

wał się, ale nie podniósł oczu na lorda. — Zrobię wszystko, co pan każe — szepnął. — Nikt jeszcze... nie był taki dla mnie dobry.

— Jedz! — rozkazał Saltash. — Potem będziesz mówił.

Usiadł na krawędzi swego łóżka i zapalił papierosa z miną królewsko obojętną. Jednakże jego przenikliwy wzrok ogarniał od czasu do czasu posilającego się wyrostka.

— No wiesz — zauważył po chwili — jeśli tak dawno głodujesz, nic dziwnego, że ci niesporo szła robota.

— Och, proszę pana, kiedy ja przecież mogę pracować — zaprzeczał chłopiec. — Umiem wszelkie roboty, i gotować, i sprzątać, i buty czyścić, i prać, i prasować, i podawać do stołu, i słać łóżka, i...

— Na litość Boską, dość! — rzekł Saltash. — Przyprawiasz mnie o zawrót głowy. Lepiej mi powiedz, czego nie umiesz robić? To może zajmie mniej czasu.

Toby zastanawiał się długą chwilę. — Nie umiem prowadzić samochodu — rzekł wreszcie. — Ale chciałbym się nauczyć.

— To jedyny wyjątek? — spytał Saltash ze śmiechem. — I tego wszystkiego nauczyli cię tam, w hotelu?

Toby potrząsnął głową. — Wiele się tłukłem po świecie — powiedział.

— A skąd ci przyszło na myśl przyjść na pokład tego jachtu?

Oczy chłopca zajaśniały. — Bo należy do pana — powiedział.

— O? Postanowiłeś szukać szczęścia u mnie? — spytał Saltash, zaciągając się dymem papierosa.

Toby skinął głową. — Jeśli pan mnie zechce — wyszeptał.

— Zdaje się, że już nie mam innego wyjścia — zauważył Saltash. — A co zamierzasz zrobić, jak mnie będziesz miał dość? Wkręcisz się do kogoś innego?

Chłopiec potrząsnął głową. — Nie, tego nie zrobię. Po prostu zginę.

— Ach, tak? — zaśmiał się Saltash. — Chcesz okryć moją pamięć taką dozgonną plamą? No, słuchaj, smyku, powiadasz, że jesteś uczciwy, tak?

— Tak, proszę pana — zawołał Toby, ze wzruszenia prawie bez tchu, i z tymi słowy zerwał się na równe nogi.

— Gotów jesteś mi coś przyrzec? — spytał Saltash z drwiącym uśmiechem.

— Wszystko, co pan rozkaże, milordzie — odparł chłopiec żywo.

Saltash roześmiał się ironicznie. — Ostrożnie! Widzę, że jesteś zbyt porywczy. Chcę, żebyś mi przyrzekł, że cokolwiek ci zrobię, czy sprawię ci lanie, czy krzyknę na ciebie nie rzucisz się do morza ani nie popełnisz podobnych głupstw, rozumiano?

Toby stał przed nim, patrząc mu prosto w oczy. Nie wydał się zdziwiony tym żądaniem.

— Dobrze, proszę pana, przyrzekam — odrzekł.

— Zgoda! — powiedział Saltash. Wyciągnął rękę i ujął go za chude ramię. — I cóż, lepiej się czujesz?

— Tak, proszę pana. Tak, milordzie. Dziękuję, milordzie. — W oczach chłopca zamigotał uśmiech.

— Dobrze, zostaniesz u mnie — rzekł Saltash. — Czy widział cię kto na pokładzie?

— Nie, milordzie.

— A więc przyszedłeś ze mną, rozumiesz? Sam cię przyprowadziłem, gdyby ktoś cię pytał.

— Dobrze, milordzie. Dziękuję, milordzie.

Saltash uśmiechnął się drwiąco. — Możesz dać sobie spokój z tytułem, rozumiesz. To niepotrzebne.

— Dziękuję panu — rzekł Toby odpowiadając uśmiechem na jego uśmiech.

— I nazywasz się Toby? Toby i jak dalej?

— Toby Wright, proszę pana — brzmiała śpieszna odpowiedź.

Saltash spojrzał na chłopca uważnie.

— Nie odpowiedziałeś, kiedy pytałem, za co Antonio sprawił ci takie lanie — powiedział.

Chłopiec rzucił przerażone spojrzenie i przez chwilę milczał.

— Żądał pieniędzy... — wykrztusił wreszcie.

— Jakich pieniędzy? — zdziwił się Saltash.

— Pożyczyłem od niego trochę na początek, a on uważał, że ukrywam przed nim napiwki, jakie dostaję od gości... Ale to nieprawda, proszę pana, oddawałem wszystko, co zarobiłem. Naprawdę nie kłamię! — Toby wpatrywał się w Saltasha takim wzrokiem, jakby żądał potwierdzenia swojej prawdomówności. — Wierzy mi pan?

— Wierzę — uspokoił go Saltash. — Połóż się teraz i odpocznij — to

rozkaz. Kiedy wrócę, masz spać — dorzucił jeszcze, kierując się w stronę drzwi kajuty.

TLR



#### IV. CIAŁEM I DUSZĄ

Jacht opuścił już zatokę i wziął kurs na pełne morze. Saltash wyszedł na pokład i zatrzymał się przy barierce obserwując biały ślad piany się za rufą. Kapitan Larpent wydawał właśnie dyspozycje sternikowi, następnie podszedł do Saltasha.

— Muszę pana uprzedzić, kapitanie, że mamy nowego członka załogi — powiedział Saltash odrywając wzrok od białej piany i skierowując go na Larpenta, aby przekonać się, jakie wrażenie wywarły jego słowa. Lecz kapitan nie zwykł się niczemu dziwić, podniósł tylko pytająco brwi.

— To chłopiec hotelowy, tak zmalretowany przez swego pryncypała, że chyba trzeba mu będzie udzielić pomocy. Zresztą niech pan pójdzie ze mną.

Zeszli pod pokład. Z daleka doleciało ich wesołe pogwizdywanie. Zastali chłopca w łazience, szorującego krany.

Słyszając kroki za sobą, zerwał się i wyprostował na baczność. Oko miał brzydko zapuchnięte, wyglądał na bardzo chorego, ale uśmiechał się na widok lorda.

Ten ujął go za ramię i obrócił ku światłu. — Co ty wyrabiasz, smyku? — spytał. — Czy ci nie mówiłem, żebyś leżał spokojnie? Oto on, Larpent, co pan o nim myśli?

— Jak się nazywa? — spytał Larpent.

— Toby Barnes — odparł chłopiec spieszenie.

— I wszystko umie oprócz prowadzenia samochodu i słuchania rozkazów — objaśnił Saltash.

Toby zamrugął szybko. — Bardzo przepraszam, proszę pana. Pójdę się położyć, jeśli pan każe.

— Co pan powie, kapitanie? — spytał Saltash.

Larpent pochylił się i oglądał z bliska podbite oko. — Powinien położyć cały tydzień — rzekł krótko. — Potem możesz mi się pokazać — dodał, zwracając się do chłopca.

— Och, nie cały tydzień! — zaprotestował Toby i zamilkł zmieszany.

— Przyniosę środki opatrunkowe — rzekł Larpent. — Należy to zabandażować. — Boli, co?

—Nie, proszę pana — rzekł Toby dzielnie. — Nie czuję nic.

Cofnął się jednak z sykiem bólu, gdy Larpent dotknął zsiniałego policzka pod okiem.

—Niech pan nie robi krzywdy dziecku — mruknął Saltash.

Larpent uśmiechnął się pod wąsem i poszedł po środki opatrunkowe.

—Ta kajuta jest dość marna, co? Możesz leżeć na sofie w salonie. Tylko mi się zachowuj przyzwoicie, żadnych psot!

Toby podziękował mu pokornie, przysięgając posłuszeństwo i uległość. Salon był przewiewny, a sofa wygodna. Chłopiec wyciągnął się na niej z rozkoszą.

Saltash uśmiechnął się, patrząc na niego. — Jak ty się właściwie nazywasz. Barnes czy Wright?

Chłopiec drgnął, spaśował, potem pobladł, otworzył usta, ale wnet zacisnął je mocno i nic nie powiedział.

Saltash wyjął papierośnicę i zapalił papierosa, po czym znów podniósł oczy na chłopca.

—A może wcale się nie nazywasz? — spytał.

Twarz chłopca wykrzywiła się boleśnie. — Niech mnie pan nazywa, jak pan zechce — rzekł stłumionym głosem.

Wyraz twarzy lorda dziwnie złagodniał. Spoglądał na chłopca przez chwilę, otrząsając o popielniczkę popiół z papierosa. — Ile masz lat? — spytał nagle.

—Szesnaście, proszę pana. — Oczy chłopca spoczęły na nim z niemym błaganiem.

Saltash pochylił się nagle i położył rękę na jego czole.

—Dobrze — powiedział — leż spokojnie. Jesteś dość młody, by móc zacząć życie na nowo.

—Chciałbym, panie — wyszeptał Toby, a jego chude ręce zacisnęły się na dłoni lorda. — Nie miałem dotąd okazji.

—Dobrze — odparł Saltash. — Ale na mnie za bardzo nie licz. Nie jestem uważany za odpowiedniego towarzysza dla młodych stworzeń takich jak ty.

Wysunął rękę z dłoni chłopca i zapalił papierosa. Toby odwrócił głowę i skrył twarz w poduszkach.

Larpent, wróciwszy, dziwił się, co też mógł powiedzieć lord, że oczy chłopca były wilgotne od łez, ale o nic nie pytał.

I tak pozostał Toby na jachcie. Nosił wciąż jeszcze liberię hotelową, gdyż nie było dla niego na pokładzie odpowiedniego ubrania, ale z Gibraltaru lord wysłał pewną sumkę hotelarzowi tytułem zwrotu zaciągniętej przez chłopca pożyczki.

— Teraz kupiłem cię, ciałem i duszą — powiedział, ale jaśniejące oczy chłopca wyrażały tylko zadowolenie z tego stanu rzeczy.

Jaskrawe kolory sińca pod okiem przeszły w jednostajny żółty odcień. Nie nosił już bandaża. Chodził jak cień za lordem i dbał o wszelkie jego wygody, a gdy usługi jego nie były potrzebne, siadał jak pies u nóg swego pana, zawsze gotów na rozkazy.

Saltash traktował go z niedbałą wspaniałomyślnością, pod którą kryła się delikatna wyrozumiałość. Nie pytał go o nic z jego przeszłości, przyjmował go takim, jakim był, co dla chłopca było wielkim dobrodziejstwem. Nikt inny się do niego nie wtrącał. Larpent go ignorował, a Murray, steward, spoglądał na niego podejrzliwie, ale nie rozmawiał z nim prawie wcale.

I Toby był szczęśliwy. Pogwizdywał wesoło od samego rana, gdy czyścił buty lorda, śmiał się coraz częściej i coraz szczerzej. Poprawił się i opalił w słońcu południowego morza, a w jego zachowaniu przebijając się poczęło pewnego rodzaju wesołe zuchwalstwo, które Saltash tolerował z równą pobłażliwością, jak czyniłby to z rozpieszczonym psem. Ale, choć przyjmował usługi młodego Toby, nie traktował go nigdy jak sługę.

Gdy Saltash nudził się, grywał czasami ze swym pupilem w szachy lub w karty. Któregoś jednak dnia przyłapał chłopca na oszustwie. Toby miał w sobie wiele z gracza, a on sam podsycił w nim gorączkę gry i żądzę wygranej, ale żeby ten Toby, ten urwis, któremu udzielił schronienia, pozwolił sobie na taką bezczelność, tego nawet na jego niedbałą pobłażliwość było za wiele.

— Sprawię ci za to lanie — rzekł. — Możesz iść na dół i tam czekać.

Toby pomknął na dół jak strzała, a Saltash pozostał na pokładzie, klnąc siebie i smyka, i los, który ich zetknął. Nigdy nie wymierzał nikomu kary cielesnej, choć sam za szkolnych czasów otrzymywał niezłe

ciegi.

Toby czekał już na niego, blady, ale spokojny. Szpicruta leżała przygotowana na stole.

—Dostałeś już kiedyś lanie? — spytał, podnosząc ją.

—Nie, proszę pana — mruknął Toby, nie podnosząc oczu.

—Nie zasłużyłeś nigdy, co?

—Nie, proszę pana, nie złapano mnie jeszcze nigdy.

—Tym razem cię złapałem i choć nie bardzo jestem odpowiednią osobą do wymierzania takiej kary, nie ujdzie ci to na sucho.

—Niech pan bije — rzekł Toby i zacisnął zęby.

Saltash uniósł szpicrutę i uderzył raz i drugi. Ale za trzecim razem twarz chłopca wykrzywiła się z bólu. Saltash klnąc, odrzucił gwałtownie szpicrutę.

—Dość już! I żeby mi się to więcej nie powtórzyło! — rzekł. — Żałujesz, co?

Pochylił się, by spojrzeć w oczy chłopca, ale zobaczył, że Toby płacze. Puścił go i wyszedł szybkim krokiem na pokład, klnąc we wszystkich językach świata.

Odburknął coś niegrzecznie Larpentowi, który podszedł do niego z jakimś pytaniem, ale ten przywykł do humorów lorda i tylko wzruszył ramionami.

Gdy Saltash zszedł do kajuty, aby się przebrać na obiad, znalazł swe ubranie przygotowane, ale chłopca nigdzie nie było. Pierwszym jego impulsem było poszukać go, ale po namyśle dał spokój.

Larpent oczekiwał na niego w salce jadalnej i razem zasiedli do stołu.

Toby zazwyczaj stał za krzesłem swego pana, ale dziś miejsce jego było puste. Przygłębiło to lorda, bez jego woli. Na próżno próbował nawiązać rwącą się rozmowę. Larpent był chmurny i odpowiadał półsłówkami.

Po skończonym posiłku kapitan nie czekał na kawę, tylko zamierzał pójść na pokład. Saltash go zatrzymał. — Niech pan poczeka chwilę, Larpent, jeśli panu nie pilno! Każemy podać cygara.

Larpent przystanął. — Może lepiej wyjdziemy na pokład, milordzie? — spytał.

—Dobrze! Niech Murray przyniesie cygara — rzekł, zwracając się do

stewarda. — Cieszę się, że pan nie odmówił, Larpent. Obraziłem pana dziś, i bardzo przepraszam. Przyznać muszę, że dość już mam tej zabawy. Wracam do domu. Bardzo mi przykro, jeśli to pana rozczaruje.

—Pan nigdy nie sprawia mi rozczarowania, milordzie — rzekł Larpent ze swym zagadkowym uśmiechem.

—Lubię pana, Larpent — rzekł. — Pan zawsze mówi prawdę. A więc wracajmy. Wiosna idzie, wkrótce rozpoczną się wyścigi, trzeba zajrzeć do koni.

—I sezon zabaw wiosennych zacznie się też — zauważył Larpent.

—Właśnie — przytwierdził Saltash skwapliwie, jakby się tłumaczył. Przez jakiś czas obaj palili cygara w milczeniu. Wreszcie Saltash odrzucił swoje niecierpliwie, jakby z obrzydzeniem. — Larpent? — zaczął.

— Co by pan zrobił, gdyby pan był na moim miejscu?

—W każdym razie nie urządzałbym przytułku dla przybłędów — mruknął Larpent.

—Wolałby pan ich zostawić, żeby przymierali z głodu w rynsztoku?

—Nie to, ale na pana miejscu powierzyłbym takie stworzenie innej opiece. Takie ptaszki skłonne są nauczyć się czegoś... czego nie powinny.

Saltash poruszył się niecierpliwie na swym krześle. — Uważa pan, że mój wpływ może go zarazić złem?

—Nie wszystkie choroby są zaraźliwe — rzekł Larpent — i niekoniecznie muszą być nieuleczalne.

—Więc pan myśli, że potrzebna tu kuracja? Ale czy Murzyn może zmienić skórę?

—Wszystko jest możliwe — rzekł Larpent.

Saltash strzepnął palcami. — Dobranoc, stary druhu — rzekł. — Dziękuję panu za pobłażliwość. Myślę, że nieraz chciałby mi pan sprawić cięgi.

—Nie wtedy, kiedy je pan sam sobie sprawia — rzekł Larpent.

W pół godziny później, gdy Saltash przechadzał się samotnie po pokładzie w blasku gwiazd, dostrzegł w cieniu zarys drobnej, szczupłej postaci, stojącej za jego pustym fotelem. Jego ciemna twarz zadrgała przez chwilę dziwnym wzruszeniem. Zawrócił, postać chwilę, jakby się wahając, i wreszcie usiadł w milczeniu.

Siadając jednak wyciągnął rękę i strzepnął palcami i w jednym



mgnieniu oka Toby klęczał już przy nim. Mocne ramię ogarnęło jego wątłą postać. Z piersi chłopca wyrwało się głuche łkanie, skrył twarz w dłoniach.

Długo tak trwali bez ruchu i bez słów. Wreszcie lord przerwał milczenie, przemawiając głosem, który brzmiałby surowo, gdyby nie jednoczesny uścisk jego ramienia.

—Dąsałeś się, co? — spytał.

—Nie... bałem się — wyjąkał Toby.

—Bałeś się? — Ręka Saltasha przesunęła się nagle pieszczotliwie po jasnej, pochylonej głowie klęczącego. — Czego się było bać?

Toby nic nie odpowiedział, tylko usiadł na ziemi i przytulił się mocniej do otaczającego go ramienia.

—Czy tak cię bolało strasznie? — spytał Saltash.

—Wcale nie bolało — zaprzeczył Toby. — Wiem... wiem, że pan nie chciał, żeby bolało, prawda?

—Na przyszły raz będę musiał bić mocniej — zauważył Saltash, silniej ogarniając szczupłe ramiona chłopca.

—Nie będzie następnego razu! — zaprzeczył Toby z uśmiechem. — Zrobiłem to tylko raz... żeby się przekonać... zobaczyć... Nigdy już się to nie powtórzy, proszę pana.

—Żeby się o czym przekonać? — spytał Saltash, ale nie otrzymał odpowiedzi.

—A przy tym źle to zrobiłeś — zauważył lord po chwili. — Nie wybrałbym zawodu szulera na twoim miejscu. A zresztą co tu gadać! Nie potrafię prawić morałów. Widzisz, sam jestem zepsuty do szpiku kości.

—Pan! — Toby uniósł głowę i spojrzał na niego pałającymi oczyma. — Nie uwierzę w to, proszę pana. To nieprawda.

Saltash uśmiechnął się gorzko i drwiąco. —Jak chcesz synu. To jednak jest prawda. I widzisz, dlatego dałem ci lanie. Właśnie dla zaznaczenia różnicy pomiędzy nami.

—Och, to nieprawda! — powtórzył Toby. — Zabiłbym każdego, kto by się ośmielił coś takiego powiedzieć o panu.

—Dziękuję, mój kogutku. Jeśli będę kiedykolwiek potrzebował twej opieki, nie omieszkać cię wezwać. — Uszczypnął go z lekka w policzek. — Ale pamiętaj, że nie masz brać ze mnie przykładu. Powinieneś iść prostą drogą. Jesteś niedoświadczonym młodzieńcem, toteż warto

zacząć, i postaram się, żebyś miał po temu okazję.

—Ale pan mnie zatrzyma przy sobie? — spytał Toby szybko. — Pan mnie zatrzyma... zawsze przy sobie?

Saltsah zamyślił się chwilę. — Sam nie wiem, co z tobą zrobię, Toby — rzekł wreszcie. — To trudny orzech do zgryzienia.

—Ale pan mnie nie odprawi od siebie? Niech pan przyrzeknie, że mi pan pozwoli zostać!

—Niczego nie mogę przyrzekać — rzekł Saltash. — A teraz dość już tego! Czas, żebyś szedł spać.

Ale Toby uczepił się jego ręki. Głos jego drżał. — Błagam pana, niech mnie pan nie wyrzuci! Mówił pan, że mnie pan kupił ciałem i duszą. Ja wszystko, wszystko pod słońcem dla pana zrobię... pan może ze mną robić wszystko, co pan zechce i słówka nie pisnę, dopóki żyję. Błagam, proszę, niech mnie pan nie odprawia. Wolę... wolę umrzeć.

Oparł głowę o dłoń, którą tak uporczywie przytrzymał w swoich dłoniach, a piersią jego wstrząsał głuchy, z całych sił tłumiony szloch.

Saltash siedział chwilę nieruchomo, jak skamieniały. — Toby, głuptasie — szepnął wreszcie, przestań, słyszysz! Przestań i idź na dół.

Sam wstał, usiłując wyrwać łagodnie, ale stanowczo swoją dłoń z rąk chłopca. — Wstawaj, chłopcze — rzekł. — Wstawaj i idź spać! Co to? Płaczesz? Przestań, Toby, słyszysz?

Toby podniósł ku niemu twarzyczkę bladą, umęczoną. W mdłym świetle nocy jego oczy wydawały się ogromne. — Tak, proszę pana... słucham pana — rzekł, prostując się. — Bardzo przepraszam pana. Wiem, że głupiec ze mnie. Przepraszam. Nikt jeszcze dla mnie nie był tak dobry... Już idę, proszę pana. Ze mną już koniec.

—Przestań! — krzyknął Saltash prawie z uniesieniem. — Czy nie rozumiesz, że od tego cię właśnie chcę uratować? Chcesz swojej zguby, co?

Toby uczynił ruch protestu, który dziwnie nie miał w sobie nic chłopięcego. — Do piekła poszedłbym i zostałbym tam na wieki... gdyby pan tam był!

—Wielki Boże — rzekł Saltash. Odwrócił się gwałtownie, wsparł się na poręcz, wpatrując się w migotliwą płaszczyznę wód.

Nagle obrócił się i podszedł do nieruchomo stojącego chłopca, kładąc dłoń na jego ramieniu. — Dobrze — powiedział. — Zostań, choćby

na własną swoją zgubę, jeśli tak chcesz koniecznie.

Toby wyprostował się żywo. — To znaczy, że mnie pan nie odprawi od siebie? — spytał, a w oczach jego malowało się uwielbienie.

Dziwny uśmiech zamigotał na ustach Saltasha, uśmiech, w którym gorzki cynizm jednoczył się z jakimś nieuchwytnym, tłumionym wzruszeniem.

— Tak, zatrzymuję cię — rzekł, spoglądając na niego badawczo.

Oczy Toby'ego, szeroko otwarte, wytrzymały odważnie jego wzrok. — Na dobre, proszę pana? — spytał.

Saltash roześmiał się krótkim, drwiącym śmiechem. — Na dobrą i złą dolę, mój Toby — rzekł. A teraz idź już!

Odprawił go lekkim, przyjaznym uderzeniem po ramieniu, po czym odwrócił się znów w stronę morza.

Toby odszedł szybkim krokiem, nie oglądając się za siebie.

## V. Katastrofa

W kilka dni później jacht zbliżał się do wybrzeży Anglii. Morze było szare i mgliste, a powietrze chłodne i wilgotne.

—Anglia nie rozczuła się nad powrotem marnotrawnego syna — mruknął Saltash. Siedział przy stole sam jeden, bo Larpent był przy maszynach.

—Ostatnia nasza noc na pokładzie, Toby — rzekł. — Pij ze mną!

—Nie z pana kieliszka? — spytał Toby, zarumieniwszy się nagle.

—Boisz się? — spytał lord.

Toby uśmiechnął się smutno. — Nie... tylko nie chciałbym panu przynieść nieszczęścia...

—Och, nie bój się! — rzekł Saltash ze śmiechem. — I do tego przywykłem.

Oczy Toby'ego rozwarły się szeroko. — Myślałem, że pan ma wszystko, proszę pana — rzekł.

Saltash roześmiał się gorzko. — Przeciwnie, *mon cher* — powiedział. — Nie jestem bogatszy od ciebie. Jak Tantal, nigdy nie nasycę swego pragnienia. Jak niejeden lepszy ode mnie, widzę gwiazdy, ale nigdy ich nie dosięgnę.

—Czy kto kiedy dosięgnął? — spytał Toby tonem jakby nie żądającym odpowiedzi.

—Niektórzy próbują wzlecieć, ale zazwyczaj tylko by spaść i potłuc się boleśnie — zauważył Saltash. — Ale słuchaj, Toby, chcę z tobą pomóc. Powiedz mi, co z ciebie będzie?

—To od pana zależy, od pana jednego — rzekł Toby.

Saltash położył mu nagle dłoń na ramieniu i spojrzał na niego badawczo. — Toby! — rzekł — czy nie myślisz, że popełniasz głupstwo? — Nie, proszę pana! — zawołał Toby z nieoczekiwanym uniesieniem. — To jedyna rzecz z sensem. Ale jeśli... jeśli...

— Jeśli co? — spytał Saltash.

— Jeśli pan chce się mnie pozbyć — dokończył Toby, siląc się na spokój — pójdę sobie, pójdę.

— Dokąd? — spytał Saltash, a w jego oczach już nie było drwiącej przekory.

— Pójdę — rzekł Toby — i postaram się zniknąć z tego świata. To nie takie trudne. W każdym razie pan nigdy się o mnie nie dowie.

— Zabawny jesteś, mój Toby, zupełnie niezrównany — rzekł Saltash. — Jedyną twoją wymówką to, że jesteś jeszcze tak młody. Ale powiedz mi, czy nie myślisz, że dokonałeś złego wyboru, przywiązując się tak do mnie?

— Nie, proszę pana — szepnął Toby. — A w każdym razie niewiele mam do stracenia.

Saltash przymrużył oczy spoglądając na niego, oczy, w których płonęły jakieś dziwne, zagadkowe błyski. — Dobrze — powiedział z wolna. — Nigdy jeszcze nie odrzuciłem... daru bogów.

I nagle urwał, bo rozległ się huk tak straszliwy, tak ogłuszający, jakby cały świat się zapadał, i jednocześnie wstrząs tak potężny, że od razu powalił obu na ziemię.

Saltash upadł, chwytając się po drodze mebli, i w nieprzeniknionych ciemnościach, które zapadły, szukał po omacku chłopca. Natrafił ręką na jego ramię, ale poczuł, że było one bezwładne. Toby zemdłał. Upadając, uderzył się skronią o kłamkę.

Ryk olbrzymiej syreny okrętowej rozdarł powietrze. — Niechże ich czort porwie — zaklął Saltash. Chcą nas jeszcze ogłuszyć przed śmiercią!

Gdy ryk syreny zamilkł, można było rozróżnić w zgiełku głosy ludzkie, wołania, bieganinę, szum wody, syk wyrywającej się pary.

Saltash pochwycił w ramiona zemdlonego chłopca i po omacku począł sobie torować drogę ku wyjściu. Trudna to była droga, bo statek był tak pochylony, że trzeba się było pięć w górę ku drzwiom, wśród odłamków szkła. Nie wiadomo, czy byłby się dostał do wyjścia, hamo-



wany ciężarem, który dźwigał. Nagle jednak zabłysło przed nim światło latarki, i zobaczył, że drzwi już są blisko.

—Saltash! — krzyknął jakiś głos, przesywając huk i zgiełk dokoła. — Saltash!

—Tu jestem! — ryknął Saltash, ślizgając się po pochyłości i z trudem znajdując oparcie w nodze stołu przyśrubowanego do podłogi. — To pan, Larpent? Mamy jeszcze czas?

—Ostatnia chwila! — zawołał Larpent. — Niech mi pan poda dziecko i ratuje siebie!

—Nie! Tylko proszę podać mi rękę! O, tak!

Szarpnął się z całych sił i o mało nie upadł na twarz, ale potężna dłoń pochwyliła go, jak śruba, i podciągnęła w górę. Po chwili stali we framudze drzwi, w progu rozbitego salonu. Larpent wskazał mu zwisające pionowo żelazne schodki.

—Niech mi pan odda dziecko — powiedział — i ratuje siebie.

—Naprzód! Do stu diabłów! — wrzasnął Saltash i począł się wdrapywać w milczeniu po schodkach ze swym ciężarem przewieszonym bezwładnie przez ramię.

Larpent wdrapywał się za nim, oświetlając drogę latarką. Wydostali się na pokład, istne pandemonium dzikiej wrzawy.

Tu w świetle potężnych reflektorów, przebijających się przez mgłę, tuż obok Saltash ujrzał potężne zarysy olbrzymiego statku. Pokład jachtu był przechylony pod ostrym kątem, a maszyny tętniły ostatnim wysiłkiem. Gromadka ludzi usiłowała spuścić z pokładu na morze szalupę, podczas gdy głos zza zasłony mgieł ryczał przez megafon jakieś niezrozumiałe rozkazy.

Saltash ogarnął te wszystkie szczegóły w jednym mgnieniu oka. Niebezpieczeństwo rozbudziło w nim nadludzką bystrość. Dostrzegł w pobliżu pas ratunkowy. Toby zsunął się z jego ramienia na pokład i otworzył oczy, ale się nie ruszył, tylko nieprzytomnym, oszołomionym wzrokiem spoglądał na człowieka nad nim, z gorączkową pasją rozplątującego sznury.

Larpent go dogonił. — Co pan robi, u licha? — krzyknął i postawił chłopca na nogi. — Niech pan siada do łodzi.

Saltash nie spojrział nawet w tamtą stronę. Przełożył pas ratunkowy przez głowę chłopca i począł go okręcać sznurem.

Dopiero teraz Toby oprzytomniał. — Chcę zostać z panem! — krzyknął rozpaczliwie.

Larpent pochwycił zwisający koniec sznura i okręcił nim lorda. Przesadził chłopca przez nadburcie, a Saltash przeskoczył je również.

Chwilkę tak wisieli obaj nad przepaścią u nadburcia tonącego jachtu.

– Niech pan ratuje siebie, Larpent! — krzyknął Saltash jeszcze, po czym obrócił się do swego przerażonego towarzysza i uśmiechnął się, zaglądając mu w oczy. — Chodź, Toby! — rzekł. — Skaczemy razem.

Toby wydał rozdzierający krzyk. Razem zapadli się w mroczną czeluść.

## VI. CÓRKA KAPITANA

Wieść o zatonięciu „Ćmy” w następstwie zderzenia ze statkiem pasażerskim „Corfu”, płynącym do Brazylii, rozeszła się po wszystkich pismach. Lord Saltash był znanym sportowcem i pierwsza wieść o jego zatonięciu wzbudziła żal wśród jego licznych znajomych. Za godzinę jednak nadeszło zaprzeczenie, i przyjaciele śmiali się, że temu szczęściarzowi nie sądzone było zginąć tak łatwo i że na przyszłość nie uwierzą w jego śmierć, chyba że go zobaczą na marach.

Zanim ta druga depeza nadeszła do pism, lord Saltash długo siedział w kajucie kapitana „Corfu”, popijając brandy z wodą sodową i odpowiadając na pytania kapitana co do jachtu, co do swej osoby oraz nazwisk osób z załogi.

—Mam nadzieję, że pan nas nie wini za to nieszczęsne wydarzenie — rzekł kapitan Beaumont. — I my również mogliśmy zatonać.

—Winię chyba tylko jednego czarta — rzekł Saltash wspaniałomyślnie. — I jestem rad, że pański statek nie zatonął i że się panu udało wyratować nas wszystkich.

W tej chwili zapukano do drzwi i wszedł bardzo chudy jegomość, który stanąwszy w progu, jął się bacznie przyglądać lordowi mocno przymrużonymi, świdrującymi oczkami.

—Doktor Hurst — przedstawił go kapitan. — I cóż, doktorze, jakie wieści?

Doktor Hurst podszedł do stołu, wciąż patrząc uważnie na Saltasha. Oczy tamtego zmierzyły go spojrzeniem królewskiej wyniosłości. — I cóż? — spytał. — Łowił pan płótkę, a złapał wieloryba, czy na odwrót?

Doktor odchrząknął i zwrócił się do kapitana. — Ogółem wszystko w porządku, kapitanie — rzekł. — Nikt nie poniósł cięższych obrażeń, dzięki sprawnej pomocy, którą pan zarządził. Jedynie kapitan Larpent nie odzyskał przytomności. Uderzenie, którego doznał pod wodą, musiało być bardzo silne, ale jego życiu nie grozi niebezpieczeństwo. A ta osoba... ta osoba, której uratował pan życie... — zaczął, znów spogląda-

jąc na Saltasha.

Saltash uśmiechnął się przekornie. — Właśnie! — rzekł. — Co sły-  
chać z tą osobą, doktorze?

—Czy miał pan pasażera? — spytał kapitan. — Mówiono mi, że pan  
uratował chłopca okrętowego.

Doktor wyprostował się z godnością i spojrzał na lorda. — Widzę  
— rzekł — że pan zdawał sobie sprawę z pewnego faktu, który mnie  
zdziwił niepomiernie...

Saltash obrócił się do kapitana. — Pytał mnie pan, czy miałem pa-  
sażera? — zaczął z pewną wyniosłością. — Zanim i pan zacznie od-  
czuwać tak wielkie zdziwienie, muszę wyjaśnić, że mieliśmy na pokła-  
dzie dziecko nie należące do załogi.

—Dziecko? — spytał kapitan. — Ma pan na myśli tego chłopca?

—Nie chłopca, a panienkę! — rzekł Saltash głosem, który stał się nagle  
bardzo słodki, choć w jego uśmiechu była ostrzegawcza groźba. —  
Młodą panienkę, kapitanie, ale pod bardzo odpowiednią opieką, zapew-  
niam pana. Była to nasza ostatnia noc na pokładzie i ta panienska dla za-  
bawy przebrała się w strój chłopca okrętowego. Gdyby nie Larpent, zgi-  
nęlibyśmy oboje. On wyciągnął nas spod pokładu, a potem wspólnymi  
siłami uratowaliśmy dziecko. — Znów zwrócił się do doktora, a jego  
zęby zabłyśły jak u drapieżnika w złośliwym uśmiechu. — Przykro mi  
naprawdę, że muszę panu uczynić zawód, ale prawda bywa zazwyczaj  
mniej sensacyjna niż nasze urojenia. Ta panienska jest córką kapitana  
Larpenta.

To mówiąc wstał, wciąż z uśmiechem na ustach. — A teraz, dokto-  
rze — dodał —jeśli jej stan zdrowia pozwala, chciałbym prosić, żeby  
mnie pan do niej zaprowadził. Lepiej, żeby raczej ode mnie dowiedziała  
się o swym ojcu niż od obcych osób.

Słowa, choć wypowiedziane uprzejmie, brzmiały jak rozkaz. Dok-  
tor spojrzał na niego z wrogością, zrodzoną z rozczarowania, ale nie za-  
protestował.

—Naturalnie że może się pan z nią widzieć, jeśli pan sobie życzy —  
rzekł. — Pytała nawet o pana.

Saltash poszedł za doktorem długim korytarzem, ścigany zaciekawionymi spojrzeniami pasażerów statku. Doktor przystanął u drzwi jed-  
nej z kajut i zapukał. Wyjrzała posługaczka okrętowa, kobieta o twarzy

dobrodusznej i poczciwej.

Lekarz zamienił z nią kilka słów. — Mogę wejść? — spytał Saltash, tracąc cierpliwość.

Kobieta spojrzała na niego z podziwem i współczuciem. — Biedaczka strasznie jest zdenerwowana — wyjaśniła. — Leży i drży i nic nie chce mówić, tylko raz pytała o pana.

—Niech mnie pan wpuści! — rzekł Saltash do lekarza. — Mam jej coś ważnego do powiedzenia.

Wszedł do kajuty i przed nosem osłupiałego lekarza i zdumionej posługaczki zamknął drzwi za sobą.

Znalazszy się w kajucie, Saltash zawahał się na jedną sekundę. — Toby — powiedział.

Wątła, drobna postać zerwała się na łóżku okrętowym. Wyciągnęło się dwoje chudych ramion. W okamgnieniu Saltash był już przy łóżku i trzymał mocno w objęciach szlochającą drobną istotę, która tuliła się do jego piersi, nie chcąc pokazać twarzy.

Saltash pochylił swą ciemną głowę nad jej jasną czupryną. — Wszystko w porządku — powiedział łagodnie, ale władczo. — Wiem. Wiedziałem od dawna. Nie martw się. Nie ma potrzeby. Jesteś bezpieczna pod moją opieką.

—Pan wiedział? — wyszeptał stłumiony głos. — I co pan myśli o mnie, o Boże!

—Ja? — Saltash roześmiał się lekko.—Nigdy nic nie myślę. Nie staram się wytwarzać sobie o niczym niepotrzebnych mniemań.

—I pan uratował mi życie — wyszeptała Toby. — Dlaczego? Dlaczego?

—Tak chciałem — rzekł Saltash. — A teraz komedia skończona. Trzeba zacząć nową. Powiedziałem wszystkim i będę to mówił dalej, że jesteś córką Larpenta.

Na to uniosła się żywo jasna głowa. Niebieskie oczy o krótkich rzęsach spojrzały prosto w oczy lorda. — Ale... ale... kapitan Larpent.

—Och, nie martw się. Ja się już z nim rozmówię! — Wzrok Saltasha ogarnął zalaną łzami twarzyczkę. — Zostaw to mnie. Poradzę sobie z nim, poradzę sobie ze wszystkimi. Ty leż tylko spokojnie, dopóki nie dopłyniemy do lądu. A potem... czy myślisz... że możesz mi zaufać?

Mówił z zabawnie ściągniętymi brwiami, z uśmiechem, na wpół

przyjaznym, na wpół drwiącym. A biedne, opuszczone stworzenie, które trzymał w ramionach, przechyliło się i nagłym ruchem pochwyciło jego dłoń i przycisnęło ją do ust.

—Chcę żyć i umrzeć dla pana — wyszeptała drżącym głosem. — Jestem pana własnością.

Saltash pochylił się i przytulił twarz na chwilę do jej jasnych włosów. Błysk wzruszenia rozjaśnił jego dziwne oczy, ale momentalnie znikł.

Wyprostował się z grymasem wzdrygnięcia dla samego siebie. — No, już dobrze — powiedział. — Nie zapominaj o swojej roli. Larpent, twój tatuś, jest nieprzytomny, ale doktor powiada, że będzie zdrow. Paskudny, podejrzliwy typek z tego doktora, więc uważaj! I... co to właściwie za imię, Toby? Lepiej, żebym wiedział.

—Antoinette — wyszeptał drżący głosik.

—Antoinette! — powtórzył Saltash, unosząc łagodnie pod brodę chudą twarzyczkę. — Myślę, że Mignonette pasowałoby lepiej do ciebie. Czas, żebym sam wybrał dla ciebie imię, *ma chérie*.

—Albo po prostu Nonette z Nikąd — wyszeptały blade usteczka, uśmiechając się żałośnie. — To najlepiej pasowałoby do mnie.

—Nie! — zaprzeczył Saltash. — Nie zapominaj, że jesteś ulubienicą bogów, moja Toby. A to już nie lada wyróżnienie.

—Niewiele uczynili dla mnie dotychczas — rzekła Toby, nagle zbuntowana.

—Cicho! — przerwał jej Saltash. — Za młoda jesteś, żeby tak mówić.

—Jestem starsza, niż się panu zdaje — odrzekła Toby, rumieniąc się boleśnie pod jego spojrzeniem.



—Mylisz się — zaprzeczył Saltash. — Wiem, ile masz lat, dziecko. Napisane to jest w twoich oczach. One mi zawsze mówiły... wszystko, co mi trzeba było wiedzieć. Ale, Mignonette — dodał bardzo tkliwie po chwili, gdy Toby zasłoniła rękoma te swoje zdradzieckie oczy — nie powiedziały mi one nigdy nic takiego, czego byś nie chciała, żebym wiedział.

Znów objął wątłe ramiona i przytulił do siebie jej drobną postać, po czym wstał i zawrócił ku drzwiom.

Uśmiechał się, wychodząc, a był to uśmiech gracza, który nagle ujrzy najmocniejszy atut w swych rękach.

Koniec części I

a



## CZEŚĆ II

### I. JACK BOLTON

Było to w tydzień po katastrofie „Ćmy”, gdy Saltash, ubrany bez zarzutu, z lornetką przerzuconą przez ramię na rzemieniu, zjawił się na polu wyścigowym w Graydown, miasteczku o parę mil odległym od zamku Burchester, swej siedziby rodowej.

Był dobrze znany na polu wyścigowym. Przed kilkoma laty wyścigi były jego namiętnością, ale nie na długo. Ze swą charakterystyczną zmiennością rzucił tę rozrywkę w poszukiwaniu innych, ale nigdy nie przestał się interesować stadniną, która niegdyś należała do niego.

Dziś te konie były własnością Jacka Boltona, który przed laty był u niego trenerem. Nienawidzili się kiedyś, ale dziś byli przyjaciółmi.

Ranek tego dnia był ulewny i trawa na torze wyścigowym jaśniała świeżą zielenią. Saltash szedł ku stajniom na poszukiwanie Jacka.

Starszy stajenny poznał go z daleka i podszedł z ukłonem. — Szuka pan pana Boltona, milordzie? — spytał. — Jest w łożach, z sir Bernardem. Mamy tu wspaniałego dwulatka, „Księcia Charlie”. Koń jak złoto, a mądry jak pies, wszystko rozumie, co się przy nim mówi.

Saltash roześmiał się. — Owszem, Sam, chętnie go zobaczę. Ale otóż sir Bernard. Jak się masz, Benny? A gdzie pryncypał?

Czarnowłosa i czarnooki młodzieniec, szczupły, bardzo wyprostowany nadchodził właśnie od strony trybun. Powitał Saltasha z zachwytem.

—Ach, Charlie! Jakże się cieszę, że cię widzę. Okropna szkoda „Ćmy”. Mam nadzieję, że była przynajmniej dobrze zaasekurowana. A ty nic nie ucierpiałeś?

—Ani odrobiny — zaśmiał się Saltash. — A ty, chudziaku, jak się miewasz?

—Nie widzisz, jak urosłem! — oburzył się Benny. — Jestem prawie twojego wzrostu.

—Ale, jak zawsze, rozpaczliwie chudy. Maud mogłaby cię przewlec przez swoją ślubną obrączkę.

—Zostaw! — mruknął Bernard, który bardzo nie lubił, jak mu wypominano jego wątłe zdrowie. — Nie zamierzasz wstąpić do Maud?

—To zależy — odparł Saltash.

—Zależy od czego? — spytał Bernard, ujmując go pod ramię.

—Od Jacka oczywiście. Twój szanowny szwagier nie zawsze lubi zapraszać wilka do swej owczarni, *mon cher*.

—Jakby cię trzeba było zapraszać — zawołał Bernard niecierpliwie.

— Ostatecznie ja cię zapraszam, to chyba wystarcza. Wiem, że Maud będzie okropnie przykro, jeśli się dowie, że tu byłeś, a nie wstąpiłeś do nas. Rozmawialiśmy o tobie dziś jeszcze.

—Doprawdy? — spytał Saltash. — Można wiedzieć, coście mówili?

Benny zarumienił się nagle. — Możesz się dowiedzieć, co ja mówiłem w każdym razie. Zawsze trzymam z tobą, Charlie.

—Ach, *vraiment*? Jestem wzruszony. A co mówił czci- godny Jack?

—Och, Jack jest starym osłem, ale on cię w gruncie rzeczy lubi, naprawdę — mówił Bernard, rumieniając się jeszcze bardziej. — Tylko ludzie plotą Bóg wie co o tobie. Niechby każdy pilnował własnego nosa!

—Tak już jest na świecie — zauważył Saltash. — Jedni czepiają się drugich, niby rój pszczół. Ale co powiedziała o mnie Maud?

Benny roześmiał się nagle. — Postanowiła zaczekać ze swym zdaniem, aż cię zobaczy. Musisz być u nas, naprawdę. I dzieciaki takie są urocze, cała czwórka, a szczególnie najstarsza.

—Eileen! Och, pamiętam ją. Pozwolono mi gościć ją u siebie raz jeden na zamku. Może nie mam tak trującego wpływu na małe dziewczynki, jak na młodzieńców dwudziestokilkuletnich.

—Och, daj spokój! — oburzył się Bernard. — A oto i Jack. Chodź do niego.

Nie było nic wytwornego w postaci Jacka Boltona. Był to mężczyzna w sile wieku, krępy, barczysty, o atletycznej postawie, o oczach barwy orzechowej, patrzących prosto i odważnie przed siebie. Osiem już lat upłynęło od dnia, w którym ten człowiek ożenił się z Maud Brian przed samym nosem Saltasha. Saltash kochał się w niej przez całą swą młodość, ale nie zachował żalu do jej męża. Ich wrogość była dawno zapomniana. Co do Jacka, ten zdobywszy ukochaną swego serca, mógł

sobie pozwolić na wspaniałomyślność względem byłego rywala.

Powitał go teraz przyjaźnie, choć z pewną rezerwą. — Rad jestem, że widzę pana całego i zdrowego, milordzie — rzekł uściskawszy jego dłoń.

—Wiem, że bylibyście wszyscy niepokieszeni po mojej stracie — zaśmiał się Saltash. Jak się miewa Maud?

—Dobrze, tylko lubi się przepracowywać — rzekł Jack z nagłym uśmiechem, który rozjaśnił jego kanciastą twarz.

—Winszuję wam syna — powiedział Saltash.

—Wstyd, żeś go jeszcze nie widział, Charlie — wtrącił Ben — wspaniały chłopiec.

—Bądź co bądź teraz wróciłem — odparł Saltash, rzucając żartobliwe spojrzenie na Jacka. — Czy wolno mi będzie wpaść do was i obejrzeć to nowe cudo?

Jack spoglądał prosto w jego oczy. — Czy pan jest sam na zamku, milordzie? — spytał.

Saltash roześmiał się. — Oczywiście! A czego się pan spodziewał. — Wzrok jego przeniósł się na Bernarda. — Tak, jestem sam, jak cnotliwemu człowiekowi przystoi. Może się pan przekonać, przetrząsnąć cały zamek od wież po lochy. Nic pan nie zastanie, prócz pustelniczej samotności. Stałem się bardzo cnotliwy po ostatniej katastrofie, naprawdę, Jacku. Ale mimo to zamierzam odwiedzić Maud. Kiedy moja obecność najmniej wam przeszkodzi?

—Och, słowo daję, Jack! — wtrącił się Benny. — Przecież Maud mówiła, że masz go zaprosić na obiad, jeśli go spotkamy.

—Cicho, synu — rzekł Jack. — To nie twój interes w każdym razie. Poślemy cię do łóżka bez kolacji, jak nie będziesz grzeczny.

Benny się uśmiechnął, ale zarumienił się gniewnie na tę żartobliwą groźbę.

—Och, mnie się pan może nie obawiać, Jack — rzekł Saltash. — Jestem teraz łagodny i nieszkodliwy, niby baranek. Kiedy mogę was odwiedzić?

—Dziś — rzekł Jack spokojnie. — O ósmej, jeśli to panu dogadza. A teraz muszę pana pożegnać. Benny, pokaż lordowi Księcia Charlie.

Uklonił się i odszedł, spokojny i mocny, człowiek bez pretensji, zarówno towarzyskich, jak i umysłowych, a jednak umiejący zachować

godność tak wobec moźnych, jak i podwładnych.

—Trzyma cię wciąż krótko, *mon cher*, co? — spytał Saltash drwiąco.

Benny zmarszczył brwi na ten lekki ton. — Nie znasz go. Jesteśmy przyjaciółmi i dumny jestem z Jacka — odrzekł.

—Oczywiście! — rzekł Saltash. — Od dawna mówiłem ci, że to dżentelmen. Wyciosany z twardego materiału, ale prawdziwy, żaden falsyfikat. Ale nie trzeba się z nim sprzeczać o mnie, Benny. To zupełnie błędne postępowanie.

—Tak — rzekł Benny — ale on powinien ci oddać sprawiedliwość. Maud to samo powiada.

Saltash roześmiał się głośno. — Ależ, mój drogi, nikt tego nie robi, nawet ja sam!

Benny popatrzał na niego serdecznie. — Zawsze usiłowałeś wydawać się gorszym, niż jesteś, nieprawdaż, Charlie?

—Nie, to nie moja sprawka — rzekł Saltash lekko. — To już wina moich bliźnich, którzy lubują się w jaskrawych efektach. A więc *pourquoi pas?* — Machnął ręką i roześmiał się. Bernard Brian uwielbiał Saltasha od najmłodszych lat. W dzieciństwie był kaleką i Saltash okazywał mu wtedy bezgraniczną dobroć. Toteż Brian zachował względem niego niezatartą wdzięczność na całe życie. Jakiegokolwiek były zasady Saltasha, był on przyjacielem, i Benny pozostał mu zawsze wierny.

Razem spędzili popołudnie i obaj byli świadkami, jak Księżę Charlie wygrał swój pierwszy wyścig. Razem składali powinszowania Jackowi, gdy sam odprowadzał do stajni zwycięzcę biegu. Potem Saltash pożegnał się i pojechał do zamku przebrać się na wieczorną wizytę. Wtedy Benny, na wpół ze śmiechem, na wpół wyjaśniająco, zwrócił się do szwagra.

—Nie potrafiłbym być niemiły dla Charliego. Nie dbam za grosz o to, co ludzie gadają.

Jack spojrział na niego spod swych krzaczastych brwi. —Nie mam ci tego za złe — rzekł.



## II. MAUD BOLTON

Ktoś po cichutku śpiewał kołysankę w pięknym pokoju, którego szerokie okna wychodziły na rozległy widok falistych wzgórz. Głos śpiewającej pełen był niewymownej tkliwości. Sama siedziała w fotelu na biegunach tuż przy oknie, trzymając dzieciątko w ramionach.

Za falistą linią wzgórz, srebrzyła się daleka linia morza, połyskująca migotliwym blaskiem w promieniach gasnącego dnia. Maud Bolton, ongiś dumna i smutna panna Maud Brian, tuliła do wezbranego szczęściem serca swego najmłodszego synka, którego przez tyle lat pragnęła daremnie.

Lekkie kroki zabrzmiały w sąsiednim pokoju.

—Jack! — zawołała.

Podszedł na palcach i stanął przy niej. Światło padające na jego szorstką twarz uwydatniało dziwne jej przeistoczenie w pełnym tkliwości uśmiechu, który rozjaśnił nagle te twarde rysy.

—Dlaczego mały jeszcze nie w łóżeczku? — spytał, pochylając się i składając pocałunek na czole żony.

—Wiesz, że dziś kończy pół roku — rzekła Maud z lekkim westchnieniem. — Chciałam się nim nacieszyć, nim zostanie wygnany z mojego pokoju do dziecinnego.

—Zachowaj go przy sobie, jeśli chcesz! — rzekł Jack. — Wcale tak bardzo nie przeszkadza.

—Nie, dziękuję ci, Jacku — rzekła. — To już rzecz postanowiona. Nie wezmę go do siebie, chyba gdyby był chory. Wtedy musiałabym.

—Naturalnie — rzekł Jack i pochylił się nad dzieckiem. — A teraz pozwól, niech go wezmę. Zaniosę go do łóżeczka.

—Nie zbudź go! — szepnęła.

Jack wziął delikatnie w ramiona śpiące maleństwo, które pisnęło cichutko, jakby na znak sprzeciwu, ale nie otworzyło oczu.

—Już mi zaufaj! — szepnął Jack i lekkim krokiem wyniósł syna z pokoju. Maud pogoniła za nim wzrokiem trochę zasmuconym. Po chwili był

już przy niej, ukląkł przy jej fotelu i pochwycił ją w swe mocne ramiona.

—Jedyna moja — szepnął cicho.

Objęła go za szyję, w milczeniu składając głowę na jego piersi.

—Zmęczona? — spytał.

—Nie... nie tak bardzo — rzekła. — W każdym razie zanadto szczęśliwa, by móc się uskarżać.

—Trzeba ci pomocy — zauważył Jack.

—Nie, drogi mój — odparła. — Nie chcę, żeby mi odebrano troskę o dzieci. Co bym wtedy miała do roboty!

—Zająłabyś się mną, dla odmiany.

Uśmiechnęła się, podnosząc na niego oczy. — Zaniedbuję cię, Jacku? — spytała.

—Nie — odrzekł. — Jesteś najlepszą z żon. Zdaje mi się, że nawet jeszcze dziś zajmuję pierwsze miejsce w twym sercu.

—Zawsze, zawsze jesteś pierwszy — odpowiedziała szeptem z ustami tuż przy jego ustach.

Tulił ją do siebie w milczeniu. Ubóstwiał ją żarliwym uczuciem od pierwszej chwili ich poznania, ale bogactwo jej miłości wciąż jeszcze napełniało jego serce podziwem.

—Nic mi nie mówisz o dzisiejszych wyścigach — rzekła Maud po chwili.

Jack zaczął się uśmiechać. — Zapomniałem, słowo daję. Księżę Charlie zdobył swe pierwsze laury. Wygrał o dwie i pół długości.

—Och, Jacku, to wspaniale! Musisz być dumny z niego. A co Charlie? Czy był obecny przy zwycięstwie swego imiennika.

—Saltash? Tak, był na wyścigach — odparł Jack dość oschle.

Maud cofnęła się trochę, by spojrzeć na męża. — Mam nadzieję, żeś go zaprosił na obiad — rzekła.

—Och, naturalnie! Benny już tego dopilnował za ciebie. Uważa, że masz prawo zaprosić kogo chcesz do swego domu.

—Jack! — zawołała, prostując się nagle, a oczy jej zapłonęły. — Jeśli Benny tak powiedział...

—Nie, nie powiedział.

—Lub nawet dał to do zrozumienia, uważam, że postąpił obrzydliwie. Pójdę i powiem mu to.

—Nie, nie, kochana. Spokojnie! Już ja sobie sam z Bennym poradzę. Zaprosiłem Saltasha sam, i będzie tu dziś.

—Wbrew twojej woli — dorzuciła Maud. — A tak być nie powinno, nikt nie ma tu wstępu wbrew tobie.

—Nawet Saltash?

—Nawet Benny! — rzekła Maud, jeszcze trochę zagniewana na brata.

—Słuchaj, kochanie — rzekł. — Nie chcę, żebyś o tym mówiła z chłopcem, zgoda? A zresztą czyż naprawdę nie żyję z łaski mojej żony? — spytał, zaglądając jej w oczy. — Gdyby nie ty, poganiałbym nadal stada z tamtej strony oceanu.

—Nie — rzekła Maud. — Miałbyś już własną fermę, i w ogóle byłbyś władcą i panem, czy tu, czy tam.

—Ech — zaśmiał się Jack. — Wolę być tu. Otóż Saltash tu zaraz będzie i musimy się z tym pogodzić. Nic nie miałbym przeciwko temu, gdyby nie to, że młody Benny zanadto lubi towarzystwo jego lordowskiej wysokości.

—Och, Jack — rzekła Maud, rumieniąc się z lekka. — Nie myślę, żeby Charlie mógł mu uczynić krzywdę.

—Może nieświadomie — mruknął Jack — ale w każdym razie jego wpływ nie jest zbyt budujący.

—Myślę, że go niezupełnie rozumiesz — zauważyła Maud w zamyśleniu.

—Och, zapewne — zaśmiał się Jack. — Wiele mieliśmy nieporozumień od dnia, kiedy go obiliśmy szpicrutą, do dnia, kiedy go o mało nie zastrzeliłem.

—Ale to było tak dawno — rzekła Maud. — Był wtedy zaledwie chłopcem. Widzisz... ze wszystkimi swymi wadami... on zawsze ma wielkie możliwości.

—Wykorzystał je pięknie! — rzucił Jack zgryźliwie.

—Jacku, nie można potępiać człowieka, nie wysłuchawszy go wpierw — rzekła przytulając się do niego. — Mam do ciebie wielką prośbę — dodała.

—Słucham? — spytał Jack dość ostro.

—Pozwól mi pomówić z nim dziś w cztery oczy i dowiedzieć się, czy te pogłoski o kobiecie na jego statku są oparte na faktach. Mnie on powie prawdę...

—A jeśli się dowiesz? — spytał Jack.

—Jacku, pozwól mi spróbować — prosiła. — Mam uczucie, że rozumiem go lepiej niż większość ludzi.

—Myślę, że szkoda twoich uczuć — rzekł Jack — ale czyń, co uważasz za dobre. Nie będę ci przeszkadzał.

—I nie będziesz się czuł dotknięty? — spytała. — Wiesz, jak bardzo chciałabym uniknąć uczynienia czegokolwiek, co byłoby przeciwne twoim życzeniom, twoim uprzedzeniom nawet.

—Nie bój się — rzekł Jack, wyciągając rękę do niej. — Cokolwiek ty uczynisz, będzie dobre.

Mocno uścisnęła jego rękę w obu swoich. — To najpiękniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek mi powiedziałeś — rzekła. — Czy jesteś pewny, że tak myślisz?

—Najzupełniej — odrzekł Jack i przygarnął ją do siebie, aby jeszcze raz ją ucałować.

### III. BENNY

Gdy Saltash zajechał przed dom swym samochodem, zastał Maud na ganku oplecionym białymi klematisami. Z jaśniejącymi oczyma wstała, by go powitać. — Och, Charlie — rzekła. — Jakże bardzo chciałam cię widzieć po twojej przygodzie i powinszować ci ocalenia.

—Łaskawa, jak zawsze! — rzekł, całując jej dłoń. — Czy już chcieliście włożyć po mnie żałobę? Zapewniam, że kąpiel była bardzo zimna. Nie rozkoszowaliśmy się nią, możesz być pewna.

—Wyobrażam sobie! — rzekła Maud. — A jaka szkoda jachtu!

Skrzywił się wzgardliwie. — Nie jestem już w wieku, żeby płakać nad rozlanym mlekiem, Królowo Róż—rzekł, nazywając ją znów imieniem, które sam jej nadał za dni młodości. — Gorsze już poniosłem w życiu straty.

—Ale uśmiechasz się — rzekła.

—Uśmiech wiele może zasłaniać — odparł i obrócił się do nadchodzącego pana domu. — Witam pana, Jacku — rzekł. — Jak tam pociechy? Eileen i Betty, i Molly, i wreszcie, najważniejszy ze wszystkich, syn i dziedzic?

—Jaka wspaniała pamięć! — zdziwiła się Maud.

—O, tak — potwierdził Saltash — pamięć mam świetną. Nie pytam, jak się pan ma, Jacku, bo powodzenie wypisane jest w całej pańskiej postaci. Nawet przytył pan, czego się nie da powiedzieć o Bennym. Ten pozostał chudy, jak żyrafa.

—Jacku, powiedz mu, żeby się nie wygłupiał — mruknął Benny obrażony.

—Nic nie poradzę — rzekł Jack. — Prosimy do domu, milordzie. Dzieci wszystkie są zdrowe, dziękuję, ale teraz już śpią.

—Och, muszę zobaczyć syna! — oświadczył Saltash.

—Po obiedzie — odparł Jack. — Teraz chodźmy jeść.

Zasiedli do stołu w pięknej jadalni, wyłożonej dębową boazerią. Saltash opowiadał swobodnie o swej podróży, o rozbiciu jachtu, ale ani słowem nie wspomniał o darze, jaki mu zesłali bogowie owej gwiazdziej nocy nad Morzem Śródziemnym.

Maud odczuła jakąś nieuchwytną rezerwę w jego zachowaniu i przyglądała mu się w zamyśleniu.

—Czemu mnie pani tak bada przenikliwie? — spytał Saltash, gdy wstawali od stołu.

Nie odpowiedziała, tylko zręcznie zmieniła temat rozmowy.

—Chciałbym pomówić z Jackiem — rzekł, skłaniając się przed nią.

Spojrzała na niego z przebłyskiem zdziwienia w oczach. — A potem z panią, Królowo Róż — dodał. — Nie zapomnę upomnieć się o swe przywileje, co się tyczy takiej rozmowy.

—Chodź ze mną do ogrodu, Benny — rzekła Maud. — Prawie cię dziś nie widziałam.

Młody chłopiec podążył za nią, uderzywszy przyjacielsko Jacka po ramieniu, gdy przechodził koło niego.

Saltash usiadł naprzeciwko pana domu. — Teraz możemy pomówić — rzekł.

—Słucham — mruknął Jack, podsuwając mu cygara.

—Co pan myśli zrobić z Bennym? — rzucił Saltash pytanie.

Jack oparł się wygodnie w fotelu i w milczeniu wypuścił dym z cygara. Saltash przyglądał mu się z zainteresowaniem.

—Nie łatwo odpowiedzieć, co? — spytał po chwili.

—W każdym razie — rzekł Jack — nie pozwolę, żeby wyrósł na modnego nieroba.

—A co pan chce z niego uczynić? — spytał Saltash.

—Po prostu porządnego człowieka — odparł Jack.

—Ach, tak? — zaśmiał się Saltash. — I strzec go od wszelkich demoralizujących wpływów, nieprawdaż?



Jack milczał. Saltash wypuścił obłok dymu pod sufit. — Zgadzam się z panem. Nie należy psuć chłopca. Mogę mu dać zajęcie, ale przyrzekam, że go nie nauczę swych grzesznych narowów. Nie jestem dzisiaj takim łotrem, jak dawniej.

—Na pewno? — spytał Jack.

Błyskawica uśmiechu przemknęła przez twarz lorda. — Na pewno, mój czcigodny filozofie. Nie pozuję oczywiście na wzór wszelkich cnót, ale w każdym razie... dziś nie sięgam po nic, za co nie mógłbym zapłacić.

—Czy tak? — zastanowił się Jack. Zamyślił się głęboko, po czym odłożył cygaro. — Tak, z Bennym jest kłopot — zaczął. — Jest wątpy, musi przebywać na powietrzu i chciałby mi pomagać w hodowli koni, ale to nie dla niego atmosfera. Powinien być w wojsku, cóż, kiedy mu zdrowie nie pozwala. Właściwie nie ma w nim złych skłonności, tylko pewna słabość charakteru, z której wyrośnie z czasem, jeśli będzie prowadził zdrowe życie. Gdyby pan mógł zaproponować mu coś odpowiedniego, byłby panu wdzięczny.

—Nic tak nadzwyczajnego nie proponuję — rzekł Saltash. — Po prostu posadę zastępcy rządcy, jako że stary Bishop nie ma już sił podjąć swoim zadaniom, a usunąć go na starość nie mogę. Czy uważa pan, że taka rzecz byłaby poniżej godności Bernarda lub mogłaby naruszyć jego równowagę moralną?

—Z pewnością skorzysta skwapliwie z tak dobrej okazji — rzekł Jack.

—Choć wbrew uznaniu jego czcigodnego szwagra — dorzucił Saltash.

—Tego nie mówię. Tak czy owak nie będę stawiał przeszkód.

—A więc rzecz zrobiona — rzekł Saltash. — Los Bernarda został przypieczętowany.

—Mam nadzieję, że nie — rzekł Jack, przyglądając się bacznie jego zmiennej, nieprzeniknionej, ruchliwej twarzy. — Do czego on panu właściwie jest potrzebny, chciałbym wiedzieć?

Saltash strzepnął popiół z cygara. — Może staję się filantropem na starość, jak pan myśli? Sam niepokoiłem się o siebie ostatnimi czasy.

—Dość nagle przyszła ta zmiana, nieprawdaż? — spytał Jack.

Saltash skinął głową. — To starość, przypuszczam. W każdym razie mam uczucie, że oddam Bernardowi przysługę. Może mieć rozrywkę, prócz pracy. Mógłby się zapisać do klubu gry w polo w Fairharbour.

—A gdzie będzie mieszkał? — spytał Jack.

—U Bishopa naturalnie. Czas już, żeby się stał samodzielny.

—Już i tak posiada dość samodzielności — rzekł Jack. — Ja nie wywieram na niego żadnej presji.

—To znaczy, że pan go dobrze wytresował — rzekł Saltash.

—A co jeszcze chciał mi pan powiedzieć? — spytał Jack nagle.

—Och, co jeszcze! — mruknął Saltash, przyglądając się w zamyśleniu popielniczce. — Czy pan nie myśli, że lepiej o tym w pierw pomówić z Maud?

—Na jedno wyjdzie — rzekł Jack.

Oczy Saltasha błysnęły w przenikliwym spojrzeniu. — Zapewne, jest pan panem we własnym domu — rzekł.

—Nie to miałem na myśli — rzekł Jack, a jego piwne oczy rozjaśnił uśmiech. — Chciałem tylko powiedzieć, że jesteśmy przyjaciółmi z Maud i zazwyczaj nasze życzenia są zgodne.

Saltash skinął głową. — Nieźle, jak po ośmiu latach pożycia.

—Tak — rzekł Jack. — Pan uważa nas za źle dobraną parę. A jednak biegniemy dość zgodnie w tym zaprzęgu.

—Wcale nie uważam was za niedobraną parę — rzekł Saltash. — Przeciwnie, już dawno przekonałem się, że jesteście dobrani. Najszczęśliwszym dniem dla Maud był dzień, w którym pan mi ją sprzątnął.

—Uważa pan? — spytał Jack. — Dla pana w każdym razie nie był to dzień zbyt szczęśliwy.

—Jakoś to przetrwałem — rzekł Saltash lekkim tonem. — Zbyt zepsuty jestem do gruntu, żeby brać rzeczy z nadto do serca. Od tego czasu kochałem się w całym mnóstwie kobiet, a niektóre z nich były nawet zupełnie porządne. Ale żadna nie brała mnie na serio, a więc przypuszczalnie pozostanę nadal niepoprawnym grzesznikiem.

—Myślałem, że się pan ustakuje — rzekł Jack.

W oczach Saltasha odmalowało się coś zbliżonego do melancholii. — Jestem zmęczony — rzekł. — Dość już mam wszystkiego. Chciałbym, dla odmiany, oddać komuś przysługę, żeby zobaczyć, jak to sma-

kuje. Może... kto wie... uleczy mnie to

TLR

z posmaku zgnilizny, który odczuwam nieustannie. Wy, ludzie wiodący spokojne, uporządkowane życie, nie macie pojęcia, jak się czuje człowiek, dla którego wszelkie wino zamienia się w ocet, a wszelka słodycz życia w żółć.

—Brzmi to dość paskudnie — mruknął Jack.

—Popioły i zgliszcza, drogi panie — rzekł Saltash. — Ale mówmy o rzeczach ważnych. Pan zna Larpenta, kapitana mego jachtu... świetnego marynarza?

—Widziałem go kiedyś — odparł Jack.

Saltash oparł się w fotelu i palił szybko swe cygaro. — Jest teraz w lecznicy — zaczął. — Ucierpiał poważnie przy rozbiciu. Otóż ma on córkę, imieniem Antoinette. Była w szkołach we Francji i Larpent odwoził ją do kraju właśnie teraz, kiedy jacht zatonął. Ma dziewiętnaście lat, miłe stworzenie, na wpół Francuzka. Nie mają rodziny. Ona chce pracować na siebie, ale właściwie jest za młoda, by móc stawić czoło życiu. Nigdy nie miała rodzinnego domu, biedne dziecko. A przydałoby się jej to bardzo. Powie pan, że jestem bezczelny, ale doprawdy takiego domu jak wasz nie znam...

Urwał i spojrzał ukradkiem na Jacka przez obłok dymu.

Zapadło długie milczenie. Jack zmarszczył brwi. — Pan proponuje... żeby córka kapitana Larpenta... zamieszkała u nas?

—Byłaby wam pomocna — rzekł Saltash żywo. — Pomagałaby Maud przy dzieciach. Byłoby to z waszej strony wielkie dobrodziejstwo. Uroczę z niej stworzenie. Weźcie ją na miesiąc, a jeśli nie zechcecie jej zatrzymać dłużej, możecie ją odesłać ojcu. Będzie zdrów do tego czasu, mam nadzieję.

—A kto się nią teraz opiekuje? — spytał Jack. — Gdzie ona jest?

Saltash odsunął się w fotelu niecierpliwym ruchem. — Myśli pan, że ją przywiozłem do Burchester, żeby całe hrabstwo wzięło ją na języki? Jest w miejscu bezpiecznym. — Wstał i zaczął się przechadzać po pokoju. — Wiem, jakie plotki krążą o mnie, ale jeśli z pana porządny człowiek, pomoże mi pan zadać im kłam. Wiem, że jestem łotrem, Jacku, starym grzesznikiem. Ale jestem też dżentelmenem tam, gdzie chodzi o kobietę. To dziecko nie ucierpiało ani na ciele, ani na duszy przez to, że było zdane na moją opiekę. Musi mi pan uwierzyć.

—Wierzę — odparł Jack.

Saltash przechadzał się nerwowo po pokoju z rękoma w kieszeniach. — Chcę, żeby dostała się do was, bo tu jej nie stanie się krzywda — rzekł. — Pan nigdy nie wdaje się z diabłem w kompromisy, co? Pamiętaj pan, jak obił pan kogoś za to, że namawiał pana do pewnych machinacji z jednym z koni wyścigowych?

—Wolę o tym zapomnieć, milordzie.

Saltash stanął nagle przy nim i położył dłoń na jego ramieniu. — A ja lubię pana od tej chwili — rzekł. Tym razem nie namawiam pana do zła. Raczej skłaniam pana do spełnienia jednego z najpiękniejszych uczynków, do jakich pan miał w życiu okazję. To dziecko nie ma teraz nikogo na świecie, prócz mnie. Czy pan zechce się nią zaopiekować aż do chwili, gdy się jej coś innego nie trafi?

Jack wyprostował się w fotelu. — Będę musiał wpierw pomówić z Maud — rzekł.

—Pan wie już teraz, co Maud powie. Jeśli pan chce odmówić, niech pan odmówi od razu.

Jack podniósł na lorda chmurne spojrzenie. — Powiedział mi pan prawdę o niej? Przysięga pan?

Oczy Saltasha zabłyśły dziwnie. Nie uniknęły wzroku Jacka, ale nie szukały go również śmiało i otwarcie.

—Czy moja przysięga więcej ma być warta niż moje słowo? — spytał.

— Większość ludzi jest innego zdania.

Jack wstał, wyprostował się, istne uosobienie mocy i nie- złomności. Przez chwilę jego wzrok przeszywał Saltasha. Nagle uśmiechnął się. — Przyjmuję pańskie słowo, milordzie, rzekł.

—A dziecko? — spytał Saltash.

Jack skinął głową. — I ją również, jeśli Maud się zgodzi.

—Dzięki — rzekł Saltash, a jego twarz rozjaśnił uśmiech, nadający jego nieładnym rysom dziwny urok. — Jestem panu wdzięczny, Jacku. Myślę, że Maud się zgodzi.

—Może pójdziemy do niej? — spytał Jack.

## IV. SALTASH

Odnaleźli ją na tarasie i po chwili śmiali się wszyscy z żartów Saltasha. Siedzieli dość długo na ławce, podczas gdy poniżej, w ogrodzie, niezliczone słowicze głosy wznosiły się trelami w ciepłą, gwiazdzistą wiosenną noc. Wreszcie Jack wstał i zabrał Bena ze sobą do stajen, a Saltash i Maud zostali sami.

Przysiadł się bliżej do niej, z ręką wspartą o poręcz ławki. U ich nóg leżał Top, wielki rudy seter, który należał do Jacka przed jego ślubem, a potem przywiązał się na zawsze do Maud.

—Co za spokój! — rzekł Saltash, głaszcząc starego psa. — Wiesz, Maud, dobrze żeś nie wyszła za mnie, jeśli ten spokój daje ci szczęście.

—I ja myślę, że tak jest lepiej — rzekła. — Ty w każdym razie nie byłbyś zadowolony.

—Mnie nic nie zadowala — rzekł Saltash. — Jestem wiecznym wędrowcem... Starzeję się. Życie już nie jest tym, czym było.

Maud milczała przez chwilę, patrząc w gwiazdy. — Czasami zastanawiam się — rzekła wreszcie — czy ty w ogóle żyłeś.

Roześmiał się drwiąco. — Ja, który doświadczyłem wszystkiego! —Wszystkiego co złe — dorzuciła zuchwale. Wyciągnęła do niego rękę, którą pochwycił żywo. — Nie myślę, żebyś się starzał — mówiła dalej. — Może tylko dopiero zaczynasz rozróżniać rzeczy warte zachodu.

—Cóż w ogóle warto? — rzucił Saltash.

—Bardzo wiele, ale nie to, o co dbasz, nie szalone uciechy życia. Charlie, trudno mi się wypowiedzieć. Mimo naszej starej przyjaźni obawiam się, że jestem niedyskretna.

—Ma *belle reine* czyż to możliwe? Pani? — spytał, unosząc dłoń jej do swych ust. W głosie jego zabrzmiała nuta smutku.

Uścisnęła serdecznie jego rękę. — Boli mnie, że jesteś znudzony życiem i samotny. Ale gorzej bolałoby mnie, gdybym wiedziała, że żywisz się plewami.

—Tego nie czynię w obecnej chwili — rzekł. — Żyję jak nudny stary pustelnik, z tą tylko różnicą, że nie zapuszczam brody na trzy łokcie.



Oczywiście słyszałaś o kobiecie na statku?

Jedyną odpowiedzią było jej milczenie. Roześmiał się. — Kłamstwo, *chère reine*. Nie było kobiety.

—O, Charlie! — rzekła impulsywnie. — Wybacz, że uwierzyłam w tę plotkę.

—Przebaczam — rzekł z gestem królewsko łaskawym.

—Zresztą kłamstwo nie było pozbawione pewnej podstawy. Było dziecko rodzaju żeńskiego na pokładzie, bardzo wątłe

i okropnie przestraszone. Uratowaliśmy je do spółki z Larpen-tem. On za nią jest odpowiedzialny, nie ja.

—Jego córka? — spytała Maud.

—Właśnie — rzekł Saltash. — Wyjaśnienie mało romantyczne, nieprawdaż? Larpent ucierpiał poważnie podczas katastrofy. Znajduje się teraz w lecznicy, a mała, cóż, ja muszę się nią opiekować. *Figurezvous, ma chère*. Ja, jako opiekun niewiniątek? *Un peu comique, n'est-ce pas?*

—Srowadź małą do nas — rzekła Maud ze współczuciem. — Ja się nią zaopiekuję. Kiedy ją przywieziesz?

—Uważasz, że obecna opieka jest nieodpowiednia nawet na kilka dni? — spytał Saltash. — *Bien*, przyślę ją choćby jutro.

—Nie, nie to chciałam powiedzieć, żeby jej coś miało zagrażać — rzekła Maud. — Ileż ona ma lat? Starsza od Eileen?

—Trochę — odparł Saltash. — Dziewiętnaście.

—O! — zdziwiła się Maud.

—Może odwołujesz swe zaproszenie? — spytał Saltash drwiąco i zerwał się ze swego miejsca.

Maud wstała również. — Zostaw, Charlie — rzekła. — Wiem, jak wielkie masz w sobie możliwości, i dlatego powierzyłabym tobie najdroższy swój skarb.

—Ale otrzymawszy go z powrotem dobrze badałabyś, czy nie został uszkodzony?

—Nie — odrzekła — zanadto dobrze znam ciebie.

Skłonił się nisko przed nią. — Nie zapominaj, o najpiękniejsza i najłaskawsza damo, że w herbie mam głowę lisa i motto: „*Sans vertu*”.

Uśmiechnęła się do niego. — Inne motto dałabym ci, Charlie — rzekła. — „Kto kocha, ufa”.

Rzucił się gwałtownie ruchem jakby przeczącym. — Na jak długo?

I czy mnie kochasz Pani Róż?

Podawała mu obie swe ręce. Jej oczy jaśniały, jak gwiazdy przez mgłę. — Tak, Kocham cię, Charlie — rzekła — tak bardzo, że nie mogę się czuć szczęśliwa, dopóki nie będę wiedziała, że i ty nim jesteś.

Pochylił się nisko i odwrócił głowę. — Nie byłem nigdy szczęśliwy... od dnia, kiedy cię straciłem — szepnął.

—Nigdy nie byłeś szczęśliwy w swym życiu — odrzekła Maud cicho.

— Nie wiesz, czym jest szczęście.

—Czyżby? — spytał. — Zdawało mi się, że poznałem już wszystko, co poznać warto.

—Nie — odrzekła. — Jednej rzeczy nie znasz, a jest nią radość kochania... kogoś... więcej niż siebie. Zdaje mi się, że to największa radość, jaką Bóg zesłać może.

Pochylił nisko głowę. — Tak mogłem cię kochać... kiedyś — rzekł.

Potrząsnęła głową z uśmiechem. — Nie, drogi mój. Ja bym cię tego nie zdołała nauczyć. Znadto byłam wtedy samolubna. Spotkasz jeszcze w swym życiu kobietę, która cię tego nauczy.

—Ciekaw jestem — mruknął Charles Rex, na wpół drwiąco, na wpół ze wzruszeniem.

Wzięła go pod ramię. — A teraz chodźmy obejrzyć małego — powiedziała. — Jest bardzo miły, istny obraz Jacka.

—Wielkie nieba, współczuję ci! — zawołał Saltash. — Nie dasz rady dwóm Jackom. Zgniotą cię na miazgę.

—Nie pleć, Charlie. Ten chłopiec będzie podporą naszej starości — mówiła, prowadząc go w stronę domu. Weszli w milczeniu do pokoju, gdzie spały dzieci. Stanęli we dwoje w słabym świetle lampy przy łóżeczku najmniejszego. Saltash spojrzał na zarumienioną twarzyczkę dzieciątka z wyrazem jakby żalu.

—To jednak coś warte mieć dzieci i zamknąć własny rachunek życiowy — mruknął.

Przeszedł do drugiego pokoju, by zobaczyć śpiące starsze dziewczynki, pięcioletnią Eileen i czteroletnią Maud. Maud pozostała w progu.

Po chwili znaleźli się razem w słabo oświetlonym korytarzu. Dziwne cienie padały na chmurną twarz lorda.

—Więc mogę przysłać małą jutro? — spytał.

—Czemu jej sam nie odwieziesz? — rzekła Maud z uśmiechem.

Potrząsnął głową. — Nie, zajrzę tu znowu kiedyś, może w niedzielę. Ale nie chciałbym jej szkodzić, odwożąc ją sam.

Zrozumiała go i podała mu rękę na znak zgody, ale przeraziła ją zarliwość, z jaką przycisnął jej dłoń do swych ust i wyrwała mu ją szybko.

Roześmiał się na tę ostrożność. — Oddałem tylko hołd matce — wyjaśnił.

Potrząsnęła głową. Bywały chwile, kiedy nawet ona, która znała go tak dobrze, nie czuła się jego pewna.

Przeszli do salonu. Saltash zasiadł do fortepianu i zaczął grać. Grał pięknie i jego muzyka zawsze przemawiała do serca Maud. Przymknęła oczy i słuchała. W muzyce dusze ich zgadzały się i rozumiały.

Gdy Jack i Benny wrócili do salonu, Saltash zakończył grę kilkoma cichymi akordami.

—Czas już, żebym was pożegnał — rzekł — bo mnie jeszcze pan domu wyrzuci.

—Nie ma obaw — rzekł Jack.

—Charlie — chciałem ci podziękować — zawołał Benny. — Stary mi powiedział. Cieszę się, że chcesz mi dać pracę.

—Jeśli ją przyjmiesz — rzekł Saltash.

—Wszystko przyjąłbym od ciebie — zawołał impulsywnie. — Mam nadzieję, że ci się będę mógł przydać.

—Jestem tego pewny — rzekł Saltash. — A teraz już was pożegnam. Wpadnę tu znowu w niedzielę.

—Prosimy — rzekł Jack.

Saltash skinął głową. — Dziękuję. Jutro zadzwonię do Maud. Czy jesteś pewna, że jutrzejszy dzień będzie dogodny?

—Najzupełniej — odrzekła z uśmiechem. Ukłonił się i wyszedł z Ben-  
nym.

Maud zwróciła się do Jacka. — Jack, chciałam ci coś powiedzieć, poradzić się o coś.

Uśmiechnął się gorzko. — Myślę, że to zbyteczne. Ułożyliście i tak wszystko beze mnie. Ale jego lordowska wysokość był tym razem o tyle dyplomata, że wpierw omówił rzecz ze mną.

—Och, tak? — zdziwiła się Maud. — Jack, ale nie masz nic przeciwko temu? Nie można postąpić inaczej.

—Powiem ci za tydzień, czy nie mam nic przeciwko temu — odpowiedział. — Teraz czas iść spać. Wyglądasz bardzo mizernie.

Oparła się o niego. — Jack, martwię się o niego!

—O Saltasha? — spytał. — Niepotrzebnie trwonisz uczucia. Lepiej myśl o sobie. Czy mam cię zanieść do łóżka?

Uśmiechnęła się. — Och, nie, Jack, już idę. Tylko sam nie siedź za długo.

TLR

## V.PRZYJAZD

Nazajutrz Maud zbudziła się z silnym bólem głowy. Jack nie pozwolił jej wstać i sam pochwycił cugle rządów domowych, ku wielkiemu, choć niechętnemu, podziwowi starej gospodyni.

Sam wniósł tacę ze śniadaniem do pokoju żony i natychmiast wyprosił z pokoju Molly i Betty, które zastał igrające jak kociaki na jej łóżku; najstarszą zaś, Eileen, zatrzymał przy sobie. Mała ubóstwiała ojca i lubiła chodzić za nim jak cień.

—Musimy się zająć mamusią, maleńka — powiedział — jest przemęczona.

—Będę się nią opiekowała — odparła dziewczynka z powagą.

—I nie wpuszczaj Molly i Betty.

—Dobrze, tatusiu.

Maud uśmiechnęła się do niej. — Mój mały strażnik — szepnęła. — Uważaj, bo Eileen gotowa nie wpuścić i ciebie, jeśli to uzna za dobre.

Eileen podniosła na ojca swe wielkie fiołkowe oczy. Pochylił się i ucałował ją, Eileen uśmiechnęła się nieśmiałym, szczęśliwym uśmiechem.

W hallu zadzwieczał telefon i Maud ściągnęła brwi boleśnie. — To pewno Charlie — powiedziała. — Powinnam z nim pomówić.

—Nie trudź się, ja to załatwię — rzekł Jack i wyszedł z pokoju.

Po chwili wrócił z lekkim uśmiechem i usiadł przy łóżku, pociągając Eileen na kolana.

—Wszystko załatwione — rzekł. — Zamierzamy dać wam wychowawczynię, smyki. Mam nadzieję, że będziecie się do niej odnosiły z szacunkiem.

—Ależ, Jacku! — zaczęła Maud.

—Tak trzeba, żeby mała coś robiła — rzekł. — Jeśli się nie nada, będzie musiała wrócić, skąd przyszła. Powiedziałem tak lordowi.

—I cóż on na to? — spytała Maud.

—Zgodził się naturalnie — rzekł Jack drwiąco — powiedział przy tym, że ona sama jest jeszcze tylko dzieckiem. Bardzo wielki nacisk kładł na to.

—Nie wierzysz mu? — spytała Maud.

—Nie bardzo, szczególnie, kiedy przybiera tak poważny ton. Ale czas okaże, kto ma słuszość. Powiedziałem Bernardowi, żeby po nią pojechał na stację. Będzie tu na lunch.

—Będziemy miały lekcje? — spytała Eileen.

—Myślę, że nie — rzekł Jack. — Nie chcę, żebyś się stała za mądra, stokrotko.

—Chciałabym mieć lekcje — rzekła dziewczynka. — Już jestem przecież duża.

—Nie rośnij za prędko! — zaśmiał się Jack. — Przerośniesz jeszcze swego tatusia i będziesz na niego patrzyła z góry.

—Nigdy żadne z twoich dzieci tego nie uczyni! — zaprzeczyła Maud.

Uśmiechnął się do niej. — Och, dam sobie z nimi radę — rzekł. — A ty usnij teraz, dziecko, i nie troszcz się o nic. Zajrzę później do ciebie.

Wyszedł z tymi słowy, a Maud przyciągnęła do siebie córeczkę. — Eileen, pamiętaj, że tatuś jest najlepszym i najmiłszym z ludzi — szepnęła.

—Wiem, mameczko — odrzekła Eileen z przejęciem, a oczy jej zajaśniały.

Jack był zajęty przy gospodarstwie i koniach przez cały ranek. Był wzorowym gospodarzem, a jego stajnia słynęła jako jedna z najlepszych w kraju. Zapomniał najzupełniej o protegowanej lorda.

Wrócił na lunch i dopiero dwa puste nakrycia przy stole przypomniały mu ojej przybyciu. Benny nie wrócił ze stacji.

Zajrzał do Maud, która czuła się lepiej, ale którą zobowiązał, żeby nie wstała, aż na podwieczorek.

—Może Benny pojechał na wyścigi — powiedziała.

—Tym razem nie mógł — rzekł Jack, marszcząc brwi. — Nie martw się, wróci niedługo.

—Przyślij ją do mnie, jak tylko ją Benny przywiezie — prosiła Maud, teraz nie usnę.

Pozostała sama ze swymi myślami, ale cisza wiosennego popołu-

dnia ukołysała ją z wolna. Zapadła w rozkoszny sen.

Zbudziły ją głosy przed domem.

—Halo — mówił ktoś, i Maud poznała głos brata. — Widzę wielką gąsienicę na pani kapeluszu!

—O psiakrew! — zawołał głosik czysty, dźwięczny, chłopięcy. — Niechże ją pan zdejmie!

Maud drgnęła mimo woli. Usłyszała śmiech Bena. — Ja tak nie powiedziałem! — zawołał.

—Wielki Szkocie! — zdziwił się chłopięcy głos. — Zgorszył się pan?

—Wcale nie — odparł Benny uprzejmie. — Tylko że w tym domu tak się nie mówi.

—Och, do diabła! — rzekł młody głos. — To znaczy, że wkrótce zostaną stąd wylana. Tak trudno zgadnąć, co się komu nie podoba. — Żałowna nuta zabrzmiała w ostatnich słowach.

—Tak źle nie jest — pocieszał ją Benny — ale w każdym razie trąć panią łokciem, ile razy coś takiego będzie w drodze, dobrze?

—Naprawdę? To byłoby wspaniale! — Smutek znikł wśród kaskady dźwięcznego, miłego śmiechu.

—Może pani liczyć na mnie — rzekł Benny.

—Dobra! Proszę nie zapomnieć. A teraz z drogi, bo chcę przeskoczyć przez ten krzak róży.

Zabrzmiał lekki tupot nóg i Maud wychyliła się z okna w porę, by ujrzeć, jak szczupła postać w granatowym kostiumie i białym kapelusiku panama, szybując lekko w powietrzu, zakreśliła łuk nad krzakiem piennej róży, dopiero zaczynającej rozkwitać, i sfrunęła na drugą stronę z lekkością i doskonałą gracją skrzydlatego Merkurego.



## VI. JAK SOBIE RADZIĆ Z MĘŻCZYZNAM I

Benny też przeskoczył przez krzak róży, ale dużo mniej zgrabnie. Młoda dziewczyna roześmiała się, a jej wielkie szafirowe oczy zajaśniały figlarnie.

—Co za skok! Myślałam, że pan obali ten krzak swymi obcasami. A co pan teraz wyprawia?

Benny położył właśnie ręce na jej ramionach. — Szukam, gdzie się podziały skrzydła — odpowiedział.

Cofnęła się przed jego dotknięciem. — Gdzie mi tam do skrzydeł! — oburzyła się. — Ale chodźmy stąd. Mam uczucie, że ktoś na nas patrzy.

—Benny, przyprowadź do mnie naszego gościa! — odezwała się Maud z okna.

Benny i jego towarzyszka drgnęli na dźwięk tego głosu i Maud zobaczyła po raz pierwszy twarz nowo przybyłej, nerwową, dziecięcą twarzyczkę o wielkich oczach, okolonych krótkimi czarnymi rzęsami, oczach, które zdawały się błagać o dobroć. Ostry zarys brody nadawał tej twarzyczce swoisty oryginalny urok, a kształtne usta miały w sobie dziwną słodycz. Maud najwięcej pociągnęły oczy. Były to oczy stworzenia, które znało straszliwą mękę niewymownych przerażeń, niemniej jednak twarzyczka była twarzyczką dziecka.

Wychyliła się w oknie i zwróciła się bezpośrednio do nieznajomej. — Proszę, niech pani wstąpi do mnie! — rzekła z dobrocią. — Benny pokaże pani drogę.

Odpowiedział jej nieśmiały błysk uśmiechu. Młoda dziewczyna spojrzała pytająco na Bernarda.

—To moja siostra, Maud — powiedział. — Chodźmy, tędy!

Wprowadził ją do domu przez jedne z oszklonych drzwi, wychodzących na taras, a Maud odwróciła się od okna. Co dostrzegła w tej dziecinnej twarzy, co tak bezpośrednio przemówiło do jej kobiecego serca, rozprasząc momentalnie pierwszy odruch odrazy? Sa-

ma nie wiedziała, ale czuła, że ogarnęło ją wielkie, głębokie współczucie. Z dziwnym, dławiącym wzruszeniem oczekiwała nadejścia nieznanego dziewczęcia.

Słyszała wesoły głos Bernarda na schodach, ale jego słowa pozostały bez odpowiedzi. Maud wstała i otworzyła drzwi. Benny szedł pierwszy; wyprzedził o wiele swoją towarzyszkę. Usunął się na bok przed siostrą. — Mademoiselle Antoinette Larpent — przedstawił jej nadchodzącą.

Mała osóбка wyprostowała się z pewną brawurą i podeszła bliżej. Maud wyciągnęła do niej obie ręce. — Drogie dziecko — rzekła. — Spodziewałam się pani już dawno.

Ręce, które spoczęły w jej dłoniach, były drobne i zimne. Niebieskie oczy zabłyśły niespokojnie i opuściły się pod jej spojrzeniem. —Przykro mi, że się spóźniłam, proszę pani — rzekła cichym głosem.

Maud rozbawiło, a jednocześnie zmroziło to powitanie. — Proszę, niech pani siada — rzekła. — Napijemy się tutaj herbaty. Benny pójdzie ją zamówić, dobrze?

—Z przyjemnością — rzekł Benny. — A będę mógł wrócić?

Uśmiechnęła się do niego. — Wróc, kiedy podadzą herbatę — powiedziała. — Proszę, niech się pani rozbierze — dodała, zwracając się do gościa. — Dawno pani przyjechała?

—Przed chwilą — odpowiedział głos, w którym brzmiało jakby przeproszenie.

—Pani musi być zmęczona. Czemu tak późno przyjechaliście? Spóźniła się pani na pociąg?

—Nie, proszę pani — zabrzmiała nieśmiała odpowiedź. Kontrast pomiędzy chłopięcą swobodą tonu, a obecnym zmieszaniem byłby zabawny, gdyby nie był tak żałosny.

Maud nie pytała więcej, nie chcąc jej dręczyć. — Proszę, niech pani zdejmie zakiet i kapelusz — rzekła. — Po herbacie zaprowadzę panią do jej pokoju.

Zauważyła z zadowoleniem, że protegowana lorda była ubrana skromnie. Jej jasne włosy, które były krótko ucięte, zaczynały odrastać, zwijając się w drobne kędziory. Podobał jej się delikatny zarys czarnych brwi i szafirowe oczy okolone czarnymi rzęsami. Zauważyła, że żyłki na białych skroniach rysują się z wielką wyrazistością.

—Proszę, niech pani siada — zaczęła — i proszę mi powiedzieć, jak mam panią nazywać? Na imię pani Antoinette, nieprawdaż?

—Nazywają mnie Toby — odrzekła młoda dziewczyna nieśmiało — ale pani może mnie nazywać, jak pani zechce.

—Pozwoli pani, żebym do niej mówiła po imieniu? — spytała Maud.

—Proszę bardzo — odrzekła Toby z nieoczekiwaną żywością.

Maud uśmiechnęła się. — Dobrze, drogie dziecko. Tak będzie lepiej. Nie będziemy sobie obce. Wiadomo ci zapewne, że lord Saltash jest naszym dobrym przyjacielem. I chociaż nie mam przyjemności znać twego ojca...

Twarzyczka Toby zarumieniła się nagle. — Lord Saltash był bardzo dobry dla mnie — odpowiedziała nieśmiało. — Uratował mi życie. Czy to nie bardzo piękne z jego strony, że zadał sobie taki trud?

—Bardzo — rzekła Maud. — Musiałaś się bać, prawda?

Toby zadrżała. — O, jeszcze jak! Woda była strasznie zimna.

Myślałam, że nigdy nie wypłyniemy. Było to, jakby... — Urwała. — Powiedział, żebym nigdy o tym nie mówiła ani nawet nie myślała.

—Powiedz mi o swoim ojcu — rzekła Maud serdecznie.

Niebieskie oczy podniosły się na nią z dziwnym przebłyskiem. — Och, jest jeszcze wciąż w lecznicy i nie wolno mu widywać nikogo. — W jej głosie był odcień niechęci. — Mówią, że będzie zdrów niedługo. — Jesteś niespokojna o niego? — spytała Maud.

—Nie — brzmiała odpowiedź zuchwała, prawie wyzywająca. — Nie bardzo za nim przepadam. Jest taki mrukliwy.

—Och — zdziwiła się Maud, nagle stropiona.

—Na cóż by się zdało udawać, że czuję to, czego nie czuję? — spytała Toby i uśmiechnęła się nagle ze swym ujmującym czarem — to nie moja wina. Nie znamy się blisko i nie znaliśmy nigdy. Po raz pierwszy znalazłam się na pokładzie „Ćmy”.

—I już nigdy się pani nie znajdzie — dorzucił Benny wchodząc. — Wiesz, Maud — dodał — zamiast wracać prosto do domu, zgodnie z instrukcjami szefa, wziąłem pannę Larpent na wyścigi.

—Ach, to dlatego się spóźniliście! — rzekła Maud.

—Tak — odparł Benny. — Trochę zarobiliśmy z początku, a potem przegraliśmy wszystko. Poszliśmy do stajen i tam spotkaliśmy szefa, który od razu dość niegrzecznie kazał nam jechać do domu. Mam wra-

zenie, że jest na mnie zły — dodał Benny w zamyśleniu. — Jakoś to przeżyję, trudna rada.

—Szkoda, żeście pojechali — rzekła Maud.

—Wcale nie szkoda — zaprzeczył Benny. — Było bardzo przyjemnie. To zabawne czasem coś zbroić, nieprawdaż, panno Larpent?

—Niech pan nie plecie głupstw! — rzekła Toby szorstko.

Maud uniosła brwi, ale Benny zaśmiał się szerokim śmiechem. — Dziękuję! — rzekł. — A oto dzieci. — Podskoczył do okna i ryknął z całych sił: — Halo! — Przepraszam, Maud — zawołał momentalnie, zwracając się do siostry. — Zapomniałem o twoim bólu głowy. Jak się czujesz?

Nie czekał jej odpowiedzi, tylko wychylił się znów oknem, by coś krzyknąć do dzieci.

Toby spojrzała na Maud, zawahała się i wstała. — Pójdziemy na herbatę do dziecinnego pokoju — rzekła. — Będzie spokojniej dla pani.

Maud wyciągnęła do niej rękę. — Proszę zostać ze mną — powiedziała. — Benny może sobie iść do dzieci, jeśli chce.

Palce Toby zacisnęły się na jej dłoni. — Naprawdę mogę zostać? — spytała.

—Naprawdę — odrzekła Maud, uśmiechając się do niej.

Toby obróciła się żywo i szturchnęła Bernarda w łokieć. — Za dużo pan robi hałasu — powiedziała. — Niech pan zejdzie na dół, żeby się wyszumieć.

Oczy Bernarda rozszerzyły się na chwilę w oburzeniu, ale wnet wybuchnął śmiechem. — Podoba mi się pani — rzekł. — Zuch z pani dziewczyna.

Toby ciągnęła go za rękaw jak uparty piesek. — Niech pan idzie! — powtórzyła. — Chcemy zostać same z panią Bolton. Potem przyjdę bawić się z wami, jeśli będziecie grzeczni.

Było to powiedziane bez kokieterii, tonem starszego brata strofującego młodszego. Jasną było rzeczą, że zamierzała postawić na swoim, ale Maud, która znała wrodzoną przekorę brata, ciekawa była, czy jej się to uda. Okazało się jednak, że postępowanie Toby przemówiło do jego poczucia humoru. Może również i jej stanowczość uczyniła na nim wrażenie, dość że odszedł ze śmiechem.

Toby odprowadziła go do drzwi i wróciła, spokojna i triumfująca.

—Brawo — powiedziała Maud — widzę, że umiesz sobie radzić z zepsutymi dziećmi.

Toby spojrzała na nią bystro. — Ma pani na myśli mężczyzn? — spytała i na jej dziecinnej twarzyczce odmalowała się pogarda. — Och, każdy potrafi sobie poradzić z mężczyzną. Nie potrzeba do tego wielkiej umiejętności.

Mówiła z pewnością siebie nacechowaną zdobytym doświadczeniem, i Maud, mimo różnicy wieku, jaka je dzieliła, nie wątpiła o prawdziwości jej słów. Miała dziwne uczucie, że czy to z doświadczenia, czy z intuicji to młode stworzenie wie więcej od niej.

—Jest tylko jedna zasada w postępowaniu z mężczyznami w wypadku, jeśli się chce mieć spokój. Zdecydować się

i trzymać się swego! Jeśli im się to nie podoba, niech sobie idą do...

— Urwała nagle i zarumieniła się głęboko pod spojrzeniem Maud — niech robią, co im się podoba... chciałam powiedzieć — zakończyła tonem, który jakby prosił o przebaczenie.

—Rozumiem — rzekła Maud poważnie.

Toby uśmiechnęła się do niej swym zabawnym krótkim uśmiechem, na wpół figlarnym, na wpół dziękczynnym,

i rzecz ciekawa, w tym momencie zawarte zostało między nimi przymierze, które miało pozostać nierozzerwalne.

## VII. OBIETNICA

Jack miał mocno nachmurzoną minę, gdy wrócił do domu tego popołudnia. Spotkał Bernarda w pobliżu stajen.

—Słuchaj, młody człowieku, mam z tobą do pomówienia — rzekł twar- do, kładąc ciężką dłoń na jego ramieniu.

Benny roześmiał się bez śladu zmieszania. — Dobrze, stary, idę z tobą — rzekł i ujął go pod ramię.

Choć był sam o głowę wyższy od Jacka, nie było w nim ani śladu tej mocy, jaka była od barczystej postaci szwagra. Poruszał się z nonszalan- cją pozbawioną energii, choć znamionującą pewien nerwowy niepo- kój.

—Ciekaw jestem, jak sobie tu poradzisz beze mnie — zauważył, aby przerwać milczenie.

—Gdybym tylko był pewny, że to miejsce jest odpowiednie dla ciebie — rzekł Jack — powiedziałbym, że im prędzej stąd się wyniesiesz, tym lepiej.

—Uważasz? — spytał Benny dość cierpko i puścił ramię szwagra.

—Słuchaj, Benny — zaczął ten nagle — powiedz mi, ile dziś prze- grałeś na wyścigach?

Benny zarumienił się mocno. — Co to ciebie obchodzi? — mruk- nął. — Czy nie możesz mnie zostawić w spokoju?

—Owszem, czemu nie? — rzekł Jack, wzruszając ramionami, ale na mi- łość Boską, idź prostą drogą przynajmniej. — Położył dłoń na jego ra- mieniu. — Wiesz, chłopcze, że cię kocham — dodał — i chcę cię prosić o coś, co mnie przekona o twoich uczuciach do mnie.



—Słucham? — rzekł Benny.

—Otóż — zaczął Jack, spoglądając na niego chmurnie — chcę, żebyś mi przyrzekł, że się wyrzekniesz wyścigów na cały rok. Oto masz!

—Wyrzec się wyścigów? — Benny wyprostował się sztywno. — Ależ dlaczego?

Jack uśmiechał się lekko, ale było coś nieubłaganego w tym uśmiechu. — Och, tylko żeby mi sprawić przyjemność — rzekł.

—Jack, oszalałeś!

—Nie, tylko proszę cię o osobistą przysługę.

Benny spojrzał szwagrowi prosto w oczy. — Jack, nie bądź niegodziwy, słowo daję. Wiesz, że zrobiłbym wszystko pod słońcem, żeby ci sprawić przyjemność, ale powiedz mi, dlaczego ci tak na tym zależy?

—Bo wiem, że nie masz dość siły charakteru do tej gry. A po drugie, bo ta dziewczyna, która dziś przyjechała, jest urodzoną hazardzistką, i nie chcę, żeby ją w tym podtrzymywano.

—Skąd to wiesz, do licha? — spytał Benny. — Charlie ci mówił?

—Nie — rzekł Jack chmurnie. — Myślisz, że wierzę jemu na słowo, co? Znam gorączkę gry, a ona... no, sądzę, że przechodziła ją w swym życiu, w tej czy innej formie.

—Miłe stworzenie — rzekł Benny łaskawie.

—Nie jest dla ciebie, Bernardzie Brian — odparł Jack. — I myślę, że ona raczej mogłaby cię nauczyć wielu rzeczy niż ty ją.

—Cóż chcesz przez to powiedzieć? — spytał Benny.

—Otóż, synku — rzekł Jack, cedząc słowa — nic więcej prócz tego, co powiedziałem. Jeśli nie jesteś dość bystry, aby wysunąć własne wnioski, to już nie moja rzecz. — Spojrzał Bernardowi prosto w oczy. — A co do tej mojej propozycji, mam nadzieję, że się zgadzasz na nią?

—Rzucić wyścigi na cały rok? — powtórzył Benny. — Chyba trochę za wiele wymagasz, Jack? Powiedzmy, na trzy miesiące.

Jack podszedł do niego, kanciasty i nieubłagany. — Niech będzie pół roku — rzekł — jeśli możesz mi powiedzieć, że nie straciłeś dziś więcej niż pięćdziesiąt funtów.

Benny stał się szkarłatny. — To wyjątkowy wypadek — mruknął.

—Domyśliłem się — rzekł Jack oschle.

—Ale słowo daję, kara jest za ciężka! — zawołał Benny. — Daj mi spokój, stary. Przyrzekam ci, że to się więcej nie powtórzy.



Jack pochwycił jego dłoń, ale nic nie powiedział, tylko czekał w milczeniu.

I nagle Benny skapitulował. — Och, daj spokój, ty niegodziwy kociarzu! — zawołał i ścisnął z całych sił rękę szwagra. — Zgoda już! Sprawa załatwiona!

Jack trzepnął chłopca przyjaźnie po ramieniu. — To największa rzecz, jaką kiedykolwiek uczyniłeś, synku — rzekł. Nie zapomnę ci tego! Licz na mnie!

—Możesz być pewny, że liczę — rzekł Benny żarliwie. Ujął znów szwagra pod ramię i razem szli ku domowi. Uczynił wielką ofiarę, ale Jack dał mu odczuć, że warto ją było uczynić.



## VIII. SPRZYMIERZENIE

Piski dziecięcej radości rozlegały się w korytarzu, a potem tupot licznych nóg.

—Trzymajcie się, zaczynam galopować! — zabrzmiał wesoły chłopięcy głos.

Zaczęła się wielka bieranina przy akompaniamencie radosnych krzyków dzieci. Jack przystanął na schodach, nasłuchując. Nagle usłyszał odgłos padającego ciała i nowe krzyki. Pobiegnął szybko na górę i zobaczył swego nowego gościa na podłodze, w otoczeniu swoich trzech córeczek, które kłębiły się wśród śmiechów nad leżącą postacią.

Najmłodsza, Betty, dostrzegła ojca i pisnęła radośnie. Skłębione małe osobki rozproszyły się, a Toby zerwała się z lekkością wiewiórki i szła na jego spotkanie ze swobodną gracją, nie bez pewnego zuchwalstwa.

—I cóż, pomyśli pani, że ze mnie straszny zwierz po dzisiejszym spotkaniu? — zaczął Jack. — Przykro mi. Byłem wściekły na Bernarda, nie na panią.

—Nie na mnie? — spytała Toby, otwierając szeroko oczy. — Na pewno?

Potrząsnął bez ceremonii chudą wąską rączką. Rzecz dziwna, ta dziewczyna o jasnym, otwartym czole i żalonych oczach szturmem chwyciła go za serce. — Nie tak bardzo na panią — rzekł. — Benny wie, że gra na wielką skalę jest niedozwolona dla dzieci w jego wieku. —Och, rozumiem — rzekła. —Jestem starsza o całe lata od

niego, więc nie stosuje się to do mnie. Zresztą Benny nie grał wcale.

—Domyślam się — rzekł Jack.

—Więc pan był zły na mnie — dokończyła, pochylając się i biorąc na rękę małą Molly.

—Nie — odparł Jack, a w jego głosie zabrzmiało jakieś dziwne współczucie. — Nie będziemy się sprzeczać, aż się lepiej poznamy. Widzę, że zaprzyjaźniła się już pani z piskletami.

—Och, to nietrudno! — rzekła Toby. — Dzieci nie mają uprzedzeń i kierują się tylko pierwszym wrażeniem.

Betty wyciągała do niej rączki, i Toby schyliła się i również uniosła ją z ziemi. Jack szybko odebrał jej ten podwójny ciężar.

—Żeby mi się to nie powtórzyło — powiedział tonem człowieka nawykłego do posłuszeństwa. — Zrozumiano?

—Dlaczego? — spytała Toby.

—Bo tak chcę — rzekł krótko.

—Och, to jeszcze nie racja — zaprzeczyła Toby.

—Nie, jeśli tatuś tak mówi? — spytała mała Eileen, otwierając szeroko zdumione oczy.

Toby pochyliła się i posadziła ją sobie na ramieniu. — Ach, ty mała muszko. Tatuś jest przecież tylko mężczyzną.

—Mężczyzną, który przywykł, żeby spełniano jego żądania — dodał Jack.

Toby roześmiała się. — Co za straszny człowiek z pana! Więc myśli pan, że gdyby mi pan kazał iść na zbity łeb, musiałabym pana usłuchać?

Nastąpiła chwila milczenia. Rączki Eileen zacisnęły się nerwowo dokoła jej szyi. Małeńka czuła w atmosferze elektryczność.

Jack stanął w progu dziecinnego pokoju. — Powiem tylko, że oto jedna z rzeczy, których oduczyłem się mówić — rzekł spokojnym, chłodnym głosem.

—Uciekajcie! — zawołała Toby do dzieci. — Gonię was! — Nastąpiła szalona bieganina, w której i Jack wziął udział. Opuścili oboje pokój dziecinnie w koleżeńskim nastroju zgody.

Na schodach Toby przystanąła. — Przykro mi, proszę pana — zaczęła nagle — że naraziłam dziś pana Bernarda. To moja wina. I przy-

kro mi, że się wyraziłam brzydko przy

TLR

dzieciach. Musi mi pan sprawić lanie, ile razy dopuszczę się czegoś podobnego.

—Słowo daję — rzekł Jack. — Czy z pani chłopiec, czy dziewczyna?

Uśmiechnęła się smutnie. — Przeważnie chłopiec, proszę pana. I dlatego tak trudno mi sobie dać radę w życiu.

—Słuchaj, dziecko — rzekł Jack nagle. — Proszę mówić do mnie po prostu „Jack”. Lubisz konie?

—Do szaleństwa! — zawołała Toby i oczy jej zajaśniały.

—Zobaczymy jutro, jak jeździsz — rzekł Jack.

Toby podskoczyła z radości. — Ale ktoś musiałby mi pożyczyć jakieś spodnie. Nie umiem jeździć w spódnicy.

—Postaramy się — rzekł Jack. — A w czym jeździsz zazwyczaj?

—W trykotach — wyrwało się Toby i nagle spłoszyła. — Och, stało się, powiedziałam. Nie powtórz pan nikomu, dobrze?

—Oczywiście — zapewnił Jack, a w jego oczach malowało się współczucie.

Toby wyciągnęła do niego rękę. — Lubię pana — rzekła. — Pan jest dobrym człowiekiem.

Jack uściśnął jej rękę. — Możesz liczyć na mnie — powiedział.

Toby skinęła głową. — Pan był kowbojem, nieprawdaż? Od razu to poznałam, kiedy pana zobaczyłam.

—Niejednym byłem w życiu — odparł Jack.

Znów skinęła głową. — Ale w niczym fuszerem — dodała. — Och, chciałabym... — urwała nagle.

—Co chciałabyś? — spytał Jack.

—Nic, nic — rzekła Toby ze smutnym uśmiechem. — Tylko... żałuję, że nie poznałam pana wcześniej.

—Zanim poznałaś Saltasha, co? — spytał Jack.

—Och, nie! — zaprzeczyła z żywością. — Lord Saltash jest jak istny król. Zawdzięczam mu życie. — Oczy jej zajaśniały, zarumieniła się jak dziecko w swym zapale. — Pan go zna! Czy on nie jest nadzwyczajny?

Mówiła ze czcią, nawet z pewnym lękiem. Jack spochmurniał. — Nie powiem, żebym go tak bardzo podziwiał — rzekł. — Myślę jednak, że może mieć swoje dobre strony.

—Och, jeszcze jakie! — zawołała Toby z zapalem. — Pan go nie zna tak dobrze jak ja. On jest niezrównany.

—Doprawdy? — spytał Jack.

Może odczuła brak sympatii w jego głosie, gdyż zmieniła nagle temat rozmowy. — Nie o tym chciałam mówić — zaczęła. — Żałowałam tylko, że nie poznałam pana dawno temu, przed laty, kiedy był pan kowbojem.

—Wtedy byłaś niemowlęciem — rzekł Jack.

Potrząsnęła głową ze smutkiem. — Nigdy nim nie byłam.

Myślę, że musiałam się urodzić stara, że zaczęłam życie od drugiego końca. To się czasami zdarza, wie pan.

—Wiem — rzekł Jack z powagą. — I na to jest tylko jedna rada.

—Jaka? — spytała Toby. Oczywiście przyglądały się jej badawczo, ale nic nie było przykrego w tym poważnym wzroku.

—Zacząć na nowo — rzekł.

Krótkie westchnienie wyrwało się z jej piersi. Nagle wyciągnęła ku niemu obie ręce i podniosła na niego oczy o drgających powiekach. — Pan mi pomoże? — szepnęła.

Wzruszyło go to zaufanie. Położył dłonie na jej ramionach. — Pomogę — odrzekł z powagą.

—I będzie pan dobry dla mnie? — W jej głosie brzmiały łzy.

—Naturalnie — rzekł Jack, krótko i z mocą.

—I nie będzie pan z nikim mówił o mnie? — spytała. — Nawet z lordem Saltashem. Z nikim?

—Nie — rzekł Jack krótko.

Toby przełknęła łzy i nagle uśmiechnęła się słonecznym, promiennym uśmiechem. — Dobrze mieć pana za przyjaciela — rzekła. — Pan jest taki mocny i wielki.

—Myślisz? — rzekł Jack z drwiącym uśmiechem. Miał to samo uczucie co Saltash, kiedy ją poznał, uczucie czegoś żalosego, jakby widział przed sobą biedne, bezbronne, zgonione zwierzątko. Nawet w chwilach największej wesołości było w niej coś, co prosiło o współczucie.

Poklepał ją po ramieniu. — Zajmę się tobą — rzekł — jeśli podejmiesz się pewnej gry.

—Jakiej gry? — spytała Toby.



—Jedynej, jaka jest czegoś warta — odparł Jack. — Uczciwej gry.

TLR

—Rozumiem — rzekła Toby. — Nie oszukiwać? Lord Saltash również nie pozwala na to.

—Wielkie nieba! — zawołał Jack ze szczerym zdziwieniem.

—Pan go nie zna! — powtórzyła Toby z przekonaniem.

Jack roześmiał się dobrodusznie. — Może być, że jeszcze się czegoś o nim dowiem — powiedział. — Tymczasem jednak znałem go z zupełnie innej strony.

—W takim razie nie zna go pan wcale! — zawołała Toby.

—A ty? — spytał.

Zarumieniła się aż po czoło. — Tak — szepnęła, wciągając oddech. — Tak — powtórzyła, jakby coś jeszcze chciała dodać, ale urwała i odeszła lekkim krokiem, jakby temat był za święty, by go z kimkolwiek poruszać.

—Wielkie nieba! — mruknął Jack sam do siebie z drwiącym uśmiechem.

Znał Saltasha grzesznika, ale Saltash jako święty, nie tylko ukochany, ale czczony i uwielbiany, był dla niego czymś niepojętym. Jakim sposobem, u licha, ten człowiek zdobył sobie u niej taką opinię?

## IX. BOŻYSZCZE

—I cóż? — spytał Saltash. — Gdzie mała? Jak się sprawuje?

—Interesujesz się nią gorąco — rzekła Maud.

Skrzywił się zabawnie. — Po raz pierwszy miałem dziecko pod swoją opieką. A przy tym muszę zdać sprawę Larpentowi.

—A on? Jak się miewa? — spytała Maud.

Spojrzał na nią szybko. — Czy mała się niepokoi?

—Ani trochę. Nie sędzę, żeby kiedykolwiek o nim myślała. Zresztą, przyznała mi się, że prawie go nie zna.

Saltash roześmiał się. — Co za szczerłość! Larpent czuje się lepiej, ale nieprędko wyzdrowieje. Czy mogę ją dłużej zostawić pod waszą opieką?

—Naturalnie! — rzekła Maud serdecznie. — Pokochałam ją, a zresztą jest mi wielką pomocą. Dzieci ją wprost ubóstwiają. Mam nadzieję, że Eileen przełamie przy niej swe uprzedzenie do konnej jazdy.

—Toby jeździ konno? — spytał Saltash.

—Jak kowboj. Zawsze się boję, że jej się coś stanie, ale jakoś wszystkie sztuczki udają się jej prześlicznie. Chodźmy w pole zobaczyć ją na koniu.

—Bardzo chętnie — rzekł Saltash.

Szli tarasem w stronę łąk. — Jestem pewna jednego — rzekła Maud — że mała nie nauczyła się tego w żadnej szkole. Powiada, że była już w wielu.

—Myślę, że to prawda — odparł Saltash. — Jest bardzo pojętna i zręczna. Zdążyłem to zauważyć, choć znam ją tak krótko.

—Musiała się nauczyć wielu rzeczy na pokładzie „Ćmy” — zauważyła Maud.

—Dlaczego? — zdziwił się Saltash.

—Musiała się wiele obracać wśród załogi i to wyjaśniałoby dziwne słowa, jakich czasem używa.

Saltash zmarszczył brwi. — Niektórzy mają dar do tego rodzaju rzeczy. Na przykład nasz czcigodny Jack.

—Och, Jack się nawrócił! Nie pozwala sobie na to, na co nie pozwala również Bernardowi. Ale Toby... nigdy nie wie, co złe, a co dobre.

—Jack ją wziął w obroty? — spytał Saltash ze śmiechem.

—Jack ograniczają na każdym kroku. Przyznać trzeba, że Toby znosi to z wielką pokorą i nawet wczoraj dobrowolnie ofiarowała się, że zostanie na obiedzie w swoim pokoju. To naturalnie rozbroiło Jacka. Cóż mógł powiedzieć?

—Tak, zabawne z niej małpiątko — rzekł Saltash. — Ja sam nie znam się wcale na wychowaniu dzieci, ale wyobrażam sobie, że Jack musiał się zabrać do niej należycie.

—Och, nie tak bardzo. Dziś jeszcze posprzeczali się — rzekła Maud.

— Nie wiem, co z tego wyniknie.

—Ze mną nie próbowała walczyć — zauważył Saltash.

—Tak, ale twoje poczucie obowiązku jest bardzo rozciągliwe. Zapewne nigdy nie żądałeś od niej, żeby coś uczyniła wbrew swoim życzeniom.

—Nie pamiętam. A czego Jack chciał od niej?

Maud uśmiechnęła się łagodnie. — Będiesz się śmiał oczywiście. Ale Jack ma słuszość, cokolwiek czyni. Chciał, żeby poszła do kościoła z nami i z małą Eileen, dziś rano. Nawet nam przez myśl nie przeszło, że odmówi. A ona oświadczyła nagle, że nie pójdzie za nic, bo jest... ateistką.

Saltash roześmiał się na wpół drwiąco, na wpół triumfalnie. — Już wiem, co na to powiedział zacny Jack, jakbym go słyszał. Powiedział: „Możesz wmawiać w siebie wszelkie głupstwa, jakie ci się podoba, ale do kościoła musisz pójść, jak każdy porządny obywatel kraju”. Czy tak?

—Coś w tym rodzaju — odrzekła Maud ze śmiechem. — Mała przełękła się trochę jego tonu, ale odmówiła wręcz. Wyglądała, jakby chciała uciec. Wreszcie Jack zabrał ją do stajen i powiedział, że do kościoła pójdziemy wieczorem. Byli znów w najlepszej komitywie, kiedy ich później widziałam, ale jej oczy miały ślady łez. Chciałabym jej pomóc, ale nie mogę się dostatecznie zbliżyć do niej. Jack rozumie ją najlepiej.

—Ciekawa rzecz, czy ona ustąpi — mruknął Saltash.

Zbliżyli się do zagród końskich i usłyszeli tętent szybkiego ga-

lopu.

—Nie wątpię, że Jack postawi na swoim — rzekła Maud.

—Pamiętaj, że Toby nie jest chłopcem, którego biciem można doprowadzić do posłuszeństwa.

—Och, Jack nigdy nie uderzył Benny'ego, a jednak dał sobie z nim radę.

Gdy stanęli przed furtką pastwiska, minęło ich nagle dwoje jeźdźców w pełnym galopie. Jeden z nich, Benny, leżał na szyi konia i krzykiem zachęcał go do biegu. Drugi, drobna, dziecinna postać, klęczał na siodle skulony i nagle zerwał się na równe nogi z rozpostartymi ramionami, balansując na pędzącym koniu. Wtem na zakręcie opuścił się lekko i swobodnie na siodło i znikł za wzgórzem, w ślad za wierzchowcem Bernarda.

—Ładne przedstawienie — zauważył Saltash. — A gdzie Jack?

Jack zjawił się po chwili, jadąc spokojnie na swej ulubionej kłaczce, zwanej Ostatnią Szansą. Przystanął obok nich, nie wdając się w rozmowę, tylko spoglądając w stronę, w której znikli jeźdźcy. Wrócili oboje po chwili, jadąc stępą. Toby zarumieniona od pędu, ubrana w spodnie, wyglądała zupełnie jak chłopiec.

Na widok Saltasha stojącego u wrót wydała dziwny okrzyk, w którym była radość i jakby tłumione łkanie. Zeskoczyła z siodła, a po chwili wisiała już u jego ramienia w niemej radości powitania, zapomniawszy o wszystkich dokoła. W tej radości było coś wzruszającego, jak w uciesze małego pieska na widok dawno nie widzianego pana.

Twarde rysy Saltasha złagodniały w jakimś cudownym wzruszeniu. — I cóż, Nonette? — spytał. — Nonette!

Stłumiła nowy szloch. Twarzyczka jej pałała, mieniła się; w oczach jej malowało się uwielbienie. Nie była to już twarz chłopięca. — Myślałam, że pan zapomniał — szepnęła.

—Co takiego? — zdziwił się Saltash. — Spodziewałaś się mnie wcześniej? Ach, teraz rozumiem, dlaczego nie chciałaś pójść do kościoła.

Toby podniosła na niego swe wielkie oczy, uśmiechając się bohatercko przez łzy. — Może dlatego... po części. Ale nigdy nie bywam w kościele. A pan?

—Niecześnie — rzekł Saltash. — Może bywałbym, gdybym tu mieszkał stale. Ucieszysz się na pewno, że twój tatuś ma się lepiej. Na okres rekonwalescencji zamieszka w zamku. A wtedy urządzimy przyjęcie na twoją cześć.

—Na moją! — wyszeptała Toby z szeroko otwartymi, przerażonymi oczyma. — Och, pan tego nie robi — dodała.

Roześmiał się przekornie. — *Mais pourquoi pas, mignonne?* Jesteś już dość duża. Maud będzie czyniła honory domu, nieprawdaż Maud? Jacka zabierzemy również, jako strażnika, jeśli chcesz. A potem będziesz musiała przedstawić się u dworu, kiedy nauczysz się składać piękne ukłony, zamiast wywracać kozły. Musisz zapuścić włosy, Nonette. Powinnaś stać się moją chlubą.

—O psia... noga — zaklęła Toby zgnębiona.

—To dobrze, że tak zakończyłaś — rzekł Saltash. — Jeśli będziesz nosiła spodnie, Jack gotów ci sprawić lanie za tego rodzaju lapsusy.

—Nie boję się Jacka — rzekła Toby, rzucając okiem na pana domu.

Jack zapalał właśnie fajkę. Trzymał uzdę konia Toby i własnego. — Nie przejeździsz się jeszcze? — spytał.

Toby potrząsnęła głową. — Nie chcesz? — zawołał Benny. — Nie bądź nudna, Toby. Jeszcze raz galopa.

Ale Toby, uczepiona rękawa Saltasha, ani chciała spojrzeć na niego. — Nie pojedę — rzuciła szorstko.

Benny zarumienił się nagle. — Och, jak chcesz — rzekł i zawróciwszy konia, odjechał.

—Zraniłaś jego delikatne uczucia — zauważył Saltash ze śmiechem.

—Nic nie szkodzi — rzekła Toby, przytulając się do niego mocniej.

Ogarnął ją ramieniem. — Wiesz, Nonette — zaczął. — Widzę, że cię tu rozpieszczają. Czy mam ją zabrać? — spytał, zwracając się do Jacka. — Chociaż lepiej byłoby, żeby Jack się do ciebie zabrał ostrzej. Nie żałuj trzciny, Jacku. Przydałaby się jej bardzo.

—Nie próbowałem tego dotychczas — rzekł Jack, dosiadając konia.

Toby pogoniła za nim żalosnym wzrokiem, gdy odjeżdżał prowadząc jej konia. — On wie, że staram się być grzeczna — powiedziała.

—O tak, Toby się stara — przyznała Maud. — Będziemy z niej wkrótce dumni oboje z Jackiem.

—Tylko nie stań się za dobra, Nonette. Nie potrafię wznieść się do takich wyżyn.

Podniosła na niego oczy pełne uwielbienia. — Pan! — zdziwiła się. — Pan?

—Co chcesz ode mnie? — spytał.

Zarumieniła się mocno. — Nic..., proszę pana. Ale pan jest taki nadzwyczajny.

Skubnął ją za ucho, wykrzywając się brzydko. — Czy jest to uprzejmy sposób powiedzenia, że jestem najgorszym łotrem pod słońcem?

—Och, nie, nie! — zawołała Toby żywo i z przejęciem. — Jak pan może! Pan jest... królem. Jeśli kto mógłby wzbudzić we mnie wiarę w Boga... to pan!

Mówiła z uniesieniem. Twarz Saltasha zastygła. Wyglądał jak człowiek ugodzony nagłym ciosem. I wnet z błyskawiczną szybkością wzrok jego padł na Maud. — Słyszałaś? — spytał wyzywająco. — Czemu się nie śmiejesz?

Wytrzymała spokojnie jego wzrok. W jej oczach malowała się litość. — Bo myślę, że to prawda — rzekła z wielką słodyczą.

Czekała na jego drwiący śmiech, ale odpowiedziało jej tylko milczenie. Spojrzenie jego dziwnych oczu minęło ją i padło na postać Toby, ogarniając ją całą z wyrazem drwiącej tkliwości.

—Zawsze mówiłem, że głuptasek z ciebie, nieprawdaż, Toby? — powiedział.

Toby pochyliła się ku niemu i nagle ucałowała jego rękę.



## X. POSTANOWIENIE

Tej niedzieli, po wyjeździe Saltasha, który zabrał z sobą Bernarda na zamek, Toby poszła do kościoła z Jackiem i Maud.

Zachowywała się wzorowo podczas nabożeństwa, ale w drodze powrotnej prosiła Jacka o papierosa.

—To mi pomoże być grzeczną przez dłuższy czas — powiedziała.

A Jack, który sam zatęsknił za papierosem, nie miał serca odmówić. — Tylko nie pal za dużo — rzekł. — Benny ma do tego skłonność.

—Och, jestem o wiele rozsądniejsza od niego — rzekła Toby z wyniosłą pewnością siebie.

Wypaliła papierosa z uznaniem, choć tytoń Jacka nie był dostosowany do damskich gustów, i wrócili w zgodzie do domu. Maud, która w kościele przyglądała się małej z pewnym niepokojem, przekonała się, że Toby czuje się jak najlepiej. Młoda „ateistka” przyznała, że nabożeństwo wcale nie jest tak nudne, jak sobie wyobrażała, że nie było o co robić piekła i że na przyszłość pójdzie za każdym razem, kiedy Jack zechce.

Nawet spytała później, czy są jeszcze inne obowiązki, które jej każą wypełnić. Ale gdy Maud, wróciwszy, zasiadła do fortepianu, mała została w salonie, słuchając gry w głębokim, milczącym zasluchaniu. Maud nie była taką wirtuozką jak Saltash, ale miała dar wypowiedzania w muzyce całej swej duszy.

Długo tak grała, aż wreszcie zauważyła milczącą figurkę, wtuloną w róg sofy.

—Toby, przepraszam cię! — zawołała. — Musiałaś się strasznie nudzić. Czy śpisz? Dziecko, co tobie?

Zobaczyła, że głowa Toby jest pochylona i ramiona zgięte, jakby w przystępie ostatecznej rozpacz. Na głos Maud podniosła twarzyczkę bladą, ściągniętą od męki. — Jestem tylko trochę zmęczona

— powiedziała głosem, który drżał mimo wysiłków. — Niech pani gra jeszcze, proszę bardzo.

Maud podeszła do niej, ale Toby zerwała się szybko na równe nogi. W jej oczach malowało się owo znamienne przerażenie małego, zgonionego zwierzątka.

Ujęła jej dłoń łagodnie. — Usiądźmy trochę i porozmawiajmy — rzekła.

Toby usłuchała lękliwie. W swej białej bluzeczce i granatowej spódniczce wyglądała na małą zalękłą dziewczynkę. Macierzyńskie serce Maud porwało się ku niej. Przytuliła ją do siebie, ale sama nie wiedziała, jak zacząć rozmowę, żeby jej nie zrazić. Zauważywszy, że Toby drży z lekka, Maud ogarnęła ją ramieniem.

—Wiesz — zaczęła — nieraz się zastanawiam, co robić z tobą, żebyś się czuła szczęśliwa.

Toby stłumiła szloch. — Pani jest bardzo dobra... a ja jestem... okropnie głupia. Będę się starała być szczęśliwa... naprawdę.

Maud łagodnie przygarnęła ją bliżej, ale Toby szybkim ruchem wyśliznęła się jej i zsunęła się przed nią na kolana.

—Nie jestem godna mówić z panią — zaczęła namiętnie zdławionym szeptem. — Jestem tak zła, tak okropnie zła! A tak bardzo chcę... być dobra.

—Drogie, drogie dziecko! — powiedziała Maud tkliwie.

Toby opłótła jej kolana chudymi ramionami. — Przepraszam... przepraszam... —jąkała. — Niech się pani mną nie przejmuję i niech pani nic nie mówi Jackowi.

—Nie bój się — uspokoiła ją Maud. — Powiedz, czy ci nie mogę w niczym pomóc?

Wiedziała, że Toby nie będzie się czuła skłonna do zwierzeń i nie śmiała ich od niej żądać. Toby podniosła oczy na nią. Usta jej drżały. — Pani jest tak dobra — mówiła. — Chciałabym być taka jak pani, ale zdaje mi się, że nigdy nie potrafię.

Maud położyła dłoń na jej czole. — Nie myślę wcale, żebym była tak specjalnie dobra. Tak ci się tylko zdaje, może dlatego, że moje życie nie zawiera żadnych pokus do zła.

Toby westchnęła. — A myśli pani, że ludzie powinni cierpieć za to... za to, co nie jest ich winą?

Maud potrząsnęła głową. — Zdaje mi się, że często tak bywa, dziecko drogie...

—A jednak pani wierzy w Boga! — zawołała Toby.

—Tak, wierzę — odrzekła Maud z cichą czcią. — I jestem pewna, Toby, zupełnie pewna, że On nie potępia nikogo za to, co się stało wbrew woli człowieka.

—Więc dlaczego...? — zaczęła Toby.

—Nie, nie! — przerwała jej Maud. — Nie pytaj, dlaczego. Świat jest taki, jakim On go uczynił. Jesteśmy gliną w Jego ręku. On czyni z nami, co zechce.

Ręce Toby zacisnęły się, a na jej czole zarysowała się niedzięczyna zmarszczka. — Więc... jesteśmy tylko... niewolnikami?

—Nie — odrzekła Maud — sługami, ale nie niewolnikami, a to wielka różnica. I każdy z nas ma pracę Bożą do spełnienia na tym świecie.

—I pani myśli, że ludzie źli, jak ja, mogą czegoś dokonać?

Maud uśmiechnęła się czule: — Toby droga, myślę że twoje zadanie czeka na ciebie.

—Nie wiem, kiedy je rozpocznę — szepnęła Toby z westchnieniem.

—Już je rozpoczęłaś, dziecko drogie — odrzekła Maud, gładząc jej jasne włosy. — Czy myślisz, że nie widzę, jak się starasz?

—Ale czy pani myśli naprawdę, naprawdę... że przeszłość nie ma znaczenia?

Maud milczała przez chwilę. Pomyślała o Saltashu, o jego niedbałym tonie, jakby był właścicielem tego stworzenia. Czym było to coś w przeszłości tej małej, o czym tak chciała zapomnieć? Lekki dreszcz przebiegł wątłą postać klęczącą u jej stóp. Maud odegnała wszelkie złe myśli.

—Myślę, że wszystko jest w naszym ręku, dziecko — rzekła. — Myślę, że przeszłość zawsze można zostawić poza sobą, jeśli pracujemy usilnie.

Toby ujęła obie dłonie Maud i ucałowała je żarliwie. — Dziękuję pani — szepnęła. — Będę bardzo pracowała. I pani mi pomoże. Oduczę się przewracać kozły... a nauczę się... kłaniać pięknie...

Uśmiechnęła się do Maud, a Maud odpowiedziała jej uśmiechem. Było coś dziwnie ujmującego w tym dziecku.

— Naturalnie że ci pomogę, kochanie — rzekła. — Zawsze pomogę.

TLR

## XI. MOTYL

Różany zachód czerwonego słońca rzucał skośne promienie przez drzewa parku burchesterskiego, tak że każdy z potężnych pni płonął ni-by ognista kolumna. W przeciwległym krańcu alei wąski sierp księżycyca wznosił się na niebie jak lekka srebrna łódź płynąca po przejrzystym, turkusowym morzu. Wielka cisza zaległa nad światem, cisza letniego wieczoru.

Głuchy tętent końskich kopyt prawie nie mącił tej ciszy. Jeździec z drwiącym uśmiechem uchylił kapelusza na powitanie młodego miesiączka i zwolnił biegu konia. Przystanął na zboczu, skąd roztaczał się widok na stary zamek, potężny w swych warownych blankach, gorejący w blaskach wieczoru tysięcznymi szybami swych okien. Nagle jeździec zaciął konia i puścił się galopem.

Był już blisko zamku, gdy ktoś go zawołał. Ściągnął cugle i gwałtownie osadził konia na miejscu. Chudy, długonogi młodzieniec biegł w jego stronę.

—Hej, tam, Charlie! — wołał. — Co ci tak pilno? Idę w tę samą stronę.

Saltash przystanął ze zniecierpliwieniem. — Widzę, że jesteś już ubrany, ja zaś nie — zauważył. Spóźnię się i moi goście będą czekali.

—Cóż to szkodzi? — spytał Benny. — Maud i Jack się nie liczą, a Toby jest dzieckiem. Pewno to jej pierwszy proszony obiad.

—Czas, żeby zaczęła bywać w towarzystwie — rzucił Saltash.

—Zmieniła się wiele na korzyść — zauważył Benny. — Pewno to spostrzeżesz, bo dość dawno jej nie widziałeś.

—Pod jakim względem się zmieniła? — spytał Saltash.

—Trudno określić — zauważył Benny obojętnie. — Ja się na tym nie znam, ale stała się prawie przystojna.

—Jak ci się podoba twoje zajęcie? — spytał Saltash, zmieniając nagle temat rozmowy.

—Bardzo! — zawołał Benny z zapalem. — Jestem stworzony do takiej pracy. Z Bishopem polubiliśmy się ogromnie. Żałuję, że sam nie mam majątku.

—Zaadoptuję cię — rzekł Saltash ze śmiechem. — Będiesz podporą mojej starości.

—Och, nie pleć! — oburzył się Benny. — Dlaczego, u licha, nie ożeniłeś się do tej pory?

Saltash ściągnął brwi w ironicznym uśmiechu. — Za późno już, synu. Gdybym się był przed laty ożenił z twoją siostrą, byłoby co innego.

—Wstyd dać tak wygasnąć dobremu nazwisku — mruknął Ben. — A co do tego, że jakoby kochasz się w Maud do tej pory, nie uwierzę. Całe mnóstwo innych było od tego czasu.

—Gwiazd jest wiele, a księżyc jeden — rzekł Saltash zagadkowo.

—Brednie — mruknął Benny wzgardliwie.

—Może masz słuszość! — roześmiał się Saltash. — Tymczasem żegnaj! Jadę naprzód. Rób za mnie na razie honory domu.

Benny spoglądał za odjeżdżającym i wzruszył ramionami. — Cudak — mruknął sam do siebie.

Wszedł po chwili do jasno oświetlonego hallu zamkowego i rozglądał się dokoła ze szczerym zadowoleniem. Znał dobrze zamek, ale zawsze doznawał miłego wrażenia, gdy tu wchodził. W tych komnatach była iście królewska wspaniałość. Hall zdobiły piękne i cenne rzeźby z brązu i marmuru, na których jego wzrok spoczął z zadowoleniem.

Wszedł po olbrzymich, szerokich schodach dębowych do salonu, wspaniałej, ogromnej komnaty wybitej starym niebieskim brokatem i umeblowanej wspaniałym starofrancuskim garniturem złożonych mebli krytych błękitnym aksamitem. Zastał już kogoś w salonie, wysokiego mężczyznę o krótko przystrzyżonej blond brodzie. Szedł ku niemu szerokim, trochę chwiejnym krokiem marynarza.

—Sir Bernard Brian? — spytał. Benny wyciągnął do niego rękę. — Kapitan Larpent, oczywiście — rzekł. — Cieszę się, że pana widzę. Tyle o panu słyszałem. Straszne chwile musiał pan przeżyć podczas katastrofy biednej „Ćmy”.

—Lepiej nie wspominać — mruknął Larpent.

—Dobrze przynajmniej, że się tak skończyło i żeście państwo uszli z życiem.

—Uważa pan, że dobrze? — spytał kapitan.

—Panna Toby, w każdym razie jest tego zdania.

—Statek nie jest miejscem dla dziewcząt — zauważył cierpko kapitan.

—Panna Toby czuje się najlepiej na koniu — zaśmiał się Benny.

—Jak długo to dziecko przebywa u państwa Bolton? — spytał nagie kapitan.

—Zaraz... — zastanowił się Benny. — Prawie od samej chwili katastrofy. Już ze sześć tygodni co najmniej. Tak, przyjechała właśnie w dzień wielkich wyścigów w Graydown. — Oczy Bernarda zajaśniały na to wspomnienie. — Graliśmy razem, pamiętam, i zgraliśmy się do nitki. — Roześmiał się wesoło. — Wstyd się do tego przyznać, nieprawdaż? Niech pan nas nie zdradzi! Nie powtórzyło się to już nigdy potem.

—Nie zdradzam nigdy nikogo — rzekł Larpent chmurnie.

—Och, jestem pewny, że na pana można liczyć — oświadczył Benny z zapalem.

Uznanie, malujące się w oczach chłopca, wywołało iskierkę dobrotliwej ironii w chmurnych oczach kapitana, ale nic nie powiedział.

Zapadło milczenie, i Benny zaczął się przechadzać po salonie, przypatrując się cennym obrazom, które zawsze z przyjemnością oglądał.

—Ładnie tu — zauważył po chwili. — Szkoda, że Saltash tak rzadko tu bywa. Ciekaw jestem, czemu się nie ożeni!

Larpent wzruszył ramionami. — Skąd ja mogę wiedzieć? — mruknął.

—Wstyd, słowo daję, żeby w tak wspaniałej siedzibie rodowej przez cały rok nikt, prócz służby, nie przebywał.

—Nieprawdaż? — spytał drwiący głos w progu. — Miejsca dość, choćby na pięćdziesiąt żon, co, Benny? Powiedziałem ci już raz, że cię zaadoptuję. Tak gorliwie polecasz innym żeniączkę, spróbuj sam.

Z tymi słowy Saltash przeszedł przez salę niedbałym krokiem. — Podoba mi się ta wasza dyskusja — rzekł. — Ty, Benny, który nigdy nie znałeś choroby zwanej miłością, i Larpent, który nigdy się z niej nie wyleczył.

Staął w progu drzwi wejściowych i uśmiech rozjaśnił jego rysy. — Witaj, piękna pani — rzekł — witaj w moich skromnych progach.

Odpowiedział mu z dołu wesoły, jasny śmiech. Na to Larpent i Benny obrócili się nagle. W progu stanęła postać dziewczęca w bieli, wiotka, świeża jak poranek. Na delikatnej twarzyczce widniał lekki rumieniec polnej róży, złote włosy zwijały się dokoła skroni w leciuchne



kędziorki. Oczy, szafirowe, jaśniejące, miały wyraz niewinny, wyraz dziecka, zbudzonego przed chwilą ze słodkiego snu, dziecka, które czeka, że je wezmą na ręce i ucałują.

—Na Jowisza! — mruknął Benny, otwierając oczy szeroko. Zabrakło mu słów ze zdumienia. Ta śmieszna mała Toby, o ostrych rysach i spiczastej brodzie, ta łobuz-dziewczynka, z którą się bawił i przekomarzał, była istną pięknoscią. Nie mógł ochłonąć z podziwu, że dotychczas tego nie zauważył.

Gdy podchodził bliżej, by ją powitać, spostrzegł, że i Larpent patrzy na nią ze zdumieniem, i zachichotał po cichu. Ten dopiero musiał się zdziwić, że ze śmiesznej poczwarki wyłonił się taki cudny motyl.

Maud była oczywiście tą czarodziejką, która wywołała tak zdumiewającą przemianę, Maud ze swą tkliwą macierzyńską miłością, która tak wiele umiała odgadnąć. Benny spojrział na nią teraz i zastanawiał się w duchu, czy ona sama zdaje sobie sprawę, czego dokonała.

Usłyszał drwiący, giętki i pieścizotliwy głos Saltasha.

— *Mais, Nonette, Nonette*, jesteś istnym zjawiskiem.

Uklucie piekące i bolesne przeszło Bernarda. Jak śmiał Charlie używać do niej tego tonu, jakby była zwykłą kobietą, z której można sobie czynić igraszkę? W tej chwili prawie nienawidził Saltasha, którego zazwyczaj tak podziwiał. Za młoda była, za czysta, zanadto... inna, by ją tak wolno było traktować.

Saltash pchnął go naprzód ku niej. — Znasz tego chłopca, *ma chère*? — spytał.

Niebieskie oczy uśmiechnęły się do niego przyjacielsko.

—Benny! Jak się cieszę, że pana widzę w tym zamku czarownika.

Wyciągnęła do niego rękę, a Benny uściśnął ją mocno. Poczul, że dłoń jej drży, domyślił się, że Toby czuje się onieśmielona.

Zatrzymał jej rękę przez chwilę, jakby dla dodania otuchy, ale zaraz Saltash odwołał Toby. — Chodź — powiedział — oto jeszcze ktoś, kogo znasz.

Obrócił ją w bok z tymi słowy. Zapadła chwila martwego milczenia. — Halo, kapitanie! — powitała Toby Larpenta trochę drżącym głosem.

—Halo! — rzekł Larpent i przystanął w milczeniu. Po czym pochylił się, ujął ją pod brodę i złożył na jej czole lekki pocałunek. — Wszystko

w porządku? — spytał szorstko.

Toby otworzyła usta, dysząc. Drżała na całym ciele. Ale po chwili roześmiała się lekko. — Wszystko w porządku, kapitanie — odrzekła. — Cieszę się, że cię widzę. Jak się czujesz?

Benny, spoglądając na nich, uczynił odkrycie, że i Larpent czuje się zmieszany. Saltash odpowiedział za niego z wrodzoną sobie swobodą. — Naturalnie, że kapitan czuje się doskonale! Kupimy nowy jacht, jak tylko towarzystwo asekuracyjne się uspokoi. Maud, oto kapitan Larpent, najlepszy żeglarz pod słońcem i mój wielki przyjaciel.

Kapitan skłonił się nisko przed Maud, a Saltash zwrócił się do Jacka. — I oto ktoś, kto na równi z panem, kapitanie, krytykuje mnie surowo i na równi z panem toleruje mnie, choć nie wiem dlaczego.

Piwnie oczy Jacka rozjaśniły się żartobliwym uśmiechem. — Może, milordzie, obaj od pierwszego wejrzenia przeczuwamy dobrego konia — rzekł.

— I może obaj stracicie, stawiając na mnie — zauważył Saltash.

— Nie myślę — odparł Jack. — Widywałem niejednego gorszego startera, który jednak doszedł pierwszy do mety.

Saltash roześmiał się na głos, a Toby, z wypiekami na twarzy, podniosła na swego bohatera pałające zachwytem oczy.

Saltash obrzucił ją błyskawicznym spojrzeniem, przeniósł je na Bernarda, który stał za nią, i zamilkł na chwilę.

—Jeśli dojdę do mety — rzekł, zwracając się do Jacka — to będzie pana zasługa.

I rzecz dziwna, Benny poczuł, że w tej chwili zamarł jego krótki żal do lorda.

TLR

## XII. ZAMEK CZAROWNIKA

—Chodźmy do ogrodu! — namawiał Benny.

Było po obiedzie. Maud i Saltash stali przy fortepianie w drugim końcu salonu. Jack i Larpent palili cygara opodał, a Toby siedziała na fotelu z opuszczoną głową i rękoma splecionymi na kolanach. Benny jeden przechadzał się niespokojnie po salonie.

Spojrzała na niego, gdy przechodził obok, a w jej oczach zapalił się figlarny błysk.

—Chciałaby pani? — spytał.

—Z przyjemnością, ale niech pan prowadzi, bo nie znam drogi — odrzekła.

Tego nie trzeba mu było powtarzać dwa razy. Podszedł ku drzwiom i otworzył je przed nią szeroko. Toby wstała i dostojnie wyszła z pokoju.

Gdy jednak znaleźli się na schodach, obróciła się ku niemu, śmiejąc się przekornie. — Och, teraz się zabawimy! — zawołała. — Byłam tak grzeczna przez cały wieczór, aż mi zbrzydło. Dokąd pójdziemy?

—Do ogrodu — rzekł Benny. — Albo nie! Na mury! Tam jest bajecznie!

—Doskonale! — zawołała Toby. — Którędy się idzie?

—Przez salę muzyczną. — Benny otworzył ciężkie dębowe drzwi. — Oto prywatne sanktuarium Charliego — rzekł. — Jest tu tajemne przejście do jakiejś jego osobistej kryjówki, ale nikt nie wie, gdzie ono... — Wprowadził ją do obszernej, prawie pustej komnaty o wąskich oknach z wykuszami.

Podłogę wyścielały puszyste dywany perskie, przepiękne w rysunku i kolorach. W cieniu migotał wielki fortepian. Przy ścianach stały niskie sofy, zarzucone różnobarwnymi poduszkami, co nadawało pokojowi charakter wschodni.

—Coś niby harem — zauważył Benny. — Jest w tym koloryt z Tysiąca i Jednej Nocy. Co to, pani drzy? Chyba pani nie zimno?

—Nie — odrzekła Toby — ale nie podoba mi się tu. Jakoś tu straszno. Chodźmy.

—Co pani widzi w tym straszego? Mnie tu się zawsze podobało.

Toby uczyniła gwałtowny ruch sprzeciwu. — Widać lubi pan okropności. Przecież tu nie ma powietrza... tylko... jakieś pachnidła...

—Nic tak znowu mocnego — rzekł Benny, pociągając nosem — w każdym razie za mało, żeby miało się komu słabo zrobić. Dość miły zapach, nie?

Nagle tupnęła nogą. — Obrzydliwy! Wstrętny! Jak pan może mieć w tym upodobanie? To przecież... zatrute... jadowite powietrze.

Benny otworzył szeroko oczy. — W guście Charliego w każdym razie — rzekł. — To jedyny zakątek w zamku urządony według jego osobistych upodobań. Co tu panią tak razi?

—Wszystko, wszystko! — zawołała Toby z uniesieniem. — Nie chcę tu pozostawać ani chwili dłużej. Chodźmy!

Benny usłuchał i otworzył przed nią drzwi zasłonięte szkarłatną kurtarą.

—Tędy przejdziemy na mury. Ale niech pani poczeka, aż zapalę światło.

—Nie, nie, idźmy po omacku! — zawołała Toby. — Tak będzie zabawniej.

Pochwycił ją w ciemnościach za rękę. — A teraz którądy? — spytała.

—Tymi schodami aż na samą górę. Jest sześćset stopni — rzekł Benny.

—A wie pani, że tu straszy? — spytał po chwili. — Pewna piękna dama była uwięziona w tej wieży i dano jej do wyboru albo śmierć przez rzućcie się w otchłań z tych murów, albo małżeństwo z tyranem, zresztą przodkiem naszego lorda.

Wybrała to ostatnie, ale wkrótce umarła z rozpacz. Od tego czasu jej biedna duszyczka wędruje po tych schodach.

—Głupia! — rzekła Toby szorstko.

—Kto i dlaczego? — spytał Benny.

—Ta kobieta. Lepiej było rzucić się z wieży, a jeśli nie, to urządzić takie piekło temu rabusiowi, żeby pożałował!

Benny roześmiał się głośno, aż zadźwięczało echo.

—Pani tak by zrobiła? — spytał.

—Albo jedno, albo drugie — odrzekła z zawziętością w głosie. — Jeśli kobieta nie ma dość odwagi, żeby się bronić, niech lepiej nie żyje.

—Zgadzam się — rzekł Benny — ale skąd pani wie o takich rzeczach?

—Och, wiem bardzo wiele — rzekła Toby, a jej głos miał dziwnie smutne i przytłumione brzmienie.

—Wiele jest rzeczy, o których pani nie ma pojęcia — zauważył Benny. — Dziecko z pani jeszcze.

—Myśli pan? — spytała Toby, biegnąc przed nim. Światło z wąskiego okienka w murze padło na nią i Benny przypomniał sobie piękność zjawiska, które w takie zdumienie wprawilo go tego wieczora.

—Nie wiem — rzekł. — Pani ostatnio się zmieniła. Co, u licha, Maud zrobiła z panią? Nie poznałbym dziś pani.

Toby roześmiała się lekko. — Oduczyłam się skakać przez krzaki, nauczyłam się dobrych manier. To nawet dość zabawna nauka. Maud jest strasznie dobra dla mnie i kocham Jacka, a pan nie?

—Zacny chłop, zawsze mówiłem — rzekł Benny. — Ale niech się pani tylko nie stanie zanadto dystygowana. To nie pasowałoby do pani.

Znów roześmiała się wesoło. — Och, to mi chyba nie grozi! — i zawołała.

—Nie wiem — rzekł Benny. — W każdym razie dziś w salonie wyglądała pani na śmiertelnie przerażoną. Boi się pani swego tatusia?

—Trochę — rzekła Toby. — Widzi pan, mało go znam i nie zdaje mi się, żeby mnie lubił.

—Każdy musi panią lubić — rzekł Benny z przekonaniem.

—Niech pan nie plecie głupstw! — zawołała.

Benny nie odpowiedział. Brakło mu tchu, gdy chciał nadażyć za nią. Schody wydawały mu się nieskończone, a ta przekorna istota uciekała przed nim, wyzywając go do coraz szybszego biegu. Krew zaczęła mu gwałtownie tętnić w skroniach. Pościg był szalony. Toby mknęła jak wicher przed nim, a Bernard starał się za nią nadażyć, potykając się niekiedy o nierówne stopnie. Serce mu biło coraz gwałtowniej. Raz już miał wrażenie, iż ją chwyta, ale potknął się, a ona pomknęła szybciej naprzód. Zapłaci mu za to! Już on jej pokaże, co to znaczy kpić sobie z

niego w ten sposób.

Nieoczekiwanie potknął się o ciężkie, okute drzwi. Pchnął je, ale nie ustąpiły. Pomyślał, że Toby zaryglowała je może. Pchnął mocniej i nagle drzwi się uchylły. Znalazł się w świetle gwiazd, na warownych murach zamku.

Uderzyła go widmowa pustka dokoła. Wtem usłyszał za sobą zatraskujące się ciężkie podwoje i przeniknął go dreszcz. Było coś złowróżbnego w tym dźwięku wśród przedziwnej nocnej ciszy. Podszedł do parapetu. Mury były grube, ale u blanków sięgały mu zaledwie do kolan, a dołem rozciągała się czarna, straszliwa przepaść. Kędyś poniżej majaczył szary kamienny taras, w oddali czerniała zwarta masa starego, cienistego parku.

Serce jego biło rozpaczliwie. Ona z pewnością jest gdzieś blisko, z pewnością. Ale nie miał już energii ani jej wołać, ani szukać. Oparł się o parapet i skupił siły, po czym zaczął się posuwać naprzód. Znalazł się w kamiennym wąskim przejściu, otoczonym z obu stron blankami.

—Toby! — zawołał. — Dość już tej zabawy! Wracamy.

Nie było odpowiedzi, a jednak Benny był przeświadczony, że go słyszała. Ogarnął go gniew. Wiedział, że mury warowne odgranicza od wschodniej części zamku wysoka ściana i że dalej tędy przejść nie można.

Przyśpieszył kroku i nagle przystanął, bo usłyszał za sobą cichy, drwiący śmiech. Płynął od strony wieży, z której dostali się na mury.

Zawrócił. Mimo że wzrok już przywykł do ciemności, nic nie zobaczył. Niespodziewanie daleko za nim, od strony północnej zamku, znów doleciał go śmiech.

Obrócił się z wściekłością. To stworzenie widać miało skrzydła, jak Merkury, ale on musi ją złapać za wszelką cenę. Kipiał gniewem. Biegał po murach tam i z powrotem na próżno, aż znów znalazł się przy wieży wejściowej. Wznosił się tu wielki bastion kamienny i raptem z jego cienia sfrunęła lekka postać w bieli i otworzyła przed nim ciężkie dębowe podwoje.

Było to uczynione z uroczym zuchwalstwem, i każdy inny starszy mężczyzna byłby przyjął porażkę ze śmiechem. Ale Benny był młody, impulsywny i jeszcze kipiał od oburzenia. Drwiła z niego, upokorzyła go, a on tego nie może darować.



Przystanął na chwilę i nagle pochwycił ją w ramiona.

### XIII. KONIEC GRY

Krzyknęła gwałtownie, gdy ją schwycił, i jęła walczyć, niby dzikie zwierzątko, aby mu się wyrwać. Benny jednak trzymał ją mocno. Trzymał ją, jak rozgniewany, żądny zemsty chłopiec trzymałby opornego towarzysza, gdy nagle wśród jej rozpaczliwego oporu wzbudziło się w nim nowe uczucie i ogarnęło go niby pożar. Zdał sobie sprawę w tym momencie, że po raz pierwszy w życiu trzyma w ramionach kobietę.

Jak oślepiająca błyskawica ogarnęła go ta świadomość. Zakręciło mu się w głowie. Palącymi pocałunkami począł okrywać jej twarz, oczy i usta.

Walczyła z nim. Biła go rękoma z całych sił, rzucała się jak ryba w matni, starając się znaleźć grunt pod nogami.

—Niegodziwa — wyszeptał Benny z ustami przy jej szyi. — Myślisz, że cię teraz puszczę?

Żar namiętności w jego głosie sprawił, że znieruchomiała. Zesztywniała

w jego objęciach. — Proszę mnie puścić — syknęła przez zaciśnięte zęby.

—Ani mi się śni — powiedział Benny. — Ty dziki motylku — mówił, całując jej białą, wygiętą szyję. — Złapałem cię i już mi się nie wymkniesz.

—Dość już! — zawołała Toby. — Będzie pan podły, jeśli mnie pan nie zostawi w tej chwili.

Słowa te podziały na niego otrzeźwiająco. Postawił ją na ziemi, ale nie wypuścił ze swych objęć.

—Nie skończyłem z tobą — powiedział z zaciętością.

—Och, wiem — rzekła Toby. — Tak mówią mężczyźni. Żaden z nich nie umie prowadzić uczciwej gry.

To go ukłuło. — Nie wiem, kto prowadził grę do tej pory — odciął się. — Nie dam z siebie robić głupca.

—Tak, naturalnie, pan jest niewinny — drwiła Toby. — Głupcem pan nie jest, panie Brian, ale jest pan łotrem i tchórzem. Ot, co!

—Ostrożnie! — rzekł Benny, a ciemne jego oczy zabłysły.

— Och, nie boję się pana — rzekła.

—Dobrze! Powiedzmy nawet, że to moja wina — zawołał Benny. — Fakt pozostaje faktem.

—Co pan chce przez to powiedzieć? — zawołała. — Nie rozumiem.

Przycisnął ją mocniej do siebie. — I cóż, myślisz, że cię puszcze teraz? Złapałem cię, dziki motylku, i teraz musisz być moją żoną.

—Żoną? — powtórzyła Toby niedowierzająco.

—Tak! Cóż w tym strasznego? Nie chcesz? — śmiał się, ale w jego głosie była nuta prośby.

Toby milczała przez chwilę. — Pan oszalał — zawołała wreszcie.

—Nic podobnego — odparł Benny. — Mówię najzupełniej serio. Czy nie rozumiesz, że już teraz nie może być między nami, jak było przedtem? I nawet nie chciałabyś, prawda?

Prośba brzmiała w jego głosie. — Nie wiem — rzekła Toby niepewnie.

—Ale nie gniewasz się na mnie, prawda? — mówił Benny miękko.

Zawahała się. — Byłam bardzo zła przed chwilą.

—Ale już teraz nie, prawda? Pomyśl, jakie bajeczne byłoby życie razem! Jesteśmy przecież przyjaciółmi.

—Tak, jesteśmy przyjaciółmi — rzekła Toby, ale wciąż niepewność brzmiała w jej głosie.

—Toby, bądź rozsądna — prosił. — Nie odrzucaj najlepszej rzeczy w życiu przez głupi upór.

—A co jest najlepszą rzeczą w życiu? — spytała Toby.

Przytulił ją nagle do siebie. — Zostań moją żoną, to ci powiem — rzekł Benny. W tym jego dzieciennym zapewnieniu było raczej coś wzniosłego niż śmiesznego. Toby chwyciła powietrze, jakby chciała się roześmiać, i nagle wybuchnęła płaczem.

—Biedactwo moje — szepnął Benny wzruszony.

Wsparła się o jego ramię, a całą jej drobną postacią wstrząsało rozdzierające łkanie. Nigdy jej nie widział płaczącej i ten płacz nappełnił go lękiem. Czuł, że nie może jej pocieszyć, że nie ma nawet prawa pytać o przyczynę jej smutku. Jak jego siostra kiedyś, poczuł, że jest między nimi zaporą, której przebyć niepodobna.

Toby opanowała się wreszcie. Stała przez chwilę bez słowa, z twarzą wciąż skrytą na jego ramieniu, i nagle odrzuciła głowę i wybuchnęła drżącym jeszcze od łez śmiechem.

—Wielki, stary głuptasku! — powiedziała. — Nie wyjdę za ciebie, i już! A teraz puść mnie.

Ten ton wrócił mu dawną swobodę. To była Toby, którą znał.

—Wyjdiesz za mnie — powiedział — i nie puszczę cię. Rozumiesz?

Potrząsnęła głową. — Nie, Benny — rzekła. — Bardzo jesteś pocziwy, że to ci przyszło na myśl, ale nic z tego nie będzie.

—Dlaczego? — spytał Benny.

Zawahała się. — Wolałabym nie mówić — szepnęła.

—Musisz! — nakazał despotycznie.

W półmroku napotkał jej oczy. Toby zadrzała. — Choćby dlatego — rzekła — że jestem o całe lata starsza od ciebie i...

—Brednie! — przerwał Benny.

—I nie jestem ciebie warta — dokończyła Toby, a głos jej drżał.

—Bajdy! — zawołał Benny.

—To wcale nie bajdy — zaprzeczyła, potrząsając głową ze smutkiem.

— Z głupiej zabawy zrobiłeś poważną historię. Nie trzeba było, nie trzeba. Powiadasz, że nie możemy wrócić do tego, co było, a ja powiadam, że musimy. Starajmy się w każdym razie.

—Nie możemy — zaprzeczył Benny. — I nie ma potrzeby. Słuchaj, ty nie chcesz wyjść za kogoś innego, prawda?

—Wcale nie chcę wyjść za męża — rzekła Toby.

Roześmiał się. — Ależ, kochanie, oczywiście że wyjdiesz za męża. I lepiej weź mnie, niżbyś miała czekać na innego. Chyba mnie trochę lubisz?

Znów zabrzmiała prośba w jego głosie. Położyła ręce na jego ramionach. — Nie jestem cię warta — powtórzyła. — Och, zostaw! — zawołał Benny. — Nie chcę nawet słuchać.

—Jesteś... okropnie... niemądry — powiedziała Toby, kryjąc twarz na jego ramieniu.

—Wcale nie! — zaprzeczył. — Jestem bardzo rozsądny. A więc jesteśmy zaręczeni, prawda?

—Nie, nie! zawołała. — Nawet myśleć o tym nie można, przez całe lata.

—Bajki! — zachnął się Benny. — Ani mi się śni bawić w jakieś czekania.

Uniosła głowę. — Benny! — zaczęła. — Chcę ci coś powiedzieć, wysłuchaj mnie! Jack nie zechce, żebyśmy się zaręczyli.

—Co! — zdziwił się Benny. — Co to ma wspólnego z Jackiem?

—Nie mów tak — rzekła Toby. — Jack wie. Jest starszy od ciebie. Lepiej spytaj go wpierw.

—Spytać Jacka? — oburzył się Benny. — Jeszcze czego! Jestem pełnoletni i mogę się żenić z kim chcę.

Toby westchnęła. — Możesz go nie pytać, jeśli nie chcesz, ale jeśli jesteś mądry, pomówisz z nim. On rozumie. Widzisz. Byłam w wielu szkołach... zagranicznych i nauczyłam się wielu rzeczy... dość dziwnych... I dlatego nie chcę wyjść za męża, jak większość młodych panien. Za dużo wiem.

—Ale mnie nie dasz kosza? — spytał Benny.

—Nie wiem. Myślę, że gdybyś potrafił wytrwać w swoim zamiarze... powiedzmy, przez pół roku... może o tym pomyślę. Ale jestem pewna, Benny, że do tego czasu oprzytomniejesz. — Smutek brzmiał w jej głosie. — A jeśli tak, będziesz rad, że nie będzie ci trzeba zrywać ze mną.

—Nie bój się — zawołał Benny. — Mogę nie czekać wcale, bo wiem, że się nie zmienię, ani za pół roku, ani później.

Toby westchnęła. — A jeśli nie warto... czekać na mnie?

—Dlaczego w ogóle czekać? — spytał Benny.

—Z tysięcznych przyczyn — odrzekła. — Po pierwsze, dlatego że nie kochasz się we mnie naprawdę.

—Właśnie że tak — zaprzeczył jej z uporem.

—Nie, tylko ci się tak zdaje. Widzisz, Benny, miłość to nie powój nocny, co rozkwita na jeden wieczór, by potem zwiędnąć. Miłość jest raczej podobna do winorośli. Dużo czasu trzeba, aby dojrzała i doszła do doskonałości. Przez wiele przejść trzeba przedtem.

I znów ogarnęło Bernarda dziwne uczucie obcości. Tak mówić może tylko dojrzała kobieta. To nie było owo dzikie młode stworzonko, które znał. Może jednak przez wrodzoną przekorę tym uporczywiej obstawał przy swoim.

—Możesz sobie tak mówić do rana, nie przekonasz mnie — rzekł. — Ale jeśli już koniecznie chcesz, żeby się tymczasem nikt nie dowiedział, zachowamy to w tajemnicy na jakiś czas. Czy to cię zadowoli?

—Nie będziemy zaręczeni? — spytała Toby.

—Nie, jeśli się zgodzisz pocałować mnie bez tego — rzekł Benny.

—Och, nie mam nic przeciwko temu, żeby cię pocałować — odrzekła — jeśli ten pocałunek nie ma zobowiązywać do niczego.

Zarzuciła mu ramiona na szyję i szloch wstrząsnął jej wątłą postacią. Poczul się wzruszony.

—To tylko na znak, że się kochamy — szepnął tkliwie.

—Może — odpowiedziała również szeptem. — Nie wiem... niewiele wiem... o miłości... Nikt... nigdy... nie kochał mnie naprawdę.

—Ja cię kocham — powiedział.

—Dziękuję ci — odrzekła prawie niedosłyszalnym szeptem.

Trzymał ją przytuloną do siebie. — Przyrzeknij mi, że nie i uciekniesz ode mnie. Przyrzeknij!

Potrząsnęła głową i roześmiała się cicho. Było to niby dalekie echo tego przekornego śmiechu, który do takiego szaleństwa doprowadził go niedawno.

—Nie przyrzeknę — odpowiedziała. — Ale za to pokażę ci, gdzie się schowałam, dobrze?

—Pokaż!

Oswobodziła się z jego objęć i pociągnęła go w stronę kamiennego bastionu, gdzie ją odnalazł.

—Widzisz! — rzekła ze śmiechem. — Znalazłam ten występ.

Występ, o którym mówiła, biegł równolegle pod blankowaniem murów, a po drugiej stronie bastionu opuszczał się ukośnie ku tarasowi.

—Niepodobna żebyś tędy przeszła! — wykrzyknął Benny. —Znów się roześmiała. — To nic trudnego. Trzeba tylko posuwać nogami.

—Co za szaleństwo! — wykrzyknął. — Kto cię nauczył podobnych rzeczy?

—Chciałam ci zrobić na złość — odrzekła ze śmiechem.

—Ależ przysiągłbym, że byłaś tam, przy północnej ścianie! — zawołał.

—Nieładnie przysięgać — odrzekła. — Tak ci się tylko zdawało. Echo niosło mój głos w tamtym kierunku.

—Wielkie nieba! — dyszał Benny.

Roześmiała się znów niefrasobliwie. — No i cóż? Czy nie był ciekawy wieczór? — spytała. — A teraz widowisko skończone. Kurtyna zapadła. Wracajmy.

Pociągnęła go za rękę ku drzwiom wieży. — Przyrzeknij, że nie zrobisz tego już nigdy! — zawołał Benny idąc za nią.

—Nie przyrzeknę niczego — odrzekła lekko.

—Musisz! — upierał się. — Toby, mogłaś się przecież zabić.

W jej śmiechu zabrzmiał nagle drwiący ton. — Och, nie! — zaprzeczyła. — Nie zabiję się nigdy na terytoriach lorda Saltasha.

—Dlaczego tak mówisz? — spytał Benny, zdziwiony jej tonem.

—Dlatego... *que voulez-vous*, że on mnie tu nie chciałby mieć ani żywą, ani umarłą — odrzekła zuchwale.

—To mu się chwali — rzekł Benny.

Śmiech Toby, gdy schodzili po ciemnych schodach, zabrzmiał tak jakoś zaświatowo, że zimny dreszcz przebiegł go mimo woli. Przypomniało mu się, sam nie wiedział czemu, widmo, o którym mówiono, że tu krąży, potępiona dusza, wędrująca samotnie, na wieki samotnie, po mrocznym pustkowiu.

Koniec części II

### CZEŚĆ III



## I. CNOTLIWY BOHATER

—Jak długo ma trwać ta niedorzeczna farsa? — spytał Larpent.

—Nie bawi to pana? — zaśmiał się Saltash, biorąc ze stołu karafkę z whisky. — Nie ocenia pan własnego szczęścia, zacny wilku morski. Gdybym miał taką reputację jak pan... — Urwał, wciąż uśmiechając się zjadliwie. — Zresztą, nie ma co płakać nad wylanym mlekiem, lepiej nalać sobie whisky.

Kapitan przyglądał mu się spod ściągniętych brwi. — Dzięki. Dość już. Chciałbym usłyszeć odpowiedź na moje pytanie, jeśli pan łaskaw. Jak długo jeszcze ma trwać ta komedia?

—Nie wiem, o co się pan trapi — zauważył Saltash. — Panu to nic nie szkodzi chyba. Chętnie zamieniłbym się z panem na rolę.

—To nie ma nic do rzeczy, nieprawdaż? — mruknął Larpent.

—Tak? A o co panu właściwie idzie? — spytał Saltash, napełniając swój kieliszek.

—Po prostu wpakował mnie pan w paskudną sytuację i ciekaw jestem, jak mnie pan z niej wydostanie — rzekł kapitan cierpko.

Saltash zachichotał, rozbawiony. — Drogi panie, wcale pana nie zamierzam wydobywać. Chcę, żeby pan w tej sytuacji pozostał.

Larpent nic nie odpowiedział.

—Właściwie nie widzę, czemu miałbym nad panem ubolewać. Mała wkrótce wyjdzie za mąż i pozbędzie się pan kłopotu.

—Ach, więc do tego pan zmierza, co? — spytał Larpent. — I któż się ma z nią ożenić? Młody Brian?

—Nie pochwała pan tego wyboru? — spytał Saltash.

—Myślę, że z tego nic nie będzie — rzekł Larpent twardo.

—Nie udzieli pan swej zgody?

—A pan? — spytał Larpent, wzruszając ramionami.

—Otrzymają całkowite moje błogosławieństwo — rzekł Saltash.

Larpent nalał sobie whisky i wychylił kieliszek. — A jednak myślę, że z tego nic nie będzie — powiedział z rozmysłem.

—Pan zawsze był niedowiarkiem. Moim zdaniem, są stworzeni dla siebie.

—Pan chce do tego dopomóc? — spytał Larpent. — Chce pan zagrać



rolę Opatrzności w stosunku do tej małej? To bardzo niebezpieczna rola. Gotów pan pożałować tego później.

—Myśli pan? — spytał Saltash drwiąco.

—Kto wie, może już pan żałuje... — mruknął Larpent.

Saltash uniósł brwi pytająco. — Skąd u pana taka skłonność do analizy? — spytał. — O co panu idzie?

—Tylko o to — rzekł Larpent wzruszając ramionami — że popełnia pan błąd.

—Doprawdy? — przez chwilę lord przybrał ton prawie wyniosły, ale wnet się roześmiał. — Widzę, że chciałby mi pan udzielić swej rady — dodał. — Proszę, bardzo jestem ciekawy.

Larpent spoglądał swym niewzruszonym wzrokiem spod krzaczastych brwi. — Rad dawać nie chciałbym — powiedział — pozwolę sobie jednak zauważyć, że ta młoda osoba, którą pan łaskawie mi ofiarował, jako córkę, ubóstwia ziemię, po której pan stąpa, toteż nie będzie sobie zapewne poczytywała za wielkie szczęście wyjść za sir Bernarda. Saltash zerwał się na równe nogi z jakimś francuskim przekleństwem na ustach, które zabrzmiało niby warknięcie rozjuszonego zwierza. Podszedł do okna i stanął w nim, z głową hardo odrzuconą, w postawie człowieka, który rzuca wyzwanie całemu światu.

Odwrócił się wreszcie. — Kapitanie — zaczął — czemu pan mi to wszystko mówi, do licha? Czy pan nie widzi, że właśnie od tego chcę się ustrzec? Benny jest tu najlepszym dla niej lekarstwem na tego rodzaju chorobę. A ostatecznie... przecież z niej tylko dziecko.

—Mówi to pan dla własnej satysfakcji czy dla mojej? — spytał kapitan.

—Co pan chce przez to powiedzieć? — rzucił się Saltash.

—Wie pan doskonale, co chcę powiedzieć. Po prostu, że to nie jest prawdą.

—Co nie jest prawdą? — spytał Saltash, podchodząc do stołu i napełniając swój kieliszek, który wychylił jednym haustem. — Niech pan skończy, co pan zaczął mówić.

Larpent oparł się wygodnie w krześle i przyglądał mu się z niewzruszonym spokojem. — Gdy coś stało się faktem dokonanym, trudno mówić o ustrzeżeniu się od tego — zaczął. — Był pan niezwykle wspaniałomyślny dla tej smarkatej i nie dziwię się, że jest panu wdzięczna. Jeśli jednak idzie o przekazanie jej komuś innemu, to ona, oczywiście,

może się zgodzić, ale tylko dlatego, że nie będzie widziała przed sobą innego wyjścia. Rozumie dobrze sama, że to, czego chciałaby! naprawdę, jest dla niej niedościgłe.

I znów Saltash zachnął się gwałtownie, ale nic nie powiedział.

Larpent wyjął fajkę i zaczął ją spokojnie napychać. — Żał mi tej małej — rzekł — bo z niej też poganka i trudno jej będzie się nagiąć do przeciętnego życia. Pan był dla niej zbyt dobry, a nie jest pan stworzony do tego rodzaju roli.

—Więc cóż więcej mogłem uczynić? — rzucił się Saltash gniewnie. — Czego pan właściwie chciałby ode mnie?

Zwrócił się do kapitana prawie z groźbą, ale napotkał niewzruszone oczy z utajonym w nich przebłyskiem lodowatej ironii, oczy, które spokojnie wytrzymały dzikie wyzwanie jego wzroku.

—Chciałby się pan ożenić, prawda? — spytał. — Więc czemuż, u licha, nie ożeni się pan z nią? Krwi błękitnej wprawdzie ona nie ma, ale pański ród i nazwisko starczą na dwoje. A myślę, że okazałaby się ona dla pana łatwiejsza w pożyciu od jakiegokolwiek innej damy o bardziej surowych zasadach.

Saltash roześmiał się zgrzytliwie. — Myśli pan? Jak długo wytrzymałbym z nią i ona ze mną?

—Nie sięgam nigdy wzrokiem tak daleko, jeśli chodzi o pana — rzekł kapitan, starannie ubijając tytoń w fajce. — Jestem pewny tylko jednego, że mógłby ją pan zatrzymać przy sobie na zawsze, gdyby pan zechciał.

—Cudownie! — drwił Saltash. — I rozpocząć bogobojne, osiadłe, cnotliwe życie, nieprawdaż? O to panu idzie?

—Coś w tym rodzaju — odparł kapitan.

Saltash wsparł się nogą o ruszt kominka i utkwiał wzrok w ogień. — Od ośmiu lat nie myślę o żeniactwie. Od tego dnia, kiedy chciałem wykraść Maud Brian Jackowi i spotkałem się z tak sromotnym niepowodzeniem.

Larpent zapalił uważnie fajkę. — Bardzo szczęśliwie dla państwa obojga, że się to panu nie powiodło — zauważył.

—Myśli pan? — spytał Saltash. — Ciekaw jestem, czemu?

—To nie jest kobieta dla pana — odparł kapitan z przekonaniem. — Za wiele ma ideałów. Ta zaś szprotka schwytana w Valrosa... nie posiada ich wcale.

—Nie jestem tego tak bardzo pewny — zauważył Saltash.

—W każdym razie nie ma ona złudzeń — rzekł Larpent z odcieniem współczucia w głosie. — Oddała się pod pańską opiekę, wcale nie dlatego, żeby panu ufała. Po prostu był pan dla niej ostatnią deską ratunku, jak wieloryb dla Jonasza. Założyłbym się o nie wiem ile, że ona nigdy nie miała złudzeń co do pana. Ale gdyby pan skinął palcem, przybiegłaby do pana. Uważa się za pańską własność i jest nią, choćby ją pan zawiódł nie wiem ile razy.

Saltash skrzywił się niemile. — Daj pan lepiej spokój — rzekł. — Oto właśnie najczulszy punkt. Nie dotrzymałem jej wiary, ale cóż u licha, mogłem uczynić innego? Nie wybrałem sam tej roli cnotliwego bohatera. Została mi narzucona. Bogowie uczynili sobie ze mnie igraszkę. Zabłąkałem się w labiryncie cnotliwości i mam tego dość powyżej uszu. Była chwila, że o mało już się nie załamałem, ale katastrofa „Ćmy” znów wepchnęła mnie w tę samą rolę.

—Tymczasem nie widzę jeszcze ostatecznie — rzekł kapitan — żeby jej

pan sprawił tak wielki zawód.

—Przyrzekłem, że ją zatrzymam przy sobie. Zamierzałem... och, Bóg jeden wie, co zamierzałem. Dość że nie dotrzymałem słowa, odprawiłem ją, a ona nie żali się na to... ani słówkiem. Zmarnowałyby się, gdybym się z nią ożenił. Jak wieloryb Jonasza, wyrzuciłem ją na suchy ląd, jeśli znów zatonie, to już nie będzie moja wina.

Roześmiał się gorzko i cynicznie, śmiechem człowieka, który pragnie zataić stan swej duszy. Larpent zrozumiał, że dyskusja skończona.

—Nikt też panu nie będzie z tego czynił zarzutu — rzekł.

—Nikt nie będzie miał po temu okazji — odparł Saltash.

TLR

## II. UGODA

Mecze gry w polo w Fairharbour stanowiły wielką atrakcję dla całej okolicy, ściągając rok w rok licznych i wytwornych gości. Benny interesował się gorliwie tymi zawodami, a w tym roku miał w nich brać udział po raz pierwszy. Na jego specjalne żądanie Maud obiecała przyjechać z Toby na zawody.

Od owego wieczoru na zamku młody chłopiec rzadko widywał Toby. Unikała go zapewne celowo, ale w każdym razie tak zręcznie, że niepodobna jej tego było udowodnić. Zadomowiła się u Boltonów i prócz codziennych rannych przejażdżek konnych, które odbywała z Jackiem, całymi dniami pomagała Maud przy dzieciach. Zjednała je sobie całkowicie i stała się prawą ręką ich matki.

Benny był coraz bardziej pod jej urokiem, choć tak rzadko ją widywał, żałował, że nie udało mu się zyskać sobie sprzymierzeńca w osobie kapitana Larpenta, ale ten wyjechał wkrótce z zamku i nawet Toby twierdziła, że nie wie, dokąd.

Benny nie wspominał ani siostrze, ani szwagrowi o swoich zamiarach względem Toby. Poprzysiągł sobie w duchu, że ją zdobędzie i że niczym nie da się odstraszyć.

Wyrobił się ogromnie dzięki swemu zajęciu i Jack z radością widział w nim rosnącą pewność siebie i samodzielność. Był dumny z niego i pokładał w nim wielkie nadzieje.

Jack nie towarzyszył żonie i Toby do Fairharbour, tylko polecił, żeby sprowadziły Benny'ego do domu na wieczór. Gdy przybyły obie na plac gry, zastały młodego chłopca w otoczeniu licznej grupy znajomych.

Podszedł szybko na ich powitanie.

—Jakże się cieszę, że was widzę — zawołał. — Maud, spotkałem dawnych znajomych, pana Melrose z córką, Charlie zna ich również dobrze.

Maud doznała dziwnego wstrząsu. Byli to znajomi z okresu, kiedy Charles starał się o jej rękę. Ze względu na różne smutne wspomnienia wcale nie miała ochoty odnawiać tej znajomości, ale Benny najwyraźniej życzył sobie tego i zapewne już uprzedził generała z córką o jej spodziewanym przybyciu, tak że nie miała innego wyjścia, jak podejść do nich i przywitać ich uprzejmie.

Toby szła za nią, poważna i wyprostowana. Wyglądała niezwykle uroczo. Zmieniała się jak niebo w wietrzny dzień, ale tego dnia była wyjątkowo piękna. Jej szafirowe oczy spoglądały na wytworne tłumy z pewnym hardym zuchwalstwem, a jej oryginalna twarzyczka jaśniała niezwykle czarem.

Benny odciągnął ją na bok, podczas gdy Maud witała się z dawnymi znajomymi. — Chodźmy obejrzeć konie! — rzekł. — Lepiej, niż rozmawiać z całym mnóstwem ludzi.

—Och, dobrze! — zawołała Toby ze swą zwykłą żywością, ale się zmieszała. — Czy powinnam? — spytała. — Czy Maud nie będzie mi tego miała za złe?

—Oczywiście że nie! — zapewnił Benny. — Odprowadzę cię do niej, zanim się mecz rozpocznie.

Odciągnął ją ku stajniom, a gdy minęli tłum, despotycznie pochwycił ją za rękę. — Słuchaj! — zaczął. — Jakoś dziwnie mało się widzimy. Dlaczego stale wymykasz mi się?

—Ja? — spytała Toby, a w jej oczach zamigotały przekorne iskierki.

—Wcale nie żartuję — rzekł Benny surowo. — Na co przyjeżdżam do was tak często, jeśli się nigdy nie mogę z tobą zobaczyć?

—Nie rozumiem — rzekła Toby krótko.

—Rozumiesz dobrze. Dlaczego jesteś tak ciągle zajęta? Czy to sprawa Maud, czy twoja własna?

Toby roześmiała się lekko. — Mam zupełną swobodę — rzekła.

—Och, tak? — rzekł Benny. — Wobec tego musimy się umówić na spotkanie w cztery oczy. To mi się należy.

—A jeśli ja nie zechcę? — rzuciła Toby zuchwale.

—Och, pleciesz! — rzekł Benny. — Kiedy i gdzie się spotkamy?

—Nie wiem, jestem zanadto zajęta — odrzekła Toby lekceważąco.

—Bajdy! — zawołał Benny.

—Bardzo niegrzecznie się pan wyraża — skarciła go Toby.

—Będę jeszcze niegrzeczniejszy — rzekł Benny z wściekłością. — Mówmy poważnie. — Spojrzał jej w oczy i Toby nie miała jakoś serca odrzucić jego prośby. — Powiem ci, jak będzie — ciągnął. — Pójdiesz sobie z Topem na przechadzkę jutro wieczorem w stronę lasów burchesterskich, to niedaleko. Będę tam u kopca granicznego pod wzgórzem, wiesz? Top będzie rad spotkać kogoś, kogo lubi.

—Może nie spotka tego kogoś — rzuciła Toby, tłumiąc uśmiech.

—Och, słowo daję, to jest niegodziwość! Tego mi chyba nie odmówisz?

Prośba brzmiała w jego głosie. Toby nagle spuściła powieki. Czyniła wrażenie, jakby się umacniała w postanowieniu odmowy.

—Przyjdiesz? — nalegał Benny szeptem.

Zbliżali się do grupy koni, które chłopcy stajenni trzymali już w pogotowiu do zawodów. Toby przyśpieszyła kroku. Benny jednak, choć szedł tuż przy niej, nic nie powiedział. Może jego milczenie wzruszyło ją bardziej niż słowa, gdyż nagle podniosła na niego oczy i roześmiała się chłopięcym, łobuzerskim śmiechem.

—Dobra! Przyjdziemy! — rzekła.

—Hurrra! — uradował się Benny.

—Ale długo nie zabawię — dodała. — I jeśli nie będziesz grzeczny, nie przyjdę nigdy więcej.

—Będę! — zapewniał Benny z przekonaniem.

—Zobaczmy! — odrzekła Toby z zabawnie odrzuconą główką.



### III. L'OISEAU BLEU

Benny przeszedł samego siebie tego dnia. Triumfował w grze i każde jego śmiałe posunięcie wywoływało grzmoty oklasków.

—Ten chłopiec jest genialny — zauważył generał Melrose. — Powinien być w armii. Dlaczego nie wstąpił na służbę? — spytał, zwracając się do Maud.

—Lekarze twierdzili, że nie podoła — wyjaśniała Maud. — Było to dla niego wielkim rozczarowaniem. Widzi pan, całe swoje dzieciństwo przechorował, a choć odzyskał zdrowie, nie przestał być wątły.

—Ach, pamiętam! — rzekł generał. — Wozila go pani w fotelu. Któż by się domyślił, że z tego biedactwa wyrośnie taki zuch? Nic mu chyba teraz nie dolega specjalnie?

—Nie, nic — rzekła Maud.

—I czymże się zajmuje? — spytał generał.

—Jest pomocnikiem administratora u lorda Saltasha — wyjaśniła Sheila Melrose, córka generała. — Sam mi o tym dziś mówił. Są w przyjaźni z lordem.

—Ach, naturalnie — rzekł generał i spojrzał na Maud, która zarumieniła się pod tym spojrzeniem.

—Charlie jest przyjacielem naszej rodziny — rzekła Maud — i naszym sąsiadem. Mój mąż jest właścicielem Graydown, pewno pan słyszał o

jego koniach.

—Och, naturalnie! — rzekł generał. — Znam pana Boltona, niezwykle, wartościowy człowiek, ale nie wiedziałem, że jest pani mężem.

—Od ośmiu lat — dorzuciła Maud.

—A chyba już dziesięć lat upłynęło, odkąd się widzieliśmy — dodał generał. — Sheila była wtedy jeszcze w szkołach.

—Pani jest po raz pierwszy w Fairharbour? — spytała Maud.

—Tak, po raz pierwszy — odrzekła Sheila. Była to przystojna panna lat przeszło dwudziestu, o bujnych ciemnych włosach i pięknych szarych oczach. — Przeważnie bawiliśmy za granicą przez te wszystkie lata — dodała. — Zaledwie parę tygodni temu wróciliśmy z Riwiery. Byliśmy w Valrosa.

Maud zauważyła, że Toby siedząca po jej drugiej stronie dziwnie drgnęła. Położyła dłoń na jej ramieniu z zamiarem wciągnięcia jej w rozmowę, ale obejrzawszy się na nią zauważyła, że Toby spogląda na pole gry szeroko otwartymi, przerażonymi oczyma i jest śmiertelnie blada.

—Co tobie, kochanie? — spytała szeptem.

Toby zadrżała. — Zdawało mi się, że omal nie spadł z konia, nie zauważyła pani? — odpowiedziała szeptem.

Maud uśmiechnęła się łagodnie. — Och, myślę, że nie ma obawy — rzekła. — Właśnie mówiliśmy o Valrosa — dodała. — Byłaś tam, nieprawdaż?

Toby zarumieniła się gwałtownie. — Och, tylko przejazdem — odrzekła. — Byłam w szkole w Genewie. Przyjechałam do Valrosa, żeby się spotkać z ojcem.

—Była pani może w szkole u Madame Denise w Genewie? — spytała Sheila.

—Nie, u Madame Beaumonde — odrzekła Toby zwięźle.

—Nie słyszałam o tej szkole — zauważyła Sheila. — Może została założona po mojej bytności w Genewie.

Toby skinęła głową. — Nie byłam tam długo. Nigdzie długo nie byłam. Ale teraz skończyłam już ze szkołami i zamierzam sama decydować o swej dalszej przyszłości.

—Bardzo mądre postanowienie — rzekł drwiący głos za nią.

Wszyscy odwrócili się, a Toby stłumiła okrzyk zdziwienia.

Stał za nimi Saltash, wytworny i elegancki, ubrany w biały strój jachtingowy.

—Całe zgromadzenie starych znajomych — rzekł uśmiechając się do wszystkich.

Generał Melrose wyciągnął do niego rękę na powitanie. — Halo, Saltash, skąd pan się tu wziął? Prosto z nieba?

—Jak Lucyfer, syn poranku? — zaśmiał się Saltash. — Nie, znikąd nie spadłem. Po prostu przyjechałem.

Toby wstała. — Proszę, niech pan usiądzie — rzekła.

Potrząsnął głową. — Nie, nie, *ma chere*. Postoję sobie za paniami. Panna Melrose, witam panią. Czy zawsze jestem na czarnej liście?

Sheila uśmiechnęła się do niego z lekkim odcieniem wyniosłości. Otrzymała gorzką naukę w Valrosa. Wiedziała, że tego człowieka nie można nigdy brać na serio.

—Od dawna pana potępiam, jako zuchwałego grzesznika — odrzekła.

— Nie słyszałam, żeby pan uczynił cokolwiek, co by pozwoliło zmienić ten wyrok.

Uśmiechnął się zagadkowo. — Nic, o czym by pani wiedziała — rzekł ze śmiechem. — Czy jednak naprawdę taki potwór ze mnie, niech zaświadczy pani Bolton.

—Chyba nie — odrzekła Maud — ale niech pan ode mnie nie żąda, żebym stawała w jego obronie. Nie podołałabym temu zadaniu.

—Niech pani spyta mnie! — zawołała Toby nagle, z rumieńcami na twarzy. — Lord Saltash uratował mi życie, kiedy „Ćma” tonęła, kiedy większość ludzi myślałaby jedynie o ratowaniu siebie.

—Cóż za oszczerstwo! — roześmiał się Saltash. — Pani nawet nie wie, że przyczepiłem się do niej tylko dlatego, że miała pani na sobie pas ratunkowy.

—Och, naturalnie! — potwierdził generał. — Ogromnie wierzę, że się pan tym kierował. Szkoda „Ćmy”! Całe tylko szczęście, że pan się uratował.

—Och, ja się zawsze wyratuję — rzekł Saltash lekko. — A co do „Ćmy”, jej i tak trzeba było nowych maszyn. Zresztą właśnie kupiłem jacht — dodał, dotykając ramienia Toby. — Twój tatuś jest z niego zupełnie zadowolony.

—Och, czy tak? — spytała Toby z przejęciem. — Jak wygląda? I jak się

będzie nazywał?

—Jeszcze go nie chrzciliśmy. Urządzę przyjęcie na pokładzie I pani Maud dokona ceremonii chrztu. Chcę go nazwać „Niebieski Księżyc”, jeśli pani nie podsunie lepszej nazwy — rzekł kłaniając się przed Maud.

— Czy to doprawdy coś tak niezwykłego, jak ów przysłowiowy „niebieski księżyc”? — spytała Maud.

—Niezwykła zabaweczka — odrzekł. — Świeżo zbudowany. Porusza się jak ptak, cudownie i lekko.

—Czemu nie nazwie pan jachtu „Niebieskim Ptakiem”? — spytała Sheila.

Potrząsnął głową. — Tego skarbu nigdy nie spodziewam się osiąść, panno Melrose — rzekł Saltash z gorzkim uśmiechem. — Niebieski księżyc jeszcze może mi się zdarzyć ujrzeć w życiu, jeśli będę wyjątkowo cnotliwy, ale niebieski ptak już nie dla mnie. Przestałem się go spodziewać. — Jego wzrok pobiegł na pole gry. — Młody Bernard odznaczył się dziś nadzwyczajnie. Ten finał był niezrównany.

Wszyscy klaskali w ręce, prócz Toby. Siedziała z dłońmi splecionymi na kolanach. Jej błękitne oczy były szeroko otwarte, ale nie spoglądały na grających, tylko w jakąś nieokreśloną dal.

—Przyfrunie do ciebie, *chère* — mówił głos tuż nad jej uchem. — Już otworzył skrzydła do lotu.

Dreszcz ją przebiegł, ale nie odwróciła głowy. Poczowała, że jej dłoń pochwyciły z tyłu czyjeś silne palce i zatrzymały chwilę w swym uścisku. — Gdy przyjdzie, trzymaj go mocno. „*R ne vient pas deux fois, l’oiseau bleu*”.

Usta Toby zadrżały. Zagryzła je w bolesnej rozpacz, ale nie próbowała odpowiedzieć.

—To dar bogów, *chérie* — mówił dalej cichy głos. — Nie trzeba takich darów odrzucać. Za rzadko przychodzą.

Uczyniła ruch szybki, niemal konwulsyjny, jak nagłe rzucenie się człowieka gwałtownie zbudzonego ze snu. Wciągnęła głęboko powietrze, jakby się dusiła, i wtem zaczęła się śmiać, głośno, nieprzerwanie, i klaskać w dłonie, z oczyma utkwionymi w postać chłopca na placu. Gdy oklaski umilkły, Saltash odszedł równie nagle, jak się zjawił, i choć widziały go obie z Maud parę razy z daleka, nie wrócił już do nich tego popołudnia.

TLR

#### **IV. POTRZASK**

Złoty, cichy wieczór zstąpił na świat i modrzewiowy zagajnik na granicznym wzgórzu tonął w ciszy niby las z bajki. Jakiś ptak załopotał skrzydłami w gałęziach, jakieś senne ćwierci kanie zabrzmiało w zaro-

ślach i ucichło. Przyroda układała się do snu.

Nagle w gąszczu za miedzą graniczną coś szarpnęło się gwałtownie i stary seter Top rzucił się w krzaki. Ale w tej chwili ciszę przerwał okropny żaloszny wrzask.

Na ten wrzask męczonego zwierzątka doniósł się od łąki inny głos. —Top! Do nogi! Stój! — rozbrzmiało wołanie.

Top nie zawrócił, ale przystanął i obejrzał się poza siebie z rozwartą paszczą i wywieszonym ozorem. Gdyby to był głos jego pana, wróciłby natychmiast, ale Toby? Miotające się w potrzasku zwierzątko było za silną pokusą.

To jednak krótkie wahanie wystarczyło, aby lekkonoga Toby dogoniła go wśród zarośli. Odciągnęła gwałtownie za obrożę, a pies, nawykły do posłuszeństwa, pokornie położył uszy po sobie. Uklękła przed złapanym w potrzask stworzeniem i przekonała się, że był to młody zajączek.

Złapał się w zwykły potrzask kłusowniczy, zrobiony z drutu. Pętla chwyciła go wpół ciała, a napięcie drutów świadczyło o jego szalonej walce o swobodę. W jednym miejscu kark zwierzątka był przecięty do krwi. Niełatwo było zluzować pętlę. Szarpiące się rozpaczliwie stworzenie podrapało do krwi ręce Toby, gdy usiłowała to uczynić.

Tak była pochłonięta tym zajęciem, że nie usłyszała zbliżających się kroków. Zdrętwiała ujrawszy, jak dwie ręce pochwyciły nagle zajączka za skoki, tak że od razu przestał się miotać.

—Zadrapie cię na śmierć — mówił Benny. — Lepiej go już dobiję. I tak jest ranny. A może wolisz, żebym go puścił?

—Och, tak, puść go! — zawołała Toby. — Patrz, nareszcie zluzowałam drut. Trzymaj go mocno, aż zdejmę pętlę.

Zajączek był wolny. Benny złożył go na trawie, a Toby pochwyciła Topa za obrożę. Płakała z wściekłości.

—Jak ludzie śmia popełniać taką podłość, taką niegodziwość! — szlochwała. — On chyba nie zginął jeszcze. O Boże, dlaczego nie ucieka?

—Jest ranny! — rzekł Benny. Dobiję go albo niech go Top dokończy.

—Nie, nie! — wykrzyknęła Toby. — Z rany się wyleczy. Trzeba mu dać możność ucieczki. O, już się rusza.

—Lepiej byłoby dla niego, żebym go dobił — rzekł Benny.

—Nienawidzę cię! — wykrzyknęła, szlochając, z twarzą skrytą w karku

starego Topa. —Jeśli go dotkniesz... nigdy... nigdy nie będę chciała z tobą rozmawiać.

Benny podszedł, wziął Topa za obrożę i przyczepił do niej swój pejcz, zamiast smyczy. Uwiązał psa u płota i podszedł do Toby. Nachylił się nad nią.

—Pokaż ręce! — powiedział. Toby zdławiła łkanie i ruchem chłopięco przekornym cofnęła ręce za plecy. Przysiadła w bujnej trawie, a jej oczy pałały oburzeniem.

—Benny, to hańba łapać w sidła takie biedactwa. Ty to założyłeś?

—Ja? Nie, dzięki Bogu, nie jestem kłusownikiem — rzekł ze śmiechem. Była piękna w swym oburzeniu, ale wiedział doskonale, że jeśli teraz spróbuje ją pochwycić w ramiona, Toby mu tego nigdy nie podaruje. — Nie bądź nierozsądna — rzekł. — Trzeba, żebyś obmyła ręce. Nie można zostawić takich skaleczeń bez opatrunku.

—Och, głupstwo! — zachnęła się niecierpliwie. — Gorsze rany się goją. Benny, wiem, że wierzysz w Boga. Dlaczego On pozwala, żeby takie stworzonka łapały się w sidła? To okropne, to niegodziwe. To... tak boli.

—Mnóstwo jest rzeczy bolesnych — rzekł Benny.

—Tak, ale nie ma nic tak podłego i okropnego jak pułapka. Gotowa bym zabić tego, który to nastawił. Dobrze, że to nie ty.

Benny wyrwał drut z ziemi i zmiął go w rękę.

—Co z tym zamierzasz zrobić? — spytała.

—Zniszczyć — odparł szybko.

—To dobrze — odrzekła, a uśmiech rozbłysł na jej twarzy. — Nie mam chusteczki.

Podał jej swoją. Zając, oprzytomniawszy z pierwszego oszołomienia, obejrzał się na nich swymi wielkimi, wylupiastymi oczyma i znikł w podszyciu leśnym.

—Przykro mi, że byłam zła — rzekła Toby, podnosząc oczy na swego towarzysza. — Gniewasz się na mnie?

—Nie bardzo — mruknął Benny niechętnie.

—Och, nie gniewaj się! — prosiła, a głos jej drżał. — On tak okropnie cierpiał i ja wiem... tak dobrze wiem, co czuł.

—Jak to wiesz? — spytał Benny i objął ją ramieniem. — Mniejsza o tego biedaka zająca. Uszedł z życiem. Ale ty? Jak się czujesz?

—Już lepiej — rzekła. — Powiedz mi, Benny, dlaczego chciałeś zabić



tego biedaka? Nie myślałam, że jesteś tak okrutny.

—Uważałem, że pozostawienie go przy życiu będzie tylko przedłużeniem męki — rzekł Benny. — Pokaż ręce.

Usiłowała je ukryć, ale Benny uparł się przy swoim. Podała mu wreszcie swe pokaleczone ręce.

—Chodźmy do starego Bishopa. Trzeba to obmyć — rzekł.

—Nie, Benny, nie pójdę. Opłuczę je w jeziorze, jeśli chcesz koniecznie. Tam nie spotkamy nikogo.

—Dobrze — powiedział Benny, nie puszczając jej jeszcze. — Pocałujesz mnie?

—Nie — szepnęła Toby, odwracając głowę.

Przycisnął ją do siebie, po czym puścił gwałtownie. —

Chodźmy do jeziora — powiedział.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem, ale Benny odwrócił się spokojnie, aby odwiązać psa i konia.

Szli zieloną leśną drogą, wśród milczenia zamykającego się nad nimi niby miękka zasłona. Benny prowadził konia za uzdę, a Toby szła obok niego bez słowa. Za nimi spośród drzew wyłoniła się męska postać. Mężczyzna stał chwilę w cieniu modrzewi spoglądając na nich, na jego ustach ukazał się pełen gorczy uśmiech, po czym zawrócił i odszedł w milczeniu w głąb lasu.

Do jeziora nie było daleko. Okalał je brzozowy las, a droga zstępowała w dół. Po drugiej jego stronie widać było z oddali poważną, ciężką sylwetkę zamku burchesterskiego.

Toby rozejrzała się dokoła lękliwie, gdy klękała nad brzegiem jeziora, by opłukać ręce. Benny ukląkł przy niej. — Czego się boisz, dziewczynko? — spytał.

Toby odrzuciła hardo główkę. — Niczego — rzekła zuchwale.

Spojrzał jej prosto w oczy. — Na pewno?

—Na pewno — odrzekła Toby, śmiało wytrzymując jego wzrok. — Przejdźmy się trochę! — dodała.

Pomógł jej wstać. — To ten potrzask tak cię zdenerwował — rzekł Benny. — Szkoda, że nie przyszedłem wcześniej do ciebie.

—Byłbyś zabił biednego zajaca — szepnęła Toby i zadrżała mimo woli.

—Tylko dlatego, że był ranny — odparł Benny. — Nigdy nie zabijam dla przyjemności zabijania.

—Nie polujesz? — spytała niedowierzająco.

—Och, owszem, ale to co innego, to jest sport.

—Tak, nazywają to sportem! — zawołała Toby, a jej głos drżał. — Ale to przecież nic innego tylko zabijanie.

Benny zastanowił się chwilę. — Prawdziwy sportsmen zabija tylko w otwartym polowaniu — powiedział.

—Mało jest prawdziwych sportsmenów — zauważyła Toby.

—Myślisz? W każdym razie zdaje mi się, że ja nim jestem.

Spojrzała na niego uważnie. — Może, Jack również.

Oczy Bernarda zajaśniały. — Och, Jack jest nadzwyczajny.

On mnie wszystkiego nauczył. Byłem okropnym ślamazarą, zanim go poznałem. Jemu zawdzięczam wszystko.

—Może znalazł podatny materiał — podpowiedziała Toby.

Benny przygarnął ją mocniej ramieniem. — Nie sądzę.

Ojciec mój był lekkomyślnym Irlandczykiem, a matka... nie żyje już, ale... nie mogę powiedzieć, że bym się nią chlubił.

—Miałeś lekkomyślną matkę? — spytała Toby z nagłym zainteresowaniem.

Skinął głową. — Niechętnie o niej wspominałyśmy oboje z Maud. Wyszła za męża po raz drugi za okropnego człowieka, właściciela hotelu „Pod Kotwicą”.

—W Fairharbour? — spytała Toby.

—Tak. Mieszkaliśmy tam oboje z Maud przez pewien czas. Byłem wtedy kaleką. Okropne to było życie... aż zjawił się Jack.

—A więc Maud wyszła za Jacka, żeby uciec stamtąd? — spytała Toby, a jej oczy zabłyśły.

Benny skinął głową. — Tak. Byliśmy oboje w okropnej sytuacji. Coś należało zrobić.

—Nie kochała go więc? — pytała dalej Toby z dziwnym naciskiem.

—Och, wtedy nie. Widzisz, Charlie odegrał tu pewną rolę. Znała go, zanim poznała Jacka.

—Charlie? — powtórzyła Toby stłumionym głosem.

—Lord Saltash — wyjaśnił Benny. — Wiesz, że jest naszym dawnym znajomym.

—Nie wiedziałam... że on... kochał Maud — Toby mówiła urywanie, jakby trudno jej było wypowiedzieć te słowa.

—Och, to bardzo stare dzieje — wyjaśniał Benny niedbale. — Lubili się bardzo, byli nawet prawie zaręczeni. Ale potem" Charlie, który zawsze był lekkomyślny, zaczął trochę zanadto flirtować z pewną damą, lady Cressady, i wieść o tym doszła do Maud. Zerwała z nim. Charlie udawał, że go to nie zabolalo, ale musiało zaboléc, i dlatego nie ożenił się do tej pory.

—Dlatego? — powtórzyła Toby stłumionym głosem. — A... Maud?

—Maud zawsze zachowała dla niego sympatię — odrzekł Benny.

—A Jack... nic nie ma przeciwko temu?

—Jack? Nic a nic. Jest jej pewny. Wie, że nie ma takiej drugiej jak ona.

—Więc ona... nie kocha się w lordzie Saltashu? — spytała Toby ze ściągniętymi brwiami.

—Och, nie. Interesuje się nim po macierzyńsku, chciałaby, żeby się ustatkował, i tak dalej. Czuje się może trochę odpowiedzialna za jego późniejsze szaleństwa. Ale on nie ustatkuje się chyba nigdy.

—Rozumiem... — szepnęła Toby. — Lekki dreszcz ją przebiegł. Podniosła oczy na Benny'ego ze smutnym, martwym uśmiechem. — I pomyśleć... że Maud z nim zerwała — dodała w zamyśleniu.

—Jego wina — mruknął Benny.

Żalosalne zdziwienie odmalowało się w oczach Toby. — Ale on jest taki niezwykły... taki wyjątkowy.

Benny ogarnął ją mocniej ramieniem. — Czy już nie dość rozmawiamy o cudzych sprawach? — powiedział. — Nie uważasz, że powinniśmy pomyśleć o własnych?

Zarumieniła się aż po czoło. — Jeśli chcesz — rzekła bezbarwnym głosem.

—Nie myślisz, że zasłużyłem na pocałunek? — nalegał Benny łagodnie.

— Byłem tak cierpliwy.

Uniosła głowę ku niemu w milczeniu.

—Och, nie tak! — zawołał. — Nie, jeśli sobie tego nie życzysz, kochanie.

Pochwyliła gwałtownie powietrze ustami ze stłumionym łkaniem, po czym nagle wybuchnęła śmiechem.

—Och, ty wielki, stary głuptasio! — powiedziała. — Jak łatwo cię nabrać.

Pochwycił ją w ramiona i przytulił mocno do siebie. — Mój motylku najdroższy — rzekł, całując ją bardzo tkliwie. — Schwyciłem cię nareszcie, nareszcie.

Wsparała głowę o jego ramię i dreszcz ją przebiegł, ale nic nie powiedziała.

— Musisz być zmęczona — rzekł Benny. — Podwiozę cię na swoim koniu.

Zaśmiała się drżącym, nieśmiałym śmiechem i ucałowała go nagle.

— Jesteś okropnie dla mnie dobry, drogi Benny — szepnęła. —  
Może... wkrótce się zaręczymy,  
— Kochanie moje! — zawołał Benny żarliwie.

TLR

## V. ZWIERZENIA

List z herbem i dewizą „Sans vertu” leżał na stole przy miejscu Maud nazajutrz z rana. Otworzyła go z uśmiechem.

—Od Charliego oczywiście — rzekła do Jacka, który właśnie wchodził.

— Zaprasza mnie, żebym została chrestną matką jachtu.

—Nic nie mam przeciwko temu — rzekł Jack. — A gdzie mała?

—Toby? Myślałam, że pojechała z tobą.

—Nie, wymknęła mi się. Pojechała na jednym z nieujeżdżonych źrebców. Będę musiał z nią pomówić.

W tej chwili Toby, zarumieniona, ze zwichrzoną czupryną, wbiegła lekkim krokiem do pokoju. — Przepraszam za spóźnienie — powiedziała — ale ten wariat chciał mnie ponieść I musiałam go przykrócić.

Podbiegła do Maud, aby ją ucałować, Maud ogarnęła ją ramieniem. — Drogie dziecko — rzekła. — Jack gniewa się na ciebie. Jak można się tak narażać?

Toby spojrzała na Jacka, zatopionego w gazecie i podeszła do niego. — Proszę się nie gniewać! — przemówiła zuchwale, choć prosząco.

Jack spojrzał na nią surowo. — Pomówimy po śniadaniu — rzekł.

Maud uniosła oczy znad swego listu. — Jack — powiedziała. — Charlie chce, żebyśmy jutro pojechali do Fairharbour. Urządza przyjęcie na pokładzie nowego jachtu. Pojedziesz ze mną?

—Jutro będę zajęty — mruknął Jack. — Muszę być w Goodwood obejrzeć nowe konie.

—Och, tak cię proszę, Jack — mówiła Maud. —Będziesz mi potrzebny.

—Dlaczego? — spytał Jack.

—Widzisz, generał Melrose będzie tam również, a on cię zna. Chciałabym, żeby nas zobaczył razem.

—Dobrze, pojedę — rzekł Jack krótko. Zaczął opowiadać o koniach. Toby milczała prawie przez cały czas i prawie nic nie jadła, wymawiając się wobec Maud zbytym upałem i zmęczeniem po przejażdżce. Wreszcie wstała od stołu. — Czy pani się nie będzie gniewała, jeśli już pójdę? — spytała.

—Ja będę się gniewał — rzekł Jack. — Będiesz łaskawa uiaść w tym fotelu i zapalić papierosa. Nim skończysz, będę gotów.

Podał jej papierośnicę. Toby skrzywiła się wyzywająco, ale wzięła jednego. Maud ukończyła śniadanie i wstała. — Idę do dzieci — rzekła. — Nie śpiesz się, Toby droga, zajmę się nimi.

—Nie zatrzymam jej długo — rzekł Jack.

Toby obróciła się ku niemu z nagłym błyskiem w oczach. — Chciałabym zobaczyć tego, który by mnie potrafił zatrzymać wbrew mojej woli! — zawołała.

Jack skinął głową. — Owszem. Możesz mi się przyjrzeć. Dlaczego wzięłaś tego diabła Knockera?

—Nie przyjmuję rozkazów od pana! — zawołała Toby.

—Och, czasami — zaśmiał się Jack. W tej chwili drzwi zamknęły się za Maud. — Powiedz przynajmniej — rzekł — że zrobiłaś głupstwo.

Toby wstała. Była blada i mizerna. — Może — odrzekła. — Ale, cóż z tego? Koń wrócił zdrowy i cały i nic mu nie zrobiłam.

—Nie myślałem o koniu — rzekł Jack. — Narowista bestia, z której i tak nic już nie będzie. O to mi chodzi, żeś to zrobiła wbrew moim rozkazom i specjalnie dlatego unikałaś dziś spotkania się ze mną.

—Nie dlatego — odrzekła Toby. — Byłabym to zrobiła równie dobrze w pańskiej obecności.

—Wątpię. W każdym razie dasz mi słowo honoru, że to się nie powtórzy.

—Słowo? — Toby nagle wybuchnęła śmiechem. — Benny może na nim jeździć, dlaczego ja nie?

—Benny jest mężczyzną i ma więcej sił — rzekł Jack wyciągając do niej rękę. — Więc przyrzekasz?

Toby przystanęła i spojrzała mu w oczy. Nagły błysk zamigotał w

jej źrenicach. Z lekka uderzyła wyciągniętą dłoń pejczem, który trzymała w ręku. Jack pochwycił pejcz jednym szybkim ruchem.

—To było błędem — rzekł, a jego słowa, choć wypowiedziane powoli, miały w sobie moc większą niż wszelki otwarty gniew.

Toby spoglądała na niego z niezachwianą odwagą, ale nie powiedziała ani słowa. Ręka Jacka opadła, odwrócił się i zapalił fajkę. Było w tym ruchu dostojeństwo siły, która nie chce korzystać ze swej przewagi.

Toby załamała się nagle. Porwała się ku niemu jak skruszone dziecko i uczepiła się jego ramienia. — Och, Jacku, przepraszam! — zawołała drżącym głosem. — Jestem niegodziwa, niegodziwa!

Jack spojrział na nią, a lekki uśmiech rozjaśnił jego kanciastą twarz. — Chyba nie — rzekł. — Jesteś po prostu... młoda.

Potrząsnęła gwałtownie głową. — O, nie! — zawołała. — Ale powiedz Jack, czy cię nie bolało?

—Nie! — zaśmiał się Jack.

Wciąż była uczepiona jego ramienia. — Nigdy już nie będę nieposłuszna. Zrobię wszystko, co każesz! Dlaczego się śmiejesz, Jack?

—Nie śmieję się — rzekł. Odłożył fajkę i poklepał ją po ramieniu. — Nie mówmy już o tym — dodał.

Toby przełknęła szloch dławiący ją w gardle. — Muszę mówić — zaczęła. — Pan jest taki zacny. Nie chcę, nie mogę robić rzeczy, których pan by sobie nie życzył.

—Co chciałaś mi wyznać? — spytał Jack. Zaplotła obie ręce dokoła jego ramienia.

—Nie wiem, jak mam to powiedzieć... Miałam dziś okropną noc i dlatego chciałam być sama. I licho mnie podkusiło, żeby wziąć Knockera.

—Rozumiem — rzekł Jack. Jego brązowe oczy pełne były dobroci. — Dlaczego miałaś tak niedobłą noc?

Ręce Toby zacisnęły się mocniej na jego ramieniu, w szafirowych oczach odmalował się lęk i prośba. — Nie wiem, jak mam to powiedzieć — powtórzyła.

—Może trochę się domyślam — rzekł Jack.

Skryła twarz w zawstydzeniu, przytulając czoło do jego rękawa.

Położył dłoń na jej pochylonej głowie. — Idzie o Bernarda, nieprawdaż?

—Tak — wyszeptała ledwie dosłyszalnie.



—A więc? — spytał Jack łagodnie.

Nie uniosła twarzy. — Pan nie chce, żebym wyszła za niego, prawda? I nie zrobię tego, jeśli pan nie pozwoli.

—Ja? — zdziwił się Jack.

—Tak — mówiła Toby szybko. — Pan go kocha. Pan wie, co dla niego jest dobre. Pan chce, żeby otrzymał od życia to, co najlepsze.

Jack pogłaskał delikatnie jej pochyloną głowę. — Tak, masz słuszność — zaczął. — Ale i ciebie pokochałem tak samo. Chciałbym i dla ciebie, żebyś otrzymała od życia wszystko, co najlepsze.

Uniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy. — I pan by się zgodził, żebym wyszła za niego? Naprawdę?

—Jeśli to da wam szczęście obojgu... — rzekł Jack.

—Któż to może wiedzieć? — szepnęła, gwałtownie wciągając powietrze. — Może Benny będzie miał mnie dosyć bardzo prędko.

—Dlaczego tak mówisz? — spytał Jack.

Dreszcz ją przebiegł. — Tak mi się zdaje. Mężczyźni są tacy, nieprawdaż? Nie wszyscy, pan jest wyjątkiem.

Jack zmarszczył brwi. — Jestem tylko człowiekiem. Ale dlaczego przypuszczasz, że Benny będzie niestały?

—Jest tak młody... — zaczęła.

—No cóż, rzecz nie jest pilna — rzekł Jack. — Nie należy się żenić w pośpiechu.

—A pan tak uczynił — zaczęła Toby jakby z oskarżeniem.

—Ja? Skąd ty o tym wiesz? — spytał Jack.

—Wiem to, co mi Benny opowiadał. Maud nie kochała pana wtedy, kiedy wychodziła za pana, kochała wtedy lorda Saltasha i on ją kochał. — Toby mówiła to twardo, jakby czekając zaprzeczenia. — I on byłby się z nią ożenił... gdyby nie pan.

—Możliwe — rzekł Jack spokojnie. — I myślisz, że ona byłaby szczęśliwsza?

Toby potrząsnęła głową. — Nie, myślę, że pan był dla niej przeznaczony. Ale dla niego... było to jednak krzywdą. — Głos jej zadrżał z lekka. — Benny powiada, że on dlatego nigdy się nie ożenił.

—Nie jest stworzony do żeniaczki — rzekł Jack. — Nic nie mam przeciwko temu, żebyś wyszła za Bernarda, ale nic w świecie nie skłoniłoby mnie do zgody na twoje małżeństwo z takim człowiekiem jak Saltash.

Dziwny uśmiech zadrgał w kącikach ust Toby. — Myśli pan, że pytałabym o pozwolenie? — spytała. — I naprawdę pan nic nie ma przeciwko temu, żebym wyszła za Bernarda?

Jack spojrział na nią uważnie. — Nic, jeśli sama jesteś pewna, że go chcesz.

Oczy jej zabłyśły jakoś dziwnie. Cofnęła się, ale nagle ruchem chłopięco impulsywnym wyciągnęła do Jacka rękę. — Dziękuję. Pan jest strasznie zacny. I cokolwiek uczynię, postąpię uczciwie, i pan mnie nie opuści, prawda?

—Naturalnie — rzekł Jack, mocno potrząsając jej dłonią.

## VI. ŚWIĘTY OGIEŃ

Liczne i wytworne towarzystwo zgromadziło się na bulwarze Fairharbour w gorący dzień czerwcowy tam, gdzie nowy jacht Saltasha, „Niebieski Księżyc”, oczekiwał swego chrztu.

Ruchomy pomost, przerzucony z jachtu na bulwar, przybrany był girlandami kwieciami i wysłany czerwonym chodnikiem. Dzień był jasny i bez chmur, a morze, błękitne

i roziskrzone, stapało się u widnokregu z błękitnym niebem linią o delikatnej barwie przydymionej perły.

Saltash chciał, żeby jego goście po ceremonii odbyli przejażdżkę na jachcie i wszystko było już przygotowane na ich przyjęcie. Sam stał na pokładzie, oczekując przybycia zaproszonych, a obok niego stali Maud i

Jack. Mała Eileen, bardzo poważna i przejęta, uczepliła się ręki Toby i spoglądała na wszystkich z daleka. Kapitan Larpent z za steru jachtu chmurnie i wzgardliwie spoglądał na przybywających gości.

Generał Melrose z córką przybyli jedni z ostatnich, a za nimi szedł Benny, niezwykle elegancki i wesoły. Odszukał wzrokiem Toby, z małą Eileen na ramieniu, bo dziecko chciało wszystko widzieć. Podszedł do nich.

—Halo! — zawołał. — Spóźniłem się z powodu śniadania z generałem Melrose. Co za tłum, o nieba! I cóż, maleńka — rzekł, nachylając się nad Eileen. — Podoba ci się?

Dziewczynka uniosła na niego swe aksamitne oczy. — Ślicznie jest — powiedziała.

Benny ucałował ją i z zachwytem ogarnął wzrokiem Toby. Była ubrana w prostą białą sukienkę, a jej wyrazistą twarzyczkę ocieniał biały słomkowy kapelusz o szerokim rondzie. W odpowiedzi na jego spojrzenie skrzywiła się łobuzersko.

—Co za okropne mnóstwo ludzi! — zawołała. — Och, Benny, nie patrz tak na mnie, bo czuję się jak malowana lala.

—Na malowaną nie wyglądasz — zauważył Benny wesoło.

Uczyliła ruch obrzydzenia. — Jak tylko skończy się ta cała szopka, ucieknę stąd, jak...

—Jak półmisek z łyżką — zaśmiał się Benny. — Dobrze, ty będziesz łyżką, a ja półmiskiem i zwiejemy razem, co?

—Ani myślę być łyżką — rzekła Toby. — Szukaj sobie kogoś innego do tej roli. Bierz pannę Melrose. Nie wygląda na to, żeby miała odmówić.

—Bardzo ładna panienska — zauważył Benny dość czupurnie.

—Och, oczywiście — rzekła Toby, odrzucając hardo główkę. — Niczym innym być nie potrafi.

Benny roześmiał się. — Nie ona jedna jest ładna — rzekł. — Znasz kogoś z tych ludzi?

Toby żywo potrząsnęła głową. — Nie znam i nie chcę znać. Powiedz, czy nie są okropni? Ciekawam, jak Jack się czuje?

Czy Jack był zachwycony, czy nie, trudno było odgadnąć z jego miny. Podszedł do nich, przywitał się z Bernardem i posadził sobie małą Eileen na ramieniu.

—Trzymaj się mocno, stokrotko — powiedział. — Jak ci się to wszystko podoba?

—Och, bardzo, tatusiu — powiedziała dziewczynka, oplatając rączkami jego szyję. — Czy mamusi też? — dodała po chwili.

—Och, mamusia nie przepada za tego rodzaju historiami, ale jakoś to przetrzyma. Od czego my tu jesteśmy, co?

Stary generał Melrose odwrócił się nagle na dźwięk tego głosu. Nie zauważył Jacka do tej pory.

—Ach, pan tu, Bolton? Co pan tu robi?

Jack podszedł do niego. — Cóż, jestem tu, żeby dotrzymać towarzysztwa żonie, która podjęła się odegrania głównej roli w ceremonii.

Stary żołnierz spojrział na niego bystro spod swych siwych, krzaczastych brwi. — Ach, pańska żona, panna Maud Brian? Więc jednak zachowała przyjaźń dla Saltasha? I pan co na to?

Jack uśmiechnął się z lekka. — Wszystko, co Maud czyni, jest dobre — rzekł pogodnie.

—A to pańska córeczka, nieprawdaż? — spytał generał, spoglądając na Eileen. — Nie trzeba pytać. Ma oczy Maud. Sheilo, chodź zobaczyć małą pociechę Maud.

—Ach, co za urocze dziecko! Witam pana, panie Bolton. Wiele już o panu słyszałam. Jak na imię pańskiej córeczce?

—Eileen — szepnęła dziewczynka, przytulając się lękliwie do ramienia ojca.

—Chciałabym, żebyś nas odwiedziła ze swoją mamusią, dobrze? — spytała Sheila.

—Może wpierw ja pozwolę sobie zaprosić państwa do nas — rzekł Jack. — Chciałbym pokazać panu generałowi konie.

—Bardzo będziemy radzi — odrzekła Sheila z wdziękiem. — Zabawimy tu jeszcze ze dwa tygodnie. Nie miałam pojęcia, że tutejsze okolice są tak śliczne.

—A była pani w Burchester? — spytał Benny.

—Nigdy — odrzekła — ale lord Saltash zaprosił nas do siebie, tak więc zapewne zobaczymy zamek któregoś dnia.

Pan mieszka w Burchester, nieprawdaż?

—Tak, rzekł Benny — jestem tam naczelnym dozorcą. Panna Larpent uważa, że jestem do niczego, ale czynię, co w mej mocy.

—Nigdy nic podobnego nie powiedziałam — zaprzeczyła Toby.

Zarumieniła się i uczyniła ruch, jakby chciała się usunąć, ale Sheila Melrose podeszła do niej z wyciągniętą dłonią.

—Wie pani, panno Larpent — zaczęła. — Ciągle mam / wrażenie, że panią gdzieś już widziałam. Czy nie w Valrosa?

—Och, nie — zaprzeczyła Toby — to wykluczone.

—A jednak tak mi się ciągle zdaje — rzekła Sheila, zastanawiając się. — Czy to nie było przypadkiem na tym balu kostiumowym? Mam wrażenie, że panią widziałam gdzieś... w przebraniu.

—Nigdy! — zaprzeczyła Toby stanowczo. — Musiał to być ktoś inny.

Sheila wciąż jeszcze patrzyła na nią w zamyśleniu. — Zaraz! — zawołała. — Już sobie przypominam. Widziałam kogoś zupełnie podobnego do pani. Kogoś... w ubraniu chłopca.

Toby uczyniła nagły ostry ruch i klasnęła w dłonie. — O, niech pani patrzy! Podano butelkę. Zaraz nastąpi chrzest.

Momentalnie uwaga Sheili została odwrócona. Tłum zafalował. Maud stała przy balustradzie, mając po prawej ręce Saltasha, a po lewej kapitana. — Uniosła butelkę, która zamigotała w słońcu złociście.

Saltash śmiał się. Stał z odkrytą głową, a jego śniade oblicze jaśniało weselem. Wzrok Toby pobiegł ku niemu jak błyskawica i pozostał utkwiony w niego.

Benny, spoglądając na nią w tej chwili, doznał dziwnego wzruszenia. Wydało mu się, jakby nagle ujrzał święty płomień zapalony przed daleką świątynią.

W tej chwili rozbrzmiał głos Maud, jasny i czysty, wymawiający donośnie imię statku, i butla z szampanem zatoczyła łuk w powietrzu i rozbiła się o burtę jachtu.

Podniosły się okrzyki. Butelka pękła i wino iskrzącą się kaskadą trysnęło wzdłuż burt statku.

Benny pochwycił Toby za łokieć i potrząsnął nią gwałtownie. — Już! — zawołał. — Stało się! Płyniemy.

Toby spojrzała na niego oczyma pełnymi dalekich snów. Po chwili jakby się zbudziła pod wpływem jego spojrzenia. Twarz jej ściągnęła się boleśnie; wnet jednak wybuchnęła śmiechem i śmiejąc się, odciągnęła go na bok.

Jacht począł pulsować ruchem. Przerzucono liny na pokład. Zagwizdała syrena i brzeg począł się oddalać przed oczyma gości stojących na pokładzie. Panował dokoła radosny zgiełk. Śmiano się, rozmawiano, powiewano kapeluszami i chusteczkami. Wśród tego wesołego zamieszania Toby nikłym, ale wyraźnym głosem przemówiła do ucha młodego chłopca: — Chodźmy stąd. Idźmy do lorda Saltasha... złożyć powinszowania.

Jej ręka spoczywała na jego ramieniu. Pociągnęła go za sobą, a Benny szedł za nią z wyraźnym uczuciem, że ona czegoś się lęka. Pochwyił ją za rękę i torował z nią sobie drogę przez tłum. Szli w kierunku steru. Saltash stał tam obok Maud. Rozmawiał z nią żartobliwie, gdy nagle ujrzał stojące przed sobą obie młodzieńcze postaci.

Szybko ogarnął spojrzeniem oboje. Niespodziewanym ruchem położył im ręce na ramionach. Śmiał się przy tym, ale jakoś sztucznie, jak śmieje się człowiek chcący zataić ból.

—Przyszedliśmy złożyć powinszowania — zaczął Benny. — Życzyć szczęścia statkowi.

—Dziękuję wam za życzenia, moje dzieci — odparł Saltash z wrodzoną mu, pełną dziwnego uroku królewską łaskawością. — Niech szczęście wam przyświeca. Widzę, że nadchodzi ono dla was.

To rzekłszy odszedł w tłum gości, zamieniając z każdym miłe słowo, a fala śmiechu szła za nim, gdziekolwiek się pojawił. Tylko dwoje młodych u steru pozostało w milczeniu, którego żadne z nich nie miało odwagi zmącić.



## VII. KAPITULACJA

Tej nocy zatoka Fairharbour była niby czarny aksamit, na którym połyskują tysięczne, jarzące się klejnoty. Jacht „Niebieski Księżyc” rzucił kotwicę w samym jej środku. Oświetlony był niezliczonymi lampionami, a z jego pokładu wytryskała co chwila ulewa różnobarwnych rakiet, które niby deszcz ognisty spadały na morze. Na pokładzie przygrywała orkiestra smyczkowa, a subtelne akordy muzyki płynęły po wodzie, niby echa z innego świata, ze świata słodkich melodii i roześmianych głosów.

Toby siedziała u steru niewielkiej łodzi, mając przed sobą jedyne wioślarza. Opuściła rękę na wodę, muskając palcami jej połyskliwą, czarną powierzchnię. Głowę miała odkrytą, a letni wiatr igrał złotymi kędziorami, oplatającymi jej czoło. W przebłyskach rakiet widać było, że jej twarzyczka pełna jest jakiejś dziwnej zgrozy, a szafirowe oczy spoglądają szeroko rozwarte z przerażenia, jak oczy zalekłego dziecka.

Prawie nic nie mówiła, a Benny nie nalegał, by przerwała milczenie. Wiosłując, przyglądał się jej z poważną stanowczością, wrytą na swej chłopięcej twarzy. Zaprosił ją do łódki, jak tylko zaczęła się zabawa na wodzie, i Toby, rzecz dziwna, nie odrzuciła jego zaproszenia, ale jej zalekłe milczenie dziwnie go wzruszało.

Gdy zobaczył, jak drgnęła nerwowo na odgłos pękającej rakiety, pochylił się ku niej troskliwie. — Wyplniemy dalej — powiedział uspokajająco, jak do dziecka. — Tu za wielki hałas.

Skinęła głową, dziękując, a Benny zaczął energicznie wiosłować. — Powiedz mi, kiedy będziemy dość daleko — dorzucił.

Toby jednak uparcie milczała i tak płynęli coraz dalej i dalej, a ich milczenie mącił jedynie rytmiczny szum fal. Pozostawili za sobą gwar i śmiechy i zbliżali się do najdalszego zakątka zatoki. Brzeg wznosił się tu stromo nad wodą i słychać było cichy plusk fal rozbijających się o skały.

Benny odłożył wiosła; dalej już nie można było płynąć. Toby spo-



glądała na niego w blasku gwiazd pytająco i żałośnie.

Pochylił się ku niej z wyciągniętymi rękoma. — Biedna, wystraszona myszko! — powiedział. — Co cię trapi! Myślisz, że nie będziesz ze mną szczęśliwa?

—Myślę, że starałbyś się, żebym nią była — szepnęła ze smutkiem.

Pochwycił obie jej ręce. — Wiesz dobrze, że tak, kochanie — rzekł łagodnie.

Czuł, że ręce jej drżą, że dreszcz ją przebiega od stóp do głów. — Myślisz, że to mi się nie uda? — pytał tkliwie.

—Nie wiem — szepnęła. — Tylko się zastanawiam, czy dobrze wybrałeś, Benny, czy to, czego tak pragniesz, da ci szczęście? Takie już jest życie... — głos jej się załamał i zamilkła.

—Co ty możesz wiedzieć o życiu? — spytał.

Potrząsnęła głową, nie podnosząc na niego oczu. — Och, bardzo wiele... za wiele! — szepnęła.

Benny pozostał chwilę bez ruchu, ale nagle pochwycił ją w ramiona i pociągnął ku sobie. Myślał, że będzie mu się opierała, ale dała mu się przytulić. Tylko jej piersią wstrząsnęło łkanie. Skryła twarz na jego ramieniu, a on przycisnął policzek do jej złotych włosów, ale nic nie powiedział.

Toby łkała cichutko, on zaś gładził w milczeniu jej ramię. Wreszcie z głębokim westchnieniem opuściła głowę na jego pierś i ucichła.

—Toby, serce drogie — zaczął szeptem — chcę ci coś powiedzieć, co zrozumiałem niedawno... czego się domyśliłem. Możesz mi nic nie mówić, nie żądam odpowiedzi, chcę tylko, żebyś wiedziała, że wiem. Jest ktoś inny, kto zajmuje w twym sercu o wiele większe miejsce niż ja... tymczasem. Nie, nie drżysz, kochanie. To nic złego. Wiem, on jest z tych, którym się żadna kobieta nie może oprzeć. Człowiek niezwykły, wiem, sam go zawsze lubiłem i lubię. Ale, słuchaj, miła, nie powinnaś przez niego rozkrwawiać sobie swego najdroższego serduszka. Sama wiesz doskonale, że to na nic, prawda? I wiesz także, w pewnym stopniu, jaki z niego człowiek.

Czekał odpowiedzi, ale Toby milczała i tylko drżała w jego ramionach.

Przygarnął jej głowę do swej piersi. — On się nigdy nie ożeni — mówił dalej. — Powiedział mi to sam któregoś z tych dni. Ale, widzisz,

Toby, on nam obojgu dobrze życzy. Czy nie myślisz — spytał, a jego głos brzmiał nieco żartobliwie — że powinniśmy się już raz zdecydować, choćby dlatego, żeby jemu sprawić przyjemność? Może za jakiś czas sama będziesz zadowolona.

—Och, mój Boże — szepnęła Toby.

—Wiem, że teraz nie jesteś szczęśliwa — mówił Benny dalej — wiem dobrze. Ale będziesz, zobaczysz, przysięgam, że będziesz, jeśli za mnie wyjdiesz. Lubisz mnie troszkę, prawda? I nie bałabyś się zaufać mi?

—Nie — szepnęła Toby, z wysiłkiem wydobywając głos.

—Więc zaufasz mi? — pytał. — Podasz mi swą kochaną rączkę i powiesz, że mi wierzysz? Dobrze, kochanie, dobrze?

Toby milczała.

—Nie chcesz? — spytał stłumionym szeptem.

Jej ramiona opłotły jego szyję. Dyszała szybko, lękliwie. Z oddali dobiegły łagodne akordy muzyki. Fale pluskały o skalisty brzeg, a łódź kołysała się lekko na czarnej toni wodnej.

—Nie chcesz? — powtórzył Benny po długiej chwili. W świetle gwiazd podniosła ku niemu swe oczy. Błyszczały dziwnie i Benny wiedział, że są pełne wielkich łez. Ale nie cofnęła się przed nim, nie odwróciła twarzy przed jego pocałunkiem.

— Będziesz dobry dla mnie, Benny? — spytała szeptem, a jej głos, choć łamiący się, nie miał już w sobie drżenia.

— Będę dobry dla ciebie, kochanie, odpowiedział, z ustami : tuż przy jej ustach — tak mi Boże dopomóż!

## VIII. RÓŻDŻKA CZAROWNIKA

—Nie mogę sobie uprzytomnić, gdzie widziałam tę panienkę — mówiła Sheila, bębniąc nerwowo palcami o poręcz jachtu, z oczyma utkwionymi w migotliwą zatokę. — Uderzająca twarzyczka.

—Widziała ją pani chyba na obrazie — rzekł Saltash niedbale, otrząsając popiół z papierosa. Jest to jedna z tych twarzy, które ubóstwiali mistrzowie włoskiego renesansu i niektórzy ze współczesnych również.

Sheila ściągnęła brwi. — Widziałam ją... w męskim przebraniu — powiedziała. — Czyżby to było na obrazie?

—Tak, na jednym z obrazów Spentoliego. Pokażę pani kiedyś reprodukcję. Obraz nazywa się „Ofiara”. Przedstawia chłopca podobnego do panny Larpent, walczącego z panterą.

Saltash mówił lekkim tonem, a jego oczy niespokojnie błyskały tu i tam zatrzymując się niekiedy na młodej panie. — Tak, to pani utkwilo w pamięci — dodał. — Niepokojący obraz. Nie wiadomo, kto właściwie ma być tą ofiarą. Ale takie właśnie efekty lubi ten Spentoli.

—Wiem, o czym pan mówi — odrzekła Sheila w zamyśleniu. — Tak, jest rzeczywiście pewne podobieństwo. Oczywiście że chłopiec jest ofiarą — dodała, nagle podnosząc na niego oczy. — Nie można o tym wątpić. Zęby bestii są tuż, nad samym jego gardłem. Okropny obraz, moim zdaniem.

Saltash wybuchnął śmiechem. — Czasami może się zjawić wybawca — rzekł lekko — nawet w ostatniej, najgorszej chwili. Czy pani sama nie doświadczyła tego, jak rzadko spełnia się to, czego się spodziewamy?

Usteczka Sheili wydeły się wzgardliwie. — Może lepiej niczego się nie spodziewać.

—Może — powiedział Saltash. — Między ustami a brzegiem pucharu taka jest przecież przepaść! A zresztą, jeśli nawet puchar dosięgnie ust, wino okaże się nieraz tak kwaśne, że niepodobna go wypić.

—Możliwe — odrzekła młoda panna, nie odrywając oczu od zatoki.

—Wie pani — mówił Saltash — że i pani przypomina mi obrazy Spentoliego. Nie wiem, czy jest pani podobna z charakteru do panny Larpent, ale w rysach pewne podobieństwo istnieje.

Sheila zeszywniała. — Zdaje mi się, że się pan najzupełniej myli — rzekła. — Panna Larpent jest osobą impulsywną, ja zaś nie. — Myślę, że starczyłoby pani impulsywności, żeby walczyć z panterą, gdyby na panią napadła — rzekł Saltash niedbale. — A może oczarowały ją pani. To byłoby bardziej w pani stylu.

Znów wyduły się pogardliwie jej usteczka. Po raz pierwszy piękna panna stała się otwarcie impertynencka. — Nie, nie próbowałabym oczarować dzikiej bestii — odrzekła.

—Woli ją pani w stanie dzikości? — odciął się Saltash.

Machnęła ręką, nie spoglądając nawet na niego. — Myślę, że panna Larpent posiada odpowiednią umiejętność w tym kierunku. Ma wrodzony dar czarowania.

—Co za okrutny komplement! — zaśmiał się Saltash.

Sheila nic nie odpowiedziała. Uporczywym wzrokiem ścigała samotną łódź, oddalającą się od wesołego tłumu. Oczy jej były nieruchome i zamyślane.

—Może znała pani kiedyś taką urodzoną czarodziejkę, Rozellę Daubeni? — spytał Saltash.

—Nigdy. Słyszałam o niej, ale nie pragnę jej widzieć. Dlaczego pan o nią pyta?

—Przydałaby się pani taka znajomość. Oto istota mająca dar oczarowania i ludzi, i nawet bestii — rzekł Saltash.

—Awanturnica! — rzekła Sheila wzgardliwie.

—Tak, przyznaję. Ale jedna z najniezwykleszych. Występuje teraz w Paryżu. Kiedy przyjedzie do Anglii — tu wzrok jego spoczął na niej z wyzwaniem — zapoznam ją z panią. Wiele się może pani od niej nauczyć.

—Dziękuję — rzekła Sheila oschle.

Roześmiał się na głos i przyjaźnie wyciągnął do niej rękę. — Żartowałem tylko. Niech się pani nie gniewa. Za wszystko złoto Ofiru nie zapoznałbym z nią pani. Jest do gruntu zepsuta... zanedto zepsuta, nawet dla mnie, a to wiele.

—Czemu więc wspomniał pan o niej? — spytała Sheila. — Co ją panu nasunęło na myśl?

Jego wzrok padł na łódkę, która teraz zbliżała się znów do jachtu. Długo nie odpowiadał.

—Mam skłonność do skojarzeń — rzekł. — Pani, mówiąc o istotach z wrodzonym darem czarowania, nasunęła mi ją na myśl. Przebiegłem w pamięci wszystkie urodzone czarodziejki.

—Wszystkie podobne do Rozelle albo do Toby? — spytała Sheila ze złośliwym śmiechem.

Puścił jej dłoń. — Tylko jedną znałem Rozelle i jedną Toby — rzekł. — To może stanowi istotę ich czaru, ale niech ich pani nie zestawia razem nawet na chwilę. Córka naszego kapitana jest niewątpliwie urodzoną czarodziejką. Tak myśli w każdym razie młody Benny Brian. Ale awanturką nie jest... i nigdy nie będzie.

—Benny ją lubi, naprawdę lubi? — spytała Sheila.

Saltash skinął głową. — Oczywiście. Dobry z niego chłopak.

Mam nadzieję, że ją zdobędzie.

—Och, nie myślę, żeby ona miała odmówić — rzekła Sheila, odwracając głowę w stronę morza.

Łódka znikła z ich oczu, okrążając jacht. Wielka rakietka wystrzeliła ku niebu i rozbłysła fioletowym światłem. Była to już ostatnia; zabawa dobiegała końca i goście tłoczyli się na pokładzie. Orkiestra przygrywała jakąś skoczną melodię, a kilka głosów podchwyciło ją, nucąc słowa popularnej piosenki.

Saltash zwrócił się do swej towarzyszki. — Idziemy teraz na kolację „Pod Kotwicę” rzekł. Muszę poprosić panią Bolton, żeby dała sygnał wyruszenia. Biedny Jack nudzi się śmiertelnie, ale bohatercko wytrzymuje nudę.

—Czy pan Bolton jest pańskim przyjacielem? — spytała Sheila. — To jest, bliskim przyjacielem?

Saltash skrzywił się drwiąco. — Nie myślę. Zna mnie może lepiej niż inni, oto wszystko. Niech go pani spyta.

Zbliżyli się do tłumu pozostałych gości. Scena była kolorowa jak w bajce. Tęczowe chińskie latarnie, barwny, strojny, roześmiany tłum, biały, cudny jacht, kołyszący się lekko na fali. Wszyscy ożywieni i weseli, ani jednej chmurnej twarzy nie było widać wśród uczestników zabawy.

—Gdzie Toby? — spytała Maud, stojąca obok Jacka, i rozejrzała się dokoła z niepokojem.

—Jest bezpieczna — rzekł Jack. — Pojechała łódką z Bennym.

—Tak dawno pojechali i nie wrócili do tej pory? — niepokoila się Maud. — Dziwna rzecz, jak mało kapitan Larpent interesuje się swoją córką.

—Bardzo dziwna — potwierdził Jack.

Larpent przez cały wieczór trzymał się z dala od towarzystwa; tego rodzaju przyjęcia były dla niego udręką.

Maud rozejrzała się za nim, ale nie dostrzegła go nigdzie. Rzuciła okiem w stronę już opustoszałego pomostu i z jej ust wyrwał się okrzyk zadowolenia. — Otóż są nareszcie! — zawołała.

—Oto Kopciuszek i Królewicz! — powiedział drwiący głos za nią.

Obejrzała się i zobaczyła tuż za sobą śniade oblicze Saltasha. Jego niesamowite oczy zabłyśły przekornie.

—Widzi pani, jaki ze mnie czarodziej. Wystarczy, żebym skinął swoją różdżką, a oto się zjawiają.

Przeniosła oczy z niego na nadchodzących. Szli pomostem na jacht. Wielkie szafirowe oczy Toby były szeroko otwarte, jak oczy dziecka świeżo zbudzonego ze snu. Benny szedł tuż za nią i coś jej szeptał do ucha. W całej jego postaci malował się triumf.

Saltash mówił coś do nich, ale co, tego Maud nie słyszała. Widziała tylko, że ujął rękę jej brata i rękę Toby i połączył ich dłonie. Toby podniosła oczy na niego. Uśmiechała się, ale wargi jej drżały i serce Maud ścisnęło się litością, choć sama nie wiedziała dlaczego. Głęboko pragnęła podejść w tej chwili i utulić Toby w swoich ramionach.

Po chwili usłyszała śmiech Toby i znowu głos Saltasha. — Te rzeczy zdarzają się tylko przy niebieskim księżycu, *ma chérie* — mówił. —Daję wam obojgu moje błogosławieństwo dziś już po raz drugi. Życzę wam większego szczęścia, niż sam kiedykolwiek zaznałem.

Rzucił przekorne spojrzenie w stronę mostku i Maud ujrzała tam wysoką postać kapitana Larpenta.

Lord prowadził oboje młodych ku niemu, a tłum gości rozstępował się przed idącymi.

Toby szła pomiędzy lordem a Bennym, bardzo blada, ale uśmiechnięta. Uśmiech ten dziwnie przypominał Maud uśmiech dziecka, które chce stłumić łzy.

—Och, biedactwo! — szepnęła, przyciągając Jacka do siebie.

—Wszystko będzie dobrze — odparł Jack z przekonaniem. — Nie



martw się! Benny jest porządnym chłopcem.

—Och, tak, wiem, ale ona jest taka młoda! — Cała tkliwość matki była w głosie Maud. — Czy ona go kocha? Czy go kocha?

Jack uśmiechnął się do niej i ścisnął jej dłoń. — Może nie tak, jak my rozumiemy miłość — rzekł. — Ale taka miłość nie od razu przychodzi.

Uśmiechnęła się do niego, bo nie mogła inaczej, choć jej serce mroził niepokój. — Czasami... nie przychodzi wcale — szepnęła.

TLR



## IX. OSTRZEŻENIE

Toby stała się dziwnie spokojna i zrównoważona od dnia swych zaręczyn. Od czasu do czasu zabłysnął w jej oczach wyraz dawnego przeżycia, ale wybuchy nagłego gniewu nie zdarzały się już nigdy. Maud była pewna, że gdyby miała coś na sercu, zwierzyłaby się jej albo Jackowi. Zaczęła wierzyć w dobry wpływ brata na nią, bo w obecności Benny'ego Toby była zawsze spokojna i wesoła. Widywali się co wieczór. Benny przychodził po skończonych zajęciach, kiedy dzieci już spały i Toby miała czas wolny. Maud patrzyła, jak się przechadzali po ogrodzie w towarzystwie Topa, i uśmiechała tkliwie na ich widok. Wierzyła, że Toby zdobędzie szczęście i życzyła jej tego całym sercem.

Saltash nie zjawił się więcej tego lata. Odpłynął w podróż nowym jachtem jedynie w towarzystwie kapitana Larpenta. Nie wiadomo było ani dokąd pojechał, ani kiedy wróci.

Dni płynęły; generał zamierzał wyjechać do Szkocji. Jack pojechał na jakieś bardzo ważne wyścigi do Irlandii, i zdawało się, że jego zamiar pokazania generałowi swoich koni spełźnie na niczym.

Któregoś dnia w Fairharbour po wyścigach Sheila spotkała Benny'ego. — Już chyba nic nie będzie z naszych odwiedzin w Graydown — powiedziała. — Pojutrze wyjeżdżamy.

—Pojutrze? — zdziwił się Benny. — Jak czas płynie! Może by pani jeszcze jutro zechciała wpaść do Maud po południu?

—Czy nie należałoby wpierw zapytać jej o pozwolenie? — spytała Sheila.

—Och, nic podobnego! — zaśmiał się Benny. — Będzie uszczęśliwiona. Ona i Toby stale są w domu. Kiedy się mamy pani spodziewać?

—Będę jutro po południu, jeśli nie przeszkodzę pańskiej siostrze.

—Wykluczone! — zapewniał Benny. — A w Burchester pani była?

—Owszem. Lord Saltash zaprosił nas kiedyś na śniadanie. Strasznie ponuro w tym zamku!

—Cudowne miejsce! — zawołał Benny. — Dziwię się, że Charlie nie docenia go dostatecznie i tak rzadko tam bywa.

—Ciekawa jestem, gdzie pan zamieszka, kiedy pan się ożeni? — rzekła Sheila.

Benny zarumienił się z lekka. — Och, jeszcze termin naszego ślubu nie jest ustalony, ale mam nadzieję, że po ślubie pozostanę na swoim stanowisku.

—Ach, tak? — spytała. — A panna Larpent co na to?

—Nie wiem, co mogłaby mieć przeciwko temu — rzekł Benny. — Sama lubi wieś, przepada za konną jazdą i tak dalej. Nie zniosłaby pobytu w mieście.

—Doprawdy? — spytała Sheila niedowierzająco.

—Oczywiście! — oburzył się Benny. — Jest bardzo młoda, prawie jeszcze dziecko. Nie znosi miasta i nie cierpi przyjąć.

—Tak pan myśli? — spytała Sheila uśmiechając się spokojnie. — Nie wiem, dlaczego miałyby tak być. Jest bardzo ładna, nieprawdaż? A ładne panny przeważnie nie mają ochoty dać się zakopać w zapadłym kącie, nie wypróbowały wprawdzie swych skrzydeł... a potem także nie zawsze.

—Och, myśli pani, że ona tutaj się nudzi! — zawołał Benny, ciągle jeszcze zagniewany.

—Ależ nie, oczywiście. Pan wie najlepiej, jakie są jej upodobania. Dziwię się tylko, że Maud nie pomyślała o zapewnieniu jej choć jednego sezonu balowego w stolicy. Byłoby to zacne z jej strony, jak pan myśli?

—Nie wiem — rzekł Benny zwięźle. — Maud nie przepada za miastem. I Tobie lepiej się czuje tutaj.

Sheila wybuchnęła śmiechem. — Och, boi się pan, żeby się Panu nie wymknęła, kiedy lepiej pozna świat?

—Nie boję się — rzekł Benny ze ściągniętymi brwiami. — Nawet nie pomyślałem o tym. Ale nie chciałbym, żeby się stała zbyt doświadczona i przemądrzała. Całym jej urokiem jest, że jest właśnie taka jak teraz.

—Och, ona ma wiele uroku — rzekła Sheila i znów jej brwi zbiegły się w zamyśleniu. — Żebym też sobie mogła przypomnieć, do kogo ona jest podobna! Najgorzej, jak się ma tak licznych znajomych.

—Nie jest podobna do nikogo ze znanych mi osób — rzekł Benny wstając. — Muszę już pożegnać panią. Oczekujemy pani jutro po południu i pana generała również. Uprzedzę Maud i sam będę w Graydown.

—Myśli pan, że naprawdę nie sprawimy kłopotu pańskiej siostrze? —

spytała Sheila podając mu rękę.

—Ależ naturalnie! Maud będzie uszczęśliwiona. A więc jutro o trzeciej! Do widzenia!

Uśmiechnął się swym miłym chłopięcym uśmiechem i odszedł. Gdy jechał do Boltonów małym, dwuosobowym samochodziem rządu, spotkał Toby na łąkach pogranicznych. Przypomniały mu się słowa Sheili. Zaprosił Toby do samochodu i od razu poruszył temat, który go dręczył.

—Wiesz, co mówi Sheila Melrose? — zaczął. — Że powinnaś spędzić przynajmniej jeden sezon w Londynie, zanim się pobierzemy. Co ty na to?

Toby spojrzała na niego szeroko otwartymi ze zdziwienia oczyma. — Co, u licha ciężkiego, panna Melrose ma do mnie? — spytała.

Roześmiał się krótko. — Nic, oczywiście. Po prostu takie jest jej zdanie. Uważa, że jesteś za ładna, żebyś się dała zakopać na prowincji, zanim spróbujesz swoich skrzydeł.

—Skrzydeł? — powtórzyła Toby i cofnęła się, przerażona samą tą myślą. — Wiesz, że nie zniosłabym czegoś podobnego.

Przyciągnął ją do siebie. — Naturalnie i ja też. Nie cierpię świata i wszelkich takich głupstw. Ale, widzisz, jesteś bardzo ładna i nie chciałbym uczynić nic... co by było z krzywdą dla ciebie.

—Bajki! — rzekła Toby.

Pochylił się nad nią. — Czy zaczynasz... lubić mnie trochę? — spytał.

Roześmiała się, zarumieniła i wsunęła rękę w jego dłoń. — Wolisz wyjść za mnie, niż spróbować w Londynie, czy znajdziesz sobie kogoś odpowiedniejszego? — pytał dalej.

— Och, wolę — rzekła Toby. — Widzisz, nie cierpię Londynu.

—A mnie? — spytał Benny, a jego ciemne oczy spoglądały przymilnie.

Opuściła powieki i milczała. — Powiedz, kochanie! — prosił. Toby potrząsnęła głową. — Mówmy o czymś innym — rzekła.

—Dobrze! — odparł Benny zuchwale. — Mówmy o naszym ślubie. Czas o tym pomyśleć.

—Och, nie miałam tego na myśli — zaprzeczyła Toby żywo.

—Za to ja ciągle o tym myślę — rzekł Benny. — Czy wiesz, że stary Bishop przenosi się do Fairharbour i że będę zupełnie sam. Okropnie

smutno mieszkać samotnie, wiesz, kochanie.

—Jeszcze tego nie próbowałeś — zauważyła Toby.

—Nie, ale wiem, jak to będzie wyglądało — odparł Benny z przekonaniem.

Toby wybuchnęła śmiechem. — Nie będziesz miał z kim rozmawiać, naturalnie. Czemu nie zakochałeś się w Sheili Melrose?

—A czemu miałbym się w niej zakochać? — rzucił Benny dość ostro.

Spojrzała na niego figlarnie. — Jest ładna, dobrze wychowana, pełna wdzięku, a przy tym zamożna. Byłaby bardzo odpowiednią partią dla ciebie.

—Nie gadaj głupstw! — przerwał jej Benny z nagłym uniesieniem.

Jego ramię zacisnęło się dokoła niej, ale Toby uczyniła nagły ruch, żeby się wyswobodzić. — Wiesz, że nie mówię głupstw. Wiesz... doskonale... że gdybyś nie poznał mnie... wcześniej... byłbyś się na pewno... zakochał w niej!

Mówiła głosem urywanym, zdyszany, jak zwykła to czynić, gdy była poruszona. Odwróciła głowę, by nie mógł zobaczyć jej oczu. Benny jednak nie znosił oporu.

—Czemu to powiedziałaś? — spytał nachylając się nad nią, Próbując spojrzeć jej w oczy. — Czy przypadkiem... nie przez zazdrość?

—Och, nie! — zawołała Toby żarliwie. — Nie, nie!

—Więc dlaczego? Nie lubisz jej? — pytał.

Policzki Toby pałały. — Ona mnie nie lubi — szepnęła.

— Och, mylisz się! Każdy ciebie lubi.

Toby potrząsnęła głową. — Ona nie. Uważa, że jestem źle wychowana i ma słuszość. Uważa również, że próbowałam ciebie złapać i że mi się to powiodło.

—Nie! To brednie! — zawołał Benny. — Jest porządną dziewczyną i byłaby bardzo miła dla ciebie, gdybyś jej dała okazję.

—Wiem, że ją polubiłeś. Jest ładna i wytworna, dużo bardziej w twoim typie niż ja. Czemu się jej nie oświadczysz? Nie dałaby ci kosza.

Oczy młodego chłopca zabłysły gniewem. Pochwycił ją za ramiona, jakby chciał nią potrząsnąć.

—Toby, przestań! — zawołał. — Za wiele sobie pozwalasz! Co ci ona zrobiła?

—Nic — rzekła Toby, cofając się przed nim. — Nie zna mnie prawie.

Po prostu instynktownie mnie nie lubi. Za to lubi ciebie i niechętnie spogląda na twoje małżeństwo ze mną. I nie myśl... nie myśl... — tu zająknęła się — że mówiła o tym sezonie w Londynie przez wzgląd na mnie.

—A przez jakież inny wzgląd? — spytał Benny surowo.

Toby śmiała się, ale w jej śmiechu była rozpacz. — Jakież z ciebie żółtodzióbek! — zawołała. — Czy naprawdę muszę ci powiedzieć?

—Tak, mów, słucham! — rzekł przez zaciśnięte zęby i mocno trzymał ją za rękę. Wiedział, że z chwilą, gdy ją puści, Toby ucieknie od niego.

—Mów! — powtarzał. — Nie puszcę cię, dopóki mi nie powiesz.

—Myślisz, że się ciebie boję? — spytała Toby zuchwale.

—Myślę, że mi odpowiesz — odparł, a jego głos brzmiał groźnie. Patrzył jej prosto w oczy, bez gniewu, ale bez litości. — Powiesz mi, jakim innym względem kierowała się panna Melrose, jeśli nie życzliwością dla ciebie?

Był blady, ale panował nad sobą. Może nauczył się od Jacka tej wielkiej mądrości, że kto chce rządzić innymi, musi siebie mieć w mocy. W oczach Toby zamigotało uznanie. Wyprostowała się i śmiało zmierzyła się z jego spojrzeniem.

—Powiem ci ostatecznie — rzekła. — I tak usłyszysz to od innych, wcześniej czy później. Powiedziała ci dlatego, że ona wie, i chciała, żebyś ty wiedział, że z takimi jak ja nie należy się żenić.

Była blada, gdy wypowiedziała te słowa, ale głowę miała hardo uniesioną.

Benny stał bez ruchu i wpatrywał się w nią bezradnie. Czynił wrażenie oszołomionego. — Jak to... co chcesz przez to powiedzieć? — spytał wreszcie.

Toby roześmiała się krótko. — Och, co ci mam wyjaśniać? po prostu uważa, że zanadto mogę się podobać, oto wszystko, nie wiem, skąd jej to przyszło do głowy, prawda, Benny?

Dawny wyzywający urok był znów w jej głosie i spojrzeniu. Wtuliła się w ramiona młodego chłopca niby drobne stworzonko szukające bezpiecznego schronienia. Dyszała jeszcze lekko po tej walce, jaką z nim stoczyła przed chwilą.

—Ach, ty przekorne stworzenie! — zawołał z uczuciem jakiejś niewymownej ulgi, które chwilowo przysłoniło wszystkie inne uczucia. —

Kpisz sobie ze mnie! Zobaczysz, zapłacisz mi za to jeszcze!

Zaczął okrywać gorącymi pocałunkami jej twarzyczkę i z wolna rumieniec wrócił na blade policzki Toby. W oszołomieniu swej młodej miłości młody chłopiec zapomniał chwilowo o wszystkim innym. Dopiero później przypomniał sobie jej dziwną bladość, jej ostrzeżenie, z takim trudem wydzierające się z jej ust, jej dziwną postawę samoobrony, i doznał uczucia, że jednak Toby i tym razem mu się wymknęła.

TLR



## X. TAJEMNICA

Był późny wieczór, gdy Benny z papierosem w ustach przechadzał się po ulubionej alei modrzewiowej w parku burchesterskim. Słowa Sheiii Melrose zaniepokoiły go nie mniej niż komentarze, jakie Toby do nich poczyniła. Miał wyrobione poczucie sprawiedliwości i zastanawiał się poważnie, czy nie wyrządza krzywdy swej narzeczonej. Nie że była tak młoda, ale coś nieuchwytnego w jej oczach, coś równie nieuchwytnego w tonie słów Sheili sprawiało, że zastanawiał się głęboko, czy nie byłoby lepiej dla Toby, gdyby jeszcze zaczekali oboje.

Żałował, że nie mógł porozmawiać o tym z Jackiem, ale Jack niestety wyjechał i wcześniej niż za tydzień nie miał wrócić.

Przyszedł mu na myśl ojciec Toby, ale tę myśl odegnał. Kapitan Larpent przebywał daleko, a zresztą gdyby nawet tu był na miejscu, nie można by z nim o tym mówić. Niewiele się interesował córką; więcej go obchodził jacht niż ona.

Benny nabrał przekonania, że życie bywa nieznośnie skomplikowane. Wśród tych rozmyślań doszedł do końca alei i przystanął na skraju parku. Doleciał go zapach cygara, wyraźnie zagłuszający zapach jego własnego, dogasającego już papierosa.

Wyjął papierosa z ust i rozejrzał się dokoła.

— Halo — przemówił głos dobrze mu znany. — Przeszkadzam?

Z cienia modrzewi wyszedł nagle Saltash i zmierzał ku niemu z wyciągniętymi rękoma.

— Halo! — powiedział Benny powitalny uśmiech rozjaśnił jego rysy, a Saltash odpowiedział mu uśmiechem i mocno uścisnął jego dłoń.

—Co tu robisz? — spytał.

—O to samo chciałem spytać ciebie — rzekł Benny. — Myślałem, że jesteś daleko na morzu.

Saltash roześmiał się. — Byłem, ale cóż? „Niebieski Księżyc” zaszwanował, coś się popsulo w maszynach. Nic poważnego, ale trzeba było wracać i naprawić. Nigdy nie wiadomo, co się może przydarzyć w pierwszej podróży. Byłem także ciekaw dowiedzieć się, jak sprawy stoją. Wszystko w porządku?



—Mniej więcej — rzekł Benny.

Saltash ujął go przyjaźnie pod ramię. — Ustaliliście już z Nonette termin waszego ślubu?

Benny momentalnie zeszytywniał. Jakiś instynkt mówił mu, żeby się miał na baczności. Ale wnet wróciło zwykłe impulsywne zaufanie. — Mniej więcej tak — odrzekł. — Ale zastanawiam się, czy ona nie jest za młoda na małżeństwo. Tak niewiele zna świat do tej pory. Czy nie myślisz, że to dość krzywdzące dla niej wydać się za męża, zanim dane jej będą te szanse, jakie przysługują innym młodym pannom?

—Ależ skąd? — spytał Saltash. — Skąd ci coś podobnego przyszło na myśl?

Benny zarumienił się mocno. — Sheila Melrose podsunęła mi tę myśl, choć szczerze mówiąc, sam coś podobnego czułem. Jest tak młoda, zna tak niewiele ludzi. Czyż to nie jest wyzyskaniem mojej chwilowej przewagi?

—Życie jest za krótkie na tego rodzaju skrupuły — rzekł Saltash. — Żeń się, póki możesz i nie rób osła z siebie. Gdybym ja to samo uczynił w młodości, czułbym się dziś lepiej, niż się czuję.

Benny uśmiechnął się z lekka. — Prawdopodobnie żałowałbyś, żeś nie pozostał kawalerem — rzekł.

—Dużo się na tym znasz! — zaśmiał się Saltash. — Ale wracając do twoich spraw, przyjechałem tu właśnie P° to, żeby dopilnować waszego ślubu. A te wszystkie zawracania głowy nie mają sensu. Nie masz na co czekać. Larpent się zgadza i nawet powiada, że im wcześniej, tym lepiej.

To do niego podobne — zauważył Benny z odcieniem gorczy.

—Tym lepiej dla ciebie — mówił Saltash. — Larpent nie przywykł do życia rodzinnego, przywiązany jest do swego zawodu, ale to jeszcze nie powód, żebyś się krzywił na niego.

—Ależ nic nie mówię przeciwko niemu! — zaprzeczył Benny.

Saltash roześmiał się i poklepał go po ramieniu. — Słuchaj — rzekł. — Nie zawracaj sobie głowy różnymi radami, a w szczególności radami Sheili Melrose. Żeń się i już. Masz własny kapitał, wiem, ale mam nadzieję, że z tej racji nie rzucisz swego zajęcia. Pozostań przy nim, a zamieszkasz sobie tymczasem w białym pałacyku, w parku, a kiedy zamknę oczy, w zamku burchesterskim.

—Co? — zawołał Benny ze złością. — Przestań, Charlie, nie pleć. Nie chcę twego przeklętego zamku. Sam się ożeń i postaraj o spadkobiercę. Niech mnie diabli porwą, jeślibym miał przyjmować od ciebie jakiś spadek!

Saltash roześmiał się niedbale, drwiąco, ale była w nim w tej chwili taka królewska pewność siebie, że i Benny ją odczuł. — Zrobisz, jak ci mówię, *mon ami*. I przyjmiesz bez targów, co ci bogowie zsyłają. Nigdy nie będę miał spadkobiercy z własnej krwi. Jesteś przywiązany do tej ziemi więcej niż ja i dlatego po mojej śmierci Burchester przejdzie w twoje ręce. Myślę, że będziecie tu szczęśliwi oboje z Toby.

—Do licha! — krzyknął Benny. — Tak mówisz, jakbyś zamierzał jutro umrzeć.

—Och, nie tak zaraz — rzekł Saltash lekko — ale w każdym razie późnej starości nie dożyję. Zresztą życie jest dość głupią historią, kiedy się zakosztowało wszystkiego i w niczym nie zasmakowało. Ale ty nigdy tak się nie będziesz czuł, *mon ami*. Nauczyłeś się kroczyć prostą drogą, chyba od Jacka, prawda? I dziękuj losom, że dały ci jego za szwagra, zamiast mnie.

—Nie pleć bredni — mruknął Benny szorstko.

Saltash rozpostarł ramiona ze śmiechem. — Mówię rzeczy rozsądne i trzeźwe — rzekł. — Mam nadzieję, że zatrzymasz swoje obecne stanowisko. Jutro pójdziemy i obejrzymy pałacyk. Jest niezłe położony, z widokiem na Graydown. To powinno się podobać wam obojgu.

Benny odwrócił się. — Ech, zostaw, Charlie. — Nie mogę o tym mówić. Nie mogę tego od ciebie przyjąć. Nie zasłużyłem na coś podobnego.

— Owszem — zaprzeczył Saltash. — Byłeś mi zawsze wiernym przyjacielem od najmłodszych swoich lat. Zawsze trzymałeś moją stronę, prawda?

— Ech, to wszystko bajki — rzekł Benny. — Człowiek powinien trzymać z tymi, których lubi.

—Nawet wiedząc, że nie są tego warci? — spytał Saltash. — i to właśnie w tobie lubię, choć nie jestem pewny, czybyś nadal trzymał moją stronę, gdybyś wiedział, jak do gruntu jestem zgniły i zepsuty.

—Przestań bajać — rzekł Benny.

—**Bien, mon Cher!** Wracamy do twoich spraw. Daliście już na zapo-

wiedzi? Mam nadzieję, że mnie zaprosisz na drużbę? Pośpieszcie się, bardzo proszę; nie mogę tu siedzieć bez końca, jestem zaproszony do Szkocji na polowanie. Mogę ci dać urlop na całą zimę. Bishop poradzi sobie bez ciebie przez ten czas. A Maud zajmie się umeblowaniem dla was dworu. W ten sposób znów będę mógł swobodnie włóczyć się po świecie.

—Jesteś za dobry dla mnie! — rzekł Benny.

—Myślisz? Ostatnio zaczynam nabierać upodobania do chwalebnych uczynków. Uważam, że nie ma powodu, żebyście mieli zwlekać. Pomówię dziś z Larpentem, a jutro mógłbym się porozumieć z pastorem. Zobaczysz, że Nonette nie będzie stawiała oporu. Dobre z niej dziecko i słucha starszych.

—Owszem, Toby się zgodzi — rzekł Benny, wspomniawszy jej tak niespodzianie szybką kapitulację. — Na Jowisza, Charlie! Jak ty umiesz wszystko szybko załatwiać.

—Och, możesz na mnie liczyć pod tym względem — zaśmiał się Saltash — Nie lubię marudzenia. Życie jest za krótkie. A więc zobaczymy się jutro. Przyjdź na obiad i powiedz mi, co załatwiłeś. Dobranoc! — Odwrócił się i nagle, ze zwykłą swą nieobliczalnością zaczął się oddalać. — Wszystkiego najlepszego wam życzę! — zawołał jeszcze i znikł w cieniach parku.

Benny spoglądał za nim długi czas, chmurny i zamyślony. Nigdy nie rozumiał Charliego, choć, rzecz dziwna, zawsze w niego wierzył. Dziś jednak po raz pierwszy poczęły się Wykluwać w jego umyśle jakieś nieokreślone wątpliwości, które odeгнаły wszelką radość z tak szybkiego spełnienia jego żarzeń. Dlaczego Charlie tak nagle wrócił? Czemu tak mu zależało na tej sprawie? Czemu okazał się tak wspaniałomyślny?

Benny miał uczucie, że coś się za tym kryje, że Charlie kieruje się jakimiś ukrytymi motywami, których on, Benny, nie pochwałaby, gdyby się o nich dowiedział. Wiele dałby za to, by móc je przeniknąć. Niepodobne to było do Saltasha takie gorliwe zajmowanie się cudzymi sprawami. Benny miał uczucie, jakby go oszukiwano.

Odeгнаł od siebie tę uporczywą myśl, ale na próżno, wciąż wracała. Tak, jak poczuł się zbity z tropu przez Toby, tak również czuł się niezdolny do przeniknięcia Saltasha. Czuł, że jest jakaś tajemnica, do któ-

rej nie może odnaleźć klucza. I znów pożałował, że Jacka nie ma w pobliżu.

Zawrócił wreszcie do domu, nieswój i niezadowolony, urągając sobie od głupców za doszukiwanie się jakichś nie istniejących tajemnic.

TLR

## XI. PODEJRZENIE

Stadnina Jacka była prowadzona wzorowo, i Benny czuł się dumny, ilekroć wypadało mu pokazać ją znajomym. Tym razem jednak ze szczególną jakąś niecierpliwością oczekiwał przybycia generała Melrose z córką. Przyjechał wcześniej, myśląc, że będzie mógł pomówić jeszcze z Toby, ale jej nie zastał. Dowiedział się od Maud, że wyjechała na konną przejażdżkę i Benny był zły na nią w pierwszej chwili, ale uprzytomnił sobie, że jej nic nie wspomniał o zapowiedzianej wizycie Melrose'ów.

Będzie musiał poczekać, aż oboje wyjdą, żeby pomówić z narzeczoną o dziwnej gorliwości Saltasha w przyśpieszeniu ich ślubu. Nigdy jeszcze nie czuł się gorzej usposobiony do zabawiania gości, jak tego wrześnieowego popołudnia, gdy oczekiwał ich przybycia u wrót stajen. Lubił Sheilę Melrose, ale właśnie z tego powodu dziwnie przykra mu była myśl o zobaczeniu się z nią teraz. Obawiał się jej szczerzej i miłej bezpośredniości. Słowa Toby uparczywie tkwiły w jego pamięci i nie dały się odegnąć.

„Lubi ciebie i niechętnie spogląda na twoje małżeństwo ze mną”. Uprzytomnił sobie, że te słowa nie były rzucone na wiatr. Był przekonany, że intuicja Toby była trafna, że Sheila naprawdę uważała jego wybór za chybiony. Nie wyobrażał sobie, żeby ona sama żywiła dla niego uczucie inne niż zwykłą przyjaźń. Benny nie był pod tym względem próżny.

Był przyjaźnie usposobiony do Sheili, ale jego miłość do Toby, cudowna, pierwsza miłość chłopięca, przepelniała całą jego świadomość. Toby była tak urocza, tak różna od wszystkich innych dziewcząt. Z każdym dniem bardziej ulegał jej czarowi.

Sheila jednak niechętnie spoglądała na jego narzeczeństwo i czuł się zły na nią. Miała prawo myśleć, co jej się podobało, ale mogła zachować to dla siebie. Pomiedzy despotycznym dążeniem Saltasha do

przyśpieszenia ich ślubu a niedopowiedzianym pragnieniem Sheili, aby go odwlec, czuł, że drogi jego przeznaczenia dziwnie się komplikują.

Pragnął zobaczyć się z Toby i był niezadowolony, że jej nie zastał, ale gdy usłyszał warkot zbliżającego się samochodu swoich gości, doznał nagle niewyjaśnionego uczucia ulgi, że jej nie ma. Toby przecież źle się czuła w ich towarzystwie. Miał wrażenie, że generał z córką spoglądają na nią krytycznie, więc tym lepiej, że jest sam. Postanowił jak najprędzej pokazać im wszystko, co było godne widzenia, i pozbyć się gości.

Sheila w ślicznej letniej sukience wyglądała bardziej uroczo niż kiedykolwiek, co Benny zauważył wbrew swej woli. Sam również nie wiedział, jak i kiedy rozproszyło się uczucie żalu, jakie do niej żywił przez chwilą. Wdzięk Sheili nie płynął wyłącznie z jej urody. Miała wrodzony takt i tę delikatność obejścia, którą zdobyć można jedynie przez wyrobienie w obcowaniu z ludźmi. Miała dar ośmielania nieśmiałych, sprawiając, że każdy od pierwszej chwili poznania czuł się z nią tak, jakby ją znał od dawna.

Prędko przywróciła dobry humor młodemu chłopcu i bez wysiłku nawiązała przyjazną nić, jaka się między nimi zadzierzgnęła, nie okazując, że odczuła w nim jakąkolwiek niechęć na samym początku ich rozmowy. Benny pokazał swoje ulubione konie i opowiadał o nich z takim zapalem, jakiego by się wcale po sobie nie spodziewał jeszcze przed chwilą. Czas płynął szybko i dopiero uprzytomnił sobie, jak jest późno, gdy na stojącym zegarze wybiła piąta.

—Maud od dawna czeka na nas z herbatą — rzekł. — Proszę, niech państwo zechcą teraz pójść do nas.

Sheila uśmiechnęła się i przyjęła zaproszenie. — Chcielibyśmy pożegnać państwa Bolton przed wyjazdem — powiedziała.

—Jack, niestety, wyjechał; wróci dopiero za tydzień — wyjaśniał Benny.

—Szkoda, że go nie zastaliśmy — rzekł generał. — Niech mu pan powie ode mnie, że jestem zachwycony jego końmi. Dziwię się tylko, że Saltash wyrzekł się tak niezrównanej stadniny.

—Rzadko kiedy bywa w domu — rzekł Benny. — Przeważnie podróżuje swoim jachtem. Ale nie wiem, czy państwo słyszeli, że właśnie wrócił. Jest teraz na zamku.



—Nie może być? — zawołała Sheila. — Myślałam, że wybiera się w dłuższą podróż.

—Jego zamiary nie trwają nigdy dłużej niż parę dni — zauważył generał cierpko. — Nie ma się czemu dziwić.

—Porządny chłop z niego — oświadczył Benny. — Był niesłychanie zacny dla mnie. Przecież... — urwał nagle. — Halo! Oto właśnie on i Toby.

Dwie postacie ukazały się nagle zza zakrętu. Oboje, Saltash i Toby, byli ubrani w stroje do konnej jazdy, ale z powodu upału Toby zrzuciła swój długi żakiet i przewiesiła go sobie przez ramię. Wyglądała jak zabawny mały kowboj w swej bluzce rozpiętej u szyi, w krótkich spodniach i w miękkim słomkowym kapeluszu, czupurnie zsuniętym na baki.

Śmiała się, a jej towarzysz śmiał się również. Szedł przy niej z tą swobodną, nieświadomą królewskością, która zjednała mu przydomek „Rex”. Byстрым swym wzrokiem zauważył nadchodzących gości i uchylił kapelusza szerokim, dostojnym a swobodnym gestem powitania.

Toby zarumieniła się mocno na widok obcych. Wyglądała przez chwilę, jakby chciała uciec. Zaraz jednak pohamowała się, uśmiech wrócił na jej twarz. Odrzuciła głowę zuchwale i szła naprzód śmiałym krokiem, uderzając szpicrutą o wysmukłe nogi obute w sztylpy.

Benny na ten widok ściągnął brwi. Podbiegł do niej.

—Wyglądasz jak panna z operetki — rzekł impetycznie, nie witając się z nią wcale. — Czemu zdjęłaś żakiet!

—Bo tak chłodniej! — odparła Toby wykrzywając się brzydko. — Możesz go nieść, jeśli chcesz. — Rzuciła mu okrycie niedbałym ruchem i zwróciła się do Sheili. — Zwiedzali państwo stajnie? Straszny upał, prawda? Właśnie ujeżdżałam jednego z trzylatków. Próbowалаm skoków.

—Nie powinnaś była — wtrącił Benny. — To nie jest bezpieczne.

Toby obróciła się ku niemu z błyskawicą gniewu w oczach. — Nikt cię nie pytał o zdanie. Sama wiem, co jest bezpieczne. Idziemy na herbatę, panno Melrose? Zapewne jest pani spragniona. Co się stało?

Ton jej zmienił się nagle, jakby ją coś przeraziło. Sheila przyglądała się jej jakoś dziwnie, z wielkim napięciem, a w jej oczach zamigotał nagły błysk, jakby coś sobie przypomniwała.



Toby cofnęła się od niej z półuśmiechem, ale z takim wyrazem twarzy, jakby jej wcale nie było do śmiechu. — Co się stało? — spytała. — Czy to z powodu mojego stroju? Benny, podaj mi żakiet! — Obróciła się do niego, wyciągając ręce. — Prędko, zanim panna Melrose zemdleje. Zgorszyłam ją okropnie.

—Ależ nie — zaprzeczyła Sheila. — Przypomniała mi pani żywo kogoś. To wszystko. Sama nawet nie wiem dokładnie kogo.

Benny bez słowa pomógł narzeczonej włożyć żakiet. Chmurne niezadowolenie malowało się na jego twarzy. Generał i Saltash rozmawiali ze sobą nieco dalej.

Toby spojrzała ze śmiechem na młodego chłopca. — Co za mina! — zawołała. — Tyle razy widziałeś mnie w tym stroju i jeszcze zobaczysz. Muszę jedynie przeprosić pannę Melrose, że ją zgorszyłam. Idziemy na herbatę?

W oczach Sheili wciąż jeszcze widać było jakieś wahanie, choć uśmiechnęła się na te słowa. — Nie jestem zgorszona, skądże! Ale... ale...

—Słucham? — rzekła Toby.

Jej głos brzmiał ostro; słowo to rzuciła jak wyzwanie. Saltash obrócił się nagle.

—Właśnie zachwyciałem się, jak panna Larpent zgrabnie wygląda w tym stroju — rzekł. — Spotkaliśmy się przy padokach i byłem świadkiem paru świetnych skoków. Słyszę, że pani jutro wyjeżdża, panno Melrose, jaka szkoda! Takie już mam szczęście, że zawsze przyjeżdżam za późno.

—Jak na tak szybkiego jeźdźca to doprawdy niefortunnie — rzekła.

Roześmiał się z niedbałym zuchwalstwem. — Tak, kto za szybko jedzie, temu zazwyczaj diabeł siedzi na karku, tak słyszałem. Panna Larpent jest w każdym razie bezpieczna, gdyż zawsze bez wysiłku dojedzie pierwsza do każdej mety.

—Niedobrze jest, jak się jedzie za szybko — zauważył Benny.

—Można odjechać na zawsze! — rzuciła Toby z zacięciem.

W oczach młodego chłopca zamigotał nagle zły ogień. Czy tak go rozwścieczył kontrast pomiędzy tymi młodymi pannami, jedną w powiewnej wytwornej szatce letniej, a drugą w chłopięcym przebraniu, nie wiadomo; dość że był wściekły na Toby w tej chwili.

Toby dostrzegła tę złość i jej oczy zapłonęły również. Stała, czekając wyzwania, niby wcielony duch przekory, zuchwała, nieulekła, hardo spoglądająca na niego.

Benny nic nie powiedział. Wciągnął powietrze przez zaciśnięte zęby i zagryzł usta. Po chwili odwrócił się i odszedł o parę kroków w bok. —Do licha! — rzekła Toby i zaczęła iść ku domowi. Generał i Saltash dogonili ją i szli obok niej, ale Benny z Sheilą szli z tyłu za nimi, oboje w milczeniu.

TLR

## XII. SPRZYMIERZENIE

Zastali Maud oczekującą na nich w salonie. Z radosnym zdziwieniem powitała Saltasha.

—Nie mogłem wytrzymać dnia w Burchester, żeby nie wpaść do was — powiedział.

—Wiesz, że zawsze jesteś mile widziany — odparła z tym uśmiechem, który znali tylko jej bliscy przyjaciele.

Zasiedli przy jednym z wielkich okien. Generał Melrose zaczął rozmowę z panią domu, Benny podsunął krzesło Sheili, a Saltash rozejrzał się, szukając wzrokiem Toby. Siedziała z nisko pochyloną głową na rogu sofy, bawiąc się jedwabistymi uszami starego setera. Podszedł do niej i pochylił się, aby pogłaskać psa.

Drgnęła, słysząc jego kroki, lekki rumieniec zabarwił jej policzki, ale nie spojrzała na niego i nie odezwała się pierwsza.

Reszta towarzystwa rozmawiała i śmiała się wesoło, i nikt nie zwracał na nich uwagi. Saltash pochylił się nagle ku niej. Usłyszała szeptane w pośpiechu słowa.

—Idź i przebierz się, włóż coś prawdziwie dziewczęcego, wiesz?

Niebieskie oczy podniosły się na niego i napotkały jego wzrok. Błyskawica szybkiego porozumienia przemknęła pomiędzy nimi. Toby wstała i odeszła bez słowa.

Po chwili Maud rozejrzała się za nią, ale już jej nie było w pokoju. Na sofie siedział Saltash sam jeden, tarmosząc pieśczośliwie uszy psa i spoglądając roztargnionym wzrokiem na daleki widok roztaczający się z okien.

Maud poprosiła wszystkich na herbatę, a Saltash zerwał się szybko i podszedł ku niej z tym drwiącym grymasem tak dobrze jej znanym i będącym, jak wiedziała, tarczą zasłaniającą prawdziwy stan jego duszy.

Przysiadł się do niej i włączył do ogólnej rozmowy. Nikt, zdawałoby się, nie dostrzegł nieobecności Toby. Rozmawiano o koniach, o Jac-ku i jego triumfach, o sezonie w Fairharbour, o zamiarach generała i Sheili na zimę.

Gdy generał spytał Saltasha, jakie są jego plany, ten odpowiedział, że nie ma żadnych.

—A gdybym nawet miał, to i tak nie postąpiłbym zgodnie z nimi — dodał.

—Co za słaby charakter — zauważyła Maud.

Rzucił na nią jedno z tych swoich na wpół tkliwych, na wpół drwiąco zuchwałych spojrzeń i lekkim tonem dalej prowadził rozmowę.

Po herbatce Saltash wstał i wsparł się o framugę drzwi, paląc papierosa, podczas gdy Sheila i Benny rozmawiali o sportach, a Maud słuchała z anielską cierpliwością opowiadań generała o jego przygodach w Indiach.

Herbata wystygła już i zapomnieli o niej; Sheila spojrzała na zegarek, uprzytomniwszy sobie, że już jest późno, gdy nagle rozległ się śmiech w ogrodzie i ujrzano Toby biegnącą po trawniku z małą Molly na ramionach. Starsza, Eileen, pędziła w ślad za nimi. Srebrzysty śmiech dziewczynki mieszał się ze śmiechem ich młodej towarzyszki, która sama czyniła wrażenie jeszcze dziecka w swej skromnej białej sukience.

Generał Melrose przerwał swe opowiadanie, by spojrzeć na tę wesołą trójkę. — Na Jowisza! — rzekł — co za śliczny widok!

Sheila przestała rozmawiać z Bennym, a Saltash uczynił dziwny ruch, jakby tłumił jakieś słowa, które mu się cisnęły na usta.

—Śliczny obrazek! — powtórzył generał. — Jakże się ta mała Larpent zmienia! Istne żywe srebro. Ileż ona ma lat?

—Prawie dwadzieścia — wtrącił żywo Benny.

—Nie może być? W tej chwili nie wygląda na piętnaście. Spójrzcie, państwo! — zawołał generał. Toby mknęła przez trawnik lekko jak motylek, niosąc na ramieniu mniejszą dziewczynkę, podczas gdy starsza, nie mogąc jej dogonić, Przystanąła, klaszcząc w ręczki w zachwycie.

—Jest rzeczywiście jak dziecko — zauważyła Maud. — Któregoś dnia wdrapała się z obydwoma małymi na drzewo. Nie wiem, jak dokonała tej sztuki. Przeleżałam się oczywiście, a Jack przystawił drabinę i sprowadził dzieci na dół, Toby zaś wdrapała się jeszcze wyżej i poczęła go obrzucać gałązkami.

—Jak znam Jacka, nie ustąpił tak łatwo — rzekł Saltash.

—Och, Jack czasami bywa wspaniałomyślny — zauważyła Maud. — Nie był dla niej zbyt surowy tym razem. Patrzcie państwo, Toby zamierza przeskoczyć przez słoneczny zegar.

Sheila obejrzała się na nią. — Pani się nie boi? Gdyby upadła, mogłaby wielką krzywdę wyrządzić dziecku.

—Nie upadnie — rzekła Maud z przekonaniem.

W tej chwili Toby zerwała się do skoku lekko jak ptak, bez żadnego widocznego wysiłku wzbijając się wdzięcznym łukiem nad słonecznym zegarem.

—Piękna sztuka cyrkowa — rzekł generał, i nawet chmurne czoło Bernarda rozpogodziło się nieco, choć nic nie powiedział.

—Cyrkowa, doprawdy — powtórzyła Sheila, jakby mówiąc do samej siebie. — Jak to ona zrobiła?

—Och, Toby jest pod wieloma względami jak chłopiec — zauważyła Maud.

Sheila podniosła na nią oczy. — Tak, jest zupełnie jak chłopiec, to jest... — tu urwała i wzrok jej pobiegł dalej i spoczął na Saltashu.

Gdy Toby zbliżyła się do tarasu z dwiema dziewczynkami, roześmianymi i zarumienionymi, Sheila wstała.

—Czas już wracać — rzekła do Benny'ego. — Pójdę sprowadzić samochód.

—Ja pójdę — ofiarował się Benny, wiedząc, że ona będzie mu towarzyszyła. We dwoje opuścili pozostałą grupę.

Saltash wstał również. —I ja także pożegnam państwa — rzekł. — Benny będzie u mnie dziś na obiedzie. A ty? — zwrócił się do Maud.

Wyciągnęła do niego rękę z uśmiechem. — Dziś nie mogę, może kiedy indziej. Zresztą lepiej wam będzie z Bennym beze mnie.

—Nigdy! — zaprzeczył Saltash, ale jej nie namawiał więcej.

Pożegnał się z generałem, a Toby z dziećmi odprowadziła go do końca tarasu. Była dziwnie podniecona, śmiała się i żartowała z dziećmi przez cały czas, a Saltash śmiał się i żartował również, ale w ostatniej chwili przy pożegnaniu zatrzymał ją krótkim skinieniem.

—Nonette!

Przystanęła jak na rozkaz. Nie spojrział na nią, a treść jego słów nie miała związku z uśmiechem, jaki wykrzywił jego usta.

—Bądź ostrożna! — powiedział. — I nie rozmawiaj z Bennym, dopóki ja go nie zobaczę.

Toby wciągnęła gwałtownie powietrze. Jej szafirowe oczy spojrzały na niego pytająco. Pobladła straszliwie.

—Dlaczego? — szepnęła po chwili.

—Ta panna Melrose ciebie pamięta. Opowie mu o wszystkim, może już powiedziała w tej chwili. Zobaczę się z nim teraz i wyjaśnię mu całą prawdę, jeśli trzeba. W każdym razie zostaw to mnie!

—Całą... prawdę? — wyrwało się jej niby krzyk rozpacz. Nagły lęk odmalował się w jej oczach.

Uczył szybki ruch, nakazując, by odeszła. — Idź, dziecko — rzekł. — Cokolwiek się stanie, będzie to dla twego dobra. Nie bój się, możesz mi zaufać.

To był rozkaz. Toczy odwróciła się, a dziewczynki pobiegły za nią, czepiając się jej rąk. Pomknęła z nimi i zniknęła za węglem domu.

### XIII. PRAWDA

Lord odszedł swym lekkim krokiem, pogwizdując jakąś modną piosenkę. Na jego ciemnej twarzy przewijał się ów uśmiech na wpół przekorny, na wpół drwiący, którym wprowadzał zazwyczaj cały świat w błąd. Nikt nie wiedział, co się kryje pod tą lekkomyślną maską.

Ostrogi zadźwięczały o kamienne stopnie i Sheila Melrose, stojąca obok samochodu, obejrzała się na niego... Była blada, a dziwne napięcie malowało się w jej rysach. Na widok Saltasha twarz jej przybrała wyraz zimnej pogardy. Ogarnęła go wzrokiem, w którym pałało gniewne oskarżenie.

Saltash nie zmienił swego drwiącego uśmiechu. Przestał tylko pogwizdywać. Wyglądał, jakby nie dostrzegł ani bladości Sheili, ani wzburzenia malującego się na twarzy Bernarda, który chmurnym wzrokiem zmierzył nadchodzącego.

—Państwo odjeżdżają? — spytał lord niedbale. — Samochód w porządku? Może mógłbym w czymś pomóc?

Sheila odwróciła się bez słowa i wsiadła do auta. Benny nie ruszył się z miejsca. Stał jak człowiek sparaliżowany. Saltash ze swoją miną bawiącego się króla podszedł do samochodu i puścił w ruch zacinający się motor.

Młoda panna u kierownicy nie podziękowała mu nawet. Gdy samochód ruszył, obróciła się w stronę Benny'ego. — Do widzenia! — rzekła.

Drgnął nerwowo, a ich oczy spotkały się na chwilę. — Napisze pani? — spytał.

Krtań poruszała mu się spazmatycznie, widać było, że wydobywał głos z wielkim wysiłkiem. Sheila w odpowiedzi skinęła głową i po chwili samochód znikł za białą bramą parku.

Lord błyskawicznie żywym ruchem obrócił się do młodzieńca. — Wracaj ze mną — rzekł. — Pomówimy.

Benny szarpnął się gwałtownie, jakby ze wstrętem, ale nic nie po-



wiedział. Nieruchomym wzrokiem, drżąc od stóp do głów, wpatrywał się w Saltasha.

—Nie bądź osłem — rzekł Saltash, a jego głos miał brzmienie dziwnie łagodne, prawie serdeczne — Wyjaśnię ci wszystko.

Benny szarpnął się znowu. Twarz jego była blada i nieruchoma jak śmiertelna maska, ale wreszcie odnalazł głos. — Możesz zachować dla siebie swoje piekielne łgarstwa — warknął. — Nic mi po nich.

Saltash roześmiał się tylko.

—Za to powinienesz bić się ze mną — rzekł.

—Nie chcę cię nawet tknąć palcem — rzucił Benny.

—Och, nie, doprawdy? — spytał lord, a jego oczy zamigotały drwiąco.

— Wobec tego zechcesz odwołać swe obelżywe słowa i w tej chwili mnie przeprosić.

—Przeprosić... ciebie? — powtórzył Benny.

—Jeśli nie chcesz, możesz się ze mną bić. Może to drugie lepiej by ci zrobiło — rzekł Saltash.

—Nie chcę ani jednego, ani drugiego — rzucił Benny z pasją. — Nie chcę ciebie znać.

—Bardzo źle czynisz — rzekł Saltash spokojnie. — Prawdy od nikogo prócz mnie się nie dowiesz. Ta panna nie ma o niczym pojęcia. Benny!

— Nagle przemówił rozkazująco. — Spójrz na mnie, słyszysz? A nie, to cię stłukę. Słyszysz?

Benny podniósł oczy. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Wzrok Saltasha przestał być drwiący. Wyciągnął rękę i pochwycił młodego chłopca za ramię. W tej chwili, w tej jednej krótkiej chwili wyglądał groźnie. W tym jego ruchu było coś z drapieżnika.

—Skończony głupcze — syknął przez zaciśnięte zęby. — Co ty sobie myślisz, że poszedłbym na taką łotrowską grę?

— Puść mnie! — rzucił Benny, a usta mu pobladyły. — Fakty pozostaną faktami.

Saltash nie puścił jego ramienia. — Kiedy wraca Jack? — spytał.

—Za tydzień.

—Do licha z nim! — Nie ma go właśnie wtedy, kiedy byłby najpotrzebniejszy — rzekł lord, a jego wzrok przestał się jarzyć dziko. — Słuchaj — mówił. — Przysięgam ci na wszystkie świętości, że jesteś w błędzie. Sheila powiedziała ci o pewnym fackie, który jest prawdziwy, ale ty da-

łeś się unieść wyobraźni. Wszystko inne, co sobie uroiłeś, jest kłamstwem.

Mówił z takim przekonaniem, że Benny mimo woli opuścił oczy, jakby zmieszany.

Saltash poczuł, że odzyskał nad nim przewagę. — Gdyby Jack tu był — mówił dalej — przekonałby cię, że mówię prawdę. Jesteś na błędnym tropie. Jeśliby szło o mnie, mógłbyś sobie myśleć, co ci się tylko żywnie podoba; przywykłem do tego rodzaju zabawy ze strony moich najbliższych przyjaciół. Niech mnie jednak wpierw diabli porwą, nim pozwolę, żebyś to biedne dziecko krzywdził niesłusznie. Rozumiesz, Benny? — Potrząsnął niecierpliwie jego ramieniem. — Wpierw wolałbym cię widzieć w piekle, rozumiesz?

Usta młodego chłopca wykrzywiły się w bolesnym uśmiechu. — Już jestem w piekle — rzekł.

—Czemu słuchałeś Sheili? — spytał Saltash. — Musimy to wszystko wyjaśnić. Każ chłopcu stajennemu odprowadzić mojego konia. Pójdziemy pieszo przez park.

Benny nie mógł się oprzeć temu nakazowi. Urażał sobie w duchu, że jest słabym głupcem, ale usłuchał. Nie umiał się oprzeć magnetycznej mocy tego dziwnego człowieka.

Szli w milczeniu, minęli ogród i wyszli na pole. Nagle Saltash zaczął mówić na swój zwykły nerwowy sposób, urywany, niecierpliwy. Mówił z uniesieniem, jakby w obronie własnej.

—Słuchaj — zaczął. — Nie mam zwyczaju wyjaśniać swoich postępów, szczególnie tym, którzy pytają. Ale ty nie pytasz o nic, i dlatego usłyszysz całą prawdę. Sheila widziała Toby w hotelu w Valrosa, pracującą w przebraniu chłopca. Czy tak? Oczywiście, tego się domyślałem. Ja też musiałem ją tam widzieć, ale nie zauważyłem nigdy, aż do ostatniego wieczora w porcie, kiedy zastałem właściciela hotelu tłukącego bez miłosierdzia biednego chłopaka. Musiałem położyć kres temu okrucieństwu i ty byś podobnie uczynił na moim miejscu. Wróciwszy późną nocą na pokład jachtu, zastałem mojego chłopca w salonie; wśliznął się tam niepostrzeżenie i czekał na mnie. Jacht ruszył; nie mogłem go odeśłać. Szukała u mnie schronienia, i udzieliłem go jej. przyszła jako chłopiec i traktowałem ją jak chłopca.

—Wiedziałaś, że jest dziewczyną? — rzucił Benny.

—Domyślałem się, *mon ami* — rzekł Saltash. — Ale nie przyznawałem się do tego... nawet przed samym sobą. — W tych słowach zabrzmiał jakiś dziwny, drwiący sentyment. — Zrobiłem z niej lokajczyka. Czyściła mi buty i ubrania. Trzymałem ją krótko przy pomocy tego... — tu uniósł pejcz — jeśli trzeba było.

—Nie wierzę — rzekł Benny twardo.

Saltash wzruszył ramionami. — Jak chcesz, *mon cher*. Mówię prawdę. Traktowałem ją jak psiaka. Byłem bardzo dobry dla niej, ale bez przesady. Zdecydowałem jednak po namyśle, że czas wracać do kraju. Gra nie mogła trwać wiecznie. Wracaliśmy i podczas mgły, u samych brzegów Anglii nastąpiła katastrofa. Naturalnie to popsuło lub przyspieszyło moje zamiary. Uratowaliśmy się razem. I wtedy rozniosła się ta plotka o kobiecie na moim statku. — Znów śmiech zabrzmiał w jego głosie. — Widzisz, *mon ami*, jak łatwo mała iskierka może wzniecić pożar. W obronie własnej musiałem coś wymyślić, i podałem ją za córkę Larpenta. Ciekaw jestem, czy tobie podobna myśl przyszłaby do głowy? Gdyby tak, jestem pewny, że postąpiłbyś tak samo.

Z przebłyskiem triumfu spojrział na Benny'ego, ale ten nie odpowiedział mu spojrzeniem. Szedł ciężkim, sztywnym krokiem, a na jego twarzy wyryta była męka.

—Oto wszystko — dokończył Saltash. — Poznałeś całą prawdę, prostą i bez osłonek, a Sheila Melrose w swej prostoduszności nie zna jej i nawet by jej nie zrozumiała.

—Zostaw ją w spokoju — mruknął Benny. — To był przecież wniosek oczywisty.

—Och, oczywisty? — zaśmiał się Saltash drwiąco. — Tylko młode i niewinne istoty mogą twierdzić z przekonaniem, jaką drogę oczywistą i niewątpliwą obierze łotr. Jeden lepszy unpułs łotra może rozbić całą rachubę ludzi cnotliwych. Och, Benny, głupcze młody, czemu robisz dramat z tej głupiej historii? Czyż nie widzisz, że bogowie zesłali ci dar? Przyjmij go, chłopcze, i ciesz się, że uznali cię za godnego takiej łaski.

Benny uczynił z niecierpliwością ruch przeczący. Saltash spoglądał na niego z na wpół żartobliwym współczuciem, jak się spogląda na dziecko stojące nad rozbitą zabawką. Benny czuł się w części pokonany, ale niezupełnie.

Przystanął i spojrział Saltashowi prosto w oczy. — Dlaczego tak ci

zależało na tym, żebym się z nią ożenił jak najprędzej? — spytał. — Chcę się dowiedzieć.

—Z przyjemnością ci powiem — odrzekł Saltash tonem lekko wyzywającym, choć spokojnie wytrzymał jego wzrok. — Po prostu dlatego, iż żywię uczucie ojcowskiego zainteresowania względem was obojga.

Benny drgnął. Poczul się jakoś niewytłumaczenie dotknięty lekkim tonem tej odpowiedzi. — To wszystko? — spytał.

—Wszystko — odparł Saltash z uśmiechem wytrawnego fechtmistrza zasłaniającego się szpadą.

Benny przystanął, zmieszany. Do tej chwili wierzył słowom tego człowieka, którego przywykł uważać za przyjaciela. Teraz przestał mu wierzyć. A jednak czuł się bezsilny wobec o wiele bardziej doświadczonego przeciwnika.

—Może mi powiesz, że nigdy nie zauważyłeś, jakie są jej uczucia względem ciebie? — rzucił nagle, a w jego słowach była niewymowna męka. Obnażył pierś do ciosu.

Saltash nie uderzył. Przez chwilę w jego oczach odmalowało się zdziwienie, wnet jednak uśmiechnął się przyjaźnie. — Uczciwie mówiąc — rzekł — wszystko jedno, czy zauważyłem, czy nie. Nic mi po czyimś sentymentalnym uwielbieniu. Dla mnie nie była ona więcej niż... zabawne, miłe szczeniátko.

—Ach, tak — rzucił Benny i odwrócił się. — Dla ciebie kobieta a pies to jedno. Jednakowo je traktujesz.

—Niezupełnie — rzekł Saltash — a Toby w każdym razie jest wyjątkiem. Ona wie, gdzie się kończy gra, a gdzie zaczynają się rzeczy poważne.

—Czy tak? — spytał Benny. Przystanął chwilę, jakby skupiał siły, po czym obejrzał się na Saltasha. — Wracam już — rzekł. — Nie mogę pójść do zamku, choć nie pragnę, żebyśmy się poróżnili. Powinieneś jednak zrozumieć... musisz zrozumieć, że nigdy nie będę mógł niczego przyjąć od ciebie. Nie mogę...

—Co zamierzasz ze sobą zrobić? — spytał Saltash.

Benny zawahał się. Cierpienie malowało się na jego chłopcęcej twarzy.

Saltash dotknął lekko jego ramienia. — Co tobie? — spytał. — Myślisz, że cię okłamałem?

Benny podniósł na niego oczy. — Nie chcę sprzeczać się z tobą — rzekł. — Nie warto...

—Dzięki! — zaśmiał się Saltash. — Wiec jednak cenisz jeszcze moja przyjaźń? Powiedz mi, co zamierzasz z sobą zrobić?

—Co to ciebie obchodzi? — spytał Benny, a nagły błysk zapalił się w jego oczach i zgasł. — Nie proszę cię o pomoc.

—To już mi dałeś do zrozumienia — rzekł Saltash. — Ale sam widzisz, że nie mamy się o co sprzeczać. Chyba o to, że bez żadnej racji nazwałeś mnie kłamcą.

—Masz mi to za złe? — spytał Benny gorzko.

Saltash machnął ręką. — Może masz słuszność... nie warto! A jednak mam pewne prawo dowiedzieć się, jakie są twoje zamiary?

—Prawo? — rzucił Benny.

—Tak, prawo. — Zapomniałeś, a może pamiętasz, że Nonette do mnie zwróciła się o pomoc i że jej tej pomocy nie odmówiłem. Co jej dotyczy, również i mnie dotyczy.

—Ach, tak — rzekł Benny sztywno. — Więc mam być odpowiedzialny przed tobą?

—To właśnie chciałem ci dać do zrozumienia — rzekł Saltash.

Żar zabłysnął w oczach młodego chłopca, ale po chwili zgasł. Nie umiał walczyć z takim przeciwnikiem. Był pokonany.

—Pójdę do niej — rzekł stłumionym głosem — i zażądam, żeby mi powiedziała całą prawdę.

—Czy kiedykolwiek kobieta zdolna jest do powiedzenia całej prawdy? — spytał Saltash.

—Poznam, czy skłamała — rzekł Benny.

—I co ci z tego przyjdzie? — spytał Saltash, a w jego głosie znów zabrzmiała drwiąca nuta... — źle jest czasem chcieć wiedzieć za wiele. Gorzko przychodzi nam za to zapłacić, *mon ami*.

—Myślisz, że będę miał spokój, dopóki się nie dowiem? — spytał Benny.

Saltash wzruszył ramionami. — Chciałem tylko zwrócić twoją uwagę, że złą obrałeś drogę, ale to już twoja rzecz. Bogowie zesłali ci dar, a ty nie wiedząc, z czego jest zrobiony, zamierzasz rozerwać go na strzępy, aby zaspokoić swą ciekawość, a potem strzępy te odrzucisz, bo ich z powrotem nie potrafisz złożyć w całość. Nie zrozumiesz nigdy, że



najpiękniejszymi rzeczami w życiu są te, których nie widzimy wyraźnie i które rozumiemy jedynie mglisto.

W drwiąco żartobliwy jego ton wkradła się nuta powagi i Benny doznał uczucia wzruszenia, jakby przed objawieniem świętości wśród pustkowania i ruin.

I to uczucie, wbrew jego woli, wbrew rozsądkowi, sprawiło, że znów poczuł w Saltashu przyjaciela.

—Czy to miałoby znaczyć — spytał powoli, nie spuszczać go z oczu — że ty sam nigdy nie próbowałeś dowiedzieć się, skąd ona pochodzi, kim jest?

Saltash machnął ręką. — O tym, kim ona jest, wiem od początku. O jej przeszłość nie pytałem; nie było mi to potrzebne.

—A więc — wyjąkał Benny zdławionym głosem — powiedz mi... przed Bogiem... powiedz mi, kim ona jest wedle ciebie?

—Kim jest naprawdę — poprawił go Saltash. — Powiem ci. To dziecko, które zajrzało w piekło, ale pozostało zawsze... dzieckiem.

—Co chcesz przez to powiedzieć? — spytał Benny

Dziwne oczy Saltasha zabłysły nagłym wyzwaniem. — Chciałem powiedzieć to, że była blisko piekielnego ognia, ale że ten ogień jej nie dotknął.

—Wiesz o tym? — Męka malowała się w oczach młodego chłopca. — Mów, na miłość Boską, czy to prawda?

—Prawda — odparł Saltash z powagą.

—Skąd wiesz? Nie masz dowodów. Skąd ta pewność? — Nie mógł pohamować niepokoju, jaki przebijał w jego głosie.

—Skąd wiem? — powtórzył Saltash. — Jakie mam dowody? Ach, Benny, ty głuptasie, tak niedoświadczony, tak nie znający świata... ani kobiet. Jakiegoż ci trzeba dowodu? Spójrz w jej oczy!

Dziwne uniesienie brzmiało w jego głosie, i Benny po raz pierwszy poczuł, że dotarł do żywej prawdy. Zrozumiał, że o nic więcej już nie powinien pytać; nie było już potrzeby.

Impulsywnie, mamrocząc słowa przeproszenia, wyciągnął rękę. Saltash pochwycił mocno jego dłoń.

—Wystarczy? — spytał ze zwykłym swym drwiąco żartobliwym uśmiechem.

—Tak, wystarczy — odparł Benny, patrząc mu prosto w oczy.

Na tym się rozstali. Nic więcej nie było do powiedzenia.

TLR



#### XIV. OSTATNIA KARTA

Saltash wrócił sam na zamek. Był chmurny i zamyślony; prawie nie dotknął stawianych przed nim potraw. Wreszcie wstał od stołu, machnąwszy ręką niechętnie.

—Pójdę przejść się po murach — powiedział ochmistrzowi. — Gdyby kto pytał o mnie, każ mu zaczekać w salonie muzycznym.

—Dobrze, milordzie — rzekł sługa. — A kawę, gdzie milord każe podać?

Saltash się roześmiał. — Nie na murach w każdym razie. Wstawić maszynkę spirytusową do sali muzycznej, sam sobie zrobię kawę, kiedy wrócę. Światła pogaszę też sam, możecie na mnie nie czekać.

—Dobrze, milordzie.

Ochmistrz wyszedł, a Saltash zapalił cygaro. Dziwny wyraz miały jego oczy, wyraz człowieka oglądającego swoją ostatnią kartę i świadomego przegranej. Szedł z podniesioną głową, krokiem lekkim, ale jego oczy były chmurne i zapadłe, a brwi ściągnięte. Rozprawa z Bennym nie była mu smaczną przyjemnością.

Przeszedł przez salon muzyczny prosto ku szkarłatnej kotarze zasłaniającej przejście do wieży. Wszedł na ciemne schody, ledwo oświetlone słabą lampką palącą się w salonie muzycznym, i wędrował wśród widmowej ciszy pełnej ech. Dotarł wreszcie do szczytu wieży, do ciężkich dębowych podwoi, którymi wychodziło się na blanki.

Noc była księżycowa i rozległe jego włości rozciągały się stąd na dole szeroką panoramą malowaną czernią i srebrem.

Wsparty o blankowania, wpatrywał się w dal. Dolatywał go stąd szum dalekiego morza, sosny szeleściły tajemniczo, w parku odezwała się sowa głosem prawie ludzkim, głosem jak krzyk rozpacz, i znów zapadła cisza. Cisza i samotność.

Wyjął z ust cygaro i otrząsnął popiół. — Oto twoje królestwo, władco — rzekł z gorzką ironią.

Począł się przechadzać wzdłuż blanków niespokojnym krokiem więźnia, z pochyloną głową, z rękoma założonymi na plecach. Tu nikt go nie zobaczy. Zerwał z twarzy maskę żartobliwie drwiącą. Był jak więzień, dla którego nie ma ucieczki.

Przystanął, aby odrzucić niedopałek cygara, ale nie spojrzał już na swe ziemie. Wpatrywał się w głąb własnej duszy, rozległe pustkowie, jakim było dotąd jego życie. Niby samotny wędrowiec na pustyni rozglądał się dokoła wśród pustki.

Wędrował daleko, biegł za każdą podniętą, jaką mu podsuwało życie, aż wszelki młodzieńczy rozmach się wyczerpał i została jedynie pustka. Żył tysięcznymi, gorączkowymi wzruszeniami, pił z wielu źródeł, ale żadne nie zaspokoilo jego pragnienia. Dziś wiedział, że wszystko, za czym gonił, było mirażem i że nic mu już nie pozostało. Każdy owoc obracał się w jego ustach w popiół, woda z każdego źródła zamieniała się w piołun.

Może niewiele ludzi uprzytomniło sobie tak absolutnie całą pustkę swego grzesznego życia. Szedł za każdą zachcianką, za każdym porywem, dobrym czy złym. Niczego się nie wyrzekał, z niczego nie uczynił ofiary, aż do pewnego dnia, gdy biedne, przerażone stworzenie przybiegło szukać u niego opieki.

I rzecz dziwna, ta chwila stała się dla niego przełomowa. Nic go tak nie wzruszyło w życiu, jak zaufanie tej bezbronnej istoty. Owoce grzechu przestały go w tej chwili pociągać. Z tą chwilą wkroczyło w jego życie coś, czego już nigdy nie zdoła wykorzenić, a wszystko inne, co dotychczas miało dla niego znaczenie, przestało go obchodzić.

Czas płynął, a on bez przerwy przechadzał się po murach. Zostanie tu całą noc, lepsze to, niż przewracać się bezsennie z boku na bok. Czuł, że pod dachem chyba by się udusił. Wreszcie jednak zmogło go fizyczne znużenie. Uprzytomnił sobie, że jest śmiertelnie zmęczony.

Usiadł na murze, wsparty o blankowania, i zapadł w ten stan drętwoty pomiędzy snem a jawą, w którym przychodzą wszelkie widzenia. Przez chwilę czuł tylko bezmierną pustkę, ale nagle jego duszę przeniknęło przeświadczenie o czyjejs obecności. Nieuchwytnie, ale z niezachwianą pewnością, poczuł wezwanie, usłyszał głos przemawiający w głębinach jego duszy.

Uniósł głowę i rozejrzał się dokoła. Pustka, nic, tylko pustka. A jednak jakby ktoś skinął na niego; wstał i nie oglądając się wstecz podążył w stronę dębowych podwoi. Otworzył je i zaczął schodzić w ciemnościach.

Przez wielki otwór w kamiennym murze wąskie ostrze księżycowe-

go blasku przedarło się do wewnątrz i spoczęło na schodach, niby połyskliwy miecz.

Lekkim, pewnym krokiem minął świetlisty pas i biegł dalej w ciemnościach. Gdy znalazł się na dole, jego policzki pałały gorączkowym ogniem. Szybkim ruchem, jak człowiek, który nie ma czasu na zwłokę, odsunął kotarę. Przeszedł przez długi, wąski pokój, z samotną lampką palącą się w rogu. Byłby już otworzył drzwi wiodące na korytarz i wielkie schody, ale nagle przystanął. Nie zatrzymał go żaden głos, żaden szmer, nie pohamowało go żadne widzialne zjawisko. A jednak stanął, jakby na rozkaz. Szybkim spojrzeniem, jak błyskiem szpady, przeszył cały pokój. Nagle zawrócił, wpatrując się w kącik u okna, gdzie płonęła czerwona lampka.

Długą chwilę stał bez ruchu, a potem szybkim, cichym krokiem podążył w stronę światła. Tam, w głębokim wykuszu, gdzie paliła się lampka, stała niska otomana, pokryta lamparcią skórą, której czarne cętki rysowały się wyraziście w mdłym świetle, a na tle tej lamparczej skóry coś połyskiwało złociście. W tę plamę utkwiał wzrok.

Idąc na palcach zbliżył się do otomany. Przez jego śniadą, mroczną twarz o znużonych rysach, o ustach ściągniętych gorzko cyniczną zmarszczką ironii przemknął niewymowny blask, nie oglądany na tym obliczu przez nikogo. Tam przed nim, skulona na lamparczej skórze, z rozsypanymi złotymi kędziorkami spoczywała Toby, uśpiona w słabym świetle czerwonej lampki.

Długo stał nad nią, zanim się zbudziła. Na jego twarzy zapalał się i gasł ów niewypowiedziany blask. Stał bez ruchu,

tłumiąc oddech, a jednak jego obecność musiała przedrzeć się do świadomości uspiionej, gdyż nagle otworzyła swe szafirowe oczy, a ich spojrzenie zawisło na nim.

—Halo? — powiedziała Toby sennie. — Czas wstawać?

I nagle z przerażeniem w oczach zerwała się na równe nogi. — Och, przepraszam! Myślałam... zdawało mi się, że jestem na jachcie... Przepraszam, że usnęłam. Przyszłam, żeby się z panem widzieć. Czekałam...

Położył uspokajająco dłoń na jej szczupłym ramieniu. Drgnęła pod tym dotknięciem, jakby pod działaniem jakiejś nieznanej siły.

— Nie martw się, Nonette — powiedział, a jego głos jakoś dziwnie się załamał. — Przykro mi, że musiałaś czekać tak długo.

Podniosła na niego oczy. — Okropnie było — wyszeptała żałośnie. — Jestem tu od nie wiem ilu godzin; myślałam, że pan nigdy nie wróci. Lokaj powiedział... powiedział, że bym pana nie szukała, powiedział, że nie można panu przeszkadzać.

—Dureń! — rzekł Saltash.

Zaśmiała się śmiechem bez tchu. — To samo powiedziałam w duchu. Ale myślałam, myślałam... że pan wołałby, że bym zaczekała. — Przeszył ją dreszcz. — Tu jest niemiło. Czy nie możemy przejść gdzie indziej?

Pochylił się nad nią i ujął jej ramię. Stała przed nim, na wpół zuchwała, na wpół onieśmielona.

Saltash podprowadził ją ku jednej ze ścian koło wysokiego kominka i dotknął sprężyny ukrytej w dębowej boazerii.

—Teraz poznam wszystkie pana tajemnice! — zawołała Toby z dziecinną radością.

—Niezupełnie wszystkie — rzekł Saltash.

Sprężyna ustąpiła z brzękiem i otworzyły się ukryte wąskie drzwi. Toby podniosła na niego oczy i przytuliła się do niego nieśmiałym, lęklwym ruchem. Objęło ją mocne ramię. Jej śmiech, drżący, upojony radością, rozległ się nagle wśród ciszy.

—Cieszę się, że pan przyszedł — szepnęła.

Przystanęli u skraju ciemności, ale Toby się nie wahała.

Drżała z oczekiwania. Saltash zapalił światło elektryczne i wprowadził ją do tajemniczego pokoju.

Była to komnata w narożnej wieżyczce, o suficie w kształcie stożkowatym, całkowicie oszklonym. Okien tu nie było. Światło zasłaniał barwny fresk, przedstawiający jakieś postacie ze wschodniej baśni. Na małym stoliku paliła się czerwona lampka, którą trzymała w otwartym pysku wypchana wielka kobra.

Toby rozejrzała się z zachwytem po tej komnacie. — Jak tu cudownie — szepnęła.

—Podoba ci się tu więcej niż w salonie muzycznym?

—Och, tak — odrzekła, podnosząc na niego jaśniejące oczy. — To przypomina pańską kajutę na statku.

Zatrzasnął za nimi ukryte drzwi i poprowadził ją po tygrysiach skórach ku niskiej sofie. I tę sofę, podobnie jak podłogę, zaścielały tygrysie skóry. Ta niska, szeroka sofa stanowiła, oprócz stolika, jedyne umeblowanie pokoju. Toby uczepliła się mocno ramienia Saltasha. W tym ruchu było jakieś nieme błaganie, bo emanowało z tego człowieka coś nieznanego i niezgłębionego, co ją przeraziło. Przywykła do jego żartów, do jego drwin, ale jego milczenie było zaporą, której nie potrafiłaby przekroczyć. Mogła tylko w niemym błaganu wznieść oczy ku niemu, prosząc o opiekę, której nigdy jej dotychczas nie odmówił.

Podprowadził ją do otomany i przystanął. Był dziwnie chmurny i ponury.

—I cóż, Toby? — spytał.

Skuliła się i podniosła na niego oczy, ale on trzymał ją mocno przytuloną. — Gniewa się pan, że przyszłam? — szepnęła. — Musiałam...

Spojrzał w jej oczy. — *Bien, petite* — powiedział. — Trzeba ci pomocy, przyjaciela?

—Trzeba mi... pana — odrzekła, patrząc na niego żalnym wzrokiem.

Twarz jego rozjaśnił jeden z dawnych wesołych uśmiechów. Chmurność znikła z jego oczu niby przelotny cień.

—I przyszłaś, *ma mignonnette*, wśród nocy, narażając swoją i moją opinię?

Toby przerwała mu impulsywnie. — Wcale nie była noc, kiedy przyszłam. Czekam tu od nieskończonych czasów. Ale to teraz wszystko jedno. Odnalazłam pana... nareszcie. I teraz nie może mnie pan odprawić, bo nie mam dokąd pójść. Gdyby pan wrócił wcześniej, mógłby

pan to uczynić... ale już nie teraz. — Wjej głosie zadrzała nuta triumfu. — Teraz musi mnie pan zatrzymać. Przyszłam na dobre.

—Jak? — spytał Saltash. — Co chcesz przez to powiedzieć? Czy Benny zachował się jak łotr? Przysięgłbym, że go przekonałem...

Roześmiała się w odpowiedzi. — Benny? Nie czekałam wcale, aż on wróci.

—Jak to? — spytał Saltash.

Drżącą, nerwową dłoń położyła na jego ramieniu. — Przyszłam tu na dobre — powtórzyła, wpatrując się w niego swymi wielkimi, szeroko otwartymi oczyma. — A z Bennym wszystko w porządku. Zostawiłam mu kartkę, że już nie wrócę.

Mocno pochwycił jej dłoń i przycisnął do siebie, a ona się nie broniła, tylko roześmiała się tym drżącym śmiechem, który był wymowniejszy niż słowa, żałośniejszy niż łzy.

—Co teraz z tobą zrobię? — spytał Saltash stłumionym głosem.

Wyciągnęła ramiona. — Zatrzyma mnie pan tym razem — szepnęła. — Och, czemu mnie pan odprawił, kiedy należę do pana... do pana jednego? Chciał pan mego dobra? Cóż dobrego mnie czeka z dala od pana? Jedynie piekło i potępienie! Niech mnie pan wysłucha, niech mi pan pozwoli mówić — błagała, widząc, że chce jej nakazać milczenie. — O nic nie proszę, tylko żeby mi wolno było pozostać przy panu. Będę dla pana, czymkolwiek pan zechce, sługą, niewolnicą, zabawką, prochem pod pana nogami, ale niech mi pan pozwoli z sobą pozostać. Pan jeden mnie rozumie, jeden na całym świecie.

—A czy jesteś pewna, że sama siebie rozumiesz? — spytał Saltash.

Ogarnął ją ramionami i trzymał ją mocno, ale jego wzrok nie spoczął na niej; był utkwiony w jakąś nieokreśloną dal poza nią.

Ręce Toby zacisnęły się dokoła jego szyi, tuliła się do niego w jakimś szale pełnym przerażenia.

—Nie może mnie pan odesłać od siebie — mówiła urywanym głosem.

— Nie przeżyłabym tego. A tak niewiele żądam, tak niewiele...

—Nie wiesz sama, czego żądasz, dziecko — rzekł, a jego głos był pełen smutku, czuć w nim było walkę, zmaganie się wewnętrzne. — Nie wiedziałaś nigdy. I to jest właśnie tak okropne.

—Wiem doskonale! — zawołała prawie z pasją. — Wiem... wszystko, co wiedzieć trzeba. Wiem doskonale... — dyszała ciężko, ale nie opuści-



ła oczu... — wiem, co by się stało, co musiałoby się stać, gdyby jacht wtedy nie zatonął. Nie bałam się wtedy i nie boję się teraz. Pan jest jedynym mężczyzną, któremu to mówię. Nie cierpię mężczyzn... większości mężczyzn. Ale pan... — głos jej załamał się w szlochu... — dla pana chcę być wszystkim, czym pan zechce. A kiedy pan będzie miał mnie dosyć, zniknę, jak przyrzekłam, i nie dowie się pan już o mnie. Przysięgam.

Wzrok jego spoczął na niej. Szafirowe oczy zalane były łzami. Pochylił się i swe ramiona mocno oplótł dokoła jej wątlej postaci. Był zwalczony.

—Bien! — powiedział lekkim, żartobliwym tonem, uśmiechając się do niej swym królewsko łaskawym uśmiechem. — Powiedzieć ci, czym będziesz dla mnie, *mignonne*?

Zadrżała jak spłoszony ptak, ale nic nie powiedziała. Czowała, że jej los został postanowiony i ogarnął ją lęk. Dawna drwiąca maska znów wróciła na jego oblicze, ale Toby wiedziała, że pod tą maską kryje się władcza moc.

—Powiem ci — rzekł, a jego śniadą twarz rozjaśniał uśmiech na wpół przekorny, na wpół łaskawy. — Wkroczyłem na drogę cnoty, *mignonne*, i bardzo się czuję na niej samotny. Ty będziesz moją osłodą. Będziemy razem cnotliwi... do czasu. Będziesz... moją żoną!

Pochylił się i zanim zdążyła oprzytomnieć, jego usta znalazły się na jej ustach. A jego pocałunek okazał się zagadkowy jak jego uśmiech. Nie był to pocałunek kochanka.

Cofnęła się, dysząc ciężko, z oczyma szeroko rozwartymi ze zdumienia. — Ja? Pańską żoną? Pan... chyba... żartuje? Skąd... ja?

—Ty i żadna inna — oświadczył wesoło. — Na Boga, toż to jedyne wyjście! Że też mi to wcześniej nie przyszło na myśl? Zaraz zamówimy ślubną karetę. Pojedziemy do stolicy, w sekrecie przed całym światem, i weźmiemy ślub. Czemu drzysz, miła? Skąd ten lęk? Czy nie wolisz być moją żoną... niż prochem u moich nóg?

—Sama... sama nie wiem — wyjąkała Toby, kryjąc twarz przed jego drwiącym, przekornym spojrzeniem.

Trzymał ją mocno przytuloną, ale jego śmiech zabrzmiał bezlitośnie. — Trochę ci się zakręciło w główce, co? — spytał. — To nic, przyzwyczaisz się. Będiesz sensacją dnia, zobaczysz!



—Och, nie chcę! — szepnęła Toby. — Nie mogę.

—Jak to? — spytał żartobliwie. — Zamierzasz dać mi kosza?

Uczepiona jego szyi, tuliła się do niego z dzikim uniesieniem, ale nie podniosła już na niego oczu. Wciąż kryła twarz na jego piersi. — Nie potrafiłabym nigdy odmówić panu... niczego — wyszeptała stłumionym głosem.

—*Eh bien!* Tak, to rozumiem! — oświadczył. — Moja żona będzie pierwsza wszędzie, tylko nie przed swoim mężem. Dla niego będzie zawsze uległą i posłuszną żoną. I wiesz, co powiedzą, jak usłyszą, że Charles Rex ożenił się wreszcie?

Pochylił się nad nią ze śmiechem i dotknął ustami jej złotych kędziorków. — Powiedzą: „Boże, zmiłuj się nad jego żoną”, *mignonne*. A ja powiem „Amen”.

Hardo odrzuciła głowę, a jej oczy zapłonęły. — A ja im powiem, żeby sobie szli... do wszystkich diabłów! — zawołała z uniesieniem.

Wybuchnął śmiechem. — Wtedy zaczną żałować twego męża, *chérie* — rzekł.

Wzniosła na niego dziecięco ufne, pełne bezbrzeżnego oddania oczy. — Już nigdy nie będę... — szepnęła. — Już będę zawsze dobra.

Ucałował drżące usteczka, lekkim, pieśczośliwym pocałunkiem. — Och, nie trzeba, żebyś była za dobra! — rzekł ze śmiechem. — Nie dotrzymałbym ci placu. Możesz mówić, co chcesz, robić, co chcesz, i będziesz... moją królową.

Stłumiła nowy szloch. Jej wątłe ramiona zacisnęły się spazmatycznie dokoła jego szyi. — A pan... będzie zawsze dla mnie... czym pan był od początku... moim panem, moim królem, moim władcą!

W milczeniu, które zapadło po tych płomiennych słowach, Charles Rex łagodnie, delikatnie, oswobodził się z uścisku jej szczupłych ramion.

Koniec części III

## CZĘŚĆ IV

### I. U METY

—Nigdy nie myślałam, że tak będzie — powiedziała Toby.

Była zupełnie sama w pokoju. Stała w olbrzymim oknie wspaniałego apartamentu w pierwszorzędnym paryskim hotelu i spoglądała na ruchliwą ulicę. Wydawała się bardzo dziecinna i drobniutka w tym wspaniałym otoczeniu, a w jej szafirowych oczach malował się smutek.

Przed jej oczyma przepływały krocie pojazdów, a szum uliczny dołatywał do jej uszu niby huk potężnej, wezbranej rzeki. Spoglądała z zaciekawieniem na to widowisko. Ze swym żywym usposobieniem nie nudziła się nigdy, ale smutek pozostał.

Jednakże na odgłos otwierających się drzwi obróciła się żywo i twarz jej rozjaśnił uśmiech żarliwego powitania.

—Ach, wróciłeś! — ucieszyła się. — Nareszcie!

Podszedł do niej swym sprężystym krokiem, a w jego dwubarwnych oczach migotał ten sam co zawsze kapryśny i nieuchwytny uśmiech. Ujął obie drobne dłonie, które wyciągnęła na jego powitanie, i pochylając się, ucałował.

—Nudziłaś się? Chyba nie zabawiłem za długo? Czemu się nie położyłaś, jak ci kazałem, *chérie*?

Spojrzała na niego, a choć jej usta uśmiechały się słodko, w oczach pozostał żaloszny smutek. — Czuję się zupełnie wypoczęta, *monseigneur*. A teraz pójdziemy obejrzeć wszystko, co jest do zobaczenia w Paryżu.

—Wszystko, czego dotychczas nie widziałaś? — spytał Saltash.

—Niewiele widziałam — odrzekła. — Bałam się chodzić daleko.

Przytrzymał jej dłonie w swoich. — A ze mną się nie boisz? — spytał.

—Nigdy, *monseigneur* — odrzekła, a jej oczy były wymowniejszą odpowiedzią niż słowa.

—Dlaczego mnie tak nazywasz? — spytał.

Zarumieniła się na to pytanie. — Bo to do pana... do ciebie... pasuje.

Skrzywił się drwiąco, ale nie puścił jej przejrzystej, wąskiej rączki. — Jesteś szczęśliwa, *mignonne*? — spytał, nachylając się nad nią.

Toby opuściła powieki i skinęła w milczeniu głową.

— Mów prawdę, Nonette! — nakazał z władcym błyskiem w oczach.

Znów skinęła głową. — Zawsze mówię prawdę... tobie.

Roześmiał się. — Nie może być? Więc jeszcze nie chcesz mnie porzucić?

— Porzucić? — podniosła na niego oczy z przerażeniem. — Ja?

— Już trzy dni po naszym ślubie — przypomniał jej z przekornym uśmiechem. — Czy już nie zacząłem cię zaniedbywać.

— Nigdy... nigdy... nie spodziewałam się niczego innego — wyjąkała Toby, nagle odwracając głowę.

Pogłaskał ją po twarzyczce ruchem niedbale pobłażliwym. — Co za rozsądna z ciebie osóbka! — powiedział. — Więc jeszcze ci się nie znudziłem, nie chcesz mnie jeszcze porzucić?

— Dlaczego... dlaczego pytasz? — szepnęła.

Było coś niepokojącego w jego żartobliwym tonie. Nie odpowiedział od razu, a w jej oczach malowało się przerażenie.

— To pan... pan... ma mnie dosyć — szepnęła, podnosząc na niego żałosne oczy.

— Nie, jaśnie pani Saltash — odrzekł. — Dla mnie zabawa się dopiero zaczyna. Ale jeśli byś chciała mnie opuścić, nadarza się okazja. Przybył rycerz na twój ratunek, bardzo potężny rycerz.

— Rycerz? — szepnęła Toby, drżąc. — Co to ma znaczyć?

— Rycerz w sztylpach — drwił — rycerz, który zamiast miecza, powinien dzierżyć pejcz...

— Jack! — zawołała niedowierzająco.

Roześmiał się znowu. — Tak, czcigodny i nudny Jack. Co z nim uczynimy, pani moja? Zabijemy czy odprawimy z kwitkiem?

— Pan... pan... żartuje — wyjąkała Toby.

— Zawsze żartuję, kiedy mówię serio — zapewnił Saltash.

— Och, przestań — szepnęła, tuląc się do niego. — On... on chyba nic nam nie może zrobić, prawda? My... przecież naprawdę jesteśmy małżeństwem?

Saltash wykrzywił się drwiąco. — I ty o tym wątpisz, dziecko. Nie czytałaś tego artykułu w największym dzienniku londyńskim? Wszyst-

ko sobie można uroić, ale trzeba chyba być geniuszem, żeby sobie uroić artykuł dziennikarski, choć wystarczy przeciętnego głupca, żeby taki artykuł napisać. Co tobie? Złękłaś się czegoś? Może zobaczyłaś mysz?

Toby przytuliła głowę do jego ramienia i garnęła się do niego, drżąc z lęku. Pogłaskał ją lekko, niedbale.

Milczała długi czas, dławiąc łkanie. — Nie pozwól, żeby mnie zabrał — wyszeptała wreszcie. — Przyrzekłeś... przyrzekłeś... że mnie zatrzymasz przy sobie.

—Ależ naturalnie, Nonette! — odrzekł Saltash — To właśnie cały sens tej zabawy. Nie zrzekam się żadnych swoich praw, nigdy i dla nikogo.

—Na pewno? — szepnęła Toby lękliwie.

Pochylił się i lekko ucałował jej włosy. — Oczywiście! — rzekł. Twarz przybrała zacięty wyraz. — Będzie to dla mnie zabawną rzeczą, pobić choć raz cnotliwego Jacka na jego własnym terenie. Efekt bajeczny! Czy chcesz mi dopomóc w tej rozmowie, Nonette? Czy może wolisz rolę średniowiecznej damy, która się wycofuje na czas walki, ażeby potem uwieńczyć zwycięzcę?

Uniosła głowę i roześmiała się zuchwale, odrzucając hardo głowę. — Zostanę — rzekła.

Skłonił się dworsko przed nią. — O pani, podziwiam twą moc ducha. Jeśliby twe niewieście uszy czuły się dotknięte tonem naszej rozmowy, zechciej się wycofać od razu.

Szafirowe oczy Toby zapłonęły. — Z tego powodu nie wycofałabym się, *monseigneur* — rzekła. — Gdzie Jack? I skąd wiesz, że tu przyjechał.

—Bo go widziałem. Rozmawiał z portierem, kiedym wracał. — Nie uważałem cię, ale ja go poznałem. Nie zapomina się takich ramion i takiego atletycznego karku. — Słyszę kroki — dodał. — Siadaj, *mignonne*, i zachowuj się jak godnej damie przystoi.

Ale Toby usiadła na stole i założyła nogę na nogę; oto jak pojmowała maniery godne damy. Jeśli jakikolwiek lęk pozostał w jej duszy, umiała go dobrze zataić w sobie. Wyglądała jak czupurny, figlarny chłopaczek.

Zapukano do drzwi. Oczy Toby szukały wzroku Saltasha. Uśmiechnął się w odpowiedzi i zapalił papierosa. — *Entrez* — powiedział.

Drzwi otworzyły się i wszedł numerowy z biletem wizytowym na tacy. Saltash nawet nie spojrzał na niego. Wzrok swój skierował w stronę otwartych drzwi. — Proszę wejść — rzekł. — Czekamy oboje na pana.

Jack wszedł, a jego barczysta postać zdawała się zajmować całą szerokość odrzwi. Od całej jego postaci biła niezłomna surowość. W ręku nie miał nic.

Saltash oczyma nakazał numerowemu, aby wyszedł. Był niewzruszenie spokojny i pewny siebie. Na chmurne spojrzenie Jacka odpowiedział zuchwałym śmiechem.

—Zupełnie jak za dawnych czasów — drwił — z tą tylko różnicą, łaskawy panie, że tym razem ja pierwszy jestem u mety.

Wzrok Jacka padł na drobną postać siedzącą na stole. Toby zerwała się w okamgnieniu. Była zarumieniona, a jej oczy spoglądały wyzywająco. Popatrzył na nią chwilę, by potem znowu przenieść wzrok na Saltasha, który paląc papierosa spokojnie oczekiwał dalszego ciągu.

—Chciałbym zamienić z panem kilka słów w cztery oczy — rzekł cicho, ale bardzo stanowczo.

Saltash nie przestał się uśmiechać. Spojrzał na Toby, a potem przeniósł z królewską wyniosłością wzrok na Jacka. — Innymi słowy, życzy pan sobie, żeby lady Saltash nas opuściła? — spytał tonem lekkim i drwiącym.

—Zostanę — rzekła Toby szybko i nerwowo, ale stanowczo. Jej ręce zacisnęły się mocno nad stołem.

Jack nie spojrzał na nią. — Chciałbym pomówić wyłącznie z panem — rzekł, nie spuszczać oczu z Saltasha.

Saltash przyjrzał mu się pytająco. Podał mu papierośnicę I gestem zaproszenia, ale wzrok Jacka pozostał nieruchomo utkwiony w niego. Saltash zatrzaskał papierośnicę.

—Benny przyjechał z panem? — spytał obojętnie.

—Nie — odparł Jack. — Przyjechałem sam.

Saltash zapalił nowego papierosa i wypuścił obłok dymu. — Zamierza mnie pan zastrzelić? — rzucił po chwili milczenia.

—Nie — odrzekł Jack. — Szkoda kuli dla takich jak pan.

Saltash roześmiał się i wypuścił nowy obłok dymu. — Może dlatego dożyłem do tych lat — zauważył. — Pejczya także nie widzę. Tym razem nie wystąpił pan w należywym uzbrojeniu. Może by pan się napił czegoś dla dodania sobie otuchy?

—Nie trzeba — rzekł Jack. — Nie odejdę stąd, dopóki nie rozmówię się z panem w cztery oczy, oto wszystko.

—Ach, tak! — rzekł Saltash. Dziwny błysk zamigotał w jego oczach. Podszedł do Toby.

—Drogie dziecko — rzekł. — Zdaje mi się, że ta sprawa prędzej się załatwi, gdy nas opuścisz.

Spojrzała na niego z żalem. Saltash ujął ją delikatnie pod ramię i podprowadził do drzwi. — Zanim zdążysz wypalić papierosa — rzekł — wrócę po ciebie.

Podniosła na niego błagalnie oczy. — Zostanę... z tobą? — szepnęła.

Uczył królewsko łaskawy ruch. — Czyż nie jesteś moją żoną? — spytał.

Uprzejmie otworzył drzwi przed nią i nic jej nie pozostało, jak wyjść z pokoju. Wyszła, nie oglądając się za siebie, a Saltash zamknął drzwi za nią.



## II. CZARNY CHARAKTER

—Słucham pana — rzekł Saltash wróciwszy. Mówił głosem urywanym; uśmiech znikł z jego twarzy, ustępując miejsca wyniosłości. Stanął przed Jackiem i zmierzył go wzrokiem.

Jack wyprostował się jak do walki. — Ożenił się pan z nią? — spytał.

—Tak — odrzekł Saltash tonem wyzwania.

—Niegodziwość — rzekł Jack.

Saltash wyglądał przez chwilę, jakby chciał się na niego rzucić, ale gniew ustąpił wzdarcie. Odwrócił się, wsparł się łokciem o gzyms kominika i dalej palił papierosa. — Ciekaw jestem, dlaczego — rzekł spokojnie.

—Myślę, że pan sam wie — brzmiała odpowiedź.

—Och, myśli pan? — spytał Saltash. — Ludzie cnotliwi lubią zawsze doszukiwać się we wszystkim zła. Powiedzmy więc, że małżeństwo nie jest autentyczne, jak pan uprzejmie daje mi do zrozumienia, i wtedy co?

—Wtedy ona wróci ze mną — rzekł Jack.

—Na pewno? — spytał Saltash drwiąco.

—Tak.

—A jeśli ja jej nie puszczę? Jeśli ona będzie wolała zostać ze mną?

—Zabiorę ją bez względu na wszystko — odparł Jack niewzruszenie.

—I dlaczego, ciekaw jestem? — spytał Saltash, prostując się nagle. — Co, u licha, może to pana obchodzić?

—To, że jest nieszczęśliwym stworzeniem, pozbawionym opieki i że ja tę opiekę mogę jej zapewnić.

—Doprawdy? — spytał Saltash. — Zapomina pan, zdaje mi się, że ja byłem przedtem jej opiekunem. Nikt, nawet Benny, nie byłby jej dostał bez mojej zgody.

—Wiedziałem, że pan ją znalazł — przyznał Jack. — Wiedziałem od początku, że pan kłamie co do jej pochodzenia. Ale myślałem, że czyni to pan dla jej dobra, a nie dla swoich samolubnych celów.

—A gdybym to uczynił dla jej dobra? — spytał Saltash.



—Gdyby tak było, postąpiłby pan raz w swoim życiu po ludzku. Benny jest porządnym chłopcem. Byłby się z nią ożenił, byłby jej zapewnił szczęście.

—Benny miał okazję po temu i źle z niej skorzystał — odrzekł Saltash.  
— Nie zasłużył na swoje szczęście.

—I dlatego pan postanowił spłatać mu takiego łotrowskiego figla?

Saltash strzepnął palcami. — Robiłem, co mogłem dla niego, ale nie mogłem go zmuszać wbrew jego woli. Czemu nie przyszedł po nią? Wiedział, gdzie jej szukać.

—Właśnie dlatego — rzekł Jack.

Saltash szarpnął się gniewnie. — Do licha! — zawołał. — Dowiedz się więc pan i przekonaj, jeśli już trzeba dowodów, że Charles Burche-ster potrafi uchronić nieszczęśliwą dziewczynę od sideł ludzi cnotliwych.

Wyjął kopertę z kieszeni swej marynarki i z pasją rzucił ją na stół.

Brązowe, spokojne oczy Jacka przyglądały mu się przez dłuższą chwilę. — —Być może pomyliłem się — rzekł.

W jego spokojnym tonie był jakby odcień szacunku. Nie uczynił ruchu, by wziąć dokument do ręki.

Saltash uniósł brwi. — Wystarczy to panu? — spytał.

—Pod tym względem tak — brzmiała odpowiedź.

—Więc nie pod każdym względem? — Saltash niecierpliwie otrząsnął popiół z papierosa.

Jack odwrócił się i podszedł do okna. Spoglądał na ruchliwą ulicę, ale nic nie widział przed sobą. Głębokie współczucie malowało się na jego twarzy.

—Co jeszcze mogę dla pana uczynić? — spytał Saltash.

Jack odwrócił się i spojrzał na niego.—Żal mi tej małej, wie pan? — rzekł.

Saltash machnął ręką. — A więc?

Jack zmierzył go wzrokiem. — Gdybym był w domu — powiedział—ta rzecz nigdy by się nie stała. A gdyby się stała... gdyby...

—Postawiłby pan warunek, żeby być obecnym przy ślubie? — dokończył Saltash.

Jack puścił tę uwagę mimo uszu. Wiedziałbym, co uczynić. Teraz, niestety, za późno.

Saltash wziął dokument ze stołu i schował go do kieszeni. — Wolałby pan, zdaje mi się, żebym się z nią nie ożenił — zauważył. Jack potrząsnął głową. — Wolałbym wiedzieć — odparł — dlaczego się pan z nią ożenił.

—Drogi panie, nie zastanawiam się nigdy nad celowością swoich postępów. Powiedzmy, że to małżeństwo dogadzało mi chwilowo i na tym koniec.

—To właśnie rzecz najgorsza — rzekł Jack.

Saltash roześmiał się. — Niech pan to nazwie, jak się panu podoba — odparł. — Fantazją, chwilową zachcianką, kaprysem. Nie warto się nad tym zastanawiać. Żał mi Bernarda, ale gdyby nie był osłem, to wszystko nie byłoby się stało. W każdym razie pan nie może mieć mi tego za złe. Pan sam postąpił podobnie.

—Ja? — Brązowe oczy zapłonęły dziwnie. — Nie rozumiem.

—Ożenił się pan ze swoją obecną żoną, żeby ją wyzwolić od losu, który się panu wydawał nieodpowiedni. — Zęby Saltasha zabłysły w uśmiechu. — I z jakim pośpiechem pan to uczynił!

—Tak, ale przecież, do licha, ja ją kochałem!

Saltash skinął głową. — A więc pańskie motywy były czysto samolubne. Ja zaś nie narzucam swej miłości mojej żonie. O miłości nie było jeszcze mowy między nami. Dałem jej tylko swoją opiekę.

Urwał i przeblysłk zwykłej ironii zamigotał w jego oczach. — Mogę się pochwalić wyższą cnotą niż pan — dodał. — Nigdy nie udało mi się dotrzymać panu placu na tym polu, ale tym razem...

—Tym razem pobił mnie pan — rzekł Jack. — Ale nie chodzi tu o moje zwycięstwo czy porażkę. Chodzi o to dziecko. Dziś jej los jest w pana ręku. Niechże pan będzie ludzki dla niej... jeśli pan potrafi.

—Jeśli potrafię — rzekł Saltash, kładąc nagle dłoń na ramieniu Jacka. — Myśli pan, że nie studiowałem sztuki zapewnienia szczęścia kobiecie?

—A jednak nie było jeszcze kobiety, której by pan zapewnił trwałe szczęście — rzekł Jack. — Benny mógłby to uczynić, ale pan?

—Benny? — powtórzył Saltash, a w jego głosie brzmiała gorzka ironia.

—Tak, Benny jest porządnym chłopcem. Dałby jej przynajmniej jedno, trwałą i wierną miłość. To przecież jedyna rzecz, którą warto zdobyć.

—Tak? — spytał Saltash, a w jego oczach zabłysło wyzwanie. — I pan

myśli, że ja do tego nie jestem zdolny?

—Nie powiedziałem tego — odparł Jack chmurnie.

—Ale chciałby pan, żebym tego dowiódł? — spytał Saltash, a drwiący uśmiech wykrzywił jego usta.

Jack patrzył mu w oczy przez długą chwilę. — Przypuszczam — odrzekł. — A teraz pożegnaj pana — rzekł zwracając ku drzwiom.

—Dobrze pan uczynił, że pan się nie ofiarował zabrać jej ode mnie — rzekł Saltash. — A może chciałby ją pan zobaczyć?

—Nie zależy mi na tym — rzekł Jack.

—Albo może mam jej coś powiedzieć od pana? — spytał Saltash, spoglądając na niego trochę drwiąco, a trochę ciekawie.

—Nie — odparł Jack krótko.

—Nie chce jej pan zapewnić bezpiecznego schronienia, gdy obecna przystań życiowa ją zawiedzie? — drwił Saltash.

Jack zwrócił ku drzwiom. — Gdy to się stanie — rzekł — obawiam się, że już moja pomoc na nic się biedactwu nie zda.

Saltash ściągnął chmurnie brwi i spojrzał na niego spode łba. — Winszuję po raz drugi — rzucił. — Zaczyna pan widzieć rzeczy... we właściwym świetle.

Jack coś mruknął niezrozumiałego i otworzył drzwi. Twardym, zdecydowanym krokiem opuścił pokój, a Saltash z drwiącym, cynicznym uśmiechem ścigał wzrokiem odchodzącego.

—Tak! — rzekł sam do siebie. — Tym razem czarny charakter odniósł zwycięstwo.

Gdy jednak zwracał ku drzwiom do drugiego pokoju, znikł jego cyniczny uśmiech. Stał chwilę nieruchomo, zanim je otworzył, po czym zaczął pogwizdywać z cicha jakąś modną melodię i wszedł do pokoju żony.

### III. TYLKO ŻONA

—Poszedł? — spytała Toby z przejęciem, zaglądając do salonu. — Co powiedział? Czy był zły?

—Nie wiem — rzekł Saltash obojętnie. — Poszedł, to rzecz najważniejsza.

Toby spojrzała na niego pytająco. — Tak cicho rozmawialiście — zauważyła. — Czyście się posprzeczali?

—Podśluchiwałaś? — spytał Saltash.

Zarumieniła się i uśmiechnęła rozbrajająco. — Trochę, ale nie przez cały czas. Zresztą nic nie słyszałam, albo prawie nic. Gniewasz się?

Zmarszczył brwi, ale wyraz jego oczu nie był gniewny.

—Powiedziałem ci, żebyś wypaliła papierosa — rzekł.

—Bardzo przepraszam—szepnęła Toby ze skrucą. — Mogę go teraz wypalić.

Pociągnął ją lekko za ucho. — Nie, teraz wyjdziemy. Musisz sobie sprawić różne rzeczy. Ale jeszcze przedtem mam tu coś dla ciebie. Nie wiem, czy na to zasłużyłaś, ale to wszystko jedno. Niewielu z nas zasłużyło na to, co posiada na tym przewrotnym świecie.

Oczy jej zajaśniały i spojrzały na niego pytająco. Wyjął z kieszeni safianowe puzderko i podał jej w milczeniu.

—Och, doprawdy? — szepnęła. — Jak można było kupować coś dla mnie?

—Otwórz — nakazał Saltash.

Wahała się jeszcze, on jednak wsunął w jej rękę pudełeczko i jej palcem nacisnął sprężynkę. Na tle szafirowego aksamitu leżał sznur pięknych pereł. Podniosła na niego oczy z żalnym zakłopotaniem.

—Och, nie mogę tego przyjąć — powiedziała.

—Dlaczego? — spytał Saltash.

Zagryzła usta, jakby miała wybuchnąć płaczem. — *Monseigneur...*

—Mów mi po imieniu — rzekł Saltash nakazująco. Trzymał jeszcze jej dłonie w swoich. Nagle Toby pochyliła się i ucałowała jego rękę.

Drgnął z lekka i wyrwał swe dłonie, pozostawiając jej puzderko.

—Lubisz perły, prawda? — spytał lekkim tonem.

—Kocham wszystko, co pochodzi... od ciebie — szepnęła. — Ale te-

go... tego... nie powinnam przyjąć.

—Dlaczego? — spytał. — Czyż nie jesteś moją żoną?

—Tak — szepnęła Toby niedosłyszalnie. — Ale żona to co innego. Żona nie potrzebuje podarków.

—*Vraiment?* — spytał Saltash. — Więc żona... to co innego? Pod jakim względem, *mignonne*?

Nie podniosła na niego oczu. Drżała z lekka. — Takie rzeczy — odrzekła cichutko — daje się... kobiecie... którą się kocha.

—A więc myślisz, że są one nieodpowiednie dla mojej żony? — spytał Saltash z kapryśnym uśmiechem.

Nie odpowiedziała, tylko w milczeniu podała mu puzderko, wciąż jeszcze nie podnosząc na niego oczu.

Stał, przyglądając się jej przez chwilę, a dziwny płomień to zapalał się, to gasł w jego oczach. Nagle wyciągnął rękę, wyjął z pudełka sznur pereł i szybkim ruchem założył go na jej szyję.

Podniosła na niego zmieszane, pytające oczy. — A ja... nic tobie dać nie mogę! — szepnęła.

Pieszczotliwym ruchem objął ją lekko ramieniem, jakby była dzieckiem. — *Ma chère*, dałaś mi już wiele więcej, niż przypuszczasz. Ale o tym nie będziemy teraz mówili. Idziemy obejrzeć sklepy. A potem pojedziemy do Fontainebleau i spędzimy cały dzień w lesie. Podobają ci się ten projekt?

—Och, ogromnie! — zawołała z zapałem.

A jednak w jej oczach był wyraz niepokoju i bólu, gdy odwróciła twarz od niego. Perełki pozostały na jej szyi i już o nich nie wspomniała ani razu.

Zaczęli czynić zakupy. Toby z początku była onieśmielona, wahała się, bała się decydować, ale Saltash dał jej do zrozumienia, żeby wybierała, cokolwiek się jej podoba, aż wreszcie, jak dziecko na wakacjach, odrzuciła wszelkie niezdecydowanie i ożywiła się nieco. Ta wyprawa zajęła im tyle czasu, że Toby z lękiem uprzytomniła sobie godzinę.

—Tak późno! I tak ciebie długo nudzę! — rzekła ze skruchą.

—Ależ bynajmniej — rzekł lekkim tonem. — Bawi mnie to, jest to dla mnie nowym doświadczeniem.

Spojrzała na niego pytająco. — *Qui, madame* — dodał. — Czuję,

że spełniam swój obowiązek.

—I to cię nie nudzi? — spytała Toby przekornie.

—Gdybyśmy byli na pokładzie „Ćmy”, dostałabyś za uszy! — rzekł.

—Chciałabym! — rzuciła zuchwale.

—Jesteś bardzo młodziutka, Nonette.

Potrząsnęła głową z gwałtownym przeczeniem. — Och, nie, nie! Tylko udaję. Czy nie widzisz?

Zaśmiał się drwiąco. — Nigdy jeszcze mnie nie oszukałaś, *ma chere*, ani razu od chwili, kiedy cię znalazłem spłoszoną w mojej kajucie aż do chwili obecnej.

Oczy Toby nagle zapłonęły. — Na pewno? — spytała. — Tak ła-two czytasz we mnie?

—Jak w książce — odparł Saltash.

—A przecież oszukałam cię... raz — rzekła, dysząc ciężko.

— I przyłapałem cię na tym.

—Tylko dlatego, że tak chciałam — odparła Toby stłumionym głosem.

Uniósł brwi ze zdziwienia.

—Wpadłeś, królu mój. Jesteś przecież tylko mężczyzną — dodała Toby i roześmiała się, klaszcząc w ręce.

Spojrzał na nią przeszywająco.—A ty czym jesteś?— spytał.

Szybko opuściła powieki i nic nie odpowiedziała.

Wrócili do hotelu na drugie śniadanie. Epizod z Jackiem zupełnie poszedł w zapomnienie; ani razu o nim nie wspomnieli. Toby była wesoła i cieszyła się na myśl o wycieczce do Fontainebleau.

Zaraz po spożyciu posiłku poszła się przebrać i za chwilę wróciła do hallu, gotowa do jazdy, otulona w śliczny niebieski płaszcz, który kupili razem tego ranka.

Saltash podszedł na jej spotkanie, a człowiek, z którym właśnie rozmawiał, szczupły mężczyzna o wyglądzie cudzoziemca, jegomość z czarnymi wąsikami i czarną hiszpańską bródką obejrzał się na nią i przyglądał się jej ze zdumieniem.

Toby odrzuciła hardo głowę i minęła go z wyniosłością księżniczki, jakby go wcale nie widziała. Wzrok miała utkwiony w Saltasha.

—Jedziemy? — spytała. — Samochód gotowy?

—Naturalnie — odparł Saltash i skinąwszy głową obcemu panu, poszedł za nią w stronę wyjściowych drzwi.



—To był słynny rzeźbiarz, Spentoli — wyjaśnił, pomagając jej wsiąść do samochodu. — Byłbym go ci przedstawił, gdybyś nie zrobiła tak wyniosłej miny.

—Nie cierpię geniuszów — odrzekła Toby.

—Doprawdy? — zdziwił się Saltash. — Iluż ich znałaś?

Zastanowiła się chwilę, ale wreszcie zdecydowała, że to pytanie nie wymaga odpowiedzi.

Saltash wziął w ręce kierownicę. Tak, to geniusz — powtórzył. — Tworzy dzieła niezwykłe. Maluje również. Cały Paryż szaleje za jego pracami i nie bez racji. Jego obraz: „Ofiara”... — urwał nagle. — Ale co tobie, *chérie*? Słońce ci przeszkadza?

Samochód pomknął szybko przez miasto. Toby oparła się o siedzenie z twarzą śmiertelnie pobladłą, patrząc przed siebie obojętnym wzrokiem.

Saltash nie zadawał jej pytań. Nawet na nią nie spojrzął, zajęty trudnym zadaniem wymijania innych samochodów na ruchliwej ulicy.

Był prześliczny jesienny dzień i cały Paryż skąpany był w słońcu. Saltash lubił jeździć szybko; niewiele upłynęło czasu, gdy już mieli miasto za sobą. Ale nawet wtedy Saltash nie obejrzał się na swą towarzyszkę, pochłonięty, zdawałoby się tylko, wydobywaniem jak największej szybkości ze swej maszyny.

Wreszcie Toby przemówiła pierwsza. — Słowo daję, pierwszorzędną jazda! — rzekła.

Saltash uśmiechnął się, ukazując białe zęby. — Lubisz taki pęd?  
—Jeszcze jak! — rzekła Toby z zapalem.

Z milczenia przeszła teraz w wesołą paplaninę, a Saltash podtrzymywał rozmowę. Gdy znaleźli się wreszcie w cieniu leśnym, byli oboje w jak najlepszych humorach.

Zasiedli do podwieczorku na zielonej polance przy drodze. Słońce zaczęło się już skłaniać ku zachodowi, a jego ukośne promienie rzucały na trawę i mech drżące plamy złote i zielone.

—Miejsce pojedynków — zauważył Saltash.

—Pojedykowałaś się kiedy? — spytała Toby, podnosząc na niego znad koszyka z prowiantami zaciekawione oczy.

—Nigdy z myślą o zabiciu przeciwnika — rzekł Saltash. — Honor tak łatwo zaspokoić, a ostatecznie — tu jego uśmiech stał się nagle wyzy-



wający — tak niewiele jest rzeczy, o które warto walczyć.

Toby pochyliła się nad koszykiem i coś mruknęła sama do siebie.  
—Co powiedziałaś? — spytał Saltash. Przechylił się i pochwycił jej dłoń.

Wyciągnęła z koszyka paczkę i rzuciła z pasją na ziemię.  
—Chcę wiedzieć, co powiedziałaś — powtórzył.

Rzuciła na niego spojrzenie trochę zalękłe, a jednak wyzywające.  
— Powiedziałam, że jest tylko jedna filiżanka — odparła.

Palce jego zacisnęły się jak śruba na jej nadgarstku. —*Par-donnez-moi*, ale to nie jest prawda — rzucił.

Lekki dreszcz przebiegł Toby. — Jak się obejdziemy bez drugiej filiżanki? — spytała, nie patrząc na niego, a jej powieki zatrzepotały nerwowo.

—Czy mi odpowiesz? — spytał Saltash.

Potrząsnęła głową i milczała. Trzymał ją przez długą chwilę, a jego twarz mieniła się dziwnie. Toby zaczęła drzeć ze wzburzenia; dostrzegłszy to, puścił ją nagle.

—Piliśmy już z jednego kieliszka — rzekł. — Możemy to powtórzyć znowu.

Podniosła na niego oczy, w których jeszcze malował się lęk. — Gniewasz się? — szepnęła.

—Nie — odrzekł, ale mimo tego zaprzeczenia nie wiedziała, co ma oznaczać spojrzenie, jakim jej odpowiedział

Położyła rękę na jego rękawie. — Gniewasz się, widzę, że się gniewasz — powiedziała.

—Nie — zaprzeczył Saltash.

—Dlaczego? — spytała Toby impulsywnie.

Drwiący grymas wykrzywił jego twarz. — Bo wiem, co powiedziałaś — odparł. — Niełatwo mnie wprowadzić w błąd. Nigdy ci się to nie uda.

Twarcz jej zapłonęła. — Powiedziałam, że nie wykorzystałeś najlepszych możliwości w swym życiu — zawołała. — I to prawda, prawda!

—Skąd wiesz? — spytał.

Nie odpowiedziała na to pytanie. Klęczała pochyłona nad koszykiem i z nerwowym pośpiechem wyciągała z niego jedną paczkę za

drugą.

Saltash nagle wstał i odszedł parę kroków, a gdy za chwilę powrócił z nie dopalonym papierosem w ustach, podwieczorek był nakryty na trawie, a Toby siedziała poważna i milcząca, czekając na niego.

Nie spojrział na nią, ale siadając uszczypnął ją lekko w policzek. Obróciła twarz ku niemu i uśmiechnęła się nieśmiało. — Znalazłam drugą filiżankę — rzekła.

—Widzę to — odparł Saltash i zanim zdążyła się zorientować, co zamierza uczynić, pochwycił filiżankę w palce i odrzucił daleko. Rozbiła się o pień drzewa i rozprysła w drobne kawałki na mchu. Toby spoglądała na niego szeroko otwartymi oczyma.

Roześmiał się niedbale z jej zdumienia. — Teraz będziemy pili z jednej filiżanki — rzekł.

—Czy ty, czy ty... dlatego to zrobiłeś? — wyjąkała.

Wypuścił obłok dymu i machnął ręką gestem królewskiej obojętności. — Właśnie, *madame* — odparł. — Tak się postępuje... z żoną. Bo widzisz, żona... to co innego.

—Ach... tak — rzekła Toby.

## IV BOŻYSZCZE PARYŻA

Ciemno było, gdy wrócili do hotelu, ale Paryż jaśniał tysiącami świateł. Hotel przybrał wygląd odświętny. Wszędzie było pełno kwiatów, a na schodach rozpostarto czerwone dywany.

—Rozelle Daubeni ma dziś wystąpić — powiedział Saltash.

—Kto? — Toby zatrzymała się w momencie, gdy już mieli zejść na salę. Przed chwilą śmiała się jeszcze, ale teraz śmiech zamarł nagle jak zdławiony. — Kto taki? — spytała.

—Panna Daubeni, bożyszczce Paryża. Nie słyszałaś nigdy o niej? — odparł Saltash, podając jej rękę. — Wystąpi dziś na wielkiej sali. Zobaczysz ją. Warto.

Toby zadrżała. — Ach, słyszałam o niej... za wiele. Nie chcę jej widzieć. Nie schodźmy na obiad!

—To niemożliwe — rzekł Saltash. — Zanadto jesteś nieśmiała, *ma chère*. Nie przystoi to damie z twoją pozycją.

To mówiąc podprowadził ją do windy. Hall pełen był strojnych gości, oczekujących na przybycie ubóstwianej tancerki. Gdy Saltash przechodził z małżonką, wszystkie oczy skierowały się na niego, ale on umiał przybrać wyraz tak królewsko spokojny i obojętny, jakby niczego nie dostrzegał. Szedł, niby władca przez tłumy swoich podwładnych.

—Nie chcesz widzieć pierwszej tancerki świata? — spytał.

Podniosła na niego swe szafirowe oczy, a w jej pobladłej twarzy malował się lęk. — Tę kobietę... *monseigneur*?

—Mów mi po imieniu! — rozkazał Saltash. — Albo prowadzimy grę według wszelkich przepisów, albo wcale.

—Gniewasz się — szepnęła Toby i pobladła jeszcze bardziej.

Podszedł do niej i objął ją ramieniem. — Nie gniewam się, *mi-gnonne*, a w każdym razie nie na ciebie. Ale nie mogę kryć się z tobą. Ten tłum gapiów, wśród których pełno mam znajomych, powinien zrozumieć. Nie jesteś moją chwilową fantazją, jesteś moją żoną.

Toby zadrżała. — Nie mogę sobie wyobrazić, żeby to miało być na stałe — szepnęła żałośnie. — A jeśli się gniewasz...

Poklepał ją po ramieniu. — Cokolwiek sobie wyobrażasz, jesteś moją żoną, i musisz zachowywać się odpowiednio do swej pozycji towarzyskiej.

—Wszystko, cokolwiek zechcesz — szepnęła Toby.

Puścił ją. — Musisz dziś wyglądać czarująco. Włóż niebieską suknię, to twój kolor. Zapoznam cię z Spentolim, jutro będzie chciał malować twój portret.

Toby zeszywniała. — Z tą... *canaille*?

Spojrzał na nią ze zdziwieniem. — Co tobie dzisiaj, Nonette? Nie nawidzisz dziś wszystkich.

Szafirowe oczy płonęły. — Nie chcę poznać tego człowieka. On ma złe spojrzenie. Ty... ty powinienesz mnie... obronić...

—Ależ, moje dziecko! — rzekł Saltash i odwrócił się, by zapalić papierosa. Przemówił po chwili, a jego głos był pełen dobroci, choć miał w sobie pewien władczy ton.

—Nonette — powiedział — kiedy jesteś ze mną, możesz się nie bać niczego. Zawsze cię obronię. A teraz idź się przebrać, a gdy będziesz gotowa, przyjdź mi się pokazać. I pamiętaj, że masz wyglądać pięknie.

Obrócił się i spojrzał na nią. Uniósł brwi ze zdziwieniem — tak naprężony opór wyczytał w jej oczach. Trwało to jednak zaledwie chwilę; pod jego zdziwionym spojrzeniem nagle opuściła oczy i cofnęła się przed nim.

—Zrobię wszystko, cokolwiek zechcesz — powtórzyła. — Wiesz o tym.

—Tak, wiem — odrzekł ze swym drwiącym uśmiechem. — Idź, Nonette.

Odeszła, niby drobne, zgonione stworzenie. Saltash wzruszył ramionami i zawrócił w stronę hallu. Tłok był jeszcze większy. Wszyscy gromadzili się przy drzwiach wejściowych, czekając na ukazanie się słynnej tancerki. Saltash wmieszał się w tłum.

Po chwili dostrzegł go rzeźbiarz Spentoli i podszedł do niego. — Mam nadzieję — rzekł — że będę miał zaszczyt poznać pańską młodą małżonkę.

Saltash spojrzał na niego. Spentoli był jednym z tych nielicznych

ludzi, którzy mu imponowali. Jego twórczość miała zawsze wielki urok dla jego artystycznej duszy, i nigdy się z tym nie taił.

—Moja żona jest młodziutka i nieśmiała — rzekł. — Któregoś dnia przedstawię jej pana, ale może jeszcze nie dziś.

—Po raz pierwszy bawi w Paryżu? — spytał Włoch.

—Nie, ale nie zna miasta dobrze — odparł Saltash. — Nie zamierzam pokazać jej wszystkiego od razu. To nie jest pożądane.

—Słusznie — przyznał Spentoli. — Świeżość młodzieńcza za wcześnie mija. Ale pańska małżonka będzie wspaniale piękna za kilka lat. Pozwoli pan powinszować sobie swego doskonałego wyboru.

Saltash skrzywił się ironicznie. — Czy to my wybieramy? — spytał. — Czy nie przyjmujemy raczej tego, co nam bogowie zsyłają, i to dość niechętnie?

—Nie spodziewałem się — rzekł Spentoli— że się pan ożeni z tak młodą osobą. Jest w niej coś chłopięcego. Przypomina mi...

—Obraz pański „Ofiara” — przerwał mu Saltash. — Okrutny obraz, ale piękny. Kim była modelka?

Włoch wciąż się uśmiechał, ale jego oczy spoglądały czujnie. — Pewna dziewczyna cyrkowa, którą znalazłem w Kalifornii — rzekł. — Dziecko jeszcze, istne diablątko, ale miała budowę młodego efeba. Zabrałem ją z cyrku. Płaciłbym jej dobrze, gdyby zechciała pozostać ze mną, ale dość miała pozowania, zanim jeszcze skończyłem obraz. Przewrotne, złośliwe stworzenie, mała żmijka! Mieliśmy raz dość ostrą rozmowę i ta mała gadzina ukłuła mnie swym jadowitym żądłem i uciekła! — Zęby Włocha zabłysły pod jego czarnym wąsikiem. — Nie lubię tych wężowych kobiet — rzekł. — Gdy ją znów spotkam, pomszczę się!

—Rzadko kiedy mamy okazję do zemsty — zauważył Saltash leniwie z oczyma zwróconymi w stronę drzwi. — Nikt, na przykład, nie szukał pomsty na pięknej Rozelle.

—Ach, Rozelle! — zawołał Włoch, a jego twarz zmieniła się, jak pod zaklęciem. — Ona jest istotą bez jadu, różą bez kolców.

Saltash uśmiechnął się drwiąco. — Istotą bez serca, chciał pan powiedzieć.

—Ona cała jest sercem! — zawołał Spentoli, a jego oczy zabłyśły.

Saltash roześmiał się głośno. — I to bywa czasem niedobre — rzekł. — Domyślam się, że ona jest tym magnesem, który pana tu sprowadził.

Gdy to mówił, Spentoli zerwał się na równe nogi, bo w sieni tłum zafalował, rozstępując się jak przed królową. Saltash siedział przy stoliku, ale i jego oczy były utkwione w drzwi.

Doleciał go odgłos śmiechu, dźwięcznego, czystego, porywająco wesołego, jak śmiech dziecka, i ujrzał postać w niebieskiej szacie wśród marmurowych kolumn u wejścia. Witano ją jak królową i jak królowa weszła na salę istota tak piękna, tak nieziemsko doskonała, że wszystkie oczy napełniły się podziwem.

Rozejrzała się dokoła promiennymi oczyma, jaśniejącymi jak szafiry. Szkarłatne wargi miała rozchylone. W jej spojrzeniu było jakieś dziewczęce wyczekiwanie, ale jej piękność miała w sobie blask nie znany młodości. I przed tym blaskiem Saltash złożył hołd, wstając, gdy wchodziła.

Spojrzała na niego, zrozumiała ten hołd i triumfalnie się roześmiała, a potem obróciła się do idącego za nią mężczyzny i coś szepnęła do niego.

Wzrok Saltasha pobiegł w stronę tego mężczyzny, a jego brwi uniosły się w nieopisanym zdziwieniu. Było rzeczą wiadomą, że Rozelle Daubeni nigdy nie przybywa bez eskorty, ale... ten człowiek przy jej boku? Był wysoki, barczysty i niósł głowę dumnie, jakby nikogo nie widział przed sobą. Jego wzrok był utkwiony w jakąś nieokreśloną dal, jak oczy władczego wikinga, nawykłego do bezkresnych horyzontów. Szedł swobodnym, szerokim krokiem korsarza. A gdy piękna kobieta u jego boku podniosła na niego oczy, było rzeczą jasną, że oprócz niego nikt dla niej nie istnieje na tej całej tłumnej sali.

Zawróciła ku wielkim marmurowym schodom, wsparta o jego ramię. Gdy znalazła się na podeście, odwróciła się, odpięła od piersi

szkarłatną różę i rzuciła ją na dół. Celowała w stronę Saltasha, ale kwiat upadł u nóg Włocha. Ten schylił się i uniósł go do ust, a jego pierś wstrząsnął suchy szloch.

—*Mon ami* — rzekł Saltash — drwiącym tonem. — Skradł pan moją własność, ale może ją pan sobie zatrzymać, mnie ta róża nie jest potrzebna.

Spentoli spojrział na niego pałającymi oczyma. — Może się pan śmiać — rzekł. — Pan nie ma duszy !

—Czy nie lepiej śmiać się? — spytał Saltash. — Wolałby pan, żebym pana uderzył?

Spentoli aż skoczył, ale wnet się opanował. — A pan wie, co o niej mówią? — spytał. — Że jest umierająca. Ale to nieprawda, nieprawda! Taka piękność nie może umrzeć.

Saltash uśmiechnął się gorzko i wzruszył ramionami.

—Czy pan wie, kim jest ten mężczyzna z nią? — spytał Włoch. — Czy pan go zna?

—Znam go — odparł Saltash.

—Kto to? Jakiś nowy kochanek? — w głosie Włocha brzmiało wzburzenie, jego oczy znów pały.

Saltash spoglądał na niego z wyniosłą ironią. — Może nowy — rzekł — a może bardzo dawny. Nazywa się Larpent i jest kapitanem na moim statku.



## V. TANIEC ŚMIERCI

—Będziemy się przyglądali z galerii — rzekł Saltash.

Toby podniosła na niego oczy pełne wdzięczności. — Tam nie będzie tak tłoczno — przyznała.

—Ale każdy będzie wiedział, że lady Saltash jest obecna na sali ze swym mężem — rzekł.

Wsunęła rękę pod jego ramię. — Królu i władco — szepnęła. — Wyjedźmy z Paryża.

—Znudziło ci się?

—Nie... nie — wyjąkała. — Tylko... — urwała i nagle uśmiechnęła się znowu. — Niech będzie, jak sobie życzysz.

Uszczypnął ją swoim zwyczajem w policzek. — Wiesz, co ci powiem, *mignonne*? — rzekł. — Wyjedziemy, bardzo prędko.

—Pojedziemy jachtem? — spytała.

—Tak — rzekł Saltash twardo i chmurnie.

Twarz Toby rozjaśnił na chwilę uśmiech, ale wnet się zachmurzyła. — Jeśli bawi cię Paryż... — zaczęła.

—Paryż mnie nie bawi, *ma chère* — rzekł Saltash. — Wypal papierosa, podczas gdy pójdę się przebrać.

—Może ci pomóc? — spytała Toby nieśmiało. — Przygotowałam ci wszystko.

Uśmiech przemknął po jego twarzy. — Nie tu, *chérie*. Może kiedyś, jak będziemy na jachcie...

Wyszedł z tym niedokończonym zdaniem, a Toby złożyła ręce i powtórzyła szeptem sama do siebie: „, jak będziemy na jachcie...”

Gdy po chwili schodzili do wielkiej sali jadalnej, Toby uśmiechała się i twarz jej zdobiły rumieńce, ale gdy weszli, rozejrzała się lękliwie ukradkiem dokoła siebie. Odnaleźli odosobniony stolik, zarezerwowany dla nich, i w oczach Toby odmalowało się uczucie ulgi. Wtuliła się w kącik, jakby chciała się uczynić jak najmniejszą. Nikt nie podszedł do nich, chociaż wiele spojrzeń biegło w ich stronę. Saltash był zanadto znany, aby mógł przejść niedostrzeżony w modnym tłumie. Ogólna jednak uwaga nie skupiała się na nich. Wszystkich pochłaniała inna, dużo większa atrakcja.

Rozelle Daubeni siedziała w drugim końcu sali, jak królowa otoczona swym dworem, a przy niej siedział jasnowłosy wiking o surowym i poważnym obliczu, milczący i daleki, jakby był na bezludnej wyspie. Przemawiał rzadko i wyłącznie do niej. Ile razy do niej się odezwał, twarz jej promieniała niewymownym szczęściem.

Miała na sobie wspaniałą niebieską suknię; klejnoty migotały przy każdym jej oddechu. Nad jej czołem płonął we włosach jeden wielki diament, iskrzący się niby tęczowa gwiazda. Nikt z tych, którzy ją znali, nie widział jej tak jaśniejącej triumfem jak dziś. Była jak niezemskie zjawisko.

Orkiestra, na jej życzenie, grała muzykę taneczną, muzykę działającą bezpośrednio na zmysły i wzruszenia. Chciała przygotować widzów na to, co miało nastąpić. Podniecenie rosło z każdą chwilą. Jakiś szal zdawał się przenikać atmosferę.

Zanim obiad dobiegł końca, piękna tancerka wstała, a za nią podniósł się jej towarzysz, niosący przerzucony przez ramię jej płaszcz bawlowy z pajęczej niebieskożłotej gazy. Stało się to sygnałem do demonstracji. Przy jednym ze stolików zerwał się jakiś młodzieniec i z oczyma pałającymi zachwytem wzniosł wysoko kielich napełniony czerwonym winem.

—A Rozelle! A Rozelle.

Krzyk podniósł się pod sklepienie sali, powtórzony przez tysięczne głosy. Ludzie poczęli się tłoczyć dokoła stołu, przy którym zatrzymała się piękna tancerka. W jej oczach odmalował się przez chwilę jakby lęk, ale było to mgnienie oka. Twarz rozjaśnił ów jej cudny niezrównany uśmiech i kaskada srebrzystego śmiechu przetoczyła się wśród zgiełku. Skinęła wdzięcznie i łaskawie głową na znak podziękii i przyzwolenia i lekkim krokiem poczęła zmierzać ku drzwiom.

Jej towarzysz torował drogę, a wyglądał tak, jakby zdolny był rąbać bez miłosierdzia na prawo i lewo, tak surowe i groźne było jego spojrzenie, toteż wszyscy rozstępowali się przed nim.

Zanim ktokolwiek zdążył się zorientować, już ich nie było na sali.  
—Nadzwyczajna kobieta! — zauważył Saltash.

Toby spojrzała na niego, ale nic nie powiedziała. Przyglądała się całemu epizodowi i nic nie uszło jej uwagi, ale nie odezwała się ani słowem.

Nagle pochylił się ku niej. — Napij się wina, *chérie*. Jesteś blada.

Drgnęła na dźwięk jego głosu i uniosła kieliszek, ale jej ręka tak drżała, że wino rozlało się na obrus. Pochylił się nad nią, jakby ją chciał osłonić przed ludzkimi oczyma. Pochwycił jej dłoń i przytrzymał kieliszek przy ustach. — Wypij — powiedział.

Usłuchała, nie podnosząc na niego oczu. Odstawił na stół opróżniony kieliszek.

—Chodźmy teraz. Jesteś gotowa?

Wstała i stanęła przy nim. Jego ręka, ciepła, mocna i pewna, spoczęła przez chwilę na jej ramieniu. Podniosła na niego oczy, ale nic nie powiedziała.

Przeszli przez tłumną salę, nie zwracając na siebie prawie niczyjej uwagi, ale gdy się znaleźli na korytarzu, Toby przystanęła, zalekniona. Zobaczyła Spentoliego, który stał, wsparty o kolumnę, paląc cygaro. Poczwała na sobie jego wzrok.

Zatrzymała się, jak ścigana zwierzyna rozglądająca się za drogą ucieczki, ale w tej chwili rozległ się zimny, zuchwały głos Saltasha.

—Idziemy prosto do windy, *chérie*. Na galerii nikt nam nie przeszkodzi. Chodź!

Usłuchała go instynktownie, ale tak drżała, gdy się znaleźli w windzie, że zmusił ją, aby usiadła. Sam stał przy niej w milczeniu, paląc papierosa, ale raz jego dłoń lekko dotknęła jej policzka. Pochwyciła tę dłoń w obie swoje dłonie, konwulsyjnie, ale on łagodnie wyrwał jej swą rękę.

Galeria, która z trzech stron okalała wielki salon, była zupełnie pusta. Tylko z jednego jej punktu można było dostrzec estradę, na której miała występować tancerka, i Saltash zmierzał w tamtą stronę.

—Stąd ją zobaczymy — powiedział.

Galeria była słabo oświetlona odblaskiem świateł płonących poniżej na sali, dwa bowiem olbrzymie kryształowe kandelabry u sufitu pozostały nie zapalone. Pod jednym z nich znajdowała się kanapka, na której usiadł Saltash z Toby. — Tutaj możemy spokojnie palić papierosy — rzekł. Podał jej papierośnicę, ale ona odmówiła, skuliwszy się w kącie kanapki jak stworzenie szukające w trwodze ukrycia. W salonie zaczęła teraz przygrywać orkiestra i jęły napływać tłumy.

Saltash oparł się wygodnie i palił. Rozglądał się tu i tam, ale Toby

czuła, że nie przestaje jej obserwować. Siedziała w milczeniu, nerwowo splatając i rozplatając dłonie, z oczyma utkwionymi w jasno oświetloną scenę.

Po chwili salon napełnił się ludźmi; światła pogaszono i tylko snop oślepiająco jasnych, fioletowych promieni puszczo prosto na scenę. Oczy Toby pozostały nieruchomo utkwione w ten snop światła.

Orkiestra przestała grać, a tłum na dole znieruchomiał, jak pod zaklęciem. I wtedy zjawiła się ona.

Nikt nie spostrzegł, kiedy nadeszła. Jakby spłynęła na pęku promieni i teraz tańczyła, tańczyła jak uskrzydłona istota w fioletowej poświacie. Nie pojawił się żaden inny dźwięk, poza cichym, falującym pasemkiem melodii, mogącym pochodzić od na wpół zbudzonego o brzasku ptaka.

Fioletowe światło przechodziło z wolna w barwę różaną, towarzyszącą wczesnej fazie świtu, obejmując postać tancerki z piękną uniesioną do światła i opromienioną uśmiechem twarzą. Przejrzysty szal wirował dokoła niej, zwijając się, unosząc i opadając jak płomień przy każdym ruchu, ogarniając białe ramiona i zataczając dokoła tańczącej połyskliwy, jasny krąg.

Patrzący z zachwytem tłumili oddech. Czarodziejka trzymała wszystkich w mocy swego uroku, wszystkich, prócz jednego mężczyzny, który zamiast patrzeć na nią, wpatrywał się w swoją towarzyszkę, siedzącą przy nim z szeroko rozwartymi szafirowymi oczyma, pełnymi jakiejś niewyrażalnej zgrozy.

Różane światło przeszło w szkarłat. Tancerka zataczała zawrotne kręgi, jak oszalała ćma, olśniona blaskami poranku. Melodia wzbierała. Podchwyciły ją teraz inne ptaszące głosy, wydając dźwięki fletu, pogwizdując, zanosząc się od treli, szalony, dziki i radosny chorał, pełen nieuchwytnych ech, jakby śmiech nimf leśnych, pływających na zaklętej polanie. Oniemiały tłum widzów oglądał oto czerwone słońce, które świta w tajemniczym lesie, nie tkniętym człowieczą stopą.

Z wolna rozjaśniał się szkarłat brzasku, nadchodził dzień, a cicho polatująca zmierzchnica przemieniła się w złotego motyla. Szal z przejrzystej gazy wciąż unosił się dokoła tańczącej, niby złocisty obłok, ale ona już nie wirowała w zawrotnych koliskach.

Zatrzymała się w blaskach nowego dnia, a linie jej pięknego ciała

drżały dziękczynnym hołdem, powitalną modlitwą ku słońcu. Tak, była zdumiewająca, niezrównana, była natchniona. Dziś tańczyła tylko dla jednego wybrańca, nie zaś dla kogokolwiek z tego tłumu. Była miłośnicą, oczekującą swego wybranego kochanka.

W jakiś nie wyjaśniony sposób świadomość tego faktu przenikała jej wielbicieli. Odgadywali w pobliżu olśniewającej gwiazdy obecność nieznanego, którego dziś przy niej widziano. Gdy skończył się taniec świtu, oczy wszystkich szukały go na sali, wszyscy ciekawi byli, kim jest ten nowy wybraniec, ale nikt nie miał na to odpowiedzi.

Na galerii Toby jakby się przebudziła z transu i podniosła oczy na swego towarzysza.

Była blada i ogromnie znużona.

—A więc znalazła nową ofiarę — rzekła.

—Tak by się zdawało — odparł Saltash.

W półmroku spojrzała na niego. — Czy wiedziałeś przedtem... że kapitan Larpent ją zna? — spytała.

—Nie — odrzekł Saltash. Pochylił się ku niej i zmierzył ją wzrokiem.

— A ty?

Cofnęła się gwałtownie. — Oczywiście że nie! — zawołała. — Cóż mogłabym wiedzieć o niej?

Cofnął się bez słowa i zapalił nowego papierosa. Po upływie kilku minut, Toby znów się odezwała, nerwowym ruchem splatając i rozplatając dłonie.

—Czy miałbyś za złe... gdybym poszła się położyć? Czuję się zmęczona — szepnęła.

W tej chwili pogaszono światła, i twarz Saltasha stała się niewidzialna. — Po tym tańcu, *ma chère*, jeśli sobie życzysz — rzekł głosem pełnym dobroci.

Rozbrzmiała muzyka, smętna, żałobna i szept przebiegł salę. Był to najslynniejszy z tańców Rozelli, „taniec śmierci”, jedno z najbardziej okrutnych widowisk, jak mówiono. Tancerka wbiegła na scenę w czarnej obcisłej szacie, która migotała i skrzyła się przy każdym jej ruchu. I zaczął się ów taniec, który stanowił przedmiot podziwu całego świata, taniec, za którym ludzie szaleli.

Z początku jej ruchy były tak szybkie, że wzrok nie mógł za nimi nadążyć, szalony ruch, nieopisane delirium, opętany taniec, nużący dla



oka, a jednak tak fascynujący, że niepodobna było oderwać wzroku. Nawet Saltash, który nie zwrócił uwagi na pierwszy taniec, pochylił się naprzód i nie spuszczał oczu z tancerki. Zgroza tego tanecznego szalu miała w sobie coś magnetycznego. Była to walka śmiertelna, dzika walka istoty obdarzonej płomiennym zasobem sił żywotnych z niewidzialnym, a tym groźniejszym przeciwnikiem, z wrogiem nieubłagany i niezwyciężonym.

Kto widział ów taniec Rozelli Daubeni, nigdy go nie zapomni, i prawie nie było kobiety, której by na jego wspomnienie nie przebiegł zimny dreszcz. Był to widok fascynujący, wstrząsający, straszliwy. Mimowolny spazm zgrozy dławiał za gardło patrzących, mroził krew w ich żyłach oczekiwaniem nieubłaganej, okrutnej, nadchodzącej agonii.

Ale takiego końca, jaki miał nastąpić, nikt z widzów się nie spodziewał. Właśnie w chwili, gdy straszliwa ekstaza taneczna dochodziła do zenitu, w chwili, gdy już miał nastąpić straszliwy przełom i dławiące szpony przeciwnika miały spocząć na gardle pokonanej już ofiary, właśnie w chwili, gdy miała unieść głowę w ostatniej męce przedśmiertnego błagania, rezygnując z ostatniej nadziei, by upaść bezwładnie u stóp nieubłaganej Śmierci-niszczycielki, nagły blask światła zalał salę, oba kryształowe kandelabry nad galerią zapaliły się, oświetlając hojnie dwie samotne postacie siedzące tam.

Wszyscy obejrzelili się w tamtą stronę, a Toby nie zdając sobie sprawy, co czyni, gnana instynktem pchającym ją do ucieczki, zerwała się na równe nogi.

Gdy stanęła w pełnym świetle, oczy tancerki również wzniosły się w górę i ujrzała w pełni światła jasną, wysmukłą postać. W jednej chwili przeszył salę śmiertelny krzyk, krzyk tak rozdzierający, że kobiety pozakrywały twarze dłońmi i poczęły spazmatycznie szlochać.

W okamgnieniu pogasły światła i znów zaległa galerię ciemność, ale ze sceny kobiecy głos zawołał po trzykroć: — Toinette! Toinette! Toinette! — rozpaczliwym wołaniem matki wzywającej umarłe dziecko, a potem zapadło tragiczne rozdzierające milczenie, które było milczeniem śmierci.

I w tym milczeniu wysoki mężczyzna, poruszający się swobodnym, kołyszącym się krokiem marynarza, przeszedł szybko przez scenę, aż do miejsca, gdzie leżała tancerka, bezwładna, jak rozbita zabaw-

ka, pochylił się, wziął ją na ręce i wyniósł z sali.

## VI. NOWY KOCHANEK

Bardzo późno tej nocy, gdy wśród trwoźnych szeptów rozproszyły się tłumy, które tu ściągnęła sława Rozelli Daubeni, dwóch mężczyzn zeszło po marmurowych schodach do wielkiego hotelowego westybulu. Tu przystanęli.

—Opuszcza pan znowu Paryż? — spytał Saltash.

Jego towarzysz skinął głową. Twarz miał niewzruszoną, oczy spoglądające w dal. — Nic mnie już tu nie zatrzymuje — rzekł. — Przyjechałem tu jedynie... — Urwał i zamilkł.

—Bo pana wezwano — dokończył Saltash, bystro wpatrując się w niego.

Larpent w zadumie skinął głową, jakby w odpowiedzi na własne myśli. — Jedna tylko rzecz na świecie mogła mnie sprowadzić — rzekł



głucho.

— Tak — potwierdził Saltash i usiadł na jednym z foteli z taką miną, jakby mu wcale nie zależało ani na czasie, ani na zwierzeniach kapita-  
na.

Larpent zapalił papierosa i stał, przez obłok dymu spoglądając na niego nieruchomym wzrokiem. — Jedyna tylko rzecz — dokończył głosem człowieka, który rozmawia z własną duszą. — Ona była chora, śmiertelnie chora, i chciała się ze mną zobaczyć. — Zamilkł na chwilę i przebiegło go dziwne drżenie. — Po dwudziestu latach — dorzucił, jakby się dziwił samemu sobie.

Saltash uniósł żywo wzrok. — O tym już kiedyś słyszałem — rzekł. — Ci, których zdobyła, nie zapomnieli o niej nigdy. Żadna inna kobieta nie mogła się równać z Rozellą Daubeni.

Ręce Larpenta zacisnęły się instynktownie, ale nic nie powiedział.

Saltash mówił dalej tym samym obojętnym tonem. — Mnie nigdy nie zdobyła, *mon ami*, za późno ją poznałem w swym życiu; stałem się zanadto wymagający. — Twarz jego wykrzywił drwiący grymas. — Podziwiałem jej urok, ale mu nie uległem.

— Nie widział jej pan w młodości — rzekł Larpent, a jego wzrok był w tym momencie wzrokiem wizjonera.

— Jakaż była wtedy? — spytał Saltash.

— Jak motyl wśród kwiecia, a jednak było w niej coś chłopięcego. Te oczy śmiałe, szeroko otwarte, ta jej swoboda, jej odwaga. Tak niewinna była... tak urocza... — Coś ścisnęło go za gardło. — Boże, jak urocza — dokończył zdławionym głosem.

Saltash zerwał się nagle ze swą zwykłą sprężystą żywością. — Za-  
raz! Trzeba, żeby się pan czegoś napił. Zamówię coś dla nas.

Larpent stał chwilę, spoglądając przed siebie martwym wzrokiem, po czym obrócił się i opuścił ciężko na fotel. Siedział tak, pochylony, z rękoma splecionymi na kolanach, gdy powrócił Saltash. Kapitan wyglądał jak człowiek śmiertelnie zmęczony po długiej wędrówce.

Saltash napełnił kieliszek i podał mu go żywo. — Niech się pan napije! — rzekł. — To panu wróci siły.

Larpent wychylił kieliszek powoli, automatycznie. Gdy go odsta-  
wił, jego wzrok napotkał żywe, bystre oczy Saltasha, i blady uśmiech przemknął się po jego znużonej twarzy.

—Niepotrzebnie psuję panu miłe chwile — zauważył.

—Niedorzeczność — rzekł Saltash.

Larpent siedział w milczeniu jakiś czas. Potem zaczął mówić, tonem już spokojniejszym. — Musiałem do niej przyjechać. Nie mogłem odmówić. Bogu jednemu wiadomo, dlaczego mnie wezwała. Otrzymałem jej list przed dwoma dniami. Pisała, że jest sama, że jest śmiertelnie chora. Przyjechałem. — Zamilkł i otarł czoło. — Myślałem, że mnie oszukała. Widział ją pan dzisiaj, piękną, pełną życia? Musiałem przy niej pozostać, nie mogłem jej opuścić. Chciała... żeby ją znowu przyjął. — Wstał i zaczął się nerwowo przechadzać. — Pan myśli, że oszalałem? Ale ja... byłem jej pierwszą miłością... i gdyby nie umarła, zabrałbym ją ze sobą. Zabrałbym ją z tego przeklętego świata, który stał się jej zgubą. Nie dałbym jej tańczyć. Byłbym ją uratował.

—Nie — rzekł Saltash. — To jak powracająca gorączka. Na to nie ma ratunku.

—Jeśli powiadam, że mógłbym — odparł Larpent, to wiem, że ja jeden mógłbym to uczynić. Miałem nad nią moc, jakiej nikt nie miał. Byłem jej pierwszą miłością i byłem... jej mężem.

—Nie może być! — zawołał Saltash.

Larpent przechadzał się tam i z powrotem z pochyloną głową. — Byłem jej mężem, ale przecież zabrać jej ze sobą na morze nie mogłem. I dlatego ją straciłem. Nie była z tych, które potrafią oprzeć się pokusom. Gdy wróciłem z podróży, nie zastałem jej już... i nie szukałem. Uważałem, że to beznadziejne. Dziś ten, jutro inny. Wykreśliłem ją ze swego życia i na tym koniec. Nie wiedziałem wtedy tego, co wiem dziś, że w mojej mocy leżało ją zbawić. Gdybym wiedział, może bym poszedł za nią, sam nie wiem. Wtedy tak byłem pełen gorzycy, że powiedziałbym może: „Nie warto”. Wróciłem na morze i pozostawiłem ją na drodze do zagłady.

—A jednak pan ją kochał? — spytał Saltash, a gorzki grymas wykrzywił jego usta.

—Tak. Gdyby nie to, nie byłbym przybył na jej wezwanie. Miłość nie umiera. — Głos Larpenta zadrgał dziwnie. Przystanął na chwilę, po czym znów zaczął się przechadzać niespokojnie. — Może się pan z tego śmiać, może pan nazwać to, jak pan chce, ale istnieje na tym świecie moc potężniejsza niż wszystko, a gdy ta moc przemówi, musimy usłu-

chać. Nie chciałem do niej jechać. Powie pan, że to było szaleństwo z mojej strony, że usłuchałem jej wezwania, ale musiałem.

—Wcale nie uważam tego za szaleństwo — odparł Saltash. — Uważam, że nic innego nie można było uczynić.

—Tak, nic innego. Przyjechałem. Gdybym nie wrócił do niej, umarłaby samotnie. Była jednak jeszcze inna przyczyna, dla której mnie wezwała. — Larpent przestał chodzić i stanął twarzą w twarz przed Saltashem. — Czy pan wie, że to dziecko, to dzikie stworzenie, które pan wydobył z rynsztoka, ta mała Toby... domyśla się pan?

Saltash odrzucił głowę zuchwale. — Domyślałem się i wiemniej więcej może niż pan — rzekł — ale niech pan mówi, słucham.

—Rozelle powiedziała mi, że miała córkę, którą kochała, ale której nie potrafiła zapewnić opieki. Spentoli, ten Włoch, pan wie, zna całą jej historię od początku do końca. Zna pan tego człowieka?

Saltash skinął głową.

—To łotr — rzekł Larpent — najczarniejszy, jakiego święta ziemia nosi. Szalał za Rozellą. Malował jej portret nieskończoną ilość razy. Chciał zabrać sobie jej córkę jako modelkę, a ona nie mogła mu się sprzeciwić, była od niego najzupełniej zależna, a przy tym chora. Od lat ciężko chorowała na serce i wiedziała, że dni jej są policzone. I ten człowiek zabrał jej dziecko, ale mała uciekła od niego. Przyłączyła się do jakiegoś cyrku. Spentoli odnalazł ją w Kalifornii, zabrał przemocą, chciał z niej uczynić na nowo swoją niewolnicę, ale to dzikie stworzenie miało charakter. Rzuciła się na niego ze sztyletem; raniła go ciężko i uciekła. Rozelle straciła ją z oczu i rozpacziała z tego powodu. Błagała mnie, żebym ją odnalazł. Przyrzekłem, że to uczynię, ale nie wiedziałem, że ona jest tak blisko. Dziś Spentoli uknuł szatański zamach. To on zapalił te światła, to on zabił Rozelle. Zobaczyła na galerii swoją córkę, naszą córkę, Toby. Ten krzyk ze sceny był jej krzykiem śmiertelnym. W owej chwili jej serce przestało bić.

Larpent zamilkł. Jego oczy spoglądały daleko, jakby ściagały jakieś widzenie z zaświatów. Saltash przyglądał mu się bacznie, a jego brwi poruszały w nerwowym zamyśleniu.

—Zamierza się pan upomnieć o córkę? — spytał.

—Przysiągłem, iż uczynię dla niej, co w mej mocy, i tej przysięgi chcę dotrzymać — odparł Larpent chmurnie.

—To znaczy?

Kapitan spojrział mu prosto w oczy. — Pan wie, co to znaczy — odparł.

Saltash uśmiechnął się, ukazując wszystkie zęby. — Zamierza pan walczyć do końca, co? Chce pan wiedzieć, w jaki sposób najlepiej dotrzyma pan tej swojej dość lekkomyślnej przysięgi?

—W jaki? — spytał Larpent, a jego twarz była jak wykuta z granitu.

Saltash położył dłoń na jego ramieniu. — Po prostu jeśli ją pan zostawi w spokoju i wróci na jacht. I niech mnie pan oczekuje w Fairharbour.

Było to powiedziane lekkim tonem, ale z mocą. Charles Rex umiał podkreślić swoją królewskość, umiał ją też osłodzić tchnieniem przyjaźni.

Larpent nie spuszczał go z oka. Jego twarz jakby się rozjaśniła. — Iw ten sposób dotrzymałbym swej przysięgi? — spytał.

—Właśnie — odparł Saltash.

—Chce pan powiedzieć, że zostawiając ją tam, gdzie jest obecnie, zostawiam ją pod bezpieczną opieką?

—Nie wierzy mi pan, kapitanie? — spytał Saltash, a drwiący uśmiech zamigotał w jego oczach.

—Panu, milordzie? — rzekł Larpent z wahaniem.

Dłoń spoczywająca na jego ramieniu zaciężała mocniej. — Zapytuję pana — rzekł Saltash tonem królewskim — czy uważa pan moją opiekę za dostateczną dla mojej żony?

—Pana... żony? — powtórzył Larpent. — Pana żony?

Saltash roześmiał się cicho i opuścił dłoń, którą trzymał na ramieniu kapitana. — Właśnie — odparł. — Cóż, nie składa mi pan życzeń? Pobraliśmy się przed czterema dniami.

Larpent wyciągnął do niego rękę. — Najlepsza to rzecz, jaką pan mógł uczynić — rzekł. — I nigdy pan tego nie pożałuje.

—Dlaczego pan tak myśli? — spytał Saltash z zaciekawieniem.

—Dlatego przede wszystkim, że pan kochał ją dość, żeby się z nią ożenić, kiedy mógł pan ją przecież mieć i bez tego.

Śmiech Saltasha zabrzmiał drwiąco, ale w jego oczach nie zabłysła iskierka ironii. Odwrócił wzrok, niby od niechcienia. — Czymże jest to coś, co nazywacie miłością? — rzekł.



## VII. UCIECZKA

Jack bynajmniej nie miał zwyczaju upierania się przy czymś, co się okazało z góry skazane na niepowodzenie, jednakże pozostał w Paryżu do wieczora. Miał znajomych we wszystkich zakątkach świata, i Paryż nie stanowił wyjątku. Po rozstaniu się z Saltashem poświęcił resztę dnia na odnajdywanie dawnych przyjaciół, i późno już było, gdy zmierzał na stację, pragnąc zdążyć na nocny pociąg do Calais. Jackowi było rzeczą obojętną, czy podróżował dniem, czy nocą; miał dar przystosowania się do wszelkich okoliczności. Jak Maud zwykła mawiać żartobliwie, wszelkie wygody życia były dla niego stracone. Był człowiekiem prawie najzupełniej nieczułym na niedogodności; mógł spać niemal w każdych warunkach.

Przechadzał się twardym krokiem po platformie stacji, trzymając walizkę w rękę, ale jego myśli dalekie były od terażniejszości. Wspomnieniem wrócił do dziewczęcej postaci, którą widział dziś z rana, siedzącej na stole, udającej najzupełniejszą obojętność, kiedy każdy nerw napięty był lękiem. Wyzywała go swą postawą, ale bała się, och, jakże się bała, że Saltash nie zechce jej wziąć w obronę. Głębokie współczucie ścisnęło serce Jacka. Biedne stworzenie, biedna mała istotka, rzucona na łaskę kapryśnych fal życia. Uczynił, co było w jego mocy, aby ją ocalić, ale los był przeciwko niemu. Los zrządził, że stała się ofiarą chwilowej fantazji tego człowieka, igraszką jego zachcianek, które, być może, zepchną ją na drogę zatracenia. Czuł się tak, jakby ją musiał porzucić na ruchomych piaskach pustyni, a przecież nie mógł jej uratować. Saltash tym razem wyszedł zwycięsko, ale Jack nie wiedział, czego się po nim spodziewać J na przyszłość; nie umiał przeniknąć jego prawdziwych zamiarów. Niestety, nieuchwytny, nieobliczalny, porwał swą zdobycz, ale nawet Jack, który znał go tak dobrze, nie potrafił odgadnąć, czy w jakiejś chwili znudzenia nie odrzuci jej, jak grymaśne i dziecko odrzuca zabawkę, która mu się sprzykrzyła.

Dotychczas w życiu tego człowieka nie było fantazji, która J by go zaprzątnęła na czas dłuższy. Jack nie mógł go zrozumieć. \* Intuicyjnie czuł, że jest on zdolny nawet do wielkich porywów, ale dotychczasowe jego życie nie świadczyło na jego korzyść. Biada biednej Toby, jeśli ten poryw na pozór szlachetny, który sprawił, że Sal-



tash wziął ją sobie za żonę, będzie równie krótkotrwały jak dotychczasowe jego kaprysy.

Rozmyślając tak, Jack zauważył pusty przedział, i umieścił na ławie swoją walizkę. Pociąg miał odejść dopiero za parę minut, a że Jack nie miał ochoty siedzieć w dusznym wagonie, pozostał na peronie i zapalił fajkę, przechadzając się tam i z powrotem.

Kilku nielicznych podróżnych obrzuciło go ciekawymi spojrzeniami. Jack nie należał do ludzi, którzy by mogli ujść w tłumie nie dostrzeżeni. Jego wzrost nie był uderzający, ale była jakaś moc w jego barczystej postawie, w jego pewnym chodzie człowieka nawykłego do dalekich przestrzeni, coś co pociągało ku niemu wzrok ludzki.

Pałac fajkę i przechadzając się po peronie, zastanawiał się, co by Maud powiedziała na tę sytuację i niemal żałował, że jej tu nie było. Maud posiadała niewątpliwy wpływ na Saltasha. I zapewne ona jedna na całym świecie.

Przechadzając się tak w zamyśleniu, doszedł do bariery, przez którą przepuszczano pasażerów na peron. Pociąg miał już za chwilę ruszyć, ale jakiś nie wyjaśniony instynkt sprawił, że Jack zatrzymał się i baczny wzrokiem zmierzył śpieszących do odjazdu ostatnich podróżnych.

Jego uwagę przyciągnęła szczupła postać młodej dziewczyny w niebieskim płaszczu. Minęła go prawie biegiem. Zapewne pilno jej było do pociągu. Tuż za nią podążał mężczyzna o smagłej twarzy, czarnych wąsikach i czarnej przystrzyżonej bródce. Widać było, że nie chce jej spuścić z oka.

Jack obrócił się gwałtownie za biegnącą. Ogarnęło go nagłe zdumienie, ale nie czas było na namysły. Pobiegł w jej ślady.

Jej twarz ujrzał za ledwie przelotnie, a niebieski płaszcz był mu nieznany, ale nie można się było pomylić. Ten lekki i swobodny krok, ta zręczność młodego atlety, z jaką wskoczyła do wagonu! To przecież nie mógł być kto inny!

Czarny Włoch zamierzał właśnie wsiąść za nią, gdy go Jack doścignął. Obrócił się gwałtownie, zobaczywszy, że inna ręka kładzie się na kłamce.

— Ta pani jest moją znajomą — wyjaśnił Jack tonem spokojnym.  
— Chciałbym z nią zamienić parę słów.



Włoch rzucił na niego mordercze spojrzenie, ale musiał go przepuścić. Było coś w atletycznej postawie Jacka, co wskazywało, że wszelki opór byłby daremny. Zanim cudzoziemiec zdołał wydobyć słowo sprzeciwu, Jack był już w przedziale.

—Sapristi! Za wiele pan sobie pozwala — bełkotał Włoch.

Ale Jack już stał przed młodą dziewczyną, która cofnęła się na jego widok i stała przed nim wtulona w róg przedziału, blada i drżąca.

—I cóż? — spytał głosem spokojnym, nawet łagodnym, ale takim, że żaden winowajca nie potrafiłby go wysłuchać bez drżenia. — To taką grę prowadzimy?

Uniosła rękę do serca. Nie mogła wydobyć głosu, ale jej twarz drgająca i oczy pełne tragizmu były dla Jacka dostateczną odpowiedzią. Umiał się orientować szybko i wiedział, że nie ma chwili do stracenia.

—Nie tu twoje miejsce — rzekł — sama wiesz. Jeśli nie możesz zostać z tym, którego poślubiłaś, wracaj do Maud.

Wyciągnęła do niego błagalnie ręce, zachwiała się na nogach, jakby miała upaść, ale gwałtownym ruchem cofnęła się znów. — Och, gdybym mogła! Gdybym mogła! — powtarzała.

Dłoń Jacka, spokojna i pewna, spoczęła na jej ramieniu. — Sprawa załatwiona — rzekł. — Jedziemy razem.

W tym jednak momencie rzucił się na niego z potokiem słów niezrozumiałych, pełnych dzikiej pasji Włoch.

Jack obejrzał się na niego przez ramię, jakby na brzęczącą natrętnie muchę, i znów z niewzruszonym spokojem zwrócił się do Toby. Jego wzrok przeniknął ją przez chwilę, po czym Jack puścił jej ramię i ruszył na urągającego mu zza pleców napastnika.

W tej chwili rozległ się gwizd lokomotywy, nawoływania konduktorów, zatraskiwanie drzwi przedziałów. Pociąg ruszył. Jack uniósł potężne ramiona i bez słowa pochwycił pniącego się Włocha, podniósł go w powietrze, jak zawierucha porywa zeschnięty liść, i odrzucił z taką siłą, że napastnik przeleciał przez całą długość przedziału, pchnął swoim ciężarem nie domknięte drzwiczki wagonu i z głuchym łoskotem wypadł na peron. Jack z niewzruszonym spokojem podszedł do drzwi, zatrzasnął je i wrócił do Toby.

Siedziała skulona w kącie, ale na widok tej szybkiej rozprawy

wybuchnęła nagle spazmatycznym niepowstrzymanym śmiechem. Śmiała się, dysząc ciężko, nie mogąc złapać tchu, aż Jack przysiadł się do niej i ogarnął ją ramieniem.

—Spokojnie, spokojnie, mała — rzekł. — Nie róbmy widowiska. Bierz się w garść.

Ale to nie było tak łatwo. Toby przestała się śmiać, ale przytuliwszy twarz do jego ramienia siedziała długo szlochając i drżąc, jak zalekłe dzikie stworzenie, podczas gdy pociąg z hukiem mknął poprzez ciemności nocy.

Jack miał nieograniczone zasoby cierpliwości. Czekał, aż pierwszy wstrząs minie, a gdy wreszcie Toby uspokoiła się trochę, zaczął przemawiać do niej łagodnie i spokojnie.

—Miałaś tym razem szczęście — rzekł. — Możesz już być spokojna. Już ci nie zagraża ten przeklęty Włoch. I ze mną jesteś bezpieczniejsza niż z nim... to jest, jeśli ci potrzeba bezpiecznego schronienia.

Przytuliła się mocniej do niego. — Pan... nie wie... kim jestem... co to wszystko znaczy — szepnęła żałośnie.

—Może zechcesz mi wyjaśnić — rzekł Jack z niewzruszonym spokojem.

Toby potrząsnęła głową. — Nie mogę — szlochała — teraz... nie potrafię.

—Wcale nie ma pośpiechu — rzekł Jack. — Najpierw wróćmy do domu. To rzecz najważniejsza. Nie będzie ci przykro wrócić do Maud, przypuszczam?

—Och, Jacku, Jacku... jaka szkoda... że nie umarłam, zanim ją opuściłam! — wyszlochała, a ta odpowiedź wymownie świadczyła o udręce jej duszy.

Brwi Jacka zbiegły się w zamyśleniu, ale nic już nie powiedział na ten temat, tylko po chwili poklepał ją po ramieniu. — Czuwam nad tobą — rzekł. — Teraz trzeba, żebyś usnęła.

## PUNKT ZWROTNY

—Przywiozłeś ją? — zdziwił się Benny. — Nie może być? Tutaj?

—Nic innego nie mogłem uczynić — rzekł Jack, wypuszczając obłok dymu z fajki. — Bardzo mi przykro za ciebie, ale cóż? Możesz jej unikać.

Benny miał wypieki na twarzy. Stał zwrócony do ognia płonącego na kominku i podniósł na Jacka zmieszany wzrok. — Nie zatrzymasz jej na długo — rzekł po chwili. — Charlie przyjedzie i zabierze ją, jak się dowie, że ona jest tutaj.

—Wie o tym — odparł Jack.

—Skąd?

—Powiedziałem mu.

—W jakim celu? Nie rozumiem ciebie, Jack — rzucił Benny gniewnie.

Jack zmierzył go niewzruszonym wzrokiem. — Powiedziałem mu — wyjaśnił — bo jest jedyną osobą, która ma prawo wiedzieć. Jest jej

mężem.

—Nie wierzę w to! — zawołał Benny gwałtownie. — To niemożliwe, żeby się z nią ożenił! To jeden z jego przeklętych podstępów.

—Nie — odparł Jack — to nie podstęp. Wziął z nią ślub, i do niego teraz należy wszczęcie dalszych kroków.

—Ciekaw jestem, z jakiej, u licha, racji on się z nią ożenił? — mruknął Benny.

—Tego nie wiem. Wiem tylko, że to uczynił—odpowiedział Jack chmurnie.

Benny tupnął nogą i zaczął się przechadzać po pokoju. — Myślę, że zrobił to na złość mnie! — zawołał. — Czy naprawdę wyobrażał sobie, że ją zechcę przyjąć, po...

—Benny! — zabrzmiał ostry, jak cięcie szpicruty, głos Jacka. — Przestań i uspokój się.

Benny zawrócił i usiadł obok niego. Jack położył dłoń na jego kolanie. — Szczerze mówiąc, mój chłopcze — rzekł — myślę, że ty wcale tu nie wchodzisz w rachubę. Nie wiem, jak to było, ale jestem pewny, że Saltash nie ożenił się z nią na złość tobie, tylko dla jakichś o wiele poważniejszych motywów. Mógł ją mieć i tak, bez tego. Przyznaję, że postąpił brzydko względem ciebie, ale jednak zdaje mi się, że nie zadał ci zbyt dotkliwego ciosu, chyba żeby chodziło o twoją zranioną dumę.

—Myślisz, że jej nie kochałem? — przerwał mu Benny, rzucając się naprzód, jakby go kto ukłuł.

Oczy Jacka zamigotały w nikłym uśmiechu. Myślę, że jej nie kochasz, teraz w każdym razie — rzekł.

—Masz słuszność — przyznał Benny. — Nie kocham jej

nie chcę jej widzieć na oczy teraz... kiedy wiem, kim ona jest.

—Nic nie wiesz — odparł Jack. — Ona zawsze była dla ciebie tajemnicą, oto dlaczego miałem wciąż co do ciebie wątpliwości. Przypuszczam, żeś jej nigdy dostatecznie nie kochał, mój chłopcze, ot co.

—Nie kochałem jej? — powtórzył Benny.

—Gdybyś ją kochał, byłbyś ją lepiej rozumiał, lepiej umiał jej zaufać.

—Kochałbym ją bardziej — rzekł Benny — gdyby i ona była mi wzajemna, ale dla niej ten łotr był zawsze pierwszy. Nie miałem szans.

—Miałeś — zaprzeczył Jack. — Niezbyt wielkie, ale miałeś. Nie ucie-

kałaby, gdyby była zupełnie pewna ciebie.

—Myślisz? W takim razie nie jest tak bardzo pewna i Saltasha — rzekł Benny z chmurnym triumfem.

Jack wypuścił nowy obłok dymu i ścigał go wzrokiem. — Czekam na Saltasha — odparł. — Ta chwila próby ukaże, jaki on jest.

—Wierzysz w niego? — spytał Benny ze wzgardą.

Wzrok Jacka pozostał utkwiony w obłok dymu. — Wierzę — odparł — że w życiu każdego człowieka jest punkt zwrotny, w którym albo wybiera drogę dobrą, albo idzie na zatracenie. Wiem o tym, bo sam przez to przeszedłem. Teraz kolej na Saltasha.

—Bajki, Jacku — zaprzeczył Benny. — Ty przecież nigdy nie szedłeś inną drogą, jak tylko drogą cnoty. Charlie przeciwnie.

—Mylisz się — rzekł Jack. — Zanim wybrałem drogę prawdy, trzeba mi wprawdzie było przejść przez piekło i omal się nie załamalem. Może i z nim jest tak samo. Jeśli tak, współczuję mu z całego serca.

—Ty współczujesz takiemu psu? — oburzył się Benny.

Jack spojrzał mu prosto w oczy. — Tu się mylisz, synu. Współczuję mu więcej niż tobie. Ty masz przed sobą otwartą drogę, twoja przeszłość jest czysta. Oświadczysz się swojej Sheili i zdobędziesz ją z pewnością. A Saltash? On jest diabelnie obciążony swymi przeszłymi grzechami i

jeśli wybrnie z tego na czysto, będzie to naprawdę rzecz godna podziwu. Ale co tobie?

Spytał, Benny bowiem zerwał się na równe nogi i mierzył go wzrokiem pełnym zdumienia i gniewu. — Jacku, niegodziwcze! — wyjąkał. — Kto ci pozwolił mówić podobne rzeczy?

—Jakie? — zdziwił się Jack. — Ach, o to ci chodzi? — dodał. — Cóż, zdaje się, że trafiłem. Już od dość dawna widzę, z której strony wiatr wieje.

Benny wstał. — Niech cię licho porwie! — mruknął i odwrócił się do okna.

Długo tak stał w milczeniu, którego Jack nie przerywał. Znał dobrze wszystkie zakamarki duszy młodego chłopca, i wiedział, co Benny powie.

Po długiej chwili milczenia Benny odszedł od okna. — Uważasz, że jestem godny pogardy? — spytał mrukliwie stłumionym głosem, nie

podnosząc na Jacka oczu.

W jego słowach było zawstydzenie. Nie spojrzął na Jacka, i udając, że przygląda się uważnie porcelanowej figurce na gzymsie kominka.

Jack wstał i braterskim gestem położył dłoń na jego ramieniu. — Nigdy nie byłeś godny pogardy chłopcze — rzekł. — Ale usłuchaj rady starszego przyjaciela i nie śpiesz się zbytnio. Tym tylko zyskasz w jej oczach.

— Ona nawet nie zechce na mnie spojrzeć — mruknął Benny, chwytając dłoń szwagra, ale nie podnosząc na niego oczu.

— Myślisz? — zaśmiał się Jack. — Widziałem, jak spoglądała na ciebie, i to nieraz, i stary generał również. Oboje byli zdania, że szkoda ciebie dla Toby i być może mieli swoje racje. W każdym razie ona nie była dla ciebie. Zdaje się, że to ci powiedziałem na samym początku.

— Byłem głupcem — rzekł Benny. I nagle wyprostował się i spojrzął Jackowi prosto w oczy. — To nie była wina Toby — rzekł z nagłym przypiływem wspaniałomyślności. — Ona nie chciała tych zaręczyn. Ja ją do tego nakłoniłem. Wiedziałem, od początku, że jej na mnie bardzo nie zależy, ale zdawało mi się, że ją kocham wystarczająco, żeby to wszystko obrócić na dobre. Byłem w błędzie. Widzę, że jej dostatecznie nie kochałem.

— Zaczynasz to rozumieć? — spytał Jack.

— Zaczynam rozumieć, jakim byłem głupcem — odparł Benny ze skruchą. — Więc naprawdę myślisz, że z kretesem nie przepadłem? Naprawdę myślisz, że mam jeszcze jakieś szanse?

— Jestem pewny! — rzekł Jack. — Ale nie śpiesz się, chłopcze. Jeszcze czeka cię parę przeszkód do przeskoczenia, nim staniesz u mety. — Zamilkł na chwilę i uściśnął serdecznie jego dłoń. — Widzisz, Benny — dodał — nic w tym nie ma hańbiącego, że się popełniło błąd. Tylko wtedy należy się wstydzić, gdy w chwilach niepowodzenia schodzimy z jedynej prostej drogi, ale tego z twojej strony się nie obawiam, synku. — Dziękuję ci, stary — rzekł Benny z zakłopotaniem — ty mnie znasz i wiesz, jaki jestem.

Jack wytrząsnął popiół z fajki o gzyms kominka. — Tak ciebie znam, mój chłopcze, że to, czego o tobie nie wiem, nie jest warte funta kłaków. A teraz idę do Maud. Co mam jej powiedzieć od ciebie?

Benny wyprostował się, a jego oczy zajaśniały. — Pozdrów ją z

całego serca i powiedz, że chwilowo nie będę się pokazywał. Ale powiedz też Toby, żeby się niczym nie trapiła. Wszystko jest w porządku między nami. Powiedz to jej!

— Powiem — rzekł Jack i zawrócił ku drzwiom, ale w progu przystanął. — I słuchaj — dodał. — Nie wtrącaj się do Saltasha. Pozwól mu pokierować własnym losem. Myślę, że z niego jeszcze coś może być... jeśli starczy mu sił do dobrego.

— Ładny z niego numer — mruknął Benny — ale to nie moja rzecz, nie będę się do niego wtrącał.

Gdy Jack wyszedł, młody chłopiec usiadł przed kominkiem i wyjął z kieszeni list. Jego twarz rozjaśniała się w miarę jak czytał. Był to list od kobiety, która napisała do niego, bo myślała o nim. W oczach młodzieńca odmalowało się tkliwe wzruszenie, gdy dobiegał końca listu. Długo siedział, wpatrując się w podpis, aż wreszcie, z wyrazem zawstydzenia na twarzy, uniósł do ust arkusz białego papieru.

— Tak, byłem głupcem, Sheilo. — szepnął cicho. — Ale dzięki Bogu, uratowałem się w porę. I nigdy już... nigdy... nie popełnię tego błędu.

Gdyby go Sheila w tej chwili widziała, byłaby rada, bo takie właśnie uczucia chciała w nim wzbudzić swoim listem.

## IX . LARPENT

— Wykopiemy głęboki, głęboki dół, żebyś się w nim mogła położyć, dobrze? — spytała mała Eileen, podnosząc oczy na Toby.

— A potem zasypujemy cię po szyję, żeby ci było ciepło! — dodała Molly.



— Betty też, Betty też! — wykrzyknęła najmniejsza z trzech dziewczynek. — Całą ciocię Toby zakopujemy w piasečku.

— Doskonały pomysł — rzekła Toby z rezygnacją.

Siedziała w blaskach słońca, które zalewało plażę, z głową wspartą na dłoniach, a trzy dziewczynki radośnie szczebiotały dokoła niej. Szafirowe oczy, spoglądające na zamglony widnokrąg, wyrażały znużenie i mękę. Powieki ciążyły od nie przelanych łez, a z twarzy znikły delikatne rumieńce. Żałośnie pochylone wątle ramiona zdawały się świadczyć, że na zawsze opuściła ją cała jej młodzieńcza żywość i sprężystość. Od czasu do czasu z jej piersi wyrywało się ni to westchnienie, ni to łkanie.

Zbudził ją z zadumy ostry głosik Betty. — Betty zmęczona, ciociu Toby. Betty posiedzi psi cioci.

Wzięła dziewczynkę w ramiona i posadziła ją sobie na kolanach. Betty przytuliła swą puszystą główkę do jej ramienia i prawie natychmiast usnęła. Eileen i Molly pracowały dalej w blaskach słońca, a Toby wróciła do swoich samotnych myśli.

Może i ona zaczęła również drzemać, bo dzień był ciepły, a od dawna nie spała zdrowym snem, gdy nagle zbudził ją z półsennej zadumy padający na piasek cień, świadczący o czyjejs tuż obok obecności. Byłaby się zerwała, ale przypomniała sobie o dziecku śpiącym na jej kolanach. Podniosła żywo oczy, a w jej wzroku malował się paniczny lęk gonionego zwierzątka. Skuliła się, jakby się chciała schować pod ziemię, a jej twarz pobladła.

Przed nią stał wysoki mężczyzna w granatowym stroju jachtingowym, a jego szare oczy, tak obojętne i nieobecne zazwyczaj, zamglily się wzruszeniem na jej odruch wyrażający przestрах.

— Nie trzeba się mnie bać — rzekł.

— Nie boję się — odparła Toby, odrzucając hardo głowę. — Nie spodziewałam się pana, i dlatego drgnęłam. Niech pan siada, kapitanie, możemy porozmawiać, jeśli pan sobie życzy.

Zapewne życzył sobie właśnie tego, bo usiadł przy niej na piasku, ale jego oczy dawnym zwyczajem wybiegły w dal, ku mglistym krańcom widnokregu.

Toby długo nie mogła wytrwać w tym męczącym dla niej milczeniu.

— Czemu pan nie zapali fajki? — spytała

Wsunął automatycznie rękę do kieszeni i wyjął papierośnicę. Jego wzrok padł na jasnowłose dziecko uśpione w ramionach Toby.

— Wróciłaś do swego poprzedniego zajęcia — zauważył.

— Jack mnie tu ściągnął — odrzekła Toby. — Czekam... czekam... na rozwód.

Uczył lekki ruch zdziwienia, ale twarz pozostała nieprzenikniona. — Długo ci przyjdzie czekać — zauważył.

Toby odrzuciła hardo głowę, a ten ruch stanowił dziwną sprzeczność z wyrazem głębokiego znużenia, jaki malował się w jej oczach. — Czy nie o tym chciał pan ze mną mówić? — spytała.

— Nie — odparł Larpent, a w jego głosie była niemal prośba. — Przyszedłem na czyjeś zlecenie.

Toby drgnęła. Przez chwilę w jej oczach zabłyśło oczekiwanie. — Na czyje? — spytała.

Nieobecne oczy marynarza spoczęły na niej. — Rozelli Daubeni — rzekł. — Mam ci coś powiedzieć od niej.

— Ach! — Dreszcz przebiegł Toby. Odwróciła oczy. — Nie chcę nic o niej słyszeć — rzekła.

— A jednak musisz tego wysłuchać — mówił Larpent z uporem. — Ale możesz się nie obawiać. Nie zaważy to w niczym na twoim życiu. Ten czas już minął.

Zamilkł, a Toby siedziała w milczeniu, z głową pochyloną nad śpiącym dzieckiem.

Gdy kapitan przemówił znowu, w jego głosie brzmiała nuta cierpienia, zaś oczy nadal spoglądały w stronę widnokregu.

Zdziwiłaś się może, widząc mnie z nią w Paryżu. Przyjechałem do niej, bo Rozelle była umierająca, a przy tym... kiedyś była moją żoną.

Z ust Toby wyrwał się stłumiony, ledwo dosłyszalny okrzyk zdziwienia, ale nic nie powiedziała.

— Uciekła w świat po naszym ślubie, kiedy byłem na morzu — mówił dalej Larpent niewzruszenie. — Nie powinienem był jej zostawiać; była za młoda. Nie wiedziałem, że miała córkę. Powiedziała w dniu swej śmierci, że to dziecko jest moje.

— Wielki Boże! — szepnęła Toby.

— Gdybym wiedział o istnieniu dziecka, może wszystko ułożyłoby się inaczej w naszym życiu, ale teraz nie ma już czym mówić. Błagała

mnie, żebym odnalazł jej córkę, żebym jej zapewnił opiekę. Przyrzekłem, że uczynię, co w mej mocy.

I miałem jej powiedzieć, gdy ją odnajdę, że Rozelle modliła się co dzień, aby córka zechciała jej przebaczyć.

Zapadło długie, bolesne milczenie. Szedł przyptyw i drobne, ciche fale z głuchym szumem lizały brzeg. Niebo i morze zlewały się w oddali w opalizującej, srebrzystej mgłę. Wzrok marynarza utkwiony był w tę dal. Oczy Toby wypełniły się łzami.

Kapitan obrócił się wreszcie i spojrzał na nią, a po chwili, wzruszony tym, co ujrzał, położył powściągliwą dłoń na jej ramieniu.

— Nie żądam niczego od ciebie — rzekł. — Ale chciałbym ci powiedzieć, że uczyniłbym więcej... gdybym wiedział.

Spojrzała na niego i otarła oczy. — To dość dziwne, prawda? — rzekła, tłumiąc łkanie, a w jej głosie brzmiał smutny śmiech. — Bardzo mi przykro, kapitanie.

— Przykro?

— Z powodu pana — rzekła Toby. — Tyle mnie razy panu narzucano. A pan zawsze tak był niezadowolony.

— Tym bardziej dziś żałuję — rzekł kapitan.

Otarła łzy i usiłowała się uśmiechnąć. — Że też chciało się panu mówić mi o tym!

Jego dłoń nieświadomym ruchem zacisnęła się na jej ramieniu. — Trzeba było, żebyś wiedziała — rzekł. Zawahał się chwilę i dodał z widocznym wysiłkiem: — I chciałem ofiarować ci swą pomoc.

— Dziękuję — szepnęła Toby. — Pan... pan... postąpił bardzo wspaniałomyślnie — znów zdławiła szloch. — Co pan zamierza z tym zrobić? — spytała.

— Zrobić? Cóż mogę zrobić? — rzekł, jakby stropiony jej pytaniem.

Toby przybrała ton lekki i żartobliwy. — Nie chciałby pan porzucić pracy i zamieszkać ze mną w jakimś skromnym domku, prawda? To nie odpowiadałoby ani panu, ani mnie.

— O tym obecnie nie może być mowy — rzekł Larpent. — Twoje miejsce jest przy twym mężu.

— Wobec tego nigdzie nie ma dla mnie miejsca — odrzekła Toby — bo kiedy go porzuciłam..., odeszłam na zawsze.

— Dlaczego to uczyniłaś? — spytał Larpent.

Toby zacisnęła usta i nic nie odpowiedziała.

— Nie moja rzecz w to się wtrącać — rzekł kapitan — ale zdaje mi się, żeś się pomyliła pod jednym względem. Nie zdajesz sobie sprawy, dlaczego on się z tobą ożenił.

Toby uczyniła krótki, ale gwałtowny ruch przeczący. — Ach, nie powinien był — szepnęła stłumionym głosem. — Ja nie powinnam była mu pozwolić. Myślałam, że potrafię wytrwać w swojej roli. Teraz wiem, że to było ponad siły. I on wie również.

— Myślę, że jednak będziesz musiała wytrwać w tej roli — zauważył kapitan.

— Nie! — zawołała Toby z uniesieniem. — To wykluczone. On był o wiele za dobry, o wiele za wspaniałomyślny..., ale tak dalej być nie może. Musi mi wrócić wolność. Jeśli nie... — urwała nagle.

— Co będzie, jeśli nie uczyni tego? — spytał Larpent, a jego głos był dziwnie łagodny i głębokie współczucie malowało się w jego oczach.

Toby unikała jego wzroku. — Znajdę sobie drogę — rzekła niemal niedosłyszalnie.

Dłoń Larpenta zacisnęła się na jej wątłym ramieniu. — Na nic się nie zda walczyć z Przeznaczeniem — rzekł. — Dlaczego nie możesz wytrwać przy nim? Dlatego że on wie wszystko o tobie? Myślisz, że to lub cokolwiek innego ma dla niego znaczenie? Myślisz, że gotów byłby ciebie rzucić z tego powodu?

— Będzie musiał — odrzekła Toby z uporem. — Zresztą on nie wie wszystkiego o mnie. I pan... pan też. I... nie dowiecie się nigdy.

Głos jej się załamał. Rozejrzała się rozpaczliwie dokoła, jakby szukała drogi ucieczki. Dziecko, śpiące w jej ramionach, nagle otworzyło oczy.

Larpent wstał, jakby rozmowa była skończona. Stał przez chwilę niezdecydowanie, po czym podszedł do dwóch dziewczynek kąpiących na plaży dół.

Eileen powitała go ze zwykłą swą uprzejmością. — Może pan poczeka chwilkę — rzekła. — Już zaraz skończymy.

— Już prawie skończyłyśmy — dodała Molly. — Czy to nie śliczny, wielki dół?

— Na co ten dół? — spytał Larpent.

Toby podeszła blisko i stała tuż obok niego. — Kopia dół dla mnie

— rzekła, a jej głos załamał się jakby od śmiechu i łez. — Czy to nie świetny pomysł?

Obrócił się i spojrział na nią. Nie było już śladu łez w jej szeroko otwartych szafirowych oczach. Położył dłoń na jej ramieniu.

— Zanim odejdę — rzekł — chciałbym coś ci powiedzieć, coś, do czego doszedłem sam. Jedna jest tylko rzecz warta czegoś w tym życiu, jedna tylko rzecz, która się liczy naprawdę. Nie sława, nie bogactwa ani nawet szczęście. Coś, co przerasta to wszystko, bo jest to jedyna rzecz trwała i wieczna. A ty ją masz. Nie odrzucaj jej, na Boga!

Powiedział to z mocą i prostotą człowieka, który nie zwykł rzucać słów na wiatr, a powiedziawszy, puścił jej ramię, odwrócił się i począł odchodzić w głąb wybrzeża.

Toby stała bez ruchu dobrą chwilę, goniąc wzrokiem odchodzącego, a widząc, że ten się nie ogląda, nachyliła się nad najstarszą z dziewczynek.

— Eileen, kochanie, uważaj na Betty — powiedziała. — Zaraz wrócę — i pobiegła jak strzała w ślad za kapitanem.

Usłyszał zapewne tupot jej nóg na piasku, ale się nie odwrócił. Może jego myśli były gdzie indziej, bo gdy dotknęła lekko jego ramienia, obrócił wzrok na nią, a jego oczy pełne były zdziwienia i smutku. — I cóż? — spytał z cieniem uśmiechu. — Cóż, Toinette?

Pochwyciła oburącz jego ramię i uniosła oczy ku niemu. — Chciałabym... chciałabym... podziękować — szepnęła zdyszczanym głosem — za tyle, tyle dobroci...

Potrząsnął głową. — Nie dziękuj mi — rzekł. — Nic przecież nie uczyniłem.

— I chciałam powiedzieć — dodała Toby w nieśmiałym pośpiechu — że bardzo, bardzo czuję się rada, choć wiem, że pan musiał być niezadowolony, kiedy... kiedy się dowiedział.

— Gorzej byłoby, gdyby kto inny był moją córką — rzekł kapitan.

— Naprawdę? Och, dziękuję! — jej wargi zadrżały. — To dobrze, to mnie cieszy. — Poczęła iść obok niego. — Proszę mi powiedzieć, czy... pan jej przebaczył?

— Tak — odpowiedział poważnie.

— Więc i ja muszę — szepnęła. — Przynajmniej muszę się starać. Ona... ona... kochałam ją kiedyś, zanim zaczęłam rozumieć.

— Każdy ją musiał kochać — rzekł kapitan.

— Ale życie jest bardzo ciężkie, nieprawdaż? — szepnęła drżącym głosem.

— Twoje życie było bardzo ciężkie — odparł Larpent.

Skinęła głową. — Trudno jest ustrzec się błędów, nawet bardzo wielkich... czasami.

— Teraz popełniłaś właśnie wielki błąd — rzekł kapitan.

Spojrzała mu odważnie w oczy. — Ach... bo... pan... nie rozumie. Nie można odrzucić czegoś... czegoś..., czego się nigdy nie miało, prawda.

— Ale ty to masz — poprawił ją — i to właśnie chcesz odrzucić.

Rozpostarła dłonie ruchem bezradnej rozpacz. — Nie mam i nigdy nie miałam! — zawołała. — On wziął mnie z litości, tylko z litości. Nigdy nawet nie udawał, że... że mnie kocha.

— Nie — odparł Larpent z chmurną pewnością. — Tym razem nie trzeba mu było udawać.

Podniosła na niego szeroko otwarte oczy. — Jak to? Nie trzeba mu było udawać? Nie rozumiem.

Wyciągnął rękę. — Do widzenia — rzekł. — Postaraj się zrozumieć.

Rozchyliła usta, jakby chciała coś jeszcze powiedzieć, ale smutek jego oczu sprawił, że milczała dalej. Wsunęła rękę w jego dłoń. — Do widzenia! — rzekła.

Potrząsnął jej ręką, a potem, jakby wzruszony dziwnie żalonym wyrazem jej spojrzenia, pochylił się tak, jak uczynił to kiedyś na zamku, i lekko dotknął ustami jej czoła.

— Och, dziękuję — szepnęła Toby.

— Nie dziękuj mi za nic — rzekł Larpent. — I trzymaj się prostej drogi, oto wszystko!

Z tymi słowy odszedł szybko, przemierzając nadbrzeżne piaski wielkimi krokami marynarza, aż znikł w oddali.



## X. W IMIĘ MIŁOŚCI

—Dziwna to była gra — rzekł Saltash z ironicznym uśmiechem. — Byliśmy oboje tak piekielnie powściągliwi, żeśmy w rezultacie dobrnęli do tego samego martwego punktu, z któregośmy wyszli.

— Ale nie zamierzasz na nim utknąć — rzekła Maud.

Spojrzał na nią z lekko uniesioną jedną brwią. — *Ma belle reine*, jeśli mi dopomożesz wydobyć się z niego, zdobędziesz sobie moją dożgonną wdzięczność.

Podniosła na niego swe spokojne, łagodne oczy. — Charlie, czy wiesz, że noc w noc biedactwo zapłakuje się tak, jakby jej serce miało pęknąć?

Saltash ściągnął brwi. — Przecież nie z mojej winy! — rzekł. — Nigdy nie próbowałem z nią mówić o miłości.

Oczy Maud były pełne współczucia. — Może właśnie dlatego — rzekła. — Jest tak młoda, tak opuszczona, tak biedna. Czy naprawdę nie mógłbyś jej przebaczyć?

—Przebaczyć? Ale czyż ona chce przebaczenia?

—Zamartwia się na śmierć — rzekła Maud. — Nie mogę patrzeć na jej mękę. Nie, nie mówiła mi o niczym, tylko że czeka, żebyś wszczął kroki rozwodowe. Charlie, nie zrobiłbyś tego, nawet gdybyś mógł, nieprawdaż?

Saltash milczał, ale chmurna zmarszczka nie znikła z jego czoła. —Powiedz, że nie! — powtórzyła.

Jego dziwne oczy podniosły się na nią z przekornym błyskiem. — Jedna tylko byłaby przyczyna, dla której to bym uczynił — rzekł. — A więc nie mówiła ci, czemu uciekła z miłym panem Spentolim?

Maud potrząsnęła głową. — Wcale o tym nie mówi. Wiem tylko, że była niewymownie wdzięczna Jackowi, że ją od niego obronił.

Zęby Saltasha zabłyśły w krótkim uśmiechu. — I ja jestem wdzięczny Jackowi — rzekł. — Było to mistrzowskie posunięcie. Wiesz, że Spentoli złamał rękę? Pisano o tym w gazetach równocześnie ze sprawozdaniem o tragicznej śmierci Rozelli. „Sławny rzeźbiarz wypadł z pociągu”. To go przynajmniej na jakiś czas unieszkodliwi, a mnie oszczędzi kłopotu wyzwania go na pojedynek. Odwiedziłem go w szpi-



talu.

—Widziałeś go? — spytała Maud.

Saltash skinął głową z drwiącym uśmiechem.— Owszem, i złożyłem mu kondolencje. Możesz powiedzieć ode mnie małej, że nie zamierzam jej rzucać z racji tego pana. Nie jest on ważną i dostateczną przyczyną do rozwodu.

—Bogu niech będą dzięki — zawołała Maud.

—Amen — dokończył Saltash zbożnie i wyjął papierosa.

Przyglądała mu się z pytaniem w oczach, jak zapalał papierosa i jak jego twarz począł zasnuwać błękitny dym, poprzez który uśmiechały się do niej jego drwiące oczy.

—Powiedz mi — rzekła — jak mogę ci dopomóc?

Uczył szeroki gest. — To już pozostawiam całkowicie twemu uznaniu, pani moja — rzekł. — Jak widzisz, przestałem już sam troszczyć się o swoje sprawy.

—Nie gniewasz się na nią? — spytała.

—Nie posiadam się z gniewu — odparł Saltash po królewsku.

Potrząsnęła głową. — Zawsze tylko żartujesz — rzekła. — Nie mógłbyś się przecież na serio gniewać na to biedactwo. Charlie, kochasz ją, prawda? Chciałbyś, żeby wróciła?

—Czy chciałbym? Doprawdy trudno powiedzieć — odparł odwracając z lekka głowę.

—Och, czyżby! — zawołała Maud, wstając. — Charlie, czemu przybierasz przede mną maskę? Wiem przecież, że ona jest wszystkim dla ciebie.

Podniósł na nią oczy, a uśmiech zgasł na jego twarzy. —Nie ma na świecie kobiety, bez której nie mógłbym się obejść — rzekł. — Nauczyłem się tego, gdy straciłem ciebie.

—Ach, to dawne dzieje — rzekła Maud. — Ale dlaczego miałbyś się jej wyrzec? Wiesz chyba, że ona cię kocha.

Jego palce zacisnęły się twardo na jej dłoni. — Jeśli mnie kocha — rzekł, a jego wzrok zabłysł surowo — może do mnie wrócić dobrowolnie.

—A jeśli się boi? — spytała Maud.

—Nie ma się czego bać — odparł. — Nie żądam od niej niczego. Nigdy jej nie powiedziałem złego słowa. Czego by się mogła obawiać?

—Czy ją rozumiałeś? — spytała Maud bardzo łagodnie.

Uczynił niecierpliwy ruch, jakby to pytanie ukłuło go boleśnie, mimo serdecznego tonu, z jakim było zadane. Po chwili wybuchnął śmiechem.

—Czemu zadawać sobie pytania, których rozwiązanie jest niemożliwe? Czy był kiedy jakikolwiek mężczyzna, który by rozumiał kobietę? Dajmy pokój tej rozmowie. A skoro już tu jesteś, *ma belle reine*, uczcijmy tę okazję uroczystym przyjęciem, choćby herbatą.

Jego oczy śmiały się, spoglądając w jej oczy. Blaski zachodu wdzierały się przez okno do sali muzycznej. Stali oboje w wykuszu obok pianina, gdzie Maud, przybywszy na zamek, zastała go wylewającego całą mękę swej duszy w dzikich tonach muzyki, aż jej serce ścisnęło się bolesnym współczuciem.

Przyszła tu ze szczerym pragnieniem przyjścia mu z pomocą, ale on, ten człowiek, który ongiś, w dniach jej młodości, tak bardzo był jej bliski, zbijał ją z tropu co chwila. Nie umiała rozplątać matni jego myśli. Głębie jego duszy od dawna stały się dla niej tajemnicą.

A jednak trwało w niej przekonanie, że jeśli kto zdoła przeniknąć przez te zamknięte przed każdym wrota, to ona. Kiedyś posiadała klucz do jego duszy i wydawało się jej niepodobieństwem, aby dziś ten klucz już stracił moc otwierania ukrytych tajemnic.

Może czytał w jej myślach w tej chwili, bo nagle przestał się śmiać i w jego oczach zajaśniał ów uśmiech drwiąco tkliwy, tak dobrze jej znany z dawnych lat.

—Czy nie odrzucisz skromnego poczęstunku? — spytał. — Czy, jeśli już przyszedłeś do mej wartowni bez eskorty, zechcesz mnie zaszczyścić skorzystaniem z mej gościnności?

Uśmiechnęła się. — Oczywiście, chętnie zostanę na herbacie, Charlie. Czyżbyś się nie domyślał, że czekałam twego zaproszenia.

—Bardzo jesteś łaskawa — rzekł wstając, aby zadzwonić na służbę.

Pozostała w wykuszu, spoglądając na dalekie bukowe lasy, gorejące złościście w słonecznych blaskach na tle ciemnej gęstwiny sosen.

—Jak tu pięknie — rzekła, gdy Saltash wrócił znów do niej.

Jego oczy niespokojnie pobiegły w ślad za jej wzrokiem, ale bez zachwytu. Stał chmurny i smutny. Nic nie odpowiedział na jej słowa.

—Czemu Benny nie zajrzał do mnie? — spytał nagle. — Wie, że tu jestem.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem. — Spodziewasz się go? — rzekła.

Skinął głową. — Owszem, powiedz mu, żeby przyszedł. Nie powinniśmy się sprzeczać. Czyżby był spragniony mojej krwi? Jeśli tak, proszę, niech przyjdzie, może mnie zabić.

—Charlie! — zawołała.

Odwrócił się i zasiadł do pianina. Jego palce poczęły głaskać klawisze, a po chwili dawna czarowna melodia, którą grał jej przed laty, popłynęła przez pokój. Jej usta bezgłośnym szeptem powtarzały słowa pieśni:

**Popłynęła łez rzęsistych rosa  
Z białych płatków passiflory u wrót,  
„Ona idzie, mój świat, me niebios,  
Moja miłość, me szczęście, mój cud”  
Woła róża szkarłatna: „To ona!”  
Biała szłocha: „Nasze zranią ją ciernie”,  
„Słyszę kroki” — szemrze trawa zielona,  
Biała lilia szepce: „Czekam wiernie”.**

—Lilia jest cieplejsza ode mnie — rzekł Charles Rex nie podnosząc oczu znad klawiszy. — Czemu nie śpiewasz, Pani Róż?

Drgnęła na dźwięk jego głosu, ale nie odpowiedziała. Nie mogła mu przecież powiedzieć, że jej gardło zdławiły łzy.

Grał dalej cicho przez dłuższy czas, dopóki stary lokaj nie wniósł herbaty. Wtedy wstał i opuścił pianino, żeby obsługiwać Maud. Podsunął jej fotel do okna, a sam usiadł naprzeciwko niej i zaczął rozmawiać

o rzeczach obojętnych. Nie odwoływała go do zarzuconego tematu. Zbyt dobrze go znała; wiedziała, że jeśli nie chce się dać przeniknąć, nie ma siły ludzkiej, która by mogła go skłonić do zwierzeń.

Miała jednak uczucie, że sam wróci do poniechanego tematu. Chwilo-  
lowo tylko, przez wrodzoną przekorę, odwlekał dalszą istotniejszą roz-  
mowę.

I rzeczywiście, nagle wrócił do swej bolączki. Mówili o jachcie i Saltash oświadczył, że wyruszy nim w podróż naokoło świata.

—Sam jeden? — spytała Maud.

—Tak, sam — odparł. — I jeśli nie wrócę, Benny może się ożenić z ma-  
łą i królować tu na moim miejscu, jeśli nie będzie skończonym osłem. A  
jeśli tak, Toby może tu rządzić sama, a ty i Jack będziecie się nią opie-  
kować.

—Ależ, Charlie, dlaczego... dlaczego? — spytała Maud mimo woli.

Zmarszczył brwi. — Zawsze się lubili, nie wiedziałaś o tym? —  
spytał. — Prawdą jest, że Toby umieściła mnie na ołtarzu i ubóstwiała  
przez pewien czas, ale nie mogłem tego znieść długo. *Figurez-vous!* Ja,  
jako święty na obrazku!

—Nigdy jej nie rozumiałeś — rzekła Maud.

Wzruszył ramionami. — Och, była gotowa uczynić mi z siebie ofia-  
rę w imię swego kultu, ale to nie mogło mnie zadowolić. Zresztą nie  
chciałem ofiar. Stałem jej w drodze pomiędzy nią a światem. Zapewni-  
łem jej opiekę, ale był to dar dobrowolny; nic za to w zamian nie chcę  
przyjąć.

Dziwna nuta zabrzmiała w jego głosie, nuta tłumionego wzruszenia.  
Oparł się o fotel, z rękoma zarzuconymi pod głowę. — Nie dlatego się z  
nią ożeniłem. Usiłowałem jej tego dowieść. Myślałem... — i tu znów  
drwiący odcień zamigotał w jego oczach — że zdołam zdobyć jej za-  
ufanie, jak każdy inny zwykły śmiertelnik. To mi się nie udało oczywi-  
ście najzupełniej. Nigdy nie spodziewała się, że ją będę traktował przy-  
zwoicie, nigdy nie zaczęła nawet mi ufać. Byłem zbyt obciążony grze-  
chami przeszłości, aby mi mogła zaufać. I tak... z chwilą gdy wiatr  
zmienił kierunek, łódź się rozbiła.

—Dlaczego wiatr zmienił kierunek? — spytała Maud.

Podniósł oczy, wciąż uśmiechając się swym zagadkowym uśmie-  
chem. — Bogowie uczynili sobie z nas igraszkę — rzekł. — Był to tyl-

ko drobny figiel z ich strony, ale przemienił wszystko. Uciekła. Wtedy zrozumiałem, że nie potrafię zatrzymać jej przy sobie. Jak zwykle, wziąłem tempo zbyt szybkie, a ona nie mogła mi dotrzymać kroku. Cóż — mówił rozplatając dłonie — teraz niech Benny próbuje szczęścia. Zostawię mu... wolny plac.

—Co ty mówisz! — zawołała Maud.

Roześmiał się swym dawnym drwiąco pieszczotliwym śmiechem. — Gorszy cię to? Dlaczego, jeśli oni się kochają? Czyż nie słyszałem od ciebie tyle razy, że miłość jest rzeczą największą na świecie? Czyż nie powiedziałaś kiedyś, że powinienem poznać radość — uśmiechnął się gorzko — oszołamiającą radość zrezygnowania z własnego szczęścia na rzecz szczęścia drugich? Łatwo to będzie uczynić. Niech ona pójdzie za nim, resztę biorę na siebie. Jest to oczywiście przeciwne twoim cnotliwym zasadom, ale pomyśl! Ja przecież stracę tylko to, czego nigdy nie posiadałem. Niech mi będzie wolno po raz pierwszy w życiu popełnić występki... w imię miłości.

Roześmiał się przy tym słowie, ale w tym drwiącym śmiechu taił się ból. Twarz zaś wyrażała cierpienie.

Maud wstała szybko. Było coś w tonie jego słów, czego nie mogła znieść. — Och, mylisz się, mylisz się! — zawołała. — Ty jeden możesz w niej wzbudzić miłość. I ty ją kochasz, Charlie, a to uczucie nie zostało ci dane na to, byś je marnował. Nie powinienes, nie możesz tego zrobić.

Zaprzeczył gwałtownym ruchem. — Droga Maud — rzekł — wiele jest rzeczy, których się czynić nie powinno, a które jednak uczynić należy. Nie mogę zatrzymać przy sobie młodej istotny wbrew jej woli. Nigdy, nawet żeby tysiące razy była moją żoną. Spentoliemu nie byłbym jej zostawił za nic. Ale Benny to zupełnie co innego. Jack sam jest zdania, że byłby dla niej lepszym mężem niż ja. Jeśli Benny chce wiedzieć o jej przeszłości, o jej pochodzeniu, niech przyjdzie do mnie, a ja mu powiem wszystko. Powtórz mu to ode mnie. Ale jeśli kocha ją naprawdę, nie będzie go to w ogóle obchodziło, jak nic nie obchodzi to mnie.

—Ach! — szepnęła Maud. Stała chwilę, wpatrując się w niego, a w jej oczach było kochające, macierzyńskie zrozumienie. Wyciągnęła do niego rękę.

—Dziękuję ci, Charlie — rzekła. — Do widzenia!

—Za co mi dziękujesz? — spytał.

—Mniejsza o to, tymczasem — odrzekła. — Po prostu zrozumiałam ciebie, oto wszystko. Powtórzę Benny’emu twoje słowa, powtórzę je obojgu. Do widzenia!

Pochylił się swobodnym dworskim ruchem i ucałował jej dłoń. — To ty, *chère reine*, nauczyłaś mnie kochać.

Łagodnie oswobodziła swoją dłoń i zawróciła ku drzwiom. — Myśle, że Bóg cię tego nauczył — rzekła.

Po raz drugi tego wieczora Charles Rex nie potrafił roześmiać się swoim drwiącym śmiechem, którego Maud prawie oczekiwała. Jego dziwne oczy spoglądały na nią z melancholijną ironią.

—W jakim celu byłby to Bóg uczynił? — spytał tylko.

TLR



## XI. DAR BOGÓW

Chłodny wiatr powiewał na murach zamku, niosąc z sobą daleki szum i zapach morza. Niebo było bezksiężycowe. Chmury przelatywały pod gwiazdami, to je odsłaniając, to zasłaniając, nadając ich światłu jakąś osobliwą, tajemniczą nieuchwytność. Poprzez park nawoływały się sowy, ich głosy brzmiały wśród ciemności, jak żalosna ludzka skarga. Drzewa szeptały nad jeziorem, jakby przekazywały sobie jakieś tajemne wieści. I znów sam jeden na warownych murach zamczyska przechadzał się Saltash niespokojnym krokiem tam i z powrotem.

Ta noc, postanowił, miała być jego ostatnią nocą na zamku. Ogarnęła go gorączka zmiany. Rzucił ostatnią kartę i przegrał, a teraz swoim zwyczajem pragnął uciec od miejsca porażki. Jego dusza zaczęła już tęsknić za szerokimi obszarami i właśnie tęsknota przywiodła go na orle wyżyny starej warowni. Nie mógł zaznać spokoju, nie mógł znieść dachu nad sobą, ale dziś nie pragnął oglądania żadnych widoków. Dziś ciemności były w nim i nad nim.

Tam, w porcie czekał na niego lotny jacht. Zapytał samego siebie, co go tu dotąd zatrzymywało na miejscu? Czyżby chciał wypić do dna kielich goryczy, kiedy cały świat stał przed nim otworem? Uczynił z siebie ofiarę, która wiele go kosztowała, o czym nie miała pojęcia nawet Maud. Była to pierwsza dobrowolna ofiara, jaką kiedykolwiek złożył w swoim życiu, i sam się dziwił, że tak bardzo zależało mu na tym, czego wyrzekł się dobrowolnie. Bo czegoż się wyrzekł ostatecznie?

Czegoś, mówił sobie, co nie miało żadnej wartości. Posiadał jej dziecinne uwielbienie, ale jej miłości — nigdy! I rzecz dziwna, właśnie pragnął jej miłości.

Po raz pierwszy w swym życiu pragnął czyjejs miłości. Znużony i znudzony tysięcznymi przygodami zapragnął wreszcie tego, czym gardził przez całe swe życie. Jego tęsknota miała pozostać nie zaspokojona. Miał odejść w świat z próżnymi rękoma, ale sam fakt, że świadomie wyrzekł się swego pragnienia, oczyścił go z nalotu ziemskich żądz. Wzniósł się jakby na wyżyny duchowe i to, co ziemskie, opadło z niego jak zwiotczała szata. Spoglądał na pustynię swego życia i widział dokoła tylko jałowe suche piaski.



Głuche stuknięcie zatraskiwanych drzwi od wieży przywołało go do terażniejszości. Uprzytomnił sobie, że powiewa chłodny wiatr i zaczyna mżyć deszcz. Odwrócił się, wzruszając ramionami. Po co zwleka, jak pijany biesiadnik nad pustymi po uczcie kielichami? Pojedzie na swój jacht i ruszy w podróż z Larpentem, który także kochał i utracił swą miłość. Razem wyruszą na wędrowkę, dwaj gracze, którym życie przyniosło przegraną, zostawiając daleko poza sobą puste kielichy i rozlane wino.

Energicznie skierował się ku drzwiom wieży. Gra skończona i nigdy już do niej nie wróci, ale przynajmniej po męsku zniesie przegraną. Nikt, nawet Larpent, nie powinien wiedzieć, ile przebolewał. Z takimi myślami doszedł do drzwi, ale tu nagle przystanął.

Nie było to widzenie; stała przed nim w swej wysmukłej gracji, owinięta w jasny niebieski płaszcz, który wydawał się w mglistym świetle gwiazd, jakby usnuty z mgły. Twarz jej była bardzo blada. Widział lęk w jej szeroko otwartych oczach. Ręce miała mocno zaciśnięte na piersi. Stała w milczeniu.

Drzwi za nią były zamknięte. Zauważył, że cała drży.

Stanął bez ruchu tuż obok niej, ale nie wyciągnął do niej ręki.

—I cóż? — spytał.

—Przyszłam — zaczęła głosem, który drżał z lęku. — Przyszłam, żeby ci coś powiedzieć.

Saltash się nie ruszył. Twarz pogrążona była w cieniu, a coś w jego postawie nie dodawało otuchy. — A więc? — spytał.

Załamala ręce z rozpaczliwym wysiłkiem, by opanować swe drżenie. — Przyszłam... — znów zaczęła — żeby ci coś powiedzieć.

—Coś, o czym nie wiem? — spytał drwiąco.

Skinęła głowę. — Coś... coś... o czym nie chciałbyś wiedzieć. Maud powiedziała, że powinnam przyjść...

To wzruszyło go nieco. To jej żalosne jąkanie się. — Nie martw się, *ma chère* — rzekł. — Wiem wszystko, co trzeba wiedzieć o Rozelle i o Larpencie, także o Spentolim...

—Nie... wiesz — wyjąkała Toby — dlaczego... dlaczego uciekłam wtedy od ciebie z Paryża.

—Myślisz? — spytał drwiąco. — Mam dość bystry umysł, moje dziecko, i zazwyczaj umiem wyciągać z faktów odpowiednie wnioski.

Potrząsnęła gwałtownie głową. — A skąd wiesz o Spentolim? — spytała. — Kto ci powiedział.

—On sam — odparł Saltash.

—Ach, tak! I cóż ci powiedział? — W jej głosie brzmiało uniesienie. Sprężyła się w sobie, jak dzikie stworzenie gotowe dać susa w poszukiwaniu ucieczki.

Saltash zastąpił jej drogę. — Nic mi nie powiedział, o czym bym już nie wiedział przedtem — rzekł — nic, o czym by owiele wcześniej nie powiedziały twoje oczy.

—Jak to? — spytała Toby zdławionym głosem, zaciskając kurczowo ręce na piersi. Oczy wzniesione na niego połyskiwały w półmroku.

Saltash odpowiedział jej łagodniej niż dotychczas. — To znaczy, że wiem, jakiego rodzaju piekłem było twoje życie, wieczną walką z przeciwnościami, zawsze od ciebie silniejszymi. Gdyby tak nie było, nie szukałabyś u mnie schronienia. Czy myślisz, że pochlebiałem sobie kiedy, żebym był czym innym, jak ostatnią deską ratunku, ostatnią dla ciebie ucieczką? Gdybym był cię zawiódł...

—Zaczekaj! — przerwała mu Toby porywczo. — W pewnym stopniu masz słuszność, ale tu się mylisz. To prawda, że zawsze uciekałam, jak tylko zrozumiałam całą ohydę życia. Spentoli usiłował mnie zgubić, ale mu się wymknęłam, a potem, kiedy mnie znów pochwycił w swe szpony, pies przeklęty, uczyniłam, co w mej mocy, żeby go zamordować! — Ostatnie słowa wypowiedziała przez zaciśnięte zęby z sykiem nienawiści. — Chciałam trafić go w serce. Bogu wiadomo, jak chciałam. Ale pewno nie miał serca na właściwym miejscu, że go mój sztylet nie dosięgnął. Gdy od niego uciekłam, myślałam, że nie żyje aż do tego dnia, gdy go zobaczyłam w Paryżu. Po tej ucieczce od niego życie było jednym pasmem udręczeń coraz okropniejszych. Byłabym znowu rzuciła się w jakieś przygody, gdybym nie spotkała ciebie. Od tej chwili wszystko się zmieniło.

—Dlaczego? — spytał Saltash.

Mówiła dalej, jakby nie słyszała jego pytania. Otworzyły się upusty jej duszy, teraz już nie miała przed nim żadnych zastrzeżeń ani tajemnic.

—Zjawileś się ty. Gdybyś był aniołem z nieba, nie mógłbyś być cudowniejszy. Pomogłeś mi, wierzyłeś we mnie, nie starałeś się wdzierać w

moje tajemnice, otworzyłeś mi drogę do ucieczki, uczyniłeś mi życie możliwym... nawet pięknym! — Głos jej załamał się przy tych słowach. — Byłam gotowa oddać ci wszystko, nie mogłam inaczej. Byłeś dla mnie jedynym na całym świecie. Taki byłeś wspaniały... Taki wielki. Przez ciebie zrozumiałam, że warto żyć. Przez ciebie uwierzyłam w Boga.

Wybuchnęła nagle potokiem szalonych, niepoohamowanych łez. — A ty—mówiła dalej, szlochając, ty nawet tyle nie miałeś dla mnie serca, by zechcieć przyjąć tę odrobinę, którą chciałam złożyć ci w ofierze. Nie chciałam, żebyś się ze mną żenił. Nie marzyłam nawet o czymś podobnym. Strzegłam siebie od upadku wśród całej ohydy życia, ale jednak czułam, że nie jestem godna być twoją żoną. Ale... tak cię kochałam! A gdy się dowiedziałam, że Benny zwątpił we mnie, że nigdy we mnie już nie uwierzy, nie mogłam uczynić inaczej, jak przyjść do ciebie. I wtedy... wtedy ty wziąłeś mnie za żonę! — Załamała ręce tragicznym gestem. — Nie powinnam była zgodzić się na to. Bóg mi tego nigdy nie daruje. Nie zasługuję na przebaczenie. Ale kocham cię... kocham! — Zakryła twarz dłońmi i szlochała rozpaczliwie.

Saltash położył dłoń na jej ramieniu. — Nonette! Nonette! — rzekł dziwnie zdławionym głosem. — Nie płacz, dziecko, nie trzeba!

Cofnęła się. — Nie chcę! Nie chcę! Przyszłam tylko, żeby ci wszystko powiedzieć, żebyś nie myślał, że kiedykolwiek Benny był czymś dla mnie. Maud mówi, że powinieneś się o tym dowiedzieć. Z jego strony to było tylko zadurzenie się. Ja dla niego nic nie czułam, prócz przyjaźni. Nie byłam dla niego ani on dla mnie. On nie chce mnie już, a nawet gdyby chciał, nie wróciłabym do niego. Uciekłam z tym przeklętym psem Spentolim, żebyś miał okazję zerwać ze mną. Nie mogłam ci spojrzeć w oczy, kiedy się dowiedziałeś wszystkiego o mnie. Nie kochałeś mnie nigdy, a ja oszukałam cię tak niegodziwie. Wiedziałam, że zechcesz oswobodzić się ode mnie. Czemu jeszcze nie zażądałeś rozwodu? Czemu? Czemu?

Uniosła twarz, wyrzucając z siebie słowa z nieprzytomnym uniesieniem. Znów wyciągnął do niej rękę, ale cofnęła się przed jego dotknięciem.

—Nie dotykaj mnie! — zawołała. — Nie zniosę tego. Już idę. Nie zobaczysz mnie już nigdy, nie usłyszysz o mnie. Będziesz wolny, rozu-

miesz? Będziesz wolny! Dotrzymam obietnicy. Nikt się nigdy nie dowie, co się ze mną stało, tylko ty jeden, ty, który nigdy nawet nie udawałeś, że mnie kochasz, ty jeden zrozumiesz, dlaczego tak odeszłam.

Porwała się ku drzwiom i byłaby uciekła, ale Saltash był szybszy od niej, szybszy niż błyskawica. W jednym mgnieniu oka pochwycił ją w ramiona.

Walczyła o swobodę jak oszalałe dzikie stworzenie, wijąc się i szarpiąc, ale on trzymał ją mocno, aż wreszcie, bezsilna, opadła na jego piersi, wybuchając rozpaczliwym łkaniem, błagając go i zaklinając, by ją puścił.

—Dlaczego miałbym cię puścić? — spytał, trzymając ją mocno w ramionach. — Ostatnia to rzecz, którą chciałbym uczynić.

—Musisz! Och, musisz! — wołała. — Nie możesz... zatrzymać mnie wbrew mej woli.

—To prawda — rzekł Saltash, jakby go coś tknęło w jej słowach. — Ale powiedz mi, czy jesteś zdolna porzucić mnie wbrew mojej woli?

Moc jego uścisku osłabła na chwilę, i z tego skorzystała Toby, żeby mu się wymknąć. Wyrwała mu się, przeskoczyła parapet krużganku i znalazła się na wąskim występie otaczającym więź.

—Niech to diabli! — krzyknął Saltash i byłby skoczył za nią, ale się pohamował.

Stał z nogą wspartą o parapet, spoglądając ku niej. — Więc myślisz, że tą drogą mi się wymkniesz? — zaśmiał się. — Spróbuj. Albo wrócisz, kiedy będziesz miała tego dość, albo... skocz w przepaść. I tam cię dogonię!

Przystanęła i wyciągnęła za siebie ręce, szukając oparcia. Spojrzała w straszliwą przepaść ziejącą u jej stóp. — Skoczę stąd — rzekła — jeśli mi nie przyrzekniesz, że pozwolisz mi swobodnie odejść.

Roześmiał się znowu, ale nie był to śmiech wesoły. W jego oczach nie było ani ironii, ani lęku, tylko najzupełniejsze, zuchwałe i władcze poczucie własnej mocy.

—Niczego nie przyrzekam — rzekł — chyba to jedno, że w ten czy w inny sposób będziesz moja. Wybieraj! Przede mną nie ma dla ciebie ucieczki ani w życiu, ani w śmierci. Łączy nas węzeł, którego nie zdołasz rozerwać, choćbyś chciała. Rzuć się stąd, jeśli chcesz, ale zanim spadniesz na dno, ja będę z tobą. Na przyszłość... idziemy razem, w ży-

cie czy w śmierć. Na to przysięgam przed Bogiem.

Nad przepaścią rzucił swe straszliwe wyzwanie Losowi ze śmiechem na ustach, z drwiącym błyskiem w oczach, z hardym, władczym zuchwalstwem.

I Toby, słysząc te słowa, nagle poczuła się bezsilna. Zaczęła drzeć, ale jeszcze uczyniła ostatni, rozpaczliwy wysiłek, żeby ratować swą wolność i dumę.

—Nic nas nie łączy — dyszała. — Nic nas... nigdy nie łączyło.

—Nic? Wielki Boże! — zawołał. — Czy szedłbym za tobą w śmierć, gdyby nic nas nie łączyło?

I nagle jego głos się zmienił. Brzmiała w nim tkliwość, o jakiej Toby nie miała pojęcia. Ten głos przykuł ją, jak zaklętą, do miejsca.

—Toby, Toby, głuptasku — mówił Saltash. — Czyż nie wiesz, że cię kocham od dawna, od chwili, kiedyśmy razem skoczyli w odmet wód?

Prawdy tych słów niepodobna było podać w wątpliwość. Piersią Toby wstrząsnął spazmatyczny szloch. Przez chwilę stała ze wzniesioną głową jak w ekstazie. I nagle spojrzała w dół. — Nie mogę wrócić! — zawołała z niewymownym przerażeniem w głosie. — Spadnę!

Saltash wyprostował się i stanął na parapecie. Pot perlił mu się na czole. — Idę do ciebie — powiedział. — Stój, gdzie jesteś, i podaj mi tylko rękę.

Usłuchała, czekając z wyciągniętą dłonią, aż on przejdzie po zawrotnej krawędzi do miejsca, w którym się zatrzymała. Wkrótce jego palce zacisnęły się na jej dłoni.

—A teraz — rzekł — idź za mną. Jesteś bezpieczna. Nie możesz spaść. Moja miłość cię podtrzymuje.

Usłyszała w jego głosie śmiech i opuścił ją paniczny lęk. Dała się bez słowa prowadzić. Podtrzymywana mocą jego woli kroczyła wzdłuż przepaści, ale gdy pochwyciwszy ją na ręce przeniósł przez parapet na bezpieczne miejsce, na szeroki krużganek zamkowy, wyrwał się z jej piersi zdławiony krzyk i zemdląca w jego ramionach.

W pośród wielkich ciemności na nowo dla Toby zajaśniało światło.

Otworzyła swe zdumione oczy w innym już otoczeniu. Leżała na posłaniu z tygrysich skór w tajemniczym pokoju wieżowym, a Saltash, król jej marzeń, klęczał przy jej boku.

To była pierwsza rzecz, jaka przyciągnęła jej uwagę — że on klę-



czy!

—Nie trzeba! Nie trzeba! — zawołała. — Nie jestem Maud.

Spojrzał na nią z uśmiechem, ale bez zwykłej ironii. W jego oczach płonął ciepły blask, od którego jej serce przebiegł niewymowny dreszcz, ale tym razem dreszcz nie rozpaczy, lecz zachwytu.

—Więc tylko przed Maud wolno mi klęczeć? — spytał.

Usiłowała spojrzeć mu w oczy, ale zawstydzona zakryła twarz. — Wiem... wiem... że ją zawsze kochałeś — wyszeptała. — Jakże mógłbyś nawet udawać, że kochasz kogoś... po Maud?

Zapadło krótkie milczenie, w którym Toby miała uczucie, że ją zdławi szalone bicie jej własnego serca. I nagle jego dłoń spoczęła pieszczotliwie na jej czole.

— Nie — rzekł, a w jego głosie brzmiała głęboka, dziwna, nie znana jej dotychczas nuta. — Nie udaję, Nonette.

Było coś magnetycznie pociągającego w jego dotknięciu. Zerwała się żywym, impulsywnym ruchem i przytuliła do niego, kryjąc twarz na jego piersi.

—Ale to chyba niemożliwe, żebyś ty, ty... mnie kochał? — szepnęła. — Nieprawdaż?

Jego ramiona oplotły ją dokoła. Nie trzeba jej było już innej odpowiedzi. Saltash cięty w mowie, Saltash zawsze gotowy do słownej szermierki po raz pierwszy w swym życiu nie znalazł słów na wyrażenie tego, co napełniało jego duszę.

Przytuliła się do niego, jak to czyni drobne futerkowe zwierzątko, odnalazłszy swą ciepłą norkę. Prysło niedowierzanie, ale zawstydzienie pozostało. Nie śmiała spojrzeć mu w oczy. — Czemu mi tego nie powiedziałaś wcześniej? — spytała.

Pochylił swą ciemną głowę, aż jego usta spoczęły na jej ustach. — Nonette — rzekł. — Powiedziałaś, że przeze mnie uwierzyłaś w Boga? — Tak? — spytała szeptem, bez tchu.

—Widzisz, oto dlaczego — rzekł. — Tu przeszłaś moją zbroję. Przez ciebie i ja odnalazłem wiarę. Gdybym ci uczynił zawód po tym, co mi wtedy powiedziałaś...

—Ale nie mogłeś — stwierdziła. — Nie mogłeś mi uczynić zawodu.

—Nikt mi nigdy nie zaufał tak jak ty — powiedział. — Ty mnie zmusiłaś, bym się okazał godny twej wiary we mnie.

—Ach, więc dlatego milczałeś? — spytała Toby. — Chciałeś być bezinteresowny?

—Właśnie — rzekł Saltash.

—I wciąż jeszcze chcesz? — zapytała Toby z nutą triumfu w głosie.

—Nie wytrwam długo — odparł — jeśli nie uzyskam tego, czego pragnę.

—Wpierw by się księżyc zrobił niebieski, nim ty byś wytrwał na drodze cnoty — rzekła Toby zuchwale.

—Niebieski księżyc? — powtórzył Saltash. — Jest nasz, na Jowisza!

Toby podniosła oczy w górę. — Gdzie? — spytała. Jej wzrok spoczął na głębokim, tajemniczym lazurze nocy. Ale w następnej chwili całe niebo przysłoniło jej dwoje dziwnych, pałających, aksamitnych, czułych oczu, które pociągały ją ku sobie jak magnesy.

—Władco mój — szepnęła z wyrzutem.

Ujął w swe dłonie jej wąską twarzyczkę i śmiał się do niej. Jego oczy, jedno czarne, drugie szare, spoglądały na nią z bezbrzeżną tkliwością, a jej oczy rozszerzyły się i zabłyśły w odpowiedzi błękitnym żarem.

—Jak mówiłem — zaczął Charles Rex władczo — jak mówiłem, kiedy mi przerwano przed pół rokiem, nigdy jeszcze nie odrzuciłem daru zesłanego mi od bogów.

—Ale długo zwlekałeś, nim go przyjąłeś, czyż nie? — spytała Toby z radosnym śmiechem w głosie.

Pochylił się ku niej i zamknął jej usta pocałunkiem.

KONIEC

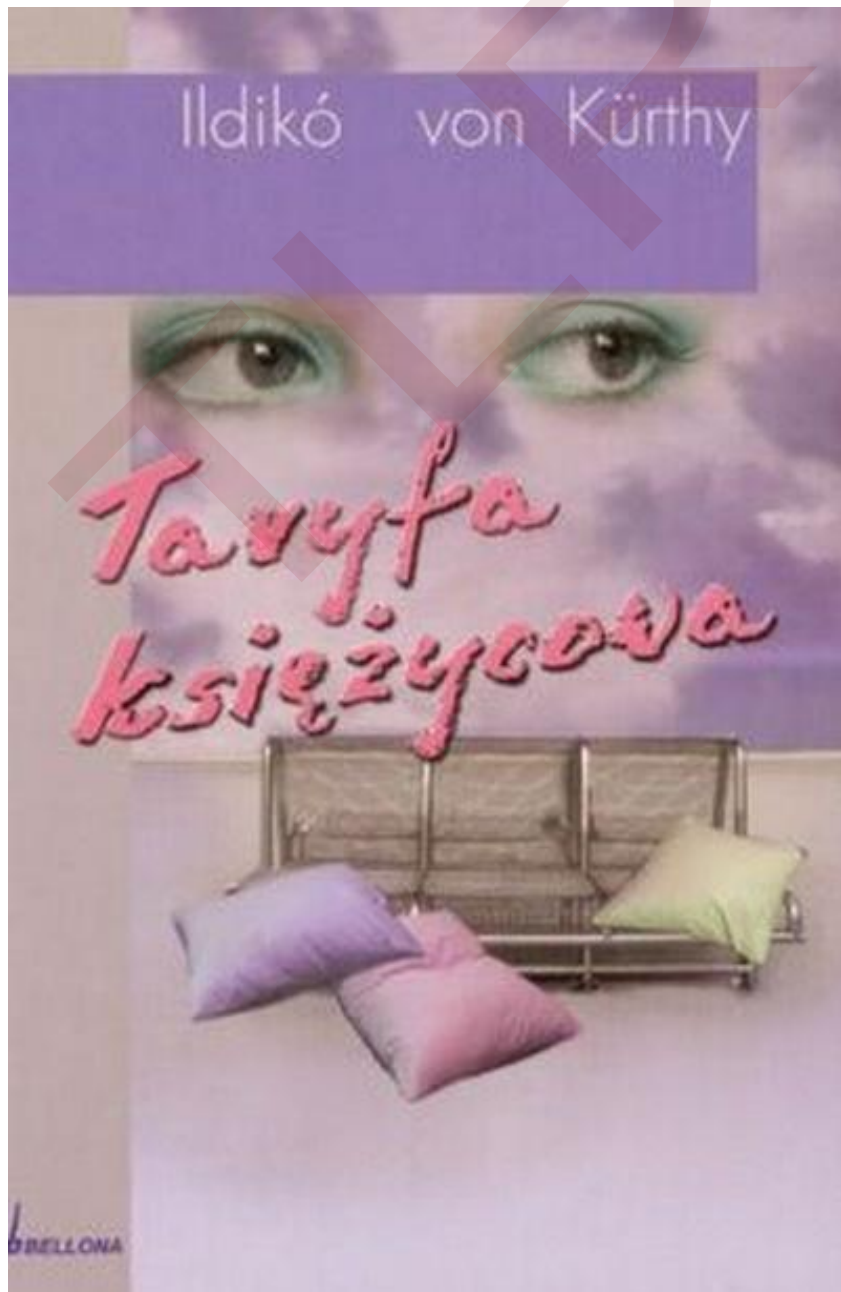




ILDIKÓ VON KÜRTHY

TARYFA KSIĘŻYCOWA

Przełożył RYSZARD TURCZYN



*Happy Birthday, ciociu Hildo!*

TLR

**17:12:**

Stopa to zdecydowanie zbyt mało zbadana strefa problemowa ciała kobiety. Zdanie jak wykute z marmuru.

***Stopa to zdecydowanie zbyt mało zbadana strefa problemowa ciała kobiety.***

Tak właśnie mógłby się zaczynać artykuł w jakimś piśmie dla kobiet. Albo w „Psychologii dzisiaj”. Albo jeszcze gdzie indziej.

Nazywam się Cora Hübsch, mam trzydzieści trzy i trzy czwarte roku i należę do tej zdecydowanej większości kobiet, które nawet w zaawansowanym wieku nie zdołały jeszcze zaprzyjaźnić się ze swoimi stopami. Moje palce u nóg są pokrzywione jak zęby nastolatka, który uparczywie odmawia noszenia aparatu. W mojej grupie fitnessowej jest jedna babeczka, która ma palce nóg tak krótkie, jakby dostała się w młodości pod gilotynę. A moja psiapsiółka Johanna z kolei ma stopy takie, jak inni uda. W jej butach mógłby się uratować niejeden pasażer drugiej klasy z Titanica.

Robię wszystko, żeby się czymś zająć. Gapię się z uporem na rządki palców na drugim końcu mojego ciała, żeby nie myśleć o czymś znacznie gorszym.

Na przykład o tym, że dzisiaj sobota. Co gorsza, jest już prawie sobota wieczór. Swoją drogą ciekawe, kiedy zaczyna się wieczór? Załóżmy, że ktoś mówi: „Zadzwoń do ciebie w sobotę wieczorem”. Co to wtedy oznacza? Czy: „Zadzwoń do ciebie około 18.00, żeby cię zapytać, czy mogę po ciebie przyjść o 20.30 i zabrać cię do najdroższej włoskiej restauracji w mieście”?

Czy może raczej: „Okolo 23.00 puszczę ci tylko sygnał, żeby sprawdzić, czy jesteś osamotnioną trzydziestką, która w sobotę wieczorem nie ma nic lepszego do roboty, jak tylko czekać na telefon takiego przystojniaka, jak ja, który z braku czegoś lepszego skusił się na pójście z tobą do łóżka”?

*Stopa to zdecydowanie zbyt mało zbadana strefa problemowa ciała kobiety.*

Nie, to na nic. Pokrzywiona gromadka u moich stóp nie może już dłużej zbierać cięgów za mój kompleks niższości.

Słuchajcie, dziewczyny, powiedzmy sobie szczerze: Naj- naj- najpoważniejsza strefa problemowa kobiety nazywa się: facet.

**17:17**

Czy to naprawdę zaraz będzie wpół do szóstej? Kurcze, czemu on nie dzwoni? Dlaczego są rzeczy w życiu kobiety, które się nigdy nie zmieniają? Pytanie, czy po jednorazowym seksie można od razu rościć sobie pretensje

do spotkania w najbliższą sobotę, nigdy dotąd nie zostało dostatecznie wyjaśnione.

Ktoś powinien sobie kiedyś zadać trud i policzyć, ile lat życia kobieta spędza na czekaniu na telefony od facetów. Pewnie z pięć. Albo z dziesięć. I jest coraz starsza. Marszczy czoło, a od tego zostaje brzydka krecha między brwiami. Zjada dziesiątki ton białej czekolady crisp, batoników orzechowych i tostów z nutellą. Rujnuje sobie figurę i zęby, a tym samym traci jakąkolwiek realną szansę na telefon w sobotę wieczór.

Muszę skończyć z podkopywaniem poczucia własnej wartości negatywnymi myślami.

„Jestem atrakcyjna. Jestem kobietą godną pożądania. Jestem piękna. Jestem kobietą godną pożądania. Jestem...

Telefon!

No proszę, jednak dobry sposób.

**17:22**

To tylko Johanna, która chciała się dowiedzieć, czy już dzwonił. Johanna twierdzi, że zasadnicza różnica między kobietami a mężczyznami nie polega na tym, jak się powszechnie uważa, że mężczyźni utrzymują w czystości wnętrze swojego samochodu i uważają wszystkie części *Szklanej pułapki* za osiągnięcie kulturalne. Joanna twierdzi, że zasadnicza różnica

między kobietami a mężczyznami polega na tym, że mężczyźni nie czekają na telefony od kobiet. Zamiast czekać, mężczyźni coś robią. Oglądają wiadomości sportowe, wynajdują lek przeciwko AIDS, umawiają się z jakąś blondynką, czytają kursy giełdowe, ćwiczą mięśnie. I inne takie. A najważniejsze w tym wszystkim jest to, że oni wcale nie robią tego po to, żeby odwrócić swoją uwagę od czekania. Oni to robią dlatego, że tak chcą.

Zapominają przy okazji, że właściwie czekają. Dlatego mężczyźni nigdy nie podnoszą po pierwszym sygnale i mają taki głos, jakby się im w czymś przeszkodziło.

Musiałam się chwilę zastanowić, żeby zrozumieć, co to oznacza.

- Słuchaj - powiedziałam wreszcie, i czułam się tak, jakby po trwającej dziesiątki lat ślepotcie ktoś wreszcie otworzył mi oczy - to przecież znaczy, że wszystkie te godziny, które spędziłyśmy na tym, żeby nie zadzwonić do faceta, poszły na marne. Te wszystkie dni, w czasie których zajmujemy się nadmierną konsumpcją batoników czekoladowych i oglądaniem filmów z Meg Ryan, żeby udawało się nam powstrzymać przez zobaczeniem się z nim zaraz następnego dnia. Wszystko psu na budę! Ileż się nacierpiałymy, żeby ich podreczyć! Myślałyśmy, że oni będą czekać, a tak naprawdę ich może w ogóle nie było w domu i nawet nie zauważyli, że nie dzwoniłyśmy?

- Trafiłaś w sedno, Cora. Nie da się zmusić faceta do czekania. Jeśli chcesz znać moje zdanie, to już najwyższy czas, żebyś spędziła czas na czymś sensowniej szym niż nadzieja, że pan Hofmann łaskawie zechce wybrać twój numer.

Mogłabym:

- a. wypełnić zeznanie podatkowe
- b. wypełnić zeznanie podatkowe sprzed dwóch lat
- c. wykorzystać ten przepiękny letni wieczór na zdjęcie z balkonu choinki i wyniesieniu jej do pobliskiego parku.

Przemyślę to sobie na spokojnie przy kieliszku białego wina.

Doktora medycyny, Daniela Hofmanna poznałam, w upokarzających warunkach, trzy tygodnie i trzy dni temu, pod wahadłowymi drzwiami pewnej damskiej toalety.

Byłam z Johanną na jednej z tych imprez, o których następnego dnia pełno we wszystkich plotkarskich programach i wszystkich prywatnych stacjach telewizyjnych. Jo zrobiła się wystarczająco ważna, żeby dostawać zaproszenia na takie spędy i to w dodatku z prawem zabrania ze sobą dodatkowej osoby.

„Pani Johanna Dagelsi z osobą towarzyszącą”, jest wówczas napisane na listach, które odhaczają przy wejściu smukłe dziewczyny w granatowych kostiumach.

„Osoba towarzysząca” to ja. Raz się nawet zdarzyło, że Johanna przedstawiła mnie komuś słowami, „pani Cora - osoba towarzysząca”.



Uznała, że to zabawne i przez cały wieczór wybuchała histerycznym chichotem. No cóż... Tym „kimś” był, jak przeczytałam następnego dnia w plotkarskiej rubryce gazety o VIP-ach, sam gospodarz przyjęcia.

Ale ja jestem ponad to. Nie poważam ludzi, którzy swoją osobę myślą z piastowaną funkcją. Bo nie należę do ludzi, którzy poczucie własnej wartości uzależniają od zajmowanego stanowiska. Ale może to dlatego, że akurat nie zajmuję jakiegoś specjalnie wysokiego stanowiska. No tak, w zasadzie gadam jak ktoś, kto obwieszcza heroicznie, że utrzymuje ścisłą dietę, a zapomina dodać, że i tak ma puchy w lodowce.

Jeśli ktoś mnie pyta, zawsze mówię, że jestem fotografem. Bo to prawda. Mam nawet stały angaż - a to ma naprawdę niewielu fotografów. Niestety, u mojego obecnego pracodawcy, nie do końca mogę wykorzystać mój twórczy talent. Fotografuję szafy w ścianach i komplety wypoczynkowe na potrzeby katalogu wiodącego domu meblowego w tym kraju. No i co, ktoś przecież musi to robić, no nie? Ale dlaczego akurat ja? Wszystko jedno, nie muszę mieć od razu przed obiektywem Heidi Klum, żeby czuć że żyję. Mnie tam wystarczy stolik pod telewizor i wideo ze zintegrowanym barkiem.

W każdym razie razem z Jo odstawiłyśmy się jak nigdy. Całe popołudnie spędziłyśmy na wyciąganiu drogich ciuchów z szafy Jo i obnoszeniu się w nich po jej kilometrowym korytarzu, jak po wybiegu. Przy okazji obaliłyśmy butelkę szampana do wtóru Donny Summer nastawionej na powtarzanie w nieskończoność.

*I'm looking for some hot stuff, baby, this ev'ning, I need some hot stuff, baby, tonight.*

Najpiękniejsze w wyjściu są przygotowania. Taka właściwa nastolatkom, głupawa radocha.

Próbowanie kolczyków.

Cienie, skrzące się nad oczami jak cekiny.

Jedno pociągnięcie ciemnoczerwoną szminką.

Wciskanie się w sukienki tak krótkie, że każdy facet myśli, że za noc ze mną trzeba zapłacić.

Gaszenie papierosów w umywalce w czasie robienia makijażu.

Wspaniałe!

Chciałabym, żeby tak było zawsze. Nawet jeśli za dwadzieścia lat napis na szmince nie będzie głosił *Rouge pour les levres* tylko „korektor do pomarszczonych, starych warg”, a my zamiast zwiewnych jedwabi będziemy nosiły rajstopy podtrzymujące. Wszystko jedno. Radocha i już.

Kiedy tuż przed ósmą wsiadłyśmy z Jo do taksówki, czułyśmy się jak czternastki - i tak też się zachowywałyśmy. Jo opowiadała taksjarsowi słone dowcipy, podczas gdy ja na tylnym siedzeniu zamalowywałam czarnym tuszem przetarte miejsce w moim metrowej wysokości obcasie. Wyglądałam po prostu bosko. Jo pożyczyła mi swoją granatową obcisłą sukienkę, która w genialny sposób tuszowała moje niedostatki, podkreślając mocne strony.

Niestety zawsze jest tak, że z przodu wyglądam prawie tak samo jak z tyłu.

To znaczy mam dość jędrną, okrągłą pupkę - i nieco mniej jędrny, ale równie okrągły brzusek.

O piersiach lepiej nie mówić, są bardzo szeroko rozstawione. Jeśli patrzę na jedną, to drugą tracę z oczu. Ale - niech będą dzięki firmie Wonderbra - kiedy tego wieczoru spójrzałam w dół na swój dekolt, ujrzałam głęboką, obiecującą szczelinę. Ach, jakież ma miałam dobry nastrój i jaka byłam napalona.

*I need some hot stuff, baby, tonight!*

Kiedy razem z Jo płynęłyśmy nad czerwonym dywanem w stronę wejścia, czułam na sobie pełne uznania spojrzenia wszystkich mężczyzn będących w najbliższym otoczeniu. Uśmiechałam się łagodnie i nieprzystępnie.

Przestałam się uśmiechać, kiedy się zorientowałam, że za mną idzie aktorka Veronica Ferres. Nigdy nie rozumiałam, co ci faceci w niej widzą. Wygląda jak przygnębiony pączek, a jej aktorskie umiejętności zdecydowanie się przecenia. Jo poleciła mi, że nie wolno dać sobie popsuć nastroju. I posłuchałam.

To była wspaniała impreza - pomijając pierwsze śmiertelnie nudne trzy godziny, kiedy rozdawano nagrody. Na początku byłam jeszcze strasznie podekscytowana, denerwowałam się każdym nowym ogłoszeniem zdo-

bywcy czy zdobywczynie pierwszego miejsca, dzielnie łykając łzy przy kolejnych słowach podziękowania. Stopniowo jednak ekscytacja słabła i na koniec nie mogłam już słuchać tych bzdur.

- W czasie transmisji telewizyjnej robią z tego 45 minut - szepnęła mi do ucha Jo, podczas gdy jakiś dokumentalista z miasta Halle dziękował swojej ekipie, „bez której wspaniałej zespołowej pracy ten film w ogóle by nie powstał blablabla, więc ta nagroda w zasadzie nie mnie się należy blablablabla”.

- No to następnym razem obejrzymy sobie ten cyrk w telewizorze - odpowiedziałam również szeptem. Był to oczywiście szczyt niewdzięczności, wiem, bo w końcu funkcjonowałam tylko jako „os. towarzysząca” - ale byłam głodna i odbijało mi się od szampana pitego na pusty żołądek.

- Mogę pójść do toalety, czy od razu znajdę się w telewizji? - spytałam Jo.

- Idź, idź. To i tak się chyba zaraz kończy.

Podreptałam na obcasach wąskim korytarzem w kierunku wyjścia, odprowadzana karcącymi spojrzeniami Tila Schweigera, Senty Berger i Mario Adorfa, przy czym ten ostatni spoglądał raczej tęsknie. Może biedaczkowi też się chciało do kibelka, ale musiał czekać aż mu wręczą nagrodę? We wspaniale udekorowanym hallu (Świecące girlandy! Uwielbiam świecące girlandy!) od razu wrócił mi dobry nastrój.

Zobaczyłam bowiem co najmniej dwadzieścia trzy tysiące kelnerów zajętych rozstawianiem bufetu. I to jakiego bufetu! Homary! Langusty! Carpaccio z łososia! Vitello Tonnato! Pieczenie wołowe wielkości mojego uda! Sałatki owocowe! Mousse au Chocolat!

Ślinka mi ciekła, kiedy tak przeciskałam się wzdłuż uginających się od jedzenia stołów w stronę damskiego kibelka. Pchnęłam wahadłowe drzwi i znalazłam się w nieprawdopodobnej, pałacowej siusialni. Wszędzie dokoła lustra, marmury. Przy porcelanowych umywalkach nie wisiała jakaś tam niebezpieczna dmuchawa na gorące powietrze, od której można sobie oparzyć ręce, zamiast je wysuszyć, tak że pierwsza osoba, której podajemy rękę i tak myśli sobie, że pobrudzimy ją ekskrementami. Tutaj leżały ładnie ułożone, jedno na drugim, świeżutkie, bielutkie, frotowe ręczniczki.

A obok tych białych stosików siedziała sobie na małym taboreciku pomarszczona babcia klozetowa i patrzyła na mnie wyczekująco.

O, tego nie lubię. Mam problemy z oddawaniem moczu, kiedy czuję, że ktoś może mnie przy tym usłyszeć. Zawsze pozostanie dla mnie zagadką, jak to możliwe, że faceci leją stojąc jeden obok drugiego. Jak oni to robią? Czy przy tym rozmawiają? O czym? A jak to jest, kiedy sika obok ciebie szef? Zatrzymanie moczu? Czy rozmowa o podwyżce?

Raz spotkałam szefa redakcji graficznej w saunie. Ależ to było dla mnie niezręczne! W dodatku siedział obok mnie i mocno załatywało od niego potem.

- Jestem zdania, że ludzie na pewnych stanowiskach nie powinni chodzić do publicznej sauny - powiedziałam wtedy. To nie było za mądre, wiem. Ale prawda to pierwsze, co człowiekowi przychodzi do głowy, jak nie wie, co powiedzieć.

W każdym razie filigranowa babcia klozetowa patrzyła na mnie przyjaźnie, a mój pęcherz od razu oczywiście zastrajkował, więc udałam, że weszłam tylko umyć ręce.

- Wpadłam tylko umyć ręce - powiedziałam uprzejmie. - Tam jest tak gorąco, mówię pani.

Babcia skinęła głową dobrotliwie. A ponieważ byłam cała szczęśliwa, że wreszcie spotkałam w tym prominenckim domu wariatów jakiegoś normalnego człowieka, i ponieważ w ogóle mam słabość do przedstawicieli klasy robotniczej (przespałam się kiedyś z jednym elektrykiem), pogadałyśmy sobie jeszcze przez chwilę.

Dowiedziałam się paru ciekawych rzeczy na temat łazienkowych zwyczajów pań i panów. Co zdumiewające, panie są podobno o wiele mniej higieniczne, a za to bardziej manieryczne od panów. Kiedy na przykład zwymiotują, to zachowują się tak, jakby wszystkiemu winna była babcia klozetowa i w związku z tym źle się do niej odnoszą. Dla facetów natomiast ubikacja jest miejscem, gdzie się odprężają. Tutaj mogą być sobą. Dają sobie napiwki i dopiero tuż przed wyjściem przybierają z powrotem minę „jaki to jestem ważny”.

W pewnym momencie przeleciało mi przez głowę, że zostawiłam torebkę przy stoliku, w związku z czym nie mam drobnych. O, kurcze! Jak ja stąd teraz wyjdę? Pewnie źle sobie o mnie pomyśli: „Najpierw udaje, że niby taka miła, a potem sobie idzie, jak gdyby nigdy nic”.

Z tej rozpaczy gadałam dalej.

- Próbowała już pani czegoś z bufetu? - spytałam. - Przypuszczam, że pracownicy dostają coś do jedzenia w czasie rozdania nagród?

- Ale gdzie tam - powiedziała babcia klozetowa. - Przyniosłam sobie parę kanapek. Z bufetu nam nie wolno.

Że co? Że jak? To kobitka siedzi tutaj cały dzień na stołeczku w marmurowym pisuarze, wyciera po prominentach i nikt nie pomyślał, żeby poczęstować ją chociaż głupimi szczypcami od homara?

Moje poczucie sprawiedliwości społecznej nie dawało mi spokoju. Co by na to powiedział Marks? Nie mam pojęcia, nigdy nie czytałam Marksa, ale dostatecznie dużo o nim słyszałam, żeby wiedzieć, że wyrwałby sobie po jednym wszystkie włosy ze swojej siwej brody.

- Wie pani co? - wykrzyknęłam wojowniczo. - Zaraz pani stamtąd przyniosę coś do jedzenia. Co by pani chciała? Homara? Vitello Tonnato? Carpaccio?

Babcia klozetowa popatrzyła na mnie zdezorientowana.

- No to może wszystkiego po trochu?



Wypadłam z toalety. Ja, bojowniczką o prawa uciskanych, wybawicielką uciśnionych. Joanna d'Arc babć klozetowych! Precz z kapitalizmem! Naród to my!

Uroczystość rozdania nagród dobiegła właśnie końca i pierwsi kapitałści tłumnie zmierzali w stronę bufetu. Ja jednak byłam szybsza.

Złapałam wielki talerz i z szybkością błyskawicy ponakładałam na niego wszystko, co najlepsze. Jestem wprawdzie jedynaczką, ale mój ojciec zawsze miał wilczy apetyt, więc dość wcześnie się nauczyłam, na czym polega walka o przetrwanie i jak to zrobić, żeby w ułamku sekundy rozpoznać i przygwoździć widelcem największy kawałek pieczeni. Na samym wierzchu góry jedzenia umieściłam - jako symboliczny pomnik dekadencji klasy panującej - imponującego homara.

Drogi - ale martwy.

Zręcznie balansowałam zapelnionym po brzegi talerzem w gęstniejącym tłumie ciemnych smokingów i wspaniałych kreacji. Sterowałam w stronę wahadłowych drzwi w końcu hallu. Nie widziałam, jak Uschi Glas wymienia szeptem uwagi z Iris Berbel, nie widziałam, jak Mario Adorf z ulgą znika w toalecie dla panów. Przed oczami miałam tylko wahadłowe drzwi z napisem „Dla Pań” a za nimi, już oczami wyobraźni, babcię klozetową z kanapkami w torbie.

Dwa metry przed drzwiami damskiej toalety zmieniło się moje życie.

Kątem oka dostrzegłam ciemny garnitur wyodrębniający się z ludzkiej masy. Przynależący do niego mężczyzna wykonał dwa, trzy kroki do tyłu i odwrócił się zamasyście.

Potem zobaczyłam frunącego homara, któremu towarzyszyła porcja kawioru oraz plasterki rostbefu. Szwadron śmierci zmierzał w stronę wahadłowych drzwi z napisem „Dla Pań”, które w tym momencie się otworzyły. Jak na filmie puszczone w zwolnionym tempie homar (drogi, ale martwy) wylądował na dekolcie dokładnie poniżej koliai z akwamarynów. Dodatki znalazły miejsce na ciemnoczerwonej sukni od Helmuta Langa oraz sandałkach od Prądy, które dwie godziny temu dostały nagrodę za najlepszą żeńską rolę pierwszoplanową.

Co do mnie, to leżałam na mężczyźnie. Patrzyłam w jego szeroko otwarte z przestachu i bólu oczy, ponieważ w czasie upadku najprawdopodobniej wbiłam się kolaniem w jego krocze. Było to moje pierwsze zetknięcie z genitaliami doktora medycyny Daniela Hofmanna.

Po sekundzie przerażenia żeńska rola pierwszoplanowa uciekła z powrotem do toalety. Tam zamknęła się w kabinie i - jak następnego dnia przeczytałam w gazetach - nie pokazała się już przez cały wieczór. Około północy opuściła podobno miejsce uroczystości tylnymi drzwiami, owinięta w biały obrus.

Kiedy gramoliłam się, żeby uwolnić wijącego się przede mną mężczyznę, babcia klozetowa właśnie przystępowała do wycierania z podłogi eleganczkich dań.

Wymieniłyśmy spojrzenia.

Zrozumienie. Wdzięczność. Dezorientacja.

Mężczyzna tymczasem też stanął już na nogi, obiema rękami trzymał się za genitalia i patrzył na mnie tak, jakbym była ucieleśnieniem Zła. Nie miałam pojęcia, co powiedzieć.

Zdążyli nas już otoczyć kelnerzy, fotografowie i ciekawscy. Przez tłum przedarła się rudowłosa kobieta, wyglądająca jak przedwcześnie dojrzała obfitych kształtów czternastolatka, rzuciła mi na początek zabójcze spojrzenie, a potem rzuciła się na zdemolowanego mężczyznę.

- Dani, skarbie - zawołała piskliwym głosem. - Co się stało?

I znowu jadowite spojrzenie w moją stronę.

- Wszystko w porządku - wymamrotał Dani, skarb. - Już dobrze.

Wyglądał dość mamie w tej przygiętej pozycji, z jedną ręką wciąż jeszcze zaciśniętą między nogami, drugą szukając oparcia na lekko opalonym ramieniu rudej.

- Pozwól, że zobaczę, skarbieńku - lamentowała ruda i zaczęła manipulować mu przy rozporoku.

- Zabieraj ręce, do cholery! - ofuknął ją Dani, skarb.

- Sama pani widzi, co pani narobiła, głupia krowo! - syknęła w moją stronę.

Jestem zdania, że w chwilach najwyższego napięcia objawia się zawsze prawdziwy charakter człowieka. Pamiętając o tym, starałam się zachować dla siebie mój prawdziwy charakter, przełknęłam obrazę i postanowiłam ukarać tę kobietę pogardliwym milczeniem. W końcu nie chodzi tutaj ani o mnie, ani o nią, tylko o tego biednego faceta, którego pokarało nie tylko uszkodzeniami podbrzusza, ale także wulgarną przyjaciółką.

Wykonałam bezradny krok w stronę tych dwojga.

- Tak mi przykro - szepnęłam. - Może potrzebuje pan lekarza?

- Lekarza? Lekarza?! - kobieta tak przekonująco sypała iskrami ze swoich zielonych oczu, że nie miałam najmniejszych wątpliwości, iż nosi barwione szkła kontaktowe. Pewnie ta wspaniała ruda fryzura też nie była prawdziwa. „Falszywe opakowanie” - pomyślałam, wojowniczo wypinając pierś. Cieszyłam się, że mam dzisiaj co wypiąć. W takich chwilach zawsze dodaje to kobiecie autorytetu.

- On sam jest lekarzem. Za to pani będzie potrzebowała adwokata. I to dobrego!

- Carmen, daj spokój, nie rób takiego przedstawienia. Już wszystko dobrze. W końcu, to nie było specjalnie - wymamrotał pojednawczo Dani, skarbie.

Carmen? Carmen? Koń by się uśmieł. Niemożliwe, żeby to było jej prawdziwe imię! Pewnie zmienia je sobie przy każdej zmianie koloru włosów.

Włosy czarne: „Nazywam się Verona”.

Włosy blond: „Mówią na mnie Claudia”.

Chętnie rzuciłabym jakąś ciętą odpowiedź na jej poziomie. Coś w rodzaju: „Widzę, że rynsztok występuje z brzegów”. Słyszałam raz w jednej sztuce teatralnej. Ale oczywiście w tym momencie nic takiego nie przyszło mi do głowy. Przeważnie tak jest. Kiedy szef opowiada mi jakieś głupoty, też najczęściej tylko mamrocze: „Ehm, tego, nnnooo”. No i nie zrobiłoby to specjalnie wrażenia, gdybym następnego dnia zadzwoniła z ciętą odpowiedzią. Powiedziałam zatem: - Ehm, tego, nnnooo.

Ale babsztyl rozpedził się już na dobre.

- Co to znaczy „nie specjalnie”? - warknęła Carmen tym razem na swego ukochanego. - Mogła cię przecież zabić, albo coś jeszcze gorszego!

W tym momencie pojawiła się na szczęście Jo. W ułamku sekundy oceniła sytuację, złapała mnie za ramię i szepnęła: - Choć, najlepiej będzie, jak się stąd zmyjemy.

Tak też zrobiłyśmy. Pognałyśmy do garderoby, odebrałyśmy nasze płaszcze i wychodząc zobaczyłam jeszcze Daniego z fałszywą Carmen.

Trzymała go władcym gestem pod ramię, a on przemawiał do niej uspokajająco. Nasze spojrzenia spotkały się nad jej ramieniem. Nie umiałam dokładnie zinterpretować wyrazu jego oczu. Mam wrażenie, że była to mieszanina rozbawienia, pogardy i czegoś jeszcze. W każdym razie wtedy po raz pierwszy dotarło do mnie, jakie on ma cudowne oczy.

*17:47*

Obejrzałam choinkę i doszłam do wniosku, że nie mogę jej targać po ulicy za dnia. Wystawiłabym się na pośmiewisko, ktoś by mnie na pewno zobaczył w parku i jeszcze by mnie aresztowali za nielegalne wyrzucanie śmieci. A zresztą, nawet nie biorę pod uwagę możliwości, że po zapadnięciu zmroku nadal będę siedziała w domu. Wtedy już na pewno będę szła spacerkiem przez aksamitną noc z dłonią w dłoni... No, no, no, powoli.

Widok choinki nastroił mnie refleksyjnie. Powinna zadzwonić do mamy. Poza tym ten niemal pozbawiony igieł szkielet przypominał mi o moim ostatnim związku. To Sasza przywiózł mi tę jodłę swoim srebrnym mercedesem 2,0 i coś tam, potem strasznie się zdenerwował z powodu klejących plam żywicy na tylnym siedzeniu.

Sasza był pedantem, trzeba to sobie jasno powiedzieć. W ogóle byliśmy kompletnie od siebie różni. Pamiętam, jakie to było niemal wzruszające, kiedy w czasie pierwszej randki usiłowaliśmy znaleźć między nami cokolwiek wspólnego.

Sasza zaczepił mnie w saunie, bo omyłkowo wziął mój tatuaż na biodrze za niechcący przyczepioną metkę. Wiadomo, jak to jest. Jak się ludzie poznają na golasa, to zawsze są trochę skrepowani. Ale Sasza miał miły głos, przyjemne oczy i najzgrabniejszą dupkę, jaką w życiu widziałam - tak więc koniec końców dałam się zaprosić na kolację.

Pierwszego wieczora byliśmy jeszcze na „pan” i „pani”, co uznałam nawet za dość romantyczne. Sasza nosił okulary w niklowanej oprawie i wyglądał bardzo mądrze, co jak się później okazało, odpowiadało niestety rzeczywistości.

- Co aktualnie leży na pani nocnym stoliku? - spytał na początek.

Zdębiałam. O co mogło mu chodzić? Próbowałam wyobrazić sobie mój nocny stolik, takim jakim zostawiłam go dzisiaj rano, kiedy od pół godziny powinnam być już w biurze.

Na samej górze leży krem złuszczający. Jak się go rozprowadzi na noc, to zrogowaciała skóra na stopach bardzo łatwo potem rano schodzi. Obok siedzi mój pluszowy króliczek, którego dostałam na urodziny jakieś 150 tysięcy lat temu. Obok dość pełna popielniczka na nie doświetlonych zdjęciach szaf w ścianie, obok kieliszek z zaschniętym czerwonym winem i pudełeczko drażetek z dziurawca na wzmocnienie nerwów.

Kiedy spojrzałam w mądre, czułe, wrażliwe oczy Saszy, wiedziałam, że na razie muszę mu jednak oszczędzić tego widoku.

Z pewnością nie był z takich, którzy na widok moich obnażonych ud wybuchnęliby lubieżnym rechotem, a przy pierwszym kontakcie z moimi palcami u stóp szukałoby ucieczki w toalecie. Jak jednak wytrzymałby konfrontację ze stosem powieści Rosamundy Pilcher, świecącym gumisiem w nogach mego łóżka oraz kartonem gauloise'ów przy wannie?

Nie. Nie można atakować takim natężeniem prawdy od razu pierwszej nocy. To zupełnie tak, jakby na pierwszej randce powiedzieć facetowi, że



zawsze się przegrywa w *Trivial Pursuit* a kiedyś na pytanie: „Jak się nazywa największa wyspa na Morzu Śródziemnym”, odpowiedziało się „Australia”. Nie żeby mi się to kiedyś miało przytrafić. Tak tylko mówię, jako przykład.

- Och - powiedziałaś zatem wymijająco. - To i owo. A cóż takiego leży na pańskim nocnym stoliku?

Pytania, na które nie umiemy odpowiedzieć, zawsze warto odbić do pytającego.

- No więc, na moim stoliku leży obecnie *Chrześcijaństwo w państwach totalitarnych*. To niezwykle pouczająca i godna polecenia książka.

Przytakuje skwapliwie. Jestem zdania, że mieszkanie bardzo dużo mówi o jego mieszkańcach. Potrafię czytać w mieszkaniu jak w biografii.

Co, na przykład, mówi kilometrowej długości kolekcja płyt obok krzesła z wyginanych stalowych rurek?

Mówi tak: „Lubię dyskutować, czytałem Foucaulta i akceptuję, kiedy zamiast seksu masz ból głowy. Dwa razy w tygodniu chodzą na squasha, onanizując się myślę o Patricii Kaas, ale nigdy nikomu bym się do tego nie przyznał, kocham moje stare płyty T-Rexów nad życie i chociaż nie mam nic przeciwko picciu szampana, to jednak doskonale pamiętam, jak smakuje bacardi z coca-colą wlewane do gardła ochrypłego od okrzyków „Ho-Ho-Ho-Szi-Min”.

A co nam mówi regał Billy z IKEI, na nim pełne wydanie dzieł Karola Maya, do tego wysoki na człowieka komputer z milionem dysków poniewierających się wokoło?

Mówi tak: „Kocham mamusię, a przynajmniej tak mi się wydaje, stosunek analny uważam za zboczenie, a owłosione pachy kobiet działają na mnie erotycznie. Moim domem jest internet, chętnie spędziłbym noc z Larą Croft i nie mam nic przeciwko temu, żeby moja przyszła żona nosiła cieliste rajstopy”.

No cóż, takie mieszkania są przynajmniej urządzone szczerze. Gorzej jest z tymi, którzy próbują coś ukryć.

Pod szlachetną wykładziną może się kryć zły charakter. Za ręcznie malowaną porcelaną dominująca matka a za najdroższymi materacami na sprężynach kieszonkowych przerażający liczykrupa. Najobrzydliwsi macho chętnie udają przyjaznych, trzymając w łazience najróżniejszych rozmiarów tampony dla odwiedzających je pań.

Oprawiony plakat z „Museum of Modern Art” może uważnej kobiecie powiedzieć tylko jedno: „Mój właściciel to ostatni biedaczyna. Boi się latać samolotami, nigdy jeszcze nie był w Nowym Jorku, uważa Picassa za zespół muzyczny, następcę „Tic Tac Toe” a siebie za doskonałego kochanka”.

Moje mieszkanie należy niestety do tych szczerze urządzonych. Dlatego za każdym razem bardzo dokładnie się zastanawiam, czy kogoś wpuścić do niego, czy nie. Otworzyć drzwi, wpuścić kogoś do środka, to tak samo, jak się stopniowo przed kimś rozbierać. Prawda coraz bardziej wychodzi na światło dzienne. Z chwilą pozbycia się biustonosza z wkładkami push-up i korygujących rajstop i odpowiednio skrojonych dzinsów ostatecznie zegnamy się z obrazem siebie, który chciałybyśmy zaprezentować męskiemu obserwatorowi. W moim mieszkaniu jestem po prostu naga.

Niestety Sasza zinterpretował moje intensywne milczenie jako zachętę do pogłębienia tematu wymagającej literatury.

- A którą z książek Dona DeLillo uważa pani za jego najlepszą? - spytał Sasza patrząc na mnie przyjaźnie, co przypomniało mi mojego nauczyciela religii w czasie egzaminu ustnego.

Don DeLillo? Don DeLillo?? Kurcze, nazwisko wydaje mi się dziwnie znajome.

- Eeehm, najbardziej podoba mi się jego powieść *Podwiązki!* - wykrzyknęłam w końcu z ulgą. Ostatnio widziałam ją gdzieś na wystawie w jakiejś księgarni. Wielkie dzięki dla mojej pamięci.

Wydaje mi się, że tą odpowiedzią przełamalam lody. Kiedy następnego dnia miałam okazję osobiście zapoznać się z jego nocnym stolikiem, Sasza milczał subtelnie, za co do dzisiaj jestem mu wdzięczna. Książka tego cholernego DeLillo leżała tuż obok nocnej lampki. I miała tytuł *Powiązania*. Prędzej czy później zawsze się człowiek wkopie, jak próbuje grać mądrzejszego niż jest w istocie. W tym wypadku nastąpiło to niestety wcześniej.

Nasz pierwszy wieczór przegadaliśmy w swobodnej atmosferze - to znaczy Sasza gadał, a ja słuchałam. Zadawałam dużo pytań, tylko po to, żeby nie popaść w zakłopotanie, gdybym miała na coś odpowiadać. A Sasza najwyraźniej dobrze się z tym czuł. Mężczyźni uwielbiają kobiety, które dają im poczucie, że są interesujący. I uważają za mądrą każdą kobietę, która słucha tego, co mówią.

Aby na trwałe pozostawić dobre wrażenie, należy przy pierwszym spotkaniu wypowiadać w regularnych odstępach jedynie dwa zdania:

1. Proszę coś więcej o tym opowiedzieć, to takie interesujące.
2. Ach, tego nie wiedziałam.

Tego wieczoru nie wzięłam Saszy do siebie do domu. Nie byłam też u niego. Zrobiliśmy to od razu na miejscu, w męskiej toalecie.

Wiedzieliśmy, że jesteśmy dla siebie stworzeni, ponieważ po żmudnym śledztwie udało nam się jednak odkryć coś wspólnego. Sasza i ja, jak ustaliliśmy pierwszego wieczoru, obydwójce nie lubimy lodów cytrynowych. I uznaliśmy, że to wielce obiecujący początek.

**17:53**

Doktor Daniel Hofmann. Zaraz do ciebie zadzwonię. W imię czego mam z siebie dalej robić kompletną idiotkę? Gapić się w telefon, zajmować się zeszłorocznymi choinkami i nieudanymi związkami?

O rany, rany! Jak ja nisko upadłam! Jeśli teraz do niego zadzwonię, to on sobie pomyśli, że się nim interesuję. A każde dziecko wie, że czymś takim tylko się płoszy faceta. Takie rzeczy ich odstrasza. Natychmiast wycofują się wtedy do swojej ślimaczej skorupki i dają się stamtąd wywabić dopiero długotrwałym ignorowaniem i złym traktowaniem.

Z drugiej strony: mam trzydzieści trzy lata i jestem w nowoczesny sposób wyemancypowana.

A to znaczy, że wprawdzie nie mam pojęcia, jak podłączyć dekodery telewizji satelitarnej, ale mam środki na opłacenie odpowiedniego fachowca.

A to znaczy, że przeszłam kurs samoobrony, gdzie nauczyłam się chwytu obezwładniającego za jądra i mogę sama wracać wieczorem do domu.

A to znaczy, że sama mogę sobie zdobyć dietetyczny stek na obiad i sama ogrzać moją jaskinię.

To mi przypomina od razu zdanie, które przeczytałam gdzieś w jakiejś mądrej książce i które bardzo często od tego czasu cytuję: „Od co najmniej stu lat nie ma po prostu najmniejszego powodu by być mężczyzną”.

Czy ktoś może mi w takim razie wyjaśnić, dlaczego od dwóch godzin czekam na telefon od istoty, która nie ma najmniejszego powodu istnieć?

W tej sytuacji nie pozostaje mi nic innego, jak tylko działać według sprawdzonej zasady:

Jeśli masz ochotę do niego zadzwonić, to koniecznie zadzwoń najpierw do najlepszej przyjaciółki. A jeśli ona rzeczywiście jest twoją najlepszą przyjaciółką, powie ci: „Nie dzwoń do niego”. A jeśli ty rzeczywiście jesteś jej najlepszą przyjaciółką, powiesz: „Okay” i zaczniesz czytać jakąś dobrą książkę.

W takich sytuacjach okazuje się, kto to jest dobra przyjaciółka i co to jest dobra książka.

**17:55**

Johanny nie ma w domu. Zostawiam jej jednak wiadomość na sekretarce, żeby koniecznie do mnie oddzwoniła. Jestem znacznie spokojniejsza i dam sobie spokój z tym dziecinnym wyczekiwaniem.

**17:57**

Już wiem, czemu on nie dzwoni. Jestem za gruba. Jestem bardzo nie-szczęśliwa.

**17:58**

Spalanie tłuszczu. W gruncie rzeczy to jedyna uczciwa odpowiedź, jaką sobie mogę dać.

Bo wyobraźmy sobie: spotykasz się z tym korpulentnym prawie sześćdziesięcioletkiem w restauracji, w której serwetki są tak sztywno wykrochmalone, że spokojnie można ich używać jako podkładki śniadaniowych. Ten obleśny krasnal jest jakimś superhiper-menadżerem nie-

prawdopodobnie znanej firmy, w której chętnie byś się zatrudniła. Mógłby być twoim przyszłym szefem, no ale oczywiście życzy sobie pracownicy, która będzie fachowcem nie tylko w swojej dziedzinie, ale ma też innego rodzaju zainteresowania.

No i przychodzi nieuchronnie taki moment, kiedy z wiadomym spojrzeniem typu no-to-niech-pani-teraz- pokaże-co-pani-jeszcze-jest-warta, zapyta: „A co pani robi w czasie wolnym?”

Jeśli jesteś mądra odpowiesz:

- Niesłuchanie interesuje mnie dekonstruktywistyczna literatura amerykańska. Ponadto uwielbiam podróżować po kulturalnych metropoliach Europy. Widział pan tę nieprawdopodobnie prowokującą wystawę Damiena Hirsta w Londynie? Cóż, a jeśli już rzeczywiście zdarzy mi się spędzić wieczór w domu, to szczerze mówiąc najchętniej oglądam sobie czeską awangardę filmową na kanale ARTE. Najlepiej się przy tym odprężam.

Ale jeśli jesteś uczciwa, odpowiesz:

- Spalanie tłuszczu. Moje największe hobby to spalanie tłuszczu. A to dlatego, że nie należę ani do tych 0,8% kobiet, które mogą jeść, ile chcą a i tak szpanują na przyjęciach niedowagą, ani do 4,3% szkieletów, które w ciągu dnia wtranzalają połówkę kiwi i twierdzą, że są najedzone. Ja lubię jeść. I jem dużo. Uwielbiam sos śmietanowy na fettucini, czekoladowe cukierki, batoniki i tłusty brzeżek na steku. I dlatego każdą skromną chwilę wolnego czasu spędzam najchętniej w studio fitnessu. Tak, należę do grona pocących się idiotek, które przez godzinę potrafią wchodzić po wyimagi-



nowanych schodach na stair-masterze. Które męczą się na seansach ćwiczeń na brzuch, nogi, pośladki. Które przy akompaniamencie przeboju *I will survive* wzmacniają przywódciele i prostownicy. Na bieżni wyrobiłam już tyle kilometrów, ile wynosi pana roczna pensja. Pyta pan o czas wolny? Są takie okresy, kiedy tyję i są takie, kiedy chudnę. Nie mam czasu wolnego.

Jo zapytała kiedyś takiego właśnie brzuchatego menadżera w czasie rozmowy wstępnej, kiedy ostatni raz udało mu się zobaczyć własnego fiuta. Nie muszę dodawać, że pracę dostała panienka, która od tego czasu, gdy tylko żona grubego szefa wyjeżdża na kolejną farmę piękności, rysuje mu lakier whirlpoola wystającymi kośćmi biodrowymi.

Sama nie wiem. W jednym czasopiśmie, które mogłoby się nazywać „Tylko dla kobiet noszących rozmiar 38 i mniejszy”, przeczytałam kiedyś coś przerażającego o Claudii Schiffer: otóż podobno waży tylko 56 kg! A jest o 12 cm wyższa ode mnie!

Ale za to ma może gorszy charakter i mniejszą radość z życia. To wegetowanie na walizkach. Dzisiaj Miami, jutro Paryż, pojutrze Sydney. Nieee, to przecież nie jest życie!

Ciekawe czy Claudia często już czekała, żeby ktoś zadzwonił. Czy do niej w ogóle można ot tak sobie zadzwonić?

Ciekawe, czy miała kiedyś ochotę się oszpecić po złożeniu wizyty w bezlitośnie oświetlonej przebieralni domu towarowego H&M?

Czy przymierzając minisukienkę bez zamka błyskawicznego utknęła kiedykolwiek w połowie drogi i musiała prosić o pomoc sprzedawczynię?

Czy idąc po seksie do łazienki kiedykolwiek obwiązywała się w biodrach kołdrą?

Czy ona wie, jak to jest, spędzić cały wieczór na wdechu z wciągniętym brzuchem? Albo jaki człowiek czuje się upokorzony, kiedy w chwili nieuwagi czule pochyla się, będąc nago, nad ukochanym, a zbyt małe piersi zwisają wtedy smutno, jak puste torebki po soku owocowym?

56 kilogramów! Dobrze wiem, jak ja bym wyglądała ważąc 56 kilogramów! Należę do kobiet, które zawsze chudną od niewłaściwej strony. Zero cycka, zero pupy. Ale za to uda jak łyżwiarka szybka i łydki jak cię mogę.

Dosyć tego czarnowidztwa! Trzeba zmierzyć się z rzeczywistością.

Tkanek tłuszczową należy nosić z godnością. Muszę nastawić się pozytywnie. Pomyśleć o różnych dodających otuchy wydarzeniach, które pogodzą mnie z własnym ciałem.

Zastanówmy się. Hmm. O, już mam coś fajnego! Niestety znowu w związku z Saszą. Powiedział mi kiedyś najcudowniejszy komplement, jaki w życiu słyszałam.

Leżeliśmy bardzo wyczerpani i całkiem nadzy pod jego biurkiem. Patrzył na mnie rozjaśnionym wzrokiem i kiedy ja rozpaczliwie rozglądałam się za czymś, żeby się przykryć, powiedział: Gdybym był tak piękny jak ty, to przez cały dzień bym się tylko onanizował.

Po nadzwyczaj krepującym incydencie w czasie rozdania nagród filmowych - który ostatecznie nie przyniósł sławy ani mnie ani klasie robotniczej - przez parę dni czułam się podle.

Potrzebowałam czasu, żeby się dowiedzieć, z czego to wynikało. Nie byłam nawet specjalnie zawstydzona tym, co się stało, wkurzało mnie za to okropnie, że tak bezradnie zachowałam się wobec tego rudego czupiradła. Spowodowanie katastrofy to jedno, ale zostać upokarzająco potraktowaną przez odmóżdżoną właścicielkę zielonych soczewek kontaktowych - ta zadra utkwiała głęboko. Zbyt głęboko.

W dodatku usłyszałam od Jo, że Carmen gra na RTL-u w ostatnim odcinku jakiegoś serialu lekarskiego siostrę Monikę, która zakochuje się w owłosionym ordynatorze chirurgii, wskutek czego on opuszcza szpital, żonę i słodziutkie dzieci, aby razem z nią rozpocząć nowe życie w Andaluzji.

Po kilku telefonach do paru telewizyjnych szycy Jo dowiedziała się ponadto, że Carmen nazywa się Koszłowski i naprawdę ma na imię Ute. Na temat jej życia uczuciowego nic nie udało się Jo wyszperać.

Ute Koszłowski!

Poczułam żądzę zemsty.

Wyobraziłam sobie rozdanie nagród filmowych, na którym Bruce Willis prosi mnie, żebym zgodziła się spędzić z nim noc. „You look so attractive. I want you. And I want you now” - szepcze mi do ucha. Wystarczająco głośno oczywiście, aby mogła usłyszeć to Carmen, która właśnie podeszła błagać

go o autograf. Całą godzinę przed zaśnięciem spędziłam na układaniu różnych scenariuszy zemsty, aż wreszcie Carmen została bez faceta, bez pracy i bez włosów. Jednak nie da się wygrać fantazjowaniem z rzeczywistością.

Następnego dnia lało jak z cebra, było jak na tę porę roku nienormalnie zimno i nic, ale dosłownie nic nie wskazywało na to, żeby ten dzień miał być dla mnie dniem, który zmieni moje życie.

Jak co rano, nieumyta i rozczochrana wymknęłam się w szlafroku na klatkę, żeby wyjąć ze skrzynki gazetę. Co rano mam nadzieję, że nikt mnie na tym nie przydybie.

Niestety nie należę do kobiet, które wyglądają przyzwoicie zaraz po przebudzeniu. Między innymi dlatego, że najczęściej nie chce mi się wieczorem zrobić demakijażu. Poza tym moje włosy najwyraźniej w nocy robią wszystko, tylko nie śpią. Za każdym razem jestem zaskoczona, kiedy spojrzę rano w lustro. Najczęściej niemile. Na mojej głowie piętrzą się najbardziej zwariowane fryzury. Czasami jak mam humor to próbuję wymyślić, jak przy laniu wosku, co przedstawiają te konstrukcje na mojej głowie: „Nieskoordynowany kosmyk wystający z uklepanych na potylicy włosów pozwala wnioskować o niezwykłej wręcz energii i żądzy czynu. Loczek niezbyt korzystnie wijący się pośrodku czoła to oznaka erotycznej emanacji i nadzwyczajnej atrakcyjności seksualnej”.

No cóż. Tego ranka nie miałam na takie zabawy ochoty. Wyglądałam po prostu jak mop, którym można się wygodnie dostać w każdy kąt. Koło skrzynek, jakże mogłoby być gorzej, spotkałam panią Zappke z parteru,

która jest jednocześnie naszą dozorczynią i uważa, że może się wtrącać do wszystkiego, a najbardziej do tego, co w ogóle nie powinno ją obchodzić.

Dwa miesiące wcześniej miałam dość krótką, ale głośną przygodę z kierowcą, który codziennie w południe przywoził mojej sąsiadce gorący obiad z restauracji. Mniej więcej w tym czasie pani Zappke przydybała mnie w sobotę około czwartej po południu, kiedy usiłowałam wyłowić pocztę ze skrzynki. (Cztery lata temu zgubiłam kluczyk od skrzynki i od tamtego czasu używam do tego chochli oklejonej na końcu dwustronną taśmą klejącą.)

- Widzę, że trochę się zabalowało wczoraj w nocy - odezwał się za moimi plecami jazgotliwy głos, który tak mnie przestraszył, że niezwykle obiecująco wyglądająca koperta, którą właśnie udało mi się podsunąć do miejsca dającego szansę na wyciągnięcie, z powrotem odfrunęła w czeluście skrzynki.

- Wie pani, w końcu weekend - odpowiedziałam idiotycznie - Można się wyspać.

- Powinna sobie pani dać dorobić kluczyk.

Nic nie odpowiedziałam. Wielce obiecująca

koperta ukazała się w szparze skrzynki. Nadawcą była gazownia. Niech to szlag.

- W naszym domu to wszystko przez ściany słyhać - nie dawała za wygraną pani Zappke. W jej głosie pojawiły się dwuznaczne tony.

- Yhm.

- Ten Sander z drugiego znowu ma zapalenie oskrzeli. Mówię pani, jak zakaszle, to u mnie brzęczą szklanki w serwantce.

- Yhm, yhm, przykre.

- Albo ci homoseksualiści z ostatniego. W końcu nie mam nic przeciwko temu, no nie, ale w weekendy nigdy nie wracają przez czwartą nad ranem. I tak, proszę pani, hałasują na klatce, że nawet mój mąż się budzi, a on ma zdrowy sen, oj, zdrowy. No cóż, ciekawa jestem, jak to długo z nimi potrwa. W końcu wiadomo, że takie związki homoseksualne nie są za bardzo trwałe.

- Yhm...

- A pani, pani Hübsch?

Właśnie przykleiła mi się do chochli pocztówka od Jo.

- Pani to chyba też ma jakiegoś nowego przyjaciela?

Przeleciałam wzrokiem, co napisała Jo:

„Cześć Cora! Nadal dostajesz codziennie jedzonko na kółkach? Zawsze twierdziłam, że nie ma to jak coś ciepłego w brzuszku. Tak trzymać! Pozdrowienia z Nowego Jorku!

Używaj seksu w łóżku i gdzie indziej, bo radzi ci to najlepsza przyjaciółka, Jo!”

Jakie słodziutkie. Zawsze tak robimy, żeby ostatnie linijki listów, czy kartek, były rymowane. Jo ma oczywiście łatwiej, bo jakoś do Jo jest więcej łatwych rymów: „bo”, „byle co”, „wałę to”, „że hoho”.

Do Cory niby też coś jest, ale do Hübsch już słabo. Najlepszy wierszyk napisałam do niej kiedyś z Majorki:

„Pogoda pod psem, a czasem pod kotem,

nawet sprzątaczkę marzną tu pokotem

Marzy mi się sweterek, najlepiej angora.

Trzęsącą dłonią pozdrawia Cię

Cora”

Wyszło genialnie. Moim zdaniem.

- Pani Hübsch? Ma pani nowego przyjaciela? Tak mi się przynajmniej wydawało przez te ostatnie dni.

Och ty, babsztylu jeden. Ty to umiesz wierceć dziurę w brzuchu.

- Słucham? A, tak, no tak. Można tak powiedzieć - Swoją drogą ciekawe skąd ta zgaga może wiedzieć o moich spełnionych nocach? Przeczuwałam najgorsze.



- Wie pani, pani Hübsch, bo w tym domu słycać wszystko, mówię pani, do-sło-wnie wszystko!

Cóż, muszę przyznać, że mój nowy kochanek nie należał do tych zahamowanych, pseudomęskich typów, którzy nawet w łóżku nie okazują żadnych emocji. Uwielbiałam jego głośność. Przynajmniej kobieta wtedy wie, kiedy może przestać udawać, że umiera z rozkoszy. Nie ma nic gorszego od facetów, którzy kończą nagle i bez żadnego wcześniejszego sygnału. Jak tu w takich warunkach wiarygodnie zasymulować orgazm?

No, a po drugie było mi z nim naprawdę super. Znaczący z czysto seksualnego punktu widzenia. Od początku wiedziałam, że ten facet to nic na dłużej, bo nie rozumiał moich dowcipów. A jeśli czegoś naprawdę nie cierpię, to właśnie tego, że ktoś nie śmieje się z moich dowcipów. Bo one są naprawdę dobre. Przynajmniej większość.

Na szczęście tego dnia byłam w świetnym humorze i stać mnie było na ciętą odpowiedź.

- Ma pani rację, pani Zappke, jak najbardziej - zaczęłam słodziutkim głosem. - Ja też słycać dosłownie wszystko, co się w tym domu dzieje. Tylko pani i pani męża jakoś nigdy nie słycać. Dziwne, prawda? Życzę miłego dnia.

Ale ją замуrowało, babsko jedno! A co!

Wiadomego dnia, w którym miało się odmienić moje życie, nie byłam już jednak w najlepszym humorze, nie spędziłam nocy z ekscytująco gło-

śnym kochankiem, a na głowie miałam coś, co musiało wyglądać jak fryzura Tiny Turner po nocy pełnej sennych koszmarów.

- Naprawdę powinna pani sobie dorobić ten klucz - powiedziała pani Zappke.

Widocznie wracała z zakupów, bo ciągnęła za sobą wielkie torbiszczki na kółkach. Żeby osłonić się przed deszczem miała na głowie przezroczysty plastikowy kapturek, trzymający się dzięki specjalnej gumce pozostawiającej na czole brzydkie czerwone pręgi.

- Tak, tak, właśnie się robi - mruknełam. Wprawdzie w porównaniu z panią Zappke wyglądałam jak wysoko opłacana modelka, niemniej jednak starałam się jakoś ukryć twarz za gazetą.

Po co ja to sobie robię? Czemu nie wezmę prysznic, nie umaluję się i nie ubiorę jak należy zanim w ogóle wyjdę z mieszkania? Przeczytałam gdzieś, że Verona Feldbusch, nie zejdzie nieumalowana nawet do skrzynki na listy. I to mimo że w przeciwieństwie do mnie spokojnie mogłaby sobie na to pozwolić.

Zamiast tego stoję w niepozornym szlafrocisku, z łyżką w dłoni na korytarzu i pozwalam się poniżać naszej okutanej w plastik dozorczyń. Zdecydowanie coś jest nie tak z moim życiem. Co do tego nie ma najmniejszych wątpliwości.

Zostawiłam Zappke tam, gdzie stała, i uciekłam do mieszkania. Kawa się skończyła. W gazecie w dziale „Różne” wyczytałam, że Carmen Ko-

szlowski ma dostać rolę w jakimś nowym sitcomie. Jakież to życie potrafi być niesprawiedliwe.

Wypaliłam sześć papierosów. I dostałam bólu żołądka. Tym lepiej. Byłam za bardzo przygnębiona, żeby iść do pracy i obfotografować 25 karnap. Chciałam być chora. Co najmniej przez trzy dni. Potrzebowałam czasu na uporządkowanie swojego życia.

Wybrałam numer mojego lekarza domowego. I od tego wszystko się zaczęło.

\* \* \*

Wszystkie gabinety lekarskie wyglądają jednakowo. Po mojej prawej ręce stała leżanka z jasnoszarym plastikowym obiciem, obciążona dwiema ciężkimi podkładkami jednorazowego użytku. Nad leżanką wisiała plansza przedstawiająca wnętrze ludzkiego ciała. Narządy były pięknie pokolorowane i miały podpisy.

Czy ktoś w ogóle mógłby wpasnąć na pomysł, żeby sobie powiesić coś takiego na przykład w salonie? Kogo interesuje, gdzie dokładnie leży trzustka? Obok ultrasonografu stała rzeźba. Plastikowe serce jak żywe. Oplecione błękitnymi i czerwonymi żyłkami. Brr. Obrzydlistwo. Byłam w fatalnym humorze. Na półce stały dzieła o tytułach w rodzaju: *Zmiany*

*miażdżycowe w obrębie tętnic, Pacjent z nadciśnieniem tętniczym czy Jelito grube wczoraj i dziś.*

Czemu lekarze zawsze stawiają na półkach takie coś? Chcą zrobić na nas wrażenie? Czy oni myślą, że my pomyślimy, że oni to wszystko przeczytali? A może im się wydaje, że to nas uspokoi, jak będziemy wiedzieli, że w razie gwałtownego problemu z jelitem grubym lekarz szybko zajrzy pod hasło „gwałtowny problem z jelitem grubym” i po sprawie?

Naprawdę byłam w fatalnym nastroju. Nieprawdopodobnie fatalnym. W tych okolicznościach bez trudu zdołam przekonać mojego domowego lekarza, że jestem niezwykle cierpiąca.

- Dzień dobry pani. Przez najbliższy tydzień zastępuję doktora Bahra - odezwał się za moimi plecami jakiś kompletnie nieznany mi głos.

Tylko tego mi brakowało! Zastępstwo! Pewnie jakiś emeryt od kombatantów, który jeszcze w czasie pierwszej wojny światowej amputował kończyny dolne na polu walki i dorabia teraz do emerytury. Boże, gdybym o tym wcześniej wiedziała, to wołałabym pójść do pracy.

- Z czym pani przychodzi?

Postać w białym kitlu przeszła obok mnie, usiadła naprzeciwko po drugiej stronie biurka i spojrzała na mnie.

On się gapił. Ja się gapiłam. Czy o tym właśnie się mówi „trwało to całą wieczność”?

Mój rozum natychmiast zastrajkował i ku własnej rozpaczycy usłyszałam, jak moje usta szepczą:

- Dani, skarbie...

- Ehm, cóż, właściwie nazywam się Hofmann. Doktor Hofmann.

- Tak, tak, oczywiście, przepraszam. Ja nazywam się Hübsch. Cora Hübsch.

- Wiem. Widzę na karcie.

- Tak, oczywiście, przepraszam, eeee, tego. Jak się pan miewa? Znaczy, już wszystko w porządku? Tak mi przykro za to, co się stało.

Doktor Hofmann patrzył na mnie. Nie do końca przyjaźnie. Raczej jak na nietypowo zgrubiałe jelito grube.

- A wie pani, nad czym przez cały czas się zastanawiam? Po co właściwie gnała pani z tym homarem w stronę toalety? Czyżby nie spodobał się pani wystrój sali? A może z zasady jada pani homary w ubikacji?

O Boże! Jak mu to wszystko wyjaśnić? I to w paru słowach?

Mówiłam, jakby miało mi to uratować życie, a nawet coś więcej. Niech się dzieje co chce! Ten facet mi się podobał. No i - było nie było - miałam już przecież kontakt z jego genitaliami.

Patrzyłam na niego nabożnie, dukając coś o „babci klozetowej z kanapkami”, „walce klas” oraz „Marksie i niesprawiedliwości społecznej”.

Niebieskie oczy, ciemne włosy. Takie zestawienie to rzadkość. No i te dłonie! Byłoby grzechem, gdyby te dłonie nie umiały grać na pianinie. Parę ciemnych włosków wystawało spod wycięcia białego T-shirta. Mogłam się domyślać, że ma owłosioną klatę. Kocham facetów z owłosioną klatą! Te ciemne wysepki na klatce piersiowej zwężające się lekko w drodze do pępka, by zaraz potem znowu się rozszerzyć w wielce obiecujący gąszcz... Hm, no tak.

- W każdym razie ogromnie mi przykro - zakończyłam swoją chaotyczną relację.

Uśmiechał się do mnie łagodnie. Zupełnie tak, jak lekarz uśmiecha się do groźnego psychopaty, który gorączkowo usiłuje dowieść personelowi w domu wariatów, że jest najzupełniej normalny.

- Zapomnijmy już o tym. Co panią dzisiaj sprowadza?

Ojezujezuju! Muszę coś wymyślić! W tej sytuacji ból żołądka nie wchodzi oczywiście w rachubę. Nie do zniesienia była dla mnie myśl, że ten bóg, ten Adonis miałby obmacywać mój niewytrenowany brzuch.

Gorączkowo przelatywałam w myślach całe moje ciało w poszukiwaniu czegoś najlepszego do pokazania. Już mam! Przykurcze mięśni w okolicy szyjnej. Doskonale. Mam je od zawsze, czyli od kiedy mam szyję, no i do tego badania raczej nie trzeba się rozbierać.

- Przykurcze mięśni w okolicy szyjnej - wyrzuciłam z siebie triumfalnie.

- Mam przykurcze mięśni w okolicy szyjnej.

To, co potem nastąpiło, to były najbardziej upokarzające chwile, jakie kiedykolwiek przeżyłam. Musiałam rozebrać się do samej bielizny i z rozłożonymi ramionami balansować po wyimaginowanej linii. Dr Hofman wyjaśnił, że chce zobaczyć, czy nie mam przekrzywionej miednicy - ja jednak sądzę, że chciał zobaczyć, jak balansuję z rozłożonymi ramionami po wyimaginowanej linii odziana tylko w spraną bieliznę z supermarketu. To było poniżające.

Druzgocącym wynikiem całej tej procedury była postawiona przez doktora Hofmanna diagnoza, że mam o całe 1,3 centymetra krótszą prawą nogę i w związku z tym dostanę receptę na wkładki.

- Czy mogę coś jeszcze dla pani zrobić?

Tak! Tak! Może mi pan dać szansę odkręcenia tego wszystkiego! Może mnie pan zapytać, czy chcę za pana wyjść! Co robić? Co powiedzieć?

No i siedziałam jak jakiś tępy pokręcony tłumok, który od jutra musi chodzić z wkładką ortopedyczną w bucie. Wiedziałam, że jeśli teraz tak po prostu wyjdę z gabinetu, to już do końca życia nie podniosę się z tej hańby.

Pomyślałam o Ucie Koszłowski. Pomyślałam o Brusie Willisie. Pomyślałam o Veronie Feldbusch, która powiedziała kiedyś: „Ja tam się niczego nie wstydzę”.

Jak już, to już. W końcu i tak niewiele miałam do stracenia:

- Owszem. Może pan coś jeszcze dla mnie zrobić.



Doktor Hofman spojrział na mnie zaskoczony. Boże, ależ z niego przy-  
stojniak! Wstałam, sięgnęłam przez biurko po bloczek z receptami i zapi-  
sałam na nim mój numer telefonu.

- Może pan do mnie zadzwonić. Jak dotąd poznał pan moje najgorsze  
strony. Mam i lepsze.

**18:08**

Telefon! Ach, czuję się akurat taka niezłomna. Po prostu nie podniosę.  
Niech się nagra na sekretarce. Kobieta taka jak ja nie bywa w sobotni wie-  
czór w domu.

**18:09**

- Sorry, Cora, ale nie mogłam wtedy podejść do telefonu. Teraz już...

- Halo, halo, Jo?

- A ty czemu od razu nie odbierasz?

- Chciałam najpierw usłyszeć, kto dzwoni.

- A niech to! Dalej czekasz na telefon od tego swojego osobistego lekarza?

- No, wiesz, i tak i nie. No więc tak właściwie, to...

- Słuchaj, nie uważasz, że jesteś już trochę za stara na takie zabawy?

Jo jest bardzo pragmatyczna. Czasami to bardzo pomaga, ale w niektórych sytuacjach może być przykre.

Mniej więcej cztery lata temu Jo awansowała na dyrektora działu marketingu w swojej firmie, co wywindowało ją do grupy zarobkowej poza zasięgiem uczucia zazdrości. Czarne służbowe BMW bardzo do niej pasowało, podobnie jak kostiumy Dolce & Gabbana i miniaturowa, bezustannie dzwoniąca komórka.

W ciągu czterech tygodni przetestowała, jaki szampan smakuje jej najbardziej, nauczyła się jak krótko i bez ogródek wymówić pracę kompletnym nieudacznikom i co odpowiedzieć zadufanemu w sobie macho, który uważa, że każda kobieta na kierowniczym stanowisku to zimna, żadna władzy flądra z wąsikiem, którą trzeba od czasu do czasu porządnie wydmuchać.

- Wie, pan - zwykła mawiać do takiego Jo - o prawdziwym równouprawnieniu kobiet i mężczyzn będzie można mówić dopiero wówczas, kiedy na jakimś znaczącym stanowisku zasiądzie niekompetentna kobieta.

Uwielbiam Jo. Jestem z niej dumna i na jej przykładzie przekonałam się, jak ciężki jest los kobiety, która ma długie, kręcone blond włosy, miseczki

duże „C”, dupeńkę jak Naomi Campbell i rozum jak stara hrabina von Dönhoff.

Jo to najwspanialsza kobitka, jaką znam i ma ten sam dylemat co Sharon Stone, która powiedziała kiedyś: „Mój największy problem to znaleźć normalnego faceta”.

No i Jo nie może sobie znaleźć normalnego faceta. Co gorsza, nie może nawet znaleźć odpowiedniego terapeuty. Nawet oni się jej boją. Od roku Jo chodzi do terapeutki i żyje w erotycznej diasporze, bo próbują ją podrywać wyłącznie bezmózgowe mięśniaki, którzy nie kapują, że nie mają czego u niej szukać.

Jo potrzebuje inteligentnego, stojącego na własnych nogach faceta.

A tacy są:

- a. rzadkością
- b. najczęściej są już żonaci z sekretarkami.

To smutne. Ukułyśmy z Jo na ten temat ciekawą teorię, której chyba jak dotąd nie znalazłam w żadnym kobiecym czasopiśmie.

Otóż faceci szukają kobiet, które pasują do ich celów. Początkujący bankowiec z ambicjami ożeni się z kobietą, która mogłaby być równie dobrze małżonką przewodniczącego rady nadzorczej. Ma drogi wygląd

i jak najbardziej może wykonywać jakiś ekskluzywny zawód, który poświęci potem dla rodziny i jego kariery.

Większość facetów ma problemy, jeśli kobiety dążą do celów niezgodnych z ich celami. Rezultat najczęściej jest taki, że kobiety te swoje cele zmieniają. Rezygnują z pracy, żeby wychowywać dzieci. Rezygnują z awansu, bo w związku z jego karierą muszą się przenieść z rodziną do innego miasta.

Kobiety zmieniają cele a mężczyźni zmieniają kobiety. Proste jak drut.

Jo nigdy nie straciła z oczu swego celu, ale za to niejednego faceta. Jej ostatni przyjaciel, którego do dzisiaj nazywamy Ben Ograniczony, wyjechał na południe Niemiec. Był nauczycielem i chciał się przekwalifikować na komputerowca. „Wyglądasz jak kobieta, ale w rzeczywistości jesteś mężczyzną” - powiedział do niej głęboko urażony, kiedy ona odmówiła rezygnacji z pracy, żeby się z nim przenieść do Bawarii. On wyjechał - ona była nieszczęśliwa.

No bo w swojej naiwności Jo naprawdę sądziła, że jego to nie rusza, że ona zarabia pięć razy więcej od niego. Ale bądźmy szczerzy: pod tym względem ciągle jeszcze żyjemy w epoce kamiennej. To on chce być tym, który przytarga do jaskini ubitego mamuta. Jej wolno tylko przyrządzić z niego smaczną zupkę. A Jo sama chce polować na mamuty. I dlatego ma problemy.

Ja natomiast jestem zupełnie inna. Bardzo niechętnie się do tego przyznaję przed Jo. Ale mam takie fazy, że marzy mi się, żeby dostawać okre-

ślone pieniądze na prowadzenie domu, komenderować personelem, a poza tym zajmować się układaniem bukietów kwiatowych

i wieczorami czekać na męża z dwójką dzieci na ręku w najnowszej kreacji Chanel.

Ale takich rzeczy oczywiście głośno się nie mówi. Więc nie mówię.

- Co z tobą, Cora? Właśnie się rozmarzyłaś, że jesteś panią doktorową i układasz bukiety kwiatowe?

O, kurcze, ale mi głupio. Widocznie jednak kiedyś musiałam jej coś napomknąć.

- A może byś tak do mnie wpadła? Mogłybyśmy sobie ugotować spaghetti i obejrzeć coś głupiego w telewizji? Co ty na to? Jak za starych dobrych czasów.

Ach, łza się w oku kręci.

Znam Jo z czasów, kiedy obie miałyśmy po siedem lat. Wtedy właśnie państwo Dagelsi wprowadzili się na naszą ulicę. Dzień później położyłam im na wycieraczkę krowi placek zawinięty w gazetę, podpaliłam, zadzwoniłam do drzwi i uciekłam, gdzie pieprz rośnie. Ojciec Jo zdeptał ogień zabryzgując sobie krowim gównem spodnie aż do kolan, a Jo została moją najlepszą kumpelką.

Do dzisiaj bardzo wysoko oceniam siebie za to, że zdecydowałam się zaprzyjaźnić z tak piękną dziewczynką. Jo już wtedy była piękną i wybranie się z nią na basen było dla mnie wyczynem wymagającym bardzo

dużej siły charakteru i mocnego poczucia własnej wartości. U jej boku stawałam się niewidoczna. Żaden koleś już na mnie wtedy nie spojrzał, a kiedy w czasie rozmowy usiłowałam coś wtrącić, wszyscy gapili się na mnie z takim zaskoczeniem, jakbym przed sekundą wyrosła spod ziemi.

Tak, tak, przyjaźń z Jo nauczyła mnie pokory.

- No co jest, Cora? Chyba nie powiesz mi, że cały wieczór zamierzasz przesiedzieć w domu?

- Zamierzać nie zamierzam, ale chyba inaczej się nie da.

- No nie, posłuchaj, co ci powiem. W tej chwili muszę jeszcze przerzucić tutaj trochę papierów, ale jak tylko skończę to jeszcze raz do ciebie zadzwonię. A wtedy albo nie podniesiesz, bo on do ciebie zadzwonił i właśnie bzykacie się na stole w kuchni, albo podniesiesz i wtedy, przysięgam, zrobię wszystko, żebyśmy spędziły dzisiaj odlotowy wieczór.

- Mmmmh, no nie wiem. A kiedy zadzwonisz...? Jo? Halo?

Odłożyła. Też bym chciała mieć parę papierów do przerzucenia.

Po wizycie u doktora Daniela Hofmanna czułam się w siódmym niebie. Tak jest! Odważyłam się! Byłam bohaterką, co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Nieważne, czy zadzwoni, czy nie. Wzięłam swój los w swoje ręce.

Po pierwsze wywaliłam do śmieci receptę na wkładki ortopedyczne. W końcu ta krótsza prawa noga przez trzydzieści trzy lata dzielnie niosła mnie przez życie i nie były to wcale najgorsze lata, ogólnie rzecz biorąc.

Po drugie, usiłowałam dodzwonić się do Jo.

- Przykro mi, ale pani Dagelsi jest poza officem. Ma ważny całodzienny meeting.

Office? Meeting? Boże, jak to brzmi! Jeśli kiedykolwiek miałabym dostać stanowisko z własną sekretarką, natychmiast wprowadziłabym z powrotem język ojczysty jako urzędowy.

Cały dzień spędziłam w pozycji wyprostowanej. Odzyskałam godność. Wyszłam z biura godzinę później niż zwykle i zrobiłam sobie jeszcze porządny spacer po mieście. Nie chciałam wmanewrować się w głupią sytuację, że wracam do domu i siedzę czekając, czy może zadzwoni. Poza tym, kiedy kobieta łaskawie daje swój numer telefonu, a potem jej nie ma, kiedy on zadzwoni, to jest to oznaka nonszalanckiej swobody.

No, a poza wszystkim, jak sobie jeszcze skojarzyłam, to przecież nieważne, czy on zadzwoni. Naprawdę. Tu chodziło wyłącznie o godność kobiety. Chcesz, to dzwoń, nie chcesz, to nie dzwoń. Mnie tam wszystko jedno. Podchodzę do tego luźniutko, bo jestem wewnętrznie mocna.

Kiedy wróciłam do domu i automatyczna sekretarka powitała mnie dwoma zerami na wyświetlaczu, byłam zdruzgotana.



*18:11*

Automatyczna sekretarka zwróciła nam kobietom wątpliwą swobodę. Dawniej galant słał swej wybrance listy albo o późnej godzinie zjawiał się pod balkonem, aby zaprezentować jej własne kompozycje. A to oznacza, że kobieta musiała czekać, żeby czegoś niechcący nie przegapić.

Potem był taki niekorzystny okres mniej więcej siedemdziesiąt lat temu, kiedy wprawdzie był już telefon, ale jeszcze nie było automatycznych sekretarek. A to oznacza, że kobieta musiała czekać, żeby niczego nie przegapić. Chyba że, jak to było w zwyczaju u początków telekomunikacji, pani miała służącą, która odbierała telefony spełniając zatem rolę automatycznej sekretarki.

Do dziś pamiętam, jak czekałam na pewien telefon jakieś dwadzieścia lat temu. Gospodarz naszej klasy, obiekt westchnień wszystkich dziewczyn, dał mi do zrozumienia, że być może zabierze mnie na mecz hokeja.

Oczywiście, nie było u nas w domu ani automatycznej sekretarki, ani bezprzewodowego telefonu. Przedpotopowy aparat o prawie niesłyszalnym dzwonku i słuchawce ważącej mniej więcej tyle co udziec cielęcy z kością,

stał w przedpokoju. A to znaczy, że ani nie mogłam siedzieć w swoim pokoju, ani słuchać głośno muzyki, ani oglądać telewizji, ani się kąpać, ani wziąć prysznic, ani zejść do spiżarni w poszukiwaniu czekolady.

Byłam skazana na siedzenie przez całe popołudnie w przedpokoju, w którym hulały przeciągi, żeby za wszelką cenę odebrać przed ojcem.

Jak we wszystkich rodzinach o klasycznej strukturze, mój ojciec, jako żywiciel rodziny sprawował też niejako najwyższą władzę nad telewizorem i telefonem. Emancypacja była jeszcze w powijakach i jako głowa rodziny to on sprawował funkcję niepodzielnie panującej automatycznej sekretarki. Podejrzewam zresztą, że nie tylko magazynował i przekazywał wiadomości, ale też w niewłaściwy sposób komentował.

Można to jeszcze jakoś zrozumieć, bo w końcu byłam jedynaczką. A ojcowie mający jedną jedyną ukochaną córeczkę rozwijają w sobie jakieś wynikające z jak najlepszych intencji, niemniej jednak fatalne w skutkach instynkty opiekuńcze.

Nie mogę wprawdzie niczego udowodnić, ale jestem przeświadczona, że przez całe lata wypląsał przez telefon moich wielbicieli, po części zanim jeszcze mieli szansę zostać moimi wielbicielami. Świadczyć o tym mogą strzępy rozmów, jakie zdarzało mi się wtedy podsłuchać.

- A kim zamierzasz być w przyszłości?
- Że co proszę? Chcesz się migać od wojska?
- Co to znaczy, że „bastujesz” po dziesiątej klasie?

Z tego powodu postawiłam przy telefonie rozkładane krzeselko (aby utrzymać wysokość rachunków telefonicznych w możliwie niskim przedziale, rodzice zrobili wszystko, aby korzystanie z telefonu było maksymalnie niewygodne), położyłam sobie na kolanach pamiętnik i spędziłam mniej więcej godzinę na pisaniu godnych podlotka wierszy o miłości.

Wtedy jeszcze nie byłam taka oblatana w sztuce czekania jak dzisiaj. Może dlatego, że nie przeczytałam jeszcze tylu poradników dla kobiet, które skutecznie wyhamowały moją kobiecą, dziecięcą, spontaniczną impulsywność.

W każdym razie po siedemdziesięciu pięciu minutach znudziło mi się. Nakręciłam numer gospodarza naszej klasy, żeby mu powiedzieć, że przez ostatnią godzinę cały czas rozmawiałam przez telefon, a on pewnie wielokrotnie próbował się bezskutecznie do mnie dodzwonić. Jakuba nie było w domu. Odebrała za to jego matka, aktywnie działająca w Komitecie Rodzicielskim. Zapytała mnie, kim zamierzam zostać w przyszłości. Wydaje mi się, że Jakub też był jedynakiem. Jakoś tak nic później już z tego nie wyszło.

Dzisiaj, jak powiedziałam, fenomenologia czekania uległa dramatycznej zmianie, dzięki nieobecności chroniących młodzież rodziców i obecności automatycznych sekretarek i bezprzewodowych telefonów. Zmiana dotyczy zarówno czekających, jak i tych, którzy każą na siebie czekać.

Z jednej strony to uspokajające, kiedy człowiek wie, że jest zawsze osiągalny. Jak na przykład ja teraz.

Leżę sobie na sofie (uwielbiam swoją sofę, jest obciągnięta materiałem w zebnę i ma wielkość przytułku dla azylantów). Słucham sobie bardzo głośno Barry'ego White'a *„flever gonna give you up, never ever gonna stop. I like the way I feel about you. Girl I just can't live without you!”*. Jak się człowiek skupi na samym głosie i zapomni, że Barry White to nieprawdopodobnie obleśny grubas, to taka muzyka działa jak całkiem niezły seks.

Jednocześnie mam puszczonego telewizor bez głosu (niektóre prezenterki bardzo mi się bez głosu podobają).

Przeoglądam sobie stary numer „BRIGITTE” („Stracić na wadze, i taką pozostać:

Nam się udało! Cztery kobiety opowiadają o swoim sukcesie”).

Zajadam sobie Mini Dickmanny. „Pocałunki z czekoladowej pianki”. Uważam za idiotyzm, że nie wolno już dzisiaj używać ich dawnej nazwy „Murzyński Pocałunek”. „Raidery” nazywają się dzisiaj „Twixy”, Leningrad nazywa się Petersburg, a Karl-Marx-Stadt z powrotem Chemnitz. Kto się w tym wszystkim połapie? Czy w ogóle jest jeszcze coś takiego jak serbska zupa fasolowa?

I kiedy robię te wszystkie rzeczy, słuchawka mojego telefonu leży w zasięgu słuchu i ręki, na poduszce, tuż przy moim uchu. Mogłabym sobie nawet wyjść teraz po papierosy. Moja automatyczna sekretarka dzielnie trzymałaby straż. Z drugiej strony dostarczyłaby też bezlitosnego dowodu, że w czasie mojej nieobecności nikt nie próbował do mnie zadzwonić. To byłoby dość upokarzające. Dawniej można było

sobie przynajmniej wmawiać, że w tym czasie telefon dzwonił bez przerwy.

Poza tym, jest jeszcze jeden bardzo ważny punkt: kto powiedział, że osoba dzwoniąca, w tym przypadku doktor Hofmann, w ogóle zostawiłby jakąś wiadomość?

Będąc na jego miejscu sama dwa razy bym się przedtem zastanowiła. Oznaczałoby to przecież wypuszczenie z ręki za jednym zamachem wszystkich atutów. Wtedy z miejsca to on staje się czekającym. Musi żywić się nadzieją, że oddzwonię, nie wiedząc tak naprawdę, czy w ogóle jestem zainteresowana dalszym kontaktem. Cóż by to musiało być za wyrzeczenie z jego strony!

Wszystko to jest strasznie skomplikowane, kiedy nie do końca sprecyzowane są stanowiska każdej ze stron.

W każdym razie jeśli idzie o moje stanowisko, to było chyba dość wyraźnie sprecyzowane, skoro zostawiłam mu w gabinecie swój numer. I z każdą mijającą godziną, coraz mniej czułam się bohaterką. Gdzieś około północy poszłam do łóżka mając pewność, że się najzwyczajniej w świecie ośmieszylam i zrobiłam z siebie kompletną idiotkę.

Dopiero następnego przedpołudnia zadzwoniła do mnie Jo. Byłam właśnie w studio dokonywałam cudów, żeby fotograficznie wydobyć bodaj cień godności z laminowanego stolika podręcznego („Twój funkcjonalny pomocnik w domu i w biurze”). Jeśli idzie o moją godność, to nic już z niej nie zostało.

- Cora, wiesz, stało się coś bardzo dziwnego - W głosie Jo była jakaś niepewność, co było kompletnie do niej niepodobne.

- O co chodzi? - Naprawdę miałam w tym momencie dość własnych problemów. Gwałtowny spadek poczucia własnej wartości z towarzyszeniem błyskawicznie postępującego kurczenia się prawej nogi.

- Kiedy wczoraj wieczorem wróciłam do domu, miałam na sekretarce wiadomość.

Szczeniara. Ja nie miałam.

- Jakiś Daniel. Chce się ze mną umówić. Problem w tym, że ja faceta nie znam.

Że co?! Że jak?! Daniel?! Mój dr Hofmann?! Dzwoni do mojej najlepszej przyjaciółki?! Mało nie padłam, bo ziemia usunęła mi się spod nóg. Nieprawdopodobnie podstępny cios losu.

Staralam się nie stracić kontenansu. W końcu nie będę stawać Jo na drodze do szczęścia, to jasne. Kurde - kładę facetowi na biurku mój numer telefonu a on zamiast skorzystać, zadaje sobie trud zdobycia prywatnego numeru Jo, który jest zastrzeżony i nie da się go zdobyć w informacji.

W bardzo brzydki sposób przypomniało mi to czasy naszej młodości. Kto się zakochał w naszym nauczycielu od filozofii? Ja. A kto się przespał z naszym nauczycielem filozofii? Jo!

Jednak najgorsza sprawa była z Jorgiem. Kochałam się w nim bez pamięci. Miałam trzynaście lat, on siedemnaście i był tylko dwie klasy wyżej, bo dwa razy zostawał na drugi rok. Któregoś dnia do mnie zadzwonił - ojca na szczęście nie było akurat w domu - i zapytał, czy nie moglibyśmy się na chwilę spotkać. Poprułam na miejsce spotkania z radością myśląc o chwili, kiedy stracę z nim dziewictwo, a tymczasem co zrobił Jórg? Wręczył mi list z prośbą o przekazanie go Jo.

Dodatkowym upokorzeniem był dla mnie fakt, że Jo kompletnie nie interesowała się Jorgiem. Dlatego najdotkliwszą ujmą było to, że Jo mogła sobie pozwolić na odrzucenie chłopaka, którego ja nie mogłam mieć.

Jak widać nic się nie zmieniło. Jak ja sobie w ogóle mogłam wyobrazić, że facet, który zobaczył mnie u boku mojej fantastycznie pięknej, blond Johanny, mógłby pozostać nieczuły na jej wdzięki i zainteresować się moją osobą? Gorzka prawda. Katastrofa. Klęska na całej linii. Przegrałam nie tylko z Ute Koszłowski, przegrałam także z najlepszą przyjaciółką.

Czy kobieta jest w stanie przeżyć taką hańbę?

Chyba nie.

Robiłam wszystko, żeby się jakoś trzymać.

- Dzwonisz z domu? Tak? To weź mi odtwórz tę wiadomość - poprosiłam.

O, Jezu, jaka jestem beznadziejna. Jaka masochistyczna. Sama sypię sobie sól na rany. Ale nie chciałam przecież, żeby Jo zaczęła coś podejrzewać. Moja przyszłość właśnie rozpadła się w gruzy, teraz musiałam pokazać



swoją wielkość i sama włożyć moje strzaskane szczęście w dłonie najlepszej przyjaciółki.

- Poczekaj moment - Usłyszałam jak Jo przewija taśmę. - O, teraz, słuchaj.

- „Dzień dobry. Wybrałeś właściwy numer ale niewłaściwy moment. Zostaw wiadomość po sygnale. Piiiiip!”

- Ehm, eee, dobry wieczór. Mówi Daniel Hofmann. Bardzo chętnie poznałbym też pani lepsze strony. Jeśli naprawdę jakimiś pani dysponuje, bardzo proszę o telefon. Mój numer 320675.

Co?! Jak?! Lepsze strony?! To przecież ja mu...! Chyba jakoś...! Jak to możliwe?! Raaaaany!

- No i co, Cora? Jak myślisz, skąd facet wziął mój numer?

No właśnie, skąd? I jak to w ogóle możliwe...? Zaraz, zaraz... W tym momencie zrozumiałam i wydałam z siebie histeryczny wrzask radości.

- Czy ty jesteś przy zdrowych zmysłach? Cora! Możesz mi łaskawie wyjaśnić, o co w tym wszystkim chodzi?

Kiedy po paru minutach najbardziej dziew- czyńskich wrzasków znowu byłam w stanie artykułować zdania w cywilizowany sposób, opowiedziałam Jo o wizycie u doktora Daniela Hofmanna. O moim upokorzeniu. O krótszej nodze. O moim bohaterskim czynie. I o tym, że z przejęcia zapisałam na recepcie jej numer, zamiast swojego.

Błąd do wybaczenia, tak mi się przynajmniej zdaje. W końcu sama do siebie nigdy nie dzwonię. A numer Jo wybieram co najmniej pięć razy dziennie i potrafiłabym go powtórzyć bez zajknięcia nawet mając bóle porodowe.

Yes! Yes! Yes! Zwycięstwo było moje! Ute Carmen Koszłowski, przygotuj się na najgorsze! Cora Hübsch właśnie wykonała pierwszy krok w stronę samorealizacji!

Umówiłam się na ten wieczór z Jo, żeby omówić dalszy sposób postępowania. Od tej chwili wszystko trzeba było jak najstaranniej zaplanować.

**18:17**

Jestem aktualnie w fazie ostrego i bolesnego zakochania. Za żadne skarby nie wolno mi się rozkleić.

Zakochanie to marketing. Jeśli już ktoś cię kocha, to możesz być taka, jaka jesteś. Ale do tego momentu musisz się trzymać określonych reguł gry, żeby zakwalifikować się do drugiej rundy.

A jedna z tych reguł brzmi jasno i wyraźnie: Po pierwszym seksie za nic nie wolno ci do niego zadzwonić. Za nic. Pod żadnym pozorem. I od tej reguły nie ma wyjątków.

Mężczyźni mają strukturę binarną. To ułatwia obchodzenie się z nimi. Pod warunkiem, że zachowasz jasność umysłu.

Ważne jest, żeby pamiętać o dwóch rzeczach:

a. dla mężczyzny pierwszy seks z nową kobietą jest jak prezent. Prezent od niej. Dlatego niektórzy mężczyźni mówią potem dziękuję.

b. z „a” wynika niedwuznacznie, że mężczyzna uważa, że teraz jego kolej. Rewanżuje się dzwoniąc, wysyłając róże albo zjawiając się bez uprzedzenia pod twoimi drzwiami. (Jezu! Mam nadzieję, że Danielowi nie przyjdzie do głowy złożyć mi niezapowiedzianą wizytę. Muszę się jakoś przygotować na taką ewentualność! Natychmiast napuścić wody do wanny i naładować depilator!).

Mężczyzna czuje się obrabowany z męskości, jeśli kobieta go ubiegnie. Te godziny czy dni, jakie upłyną między pierwszym seksem a następnym telefonem od niego, to jedyny czas, kiedy samiec jest panem sytuacji.

c. jako utrudnienie dochodzi tutaj: Po pierwszym seksie kobiety prze-ważnie dokładnie wiedzą, czego chcą. Wszystko albo nic. Mówiąc szczerze, kobiety wiedzą to już po pierwszym pocałunku. I czasem już nie potrafią odpuścić. Tymczasem dla faceta swoboda to wartość sama w sobie, samotny wilk to życiowy ideał mężczyzny. Dlatego potrzebują trochę więcej czasu, żeby się zdecydować.

Au! Zaraz wpół do siódmej! Niech to szlag, ile to jest „więcej czasu”? Zadzwoń do Big Jima. Tak naprawdę on nie nazywa się Jim. Nazywa się Burkhardt Matz. My z Jo nazywamy go Big Jim od chwili, kiedy się nam zwierzył - był wtedy nieszczęśliwie zakochany i miał już w sobie pół butelki pemodu - że jako dziecko na pracach ręcznych robił na szydełku kąpielówki dla swojej lalki „Big Jim”.

Big Jim jest pod wieloma względami mało typowym facetem. Na przykład bardzo lubi pisać listy. Jego listy to jedyne, które przechowuję. Są przepiękne. Wprawdzie w jego życiu niewiele się dzieje - od trzech lat jest bez pary i mniej więcej tak samo długo siedzi już nad pracą

magisterską - ale to, co się nie dzieje, Big Jim potrafi ubrać w najbardziej wzruszające słowa. Zakochuje się bardzo często i opowiada wtedy przez telefon różne takie urocze rzeczy: „Ach, Cora, powinnaś zobaczyć, z jaką gracją ona odrzuca włosy z karku”.

Albo: „Kiedy czyta, na jej czole między brwiami tworzy się malutka bruzdka. Wygląda wtedy tak poważnie, że mam ochotę lekko nią potrząsnąć, żeby sobie przypomniała, co to uśmiech”.

Czasem zadaję sobie pytanie, czy kiedykolwiek znajdzie się ktoś, kto tak samo uważnie i czule będzie przyglądał się mnie. Tak, żebym tego nie zauważyła. Czy jest gdzieś ktoś oczarowany sposobem, w jaki czasem przesuwam kostkami dłoni po szyi? Bo czasem tak robię. Na początku robiłam to świadomie, bo przeczytałam kiedyś, że można w ten sposób zapobiec tworzeniu się drugiego podbródka, ale teraz już tego nie kontroluję.

Czy jest ktoś, kto rozpływa się z zachwyty, widząc, jak w południe zjadam w naszej kantynie kluchy z sosem? Bo mam wrażenie, że muszę wtedy wyglądać na bardzo zadowoloną.

A może jest ktoś, kto zakochał się we mnie na odległość, słysząc jak się śmieję? Bo śmieję się dosyć głośno. A ponieważ i bez tego mam dość szerokie usta, w śmiechu robią się one jeszcze szersze i dzielą moją twarz na dwie odrębne części.

Łączy mnie z Big Jimem osobliwy związek. Nie jesteśmy w sobie zakochani, ale z drugiej strony nie bardzo lubimy, kiedy druga strona akurat się w kimś kocha. Boimy się wtedy, że zostaniemy sami. Bo bycie singlem nie

jest takie złe, pod warunkiem że ma się innych singli za przyjaciół i można sobie z nimi pogadać, ponarzekać albo się cieszyć. Każdy, kto opuści ten swojski krąg pozostających bez stałej pary, sprawia, że pozostali robią się nerwowi. Bo, w którymś momencie można zostać naprawdę samemu. A wtedy to już przestaje być zabawne.

**18:20**

- Matz, słucham.

- Słuchaj, Big Jim, jak długo każesz dziewczynom czekać?

- Że co? Cora? Gdzie jesteś? Co się dzieje? Co to za szum w słuchawce?

- Leżę w wannie, biorę właśnie relaksującą kąpiel i dopuszczam gorącej wody. Słuchaj, muszę znać prawdę. Kiedy masz seks z jakąś kobietą, jak długo czekasz, zanim potem do niej zadzwonisz?

- Jeśli kiedykolwiek zdarzyłoby mi się jeszcze mieć seks z kobietą, to jeszcze tej samej nocy poprosiłbym ją o rękę.

- Ale ja pytam na poważnie.

- Ładna? Blondynka? Pełne piersi?

- Przestań się wygłupiać?

- Okay, okay. Mmmm. No więc ostatnim razem, akurat dobrze to jeszcze pamiętam, to następnego dnia wieczorem zaniósłem jej bukiet róż. Poza tym miałem ze sobą kosz piknikowy, żeby ją spontanicznie wyciągnąć do parku.

- No i?

- Wiesz, mam wrażenie, że to było dla niej trochę za dużo, jak na jeden raz.

- Wyobrażam sobie. Pewnie robiła sobie akurat maseczkę.

- Co to, to nie, wprost przeciwnie. Wyglądała porywająco. Poza tym tak uroczo skubała sobie uszko, kiedy była czymś zdenerwowana. Odsuwała wtedy włosy z karku i...

- ... i co? Wyszło coś z tego pikniku, czy nie?

- Ani z pikniku ani w ogóle. Zbyła mnie od razu przy drzwiach wejściowych i powiedziała, że akurat ma gości. A słyszałem grający telewizor. No cóż, trudno. Nagrałem się jej jeszcze potem ze trzy razy na sekretarce, ale nigdy nie oddzwoniła.

- Bidulek. Z drugiej strony taka kobieta nie byłaby dla ciebie odpowiednia.

- Co ty tam wiesz. A jaka, twoim zdaniem, byłaby odpowiednia? Zresztą, dajmy sobie z tym spokój. Aha, czyli chcesz wiedzieć, jak długo masz jeszcze czekać?

- Tak. Znaczy, nie. Ja tylko tak czysto teoretycznie.



- No jasne.

- I jeszcze coś, Jim...

- Tak?

- Ten facet, znaczy ten teoretyczny facet, nie jest taki jak ty. Kapujesz, nie? To raczej taki typowy facet.

- Rozumiem. Czyli egocentryczny dupek, skupiony na karierze, zero empatii, taki, do którego kobiety lgną tabunami?

- Nnnno, mniej więcej.

- Może w tej sprawie niekoniecznie jestem właściwym doradcą. Ale poczekaj, są u mnie właśnie Klaus i Hannes, ty sobie dalej bierz relaksującą kąpiel a ja przedyskutuję z nimi całą sprawę. Nastaw faks, zaraz wyślemy ci sprawozdanie sporządzone przez dwóch, albo może nawet trzech doświadczonych facetów. Będziesz miała potem ochotę skoczyć z nami do baru?

- Wiesz, chyba nie bardzo, bo mam jeszcze coś do zrobienia. Ale jak mi się coś zmieni, to wiesz...

- Tak, tak, rozumiem. Zadzwoń, gdyby się okazało, że się nie zgłosił. - Big Jim chichocze w słuchawkę, a w tle słyszę toasty wznoszone przez jego podpitych kumpli.

- Ty idioto. Ja cierpię.

- Oczywiście. Jasna sprawa. Cierpisz, bo chcesz cierpieć. Jeśli nie możesz być nieszczęśliwa, nie jesteś szczęśliwa.

- Że co takiego? Co ty gadasz?

- Ach, nic takiego. Nieważne. Obiecuję, że jeśli kiedykolwiek będziemy mieli ze sobą seks, to zadzwonię zaraz następnego dnia. Zostań taka, jaka jesteś.

- Ale ja nie chcę zostać taka, jaka jestem!

- No właśnie.

Odłożył słuchawkę. Debil jeden. Znowu typowe dla facetów. Oni po prostu nie potrafią pojąć wielopoziomowej struktury kobiecego charakteru. Nawet taki Big Jim. Umiem zastanowić się nad sobą i nie zamykam oczu na problemy. Już teraz uchodzę za humorzystą kozę.

Tak, Sasza na przykład. On zawsze spóźniał się na spotkania co najmniej pół godziny. Kiedy któregoś razu, jak mi się zdawało po przyjacielsku, ale dość konkretnie go o to zapytałam, stwierdził od razu, że niepotrzebnie robię z tego taki problem.

Co to znaczy „niepotrzebnie robię problem”? To jest problem, jak się od 20 do 20.45 łązi po mieszkaniu w samym pasie od pończoch a szampan w kieliszkach stopniowo traci bąbelki i zaczyna wyglądać jak przygotowany do analizy mocz. Wtedy nie ma już żadnej frajdy! Chyba można dać wówczas do zrozumienia?

Kurcze, znowu się niepotrzebnie przejmuję. Do diabła z relaksującą kąpielą. Zresztą i tak już za długo siedzę w tej wannie i skóra tak mi się pomarszczyła, jak za dwadzieścia lat bez moczenia w wodzie.

Następnym razem nic już nie pozostawię przypadkowi. Przez dwa dni trzymałam doktora Hofmanna w niepewności - to znaczy, miałam taką nadzieję, że przez ten czas będzie odczuwał niepewność - i dopiero wtedy zadzwoniłam. Czas akcji wybrałam ze strategiczną precyzją: czwartek, godzina 20.18.

Taka pora, sprawa, moim zdaniem, następujące wrażenie:

1. Cora Hübsch jest kobietą interesującą się polityką i tym, co dzieje się na świecie. Aktualna wiedza o wydarzeniach to jej konik. Jest zawsze na bieżąco i z pewnością ma ciekawe poglądy na temat waluty euro oraz jej wpływu na wspólnotę państw członkowskich.

Jednym słowem nic nie jest w stanie odwieść Cory Hübsch od oglądania „Wiadomości” o godzinie 20.00. Prawdopodobnie między 20.00 a 20.15 w ogóle nie odbiera telefonów.

2. Cora Hübsch nie jest zainteresowana banalnym spędzaniem czasu i powierzchowną rozrywką. Wieczory, jeśli w ogóle zdarzy jej się być w domu, spędza na intensywnym zgłębianiu ambitnej literatury.

*Na linii ognia z Clintem Eastwoodem, Aniołki Charlyego, Moja córka jest synem mojej zmarłej matki* na SAT1 - tania rozrywka bez Cory Hübsch. Pewnie nie ma nawet gazety telewizyjnej z programem.

3. Cora Hübsch jest kobietą niezależną. Dzwoni we czwartek. Inne kobiety obawiałyby się, że będzie to wyglądało tak, jakby nie miały jeszcze nic na weekend. Cora Hübsch najprawdopodobniej weekend ma wypełniony. A

jeśli nie, to kobiecie o takim stopniu samoświadomości, jak ona, jest to obojętne.

O godzinie 20.18 byłam perfekcyjnie przygotowana. Zadbałam nawet o odpowiednie tło dźwiękowe. Jo zaproponowała nową płytę Van Morrisona, bo podobno prawie wszyscy faceci bez wyjątku lubią Van Morrisona. „On śpiewa tak, jak my czujemy”, powiedział Jo jeden z byłych przyjaciół. „Co ty powiesz, a ja myślała, że Van Morrison uprawia muzykę ambitną?” - odpowiedziała na to szczerze zdziwiona.

Zdecydowałam, że nie będzie Van Morrisona, tylko radio z programem kulturalnym. W końcu miałam nie tylko zrobić wrażenie na osobie z tytułem, ale jednocześnie przegnać z placu boju tę rudą szlampę. Ute Koszłowski może sobie być piękna. Może sobie nosić rozmiar 38. Może sobie grać tyle przełożonych pielęgniarek w RTL-u ile jej się podoba!

Ja zdobędę doktora nadzwyczajnego medycyny, Daniela Hofmanna intelektem.

Godzina 20.18. W radiu leciała akurat pogadanka na temat „Poezja Henryka Heinego”.

Przyszedeł mój czas.

- Hofmann, słucham?

- Halo? Mówi Cora Hübsch.

- O, to ładnie.

No nieee. Bez przesady. Ten dowcip słyszałam już w życiu o parę razy za często\*<sup>1</sup>.

- Ten dowcip zdarzało mi się już parę razy w życiu usłyszeć - powiedziałam. Cool.

- Wie pani. Samo się narzuca. Czy tej muzyki to pani słucha dobrowolnie?

Że co? Że jak? A niech to diabli. Skąd mogłam wiedzieć, że w paśmie kulturalnym radio przerywa ambitne audycje literackie pieśniami protestacyjnymi kurdyjskich bojowników?

- Oh, nie, nie. To tylko radio. Zaraz ściszę. A co tam u pana? Co pan teraz robi? - wszystko to sobie wcześniej przygotowałam.

Zainteresowane. Osobiste. Swobodne.

- A właśnie oglądam *Na linii ognia*. Doskonały film. Z Clintem Eastwoodem. Widziała pani?

O, o.

- Nie. W zasadzie rzadko oglądam telewizję.

Wyższość. Intelktualizm. Luz.

- Ach tak? Ja uwielbiam telewizję. Nawet jem przy telewizorze.

O, o.

---

<sup>1</sup> Gra słów: nazwisko „Hübsch” znaczy zarazem „ładna”.

Dokładnie jak ja, ale nie mogę teraz zmienić kursu.

- To niezdrowe. Należy zawsze wykonywać tylko jedną czynność i na niej się skoncentrować. Face your food - nauczyłam się tej zasady od pewnego hinduskiego mędrca.

Obycie. Wyższość. Mądrość. Orientacja międzynarodowa.

- Tak, tak, wiem. Ostatnim razem, kiedy chciałem się skoncentrować na jedzeniu, ktoś mnie przewrócił i podeptał.

Co tu odpowiedzieć?! Wielki Boże! Jeszcze trzy minuty temu byłam znaną z ciętych ripost osobą! Gdzie mój temperament! Gdzie moja fantazja? Gdzie mój zasób słów?

- Wiem i bardzo chciałabym się jakoś zrewanżować. Czy dałby się pan kiedyś zaprosić na kolację? Obiecuję oczywiście, że ten wieczór zakończy się dla pana bez obrażeń.

Hurrra! To było dobre. Humor. Autoironia.

- Chętnie. Kiedy dysponuje pani czasem?

Nadeszła decydująca chwila. Kiedy dysponuję czasem? Oczywiście dawno już wszystko przemyślałam. Dzisiaj czwartek. Weekend jest oczywiście tabu. Najchętniej zaproponowałabym mu następną środę. To dobry dzień. Zabawny, wyemancypowany termin. Usłyszałam swój głos:

- To może jutro wieczorem?

Czy to naprawdę ja powiedziałam? Co mnie, cholera, podkusiło? Moje słowa zawisły groźnym ciężarem w powietrzu.

- Przykro mi, ale w weekend to niemożliwe. A co by pani powiedziała na środę w przyszłym tygodniu?

Shit. Shit. Shit.

- Środa? Chwileczkę - obiecująco zaszeleściłam kartkami gazety z programem. - Środa wchodziłaby ewentualnie w grę. Ale dopiero powiedzmy około dziewiątej.

Doskonale. Eleganckim manewrem udało mi się odzyskać godność.

- W porządku. A dokąd mnie pani zabierze?

Na to pytanie oczywiście też byłam od dawna przygotowana.

- Zarezerwuję dla nas stolik w „Uno”. Zna pan ten lokal?

Pomyślałam, że włoska restauracja dla wyższej klasy średniej musi zadziałać. Byłam tam raz z Jo. Swobodne towarzystwo. Doskonała kuchnia. I kelnerzy, których arogancja od razu zdradza, że jesteśmy w najmodniejszej aktualnie restauracji.

- Znam. A więc o dziewiątej?

- O dziewiątej.

- Świetnie. Bardzo jestem ciekaw tych pani lepszych stron.



- Ja też. A więc do środy.

Odłożyłam słuchawkę i wiedziałam, że mam przed sobą bardzo ciężki tydzień.

**18:23**

O, Boże Wszechmogący! Ależ ból! I co to za głupie gadanie, że faceci powinni być szczęśliwi, że nie mają miesiączki i nie rodzą dzieci.

Faceci powinni być szczęśliwi, że nie muszą sobie depilować nóg! Ja nie wydałam jeszcze na świat dziecka, ale jestem pewna, że po czymś takim zrobię to z palcem w nosie. W końcu co cztery tygodnie wytrzymuję pełną depilację nóg!

Brrrrr. Co za ból! Pojęcie przechodzi. Sam przyrząd wygląda niewinnie i ma wielkość tabliczki czekolady Ritter-Sport.

Kupiłam go jakiś rok temu. Sprzedawca pokazał mi całą gamę depilatorów. Miał przyklejony tupecik i w ogóle sprawiał wrażenie jakiegoś zahamowanego.

- Ten depilator - powiedział podnosząc do góry pudełko w kolorze opakowania tamponów OB - to zupełna nowość na rynku. Nadaje się nie

tylko do depilacji owłosienia nóg. Można nim także depilować pachy oraz okolice bikini.

Mówiąc te słowa zrobił się taki czerwony na twarzy, jakby powiedział coś nieprzyzwoitego.

Okolice bikini? Co on ściemnia? Czyżby u jego żony okolice bikini sięgały do kolan?

- Ten nowoczesny przyrząd wyposażony jest w system Super-Silk. Dzięki temu nie powoduje żadnych nieprzyjemnych odczuć i nadaje się też, eee, do depilowania, eee, także wrażliwszych partii skóry.

Boże, co za biedak. Wił się zupełnie tak, jakbym wymagała od niego, żeby zareklamował mi zalety pokrytego ówiewkami sztucznego penisa. Kupiłam ten depilator z systemem Super-Silk, sześć tygodni prawa zwrotu, zostawiając za ladą zawstydzonego właściciela tupecika.

W domu najpierw przestudiowałam uważnie instrukcję obsługi. Normalnie tego nie robię, wskutek czego do dzisiaj nie potrafię nic nagrać na moim wideo. Nie znam zresztą nikogo, kto by to potrafił. Tym razem jednak, ponieważ chodziło o moje ciało, moje włosy, moją urodę, poświęciłam na to dużo czasu.

„Podczas depilacji system Super-Silk odpręża twoją skórę poprzez delikatny masaż. Dzięki temu zmniejsza się uczucie szarpania (Rys. 1), co sprawia, że sam proces depilacji jest prawie nieodczuwalny. Po pierwszym

użyciu przyrządu możesz odczuwać lekki dyskomfort, ponieważ włoski usuwane są przy samej cebulce. Po kilku użyciach nieprzyjemne wrażenie mija”.

Jeśli instrukcje obsługi magnetowidów są pisane równie nierzetelnie, to nic dziwnego, że nie znam nikogo, kto potrafi coś nagrać na swoim wideo.

„Lekki dyskomfort” - koń by się uśmieł. To tak, jakby ktoś powiedział, że usunięcie wyrostka bez narkozy tylko trochę szczypie. Niemniej jednak pierwszą depilację odebrałam jako coś w rodzaju przekroczenia progu dorosłości. Podobnie jak tego dnia, kiedy po raz pierwszy zamówiłam do swojego mieszkania sprzątaczkę.

Jest parę takich tajnych rytuałów inicjacyjnych dorastającej kobiety: pierwsza miesiączka, pierwszy stosunek, pierwsze zwrócenie kelnerowi uwagi na złą jakość dania w restauracji . Wynajęcie pierwszej sprzątaczkii. Pierwszy debet na koncie. Depilacja nóg. Poród. Przespanie się z facetem młodszym o piętnaście lat. Przespanie się z dwoma facetami młodszymi o piętnaście lat jednocześnie. Rozwód.

Ale przysięgam na wszystkie świętości: żaden rozwód nie może być tak bolesny jak gruntowna depilacja. Nawet rozwód z systemem Super-Silk.

## **18:28**

Powitana z radością przerwa w depilacji. W gabinecie słyhać terkotanie faksu. Ciekawe co tam wymyślił Big Jim ze swoimi kumplami na temat mojego problemu.

Faks wypadł zapisaną mało czytelnym pismem kartkę. Ciekawe skąd się to bierze, że żaden ze znanych mi facetów nie ma porządnego charakteru pisma? Większość z nich, już w obrębie jednego słowa, nie potrafi się zdecydować, czy będzie je zapisywać pismem odręcznym czy literami drukowanymi. Do tego dochodzi jeszcze fakt, że treść męskich listów jest przeważnie niedorozwinięta.

Przez całe życie dostałam od facetów trzy ręcznie pisane fakсы. Dwóch nie udało mi się odcyfrować. W trzecim było napisane: „Cześć, Cora! Zapomniałem euroczeków. Są w mojej czarnej marynarce. Proszę o wysłanie na powyższy adres”.

Było to nie tylko obraźliwie mało osobiste, ale też mało przejrzyste gramatycznie. W związku z tym wysłałam mu czarną marynarkę, opróżniwszy wcześniej jej kieszenie.

A oto, co napisał mój przyjaciel Big Jim:

„Witaj najdroższa Coruniu!

Długo dyskutowaliśmy nad postawioną przez Ciebie kwestią. Oto ostateczna i definitywna odpowiedź:

Normalnie jest tak, że mężczyzna dzwoni do kobiety, z którą po raz pierwszy uprawiał seks, po trzech dniach. Z reguły wieczorem. Jeśli zadzwoni wcześniej, to znaczy że albo jest mięczakiem albo niedorobionym homoseksualistą, który szuka namiastki własnej matki.

Mężczyzna dzwoni najpóźniej w następujący po dniu stosunku weekend. Jeśli kontakt intymny miał miejsce w piątek, sobotą lub niedzielę, może poczekać nawet do następnego piątku lub soboty.

Jeśli między uprawianiem seksu a brakiem telefonu:

a. był weekend

albo

b. minęły trzy dni robocze

to możesz:

a. zapomnieć o wszystkim i zacząć szukać kogoś nowego

albo

b. zadzwonić do niego.

Jeśli do niego zadzwonisz, możesz to zrobić w dwojakim celu:

1. Spróbować go jednak mimo wszystko zdobyć. Szanse powodzenia oscylują wokół 0,5%. On będzie ci ściemniał na temat wypełnionego kalendarza zajęć i powie, że przez najbliższe trzy i pół roku raczej nie uda mu się wykroić czasu. Daj więc sobie spokój, szkoda się wysilać, bo będziesz się potem czuła obrzydliwie. I tak wprawdzie czujesz się obrzydliwie, ale tu chodzi o niuanse.

2. Dzwonisz do niego, żeby mu powiedzieć, jaki z niego podły dupek, bo chcesz wyładować na nim gniew. Szanse powodzenia oscylują tutaj wokół 98%. Pozbędziesz się frustracji i odciążysz przyjaciół, którzy nie będą musieli wysłuchiwać przez następne osiem tygodni opowieści w rodzaju: „Gdybym mu tak wtedy od razu powiedziała...”. Facet będzie się przez chwilę czuł nie w porządku. Co najmniej przez trzy minuty, co najwyżej przez cztery.

I to tyle, skarbie. Życzymy ci miłego czekania. Jesteśmy w domu mniej więcej do 23.45, potem ruszamy w tango. Dobra rada: zabierz się z nami! Wtedy czas upłynie ci w mgnieniu oka!

Znasz w ogóle mojego kumpla Klausa? Jeśli nie, najwyższy czas, żebyś poznała! Odrabialiśmy razem woja w domu starców. Klaus serdecznie Cię pozdrawia i prosi, żeby powtórzyć, że bardzo chętnie pozna dziewczynę, która potrafi się tak przejmować leżąc w relaksującej kąpieli.

Good luck, girl!

Twój Big Jim.

PS

Dodam tylko, że Klaus jest sześć tygodni po rozstaniu i bardzo potrzebujący. Myślę, że miałabyś u niego szansę”.

**18:31**

Co za bezczelność. Zupełnie jakbym miała szanse tylko u potrzebujących. W końcu czekam na telefon nie od byle kogo, tylko od lekarza. Policzylam. Trzy dni? Seks mieliśmy we środę. Jeśli on się dzisiaj nie zgłosi, to znaczy, że przegrałam.

**18:32**

Robię się strasznie nerwowa. I jestem przygnębiona. Dokończę depilację, żeby bólem zewnętrznym odwrócić uwagę od bólu wewnętrznego.

**18:34**

Telefon!



**18:35**

To tylko Teresa. Moja sprzątaczką. Chciała mi powiedzieć, że zaszła w ciążę i wraca do Polski. Klucz od mieszkania wrzuci mi jutro do skrzynki na listy.

Ciekawe czy uda mi się go wyciągnąć moją chochlą oklejoną dwustronnie klejącą taśmą. Jaki ten świat niesprawiedliwy. Ja też chcę zajść w ciążę. Ale nie chcę jechać do Polski.

I znowu przypomniał mi się Sasza. W końcu przez te piętnaście miesięcy, kiedy ze sobą byliśmy, co najmniej trzy razy myślałam, że jestem w ciąży. Dobrze pamiętam swoją panikę, jak i to, że dzięki regularnemu nabywaniu testów ciążowych, kremów peelingujących i relaksujących soli do kąpieli prawie zaprzyjaźniłam się ze swoją aptekarką.

W czasie, kiedy byłam z Saszą, poznałam parę ciekawych i - jak się obawiam - absolutnie typowych męskich cech. Sasza bowiem, chociaż taki nadzwyczajnie mądry, pod wieloma istotnymi względami jest typowym facetem.

Na przykład jest tak - i założę się, że tę obserwację spokojnie można uogólnić - że Sasza nigdy się nie śpieszy. Ja śmigam jak zajęć dla ratowania życia, kiedy przechodzę przez polną drogę i zobaczę pięć kilometrów dalej

jadący traktor. Bardzo dużo czasu zabiera mi decyzja, w którym momencie przejść przez ulicę.

A przed każdym manewrem wyprzedzania na wiejskiej drodze najchętniej chlapnęłabym sobie coś na odwagę.

Sasza natomiast potrafił człapać z prowokującym spokojem duszy przez zatłoczoną, czteropasmową wy- lotówkę. Wydaje mi się, że faceci woleliby dać się przejechać, spóźnić na autobus, patrzeć z daleka, jak { odholowują im samochód, niż zniżyć się do tego, żeby w niegodny sposób chociaż odrobinę przyspieszyć kroku. To bardzo osobliwa cecha.

Druga rzecz, o której warto wspomnieć, to to, że w obecności swoich kumpli Maksa i Friedhelma, Sasza mutował w nieokrzesanego twar- dziela. Tak już jest, że facet między swoimi zmienia się w samca. A wtedy nie bardzo mu odpowiada, żeby przyjaciółka przypominała mu, że jeszcze wczoraj był jej przytulanką, leżał na kanapie, pozwalał łaskotać się po brzuchu i nazywać „misiaczkiem”, że po raz trzeci oglądał na wi- deo „Babe - świnka z klasą” i po raz trzeci coś mu wpadło do oka do- kładnie w tym momencie, kiedy świnka jest chora i jej właściciel tańczy dla niej w pokoju.

Muszę powiedzieć, że mnie się to podoba. To takie urocze. Kobieta bywa jedynym świadkiem takich wzruszających cech mężczyzny i może wystąpić potem z groźbą: „Jak nie obejrzysz ze mną dzisiaj *Kiedy Harry spotkał Sally*, to powiem twojemu najlepszemu kumplowi, że mówisz do mnie «pisiuniu»”.

Na pierwszą randkę z doktorem medycyny Danielem Hofmannem byłam perfekcyjnie przygotowana. Weszłam do restauracji jakbym była samą Madonną, która jest właśnie umówiona na wywiad z dziennikarzem „Vanity Fair”.

Niestety dr Hofmanna jeszcze nie było, tak że nie miał możliwości podziwiać mojego wejścia. Niech to szlag! A przecież specjalnie przyszedłam całe dziesięć minut później! Cóż, raczej marne szanse, żebym mogła czekać na niego w długim do ziemi płaszczu z lakierowanej skóry, który miał wzbudzić jego ciekawość. Tęsknie patrzyłam, kiedy kelner wynosił go do szatni.

Poprosiłam o dyskretny stolik przy jednym z okien w końcu sali. A dostałam mały stoliczek z przodu, przy samym wejściu. Taki, przy którym dostaje się gęziej skórki na łydkach, gdy tylko otworzą się drzwi. Taki właśnie jest personel w modnych lokalach. Jeśli nie znają twojego nazwiska z gazet, to traktują cię jak komiwojażera, który przyszedł sprzedawać zapalniczki z Tajwanu.

Właśnie zamierzałam usiąść skwaszona, kiedy wszedł doktor Hofmann. Zanim się ze mną przywitał, przywitał się z właścicielem restauracji.

- Salvatore! Come'sta?

- Bene, bene. Gracie, Dottore! Pana stolik wolna!

- Dziękuję. Jestem już umówiony. Z tą oto damą.

Z tymi słowami skinął głową w moją stronę. Salvatore podszedł do mnie pośpiesznie. Starłam się wyglądać jak najbardziej obojętnie.

- Signora! Przepraszam! Czemu nie powiedziała? Proszę, prego, prego.  
Zaprasza do tamta stolik!

I zaprowadził nas do dyskretnego stolika przy jednym z okien w końcu sali. Strzepnął serwetką nieistniejący kurz z obrusa, zgrabnie zdejmując przy okazji tabliczkę z napisem: „Zarezerwowane”.

- Grazie, Salvatore - powiedziałam protekcyjnie. Musiałam przecież zachować twarz.

Dr Hofmann wyglądał oszałamiająco. Ja też wyglądałam oszałamiająco. Przez ostatnie dni praktycznie nic nie jadłam. A to z dwóch powodów:

1. W ten najważniejszy z wieczorów chciałam być głodna. Jeśli już cokolwiek się w życiu nauczyłam, to jednego, mianowicie, że faceci lubią kobiety, które nie krygują się przy jedzeniu. Świadczy to o zmysłowości i smakoszostwie. Oczywiście ważne jest, żeby kobieta, mimo że lubi jeść, była przy okazji szczupła. Inaczej sprawia wrażenie niezdyscyplinowanej.

2. Chciałam wystąpić w mojej wąskiej czarnej sukni. A w czymś takim naprawdę widać każdą fałdkę. Kiedy po raz ostatni miałam ją na jakiejś firmowej imprezie, co najmniej cztery koleżanki spytały mnie ostrożnie, czy jestem „w odmiennym stanie”. Nawet szef nabrał jakichś podejrzeń i następnego dnia wezwał mnie do siebie, żebym mu powiedziała, ale tak szczerze, jak długo zamierzam być na macierzyńskim. Nie chciałam drugi raz przeżyć takiego upokorzenia.

Brzuch miałam wspaniale płaski. A dzięki porządnej porcji maloxanu przestało mi też w nim burczeć. Oczywiście przyodziałam też na tę okazję biust. No i założyłam wyszczuplające rajstopy „Wonder Po, sexy lifting”. Big Jim twierdził zawsze z uznaniem: „dupcię masz w nich seksowną jak u czekoladki”.

Tak, naprawdę byłam dobrze przygotowana. Miałam nawet dyskretnie ukryty w torebce plik fiszek, na których zapisałam sobie wszelkie możliwe tematy konwersacji. Gdyby nagle zapadła niezręczna cisza, zawsze mogłam niepostrzeżenie udać, że szukam w torebce szminki, i rzucić nowy temat:

„Najnowsza sztuka teatralna, o której się mówi”

„Całkiem przystępny artykuł z wczoraj na temat konferencji ministrów spraw zagranicznych”.

„Reforma służby zdrowia”.

„Pomoc chorym w hospicjach”.

Albo takie bardziej ze sfery osobistej:

„Relacje między rodzeństwem”

„Lekarz między człowiekiem a maszyną”.

Oczywiście do wszystkich tych tematów przygotowałam sobie z pomocą Big Jima interesujące wypowiedzi. Jim stwierdził jednak na koniec, że powinnam po prostu być taka, jak zawsze. Dobrze sobie. Na jakim świecie on żyje?

Byłam dokładnie taka, jak zawsze. Mam taką głupią cechę, że nie tylko nie udaje mi się zastosować wszystkich przygotowanych wcześniej sposobów, ale jeszcze zawsze się od razu wygadam.

Po dziesięciu minutach zdradziłam doktorowi Hofmannowi moją taktykę przygotowaną na to spotkanie oraz dietę, jakiej poddawałam się od paru dni, a w końcu wyłożyłam na stół wszystkie fiszki z torebki.

Po dwudziestu minutach zaproponował, żebyśmy przeszli na „ty”, po czterdziestu pięciu minutach zapytał, czy chodziłam już kiedyś na jakąś terapię, a po godzinie wiedzieliśmy już o sobie, co następuje:

- oboje mamy problemy z powodu dominacji ojca
- oboje uwielbiamy reklamy i mnóstwo sloganów znamy na pamięć.

Zaśpiewałam mu mojego ulubionego spota: „I like those Crunchips gold'n brown. Spicy and tasty and crispy in sound. Uuuuah! Crunchips! Crunczuj z nami!” (oczywiście kiedy się to słyszy, robi o wiele większe wrażenie).

Daniel odpowiedział genialnym dialogiem: „Słuchaj, czy taka wysportowana dziewczyna jak ty jada w ogóle czekoladę? No pewnie. Ale musi być lekka. Tak jak Yogurette.”

A, co mi tam! Wzięłam korek od wina, zamknęłam go w dłoni i powiedziałam przemądrzałym tonem: „OB wchłania wilgoć w miejscu jej powstawania. Wewnątrz ciała”.

A Daniel na to: - „Zaprojektowany, by cieszyć”.

- oboje uważamy, że koniecznie trzeba włączyć telewizor, kiedy ma się pojawić Charles Bronson, Burt Reynolds, Chuck Norris, Hulk Hogan i paru innych - oboje jesteśmy zdania, że Isabelle Adjani zawsze wygląda tak, jakby zaraz miała zwymiotować

- oboje uważamy, że sardele, kapary i brukselka smakują dokładnie tak, jak Isabelle Adjani wygląda

- oboje lubimy nocne seanse w kinie

- oboje nie cierpimy ludzi, którzy rzucają hasłami w rodzaju:

„Jak się da, to się zrobi”.

„Rybka lubi pływać”.

„No to płacę i płacę”

„Żegnalski jestem”.

To był wspaniały wieczór. Dużo picia. Dużo śmiechu. Muszę przyznać, że jak na lekarza, Daniel wykazał się zdumiewającym poczuciem humoru.

Lekarze, których dotąd znałam, zawsze byli przerażająco jednowymiarowi. Bez końca głądzili o swoich zawodowych sprawach: a to skaza wysiękowa (Dermatolog. Nie polecam tym, które chcą z apetytem dojeść kolację), drobnokomórkowy rak oskrzeli (Onkolog. Nie polecam palaczkom) albo rozdwojenie jązni (Psychiatra. Generalnie nie polecam).



Daniel opowiadał bardzo wesołe historyjki ze swego ciężkiego dzieciństwa. W zasadzie było ono ciężkie głównie dla jego rodziców. Daniel mianowicie nigdy nie miał ochoty odrabiać lekcji. To jest jeszcze całkiem normalne. Ale kiedy po raz ósmy stał przed nauczycielką z pustym zeszytem, wymyślił sobie niezwykłą wymówkę. Zalał się łzami i powiedział swojej pani, że kilka tygodni temu zmarł mu ojciec, wskutek czego jest kompletnie wytracony z równowagi i ma nadzieję, że znajdzie u niej zrozumienie dla swojej trudnej sytuacji.

Przez dwa miesiące nauczycielka dawała mu spokój. Czyli do następnego zebrania dla rodziców. Pan Hofmann, zdrów jak rydz, akurat pierwszy raz w życiu na zebraniu, nie posiadał się ze zdumienia, kiedy wychowawczyni przywitała się najpierw z jego żoną, a potem zwróciła się do niego z pytaniem: „A pan? Jest pan nowym partnerem pani Hofmann?”.

Doszliśmy do dolnego brzegu nalepki na drugiej butelce wina. Najwyższy czas skierować rozmowę na erotyczne tory. Z doświadczenia wiedziałam, że rozpatrywanie tematów erotycznych wpływa erotyzująco na oboje rozmówców.

Właśnie zamierzałam zaserwować jakąś zabawną anegdotkę ze swojego życia intymnego, kiedy Daniel spojrzał na zegarek. Bardzo drogi zegarek. Niemniej jednak był to zły znak! Czyżbym go znudziła? Ojezujezujezu! Posunęłam się za daleko?

Może nie powinnam mu opowiadać o moim nawracającym sennym koszmarze? (Przechodzę obok budowy i żaden z robotników za mną nie gwizdże.) Może nie powinnam wspominać o moim zaburzonym stosunku do

porządku? (Wiem, że mam trzy kompaktki Joni Mitchell, ale nie mam pojęcia, gdzie leżą. Wiem, że mam polisę ubezpieczeniową, ale nie mam pojęcia, gdzie jej szukać.)

- Niestety, muszę się powoli zbierać. Z samego rana wyjeżdżam na kongres.

Jeśli nie była to zwykła wymówka, to na pewno jak najbardziej uzasadniony powód.

- Wielkie dzięki za wspaniały wieczór - powiedziałam dając jednocześnie znak kelnerowi, żeby przyniósł rachunek. Mądra kobieta musi wiedzieć, kiedy pogodzić się z faktami.

Daniel absolutnie nie zgodził się, żebym to ja płaciła. W zasadzie chciałam to zrobić jako rekompensatę za wszystko, co narobiłam. Ale w sumie wolałam, że tak się stało. Lubię, kiedy mężczyzna płaci. To takie męskie. Pod tym względem jestem konserwatywna. Pamiętam, że parę lat temu byłam na kolacji z fantastycznie przystojnym facetem, który na koniec poprosił kelnera o kartkę i długopis, żeby dokładnie wyliczyć, za co każde z nas ma płacić. Do tamtej chwili rozważałam jeszcze możliwość pójścia z nim do łóżka. Ale pewnie musiałabym się dzielić z nim kosztami taksówki do mnie.

Staliśmy na ulicy czekając na taksówki zamówione przez Salvatore. Jechaliśmy bowiem w przeciwne strony.

I co teraz? Pocałunek? Uścisk dłoni? Do widzenia. I to wszystko?

- Słuchaj, wracam w niedzielę. Może miałabyś ochotę wpaść do mnie w poniedziałek wieczorem? - spytał Daniel.

T aaaaaaaaaaaaaaaaaaak!

Najważniejsze to zachować twarz. Na początek nic nie powiedziałam.

- Zupełnie nieźle gotuję, no a poza tym - i to powinno cię przekonać - mam na wideo wszystkie filmy z panną Marple.

Juhuuuuuuu! Jesteśmy dla siebie przeznaczeni.

Odgrywałam wielką divę. Uśmiechałam się łagodnie. Nic nie mówiłam. To bardzo ważne, żeby nie odpowiadać automatycznie tylko dlatego, że ktoś nas o coś zapytał. Dotarło to do mnie, kiedy zobaczyłam Melanie Griffith w filmie *Światło w mroku*.

Melanie gra tam amerykańskiego szpiega w domu nazistowskiego oficera. W którymś momencie on mówi do niej: „Wiem, kim pani jest”. A ona milczy. Nie wyrywa się nadgorliwie z żadnym „Wszystko panu zaraz wyjaśnię” albo „Amerykanie mnie do tego zmusili”. Milczy. Więc on mówi dalej: „Wiem, że przysłał panią Hitler, żeby pani sprawdziła, czy jestem szczerym nazistą”.

Uffff. Melanie czuje oczywiście wielką ulgę, że nie wyrwała się od razu i niepotrzebnie nie wygadała.

Od tej pory zawsze tak robiłam. No nie, oczywiście nie zawsze. W zasadzie nawet rzadko. Najczęściej jednak coś mówię. Ale czasem jednak nie. Milczałam. Uśmiechałam się.

- Tu jest mój adres. - Daniel zapisał adres na rachunku. Co mnie znowu bardzo ucieszyło, bo był to widomy znak, że nie zamierza mnie odpisać od podatku.

- To co? Poniedziałek o ósmej?

Wypełniało mnie poczucie zwycięstwa. Jak wysoko urodzona księżniczka musnęłam go ustami w policzek i spytałam bezczelnie:

- A tak w ogóle to jesteś do wzięcia?

Tego wieczora przezornie omijaliśmy temat związków partnerskich w ogólności, a Uty Koszłowski w szczególności.

- W jakim sensie?

Głupek. Od razu podciął mi skrzydła.

- W ogólnym.

- Ach, byłbym zapomniiał - Daniel pogrzebał w wewnętrznej kieszeni marynarki - Chciałem ci to dać.

Wcisnął mi coś do ręki, odwrócił się i poszedł w stronę taksówki, która właśnie nadjechała - To na razie. Widzimy się w poniedziałek o ósmej - powiedział, wszedł do taksówki i zniknął.

Stałam sama na ulicy, ze wzruszeniem patrząc na niewielki stosik fiszek w mojej dłoni, na których dr med. Daniel Hofmann zanotował sobie ewentualne tematy do konwersacji na ten nasz pierwszy wspólny wieczór.

Poniedziałek. O ósmej.

Byłam najszcześniejszą osobą pod słońcem.

**18:42**

Wydaje mi się, że jestem najniezszcześniejszą osobą pod słońcem. Właśnie wcisnęłam się na mój mikroskopijny balkon, który o tej porze roku dokładnie między 18.40 a 18.52 zalany jest blaskiem zachodzącego słońca. Lecz jego promienie nie są w stanie ogrzać mojego wstrząsanego dreszczem serca.

Uhhh! Szczupłe długonogie dziewczyny z uśmiechem płyną ulicą na spotkanie z chłopakami w białych T-shirtach, którzy przy kolacji na czas jedzenia przyklejają sobie gumę do żucia do grzbietu dłoni.

Nie nawidzę lata. Wiosny zresztą też.

Jesienią i zimą jest rzeczą normalną, że człowiek jest samotny i przygnębiony. Nikt nie robi nikomu z tego powodu wyrzutów. Ale latem? Wtedy trzeba być radosnym i mieć opalone nogi. Z przejeżdżających kabrioletów wylewają się na przechodniów dźwięki remiksów Modem Talking albo uciążliwe kawałki z Single Hit Collection Phila Collinsa.

To mi przypomina o pewnym ciekawym fenomenie: mianowicie, jak zmieniają się zwyczaje kierowców w zależności od pory roku.

Kiedy na dworze jest zimno, faceci duszą gaz do dechy i gnają po ulicach z wyjątkowymi silnikami. Dziewięćdziesiąt na godzinę po ulicy. Moja ulica na przykład ma jeszcze kostkę zamiast asfaltu, i jak przejeżdża taka niżej zawieszona bryka, to mam wrażenie, jakby to jakiś oddział specjalny trzymał pod ostrzałem z karabinów maszynowych sąsiedni dom.

Latem zostawiają dachy samochodów w domu, opuszczają boczne szyby do oporu a radia ze zmieniaczami CD podkrecają do oporu i wloką się tak wolno, że człowiek zdąży sobie wyrobić pełny i przerażający pogląd na temat ich muzycznych gustów.

Ostatnio jeden taki, który parkował swojego otwartego czerwonego japończyka (rozdzielam tylko BMW, Mercedesa, Porsche i Goltę - wszystkie inne samochody nazywam na wszelki wypadek japończykami) dokładnie pod moim oknem, słuchał składanki najbardziej łzawych niemieckich przebojów.

Uważam, że takim facetom powinno się odbierać prawo jazdy i pozbawiać ich prawa wyborczego. A potem jeszcze siedział w samochodzie przez pięć minut! Pięć minut łzawych niemieckich szlagierów!

„Jesteś cudem, prawdziwym cudem, którego cudem w życiu uniknąć dało się”.

Byłam już gotowa dzwonić do straży miejskiej.

„Miała na imię Jeheheesica, po prostu Jeeheeesica”.

Ostrożnie wyjrzałam z balkonu na ulicę. Facet w japończyku wyglądał tak, jakby to jego dziewczyna miała na imię Jeheheesica.

„Dla ciebie moje życie, gdybym tylko mógł mieć cię! Za to pokroić się dam, za to choć dożywocie!”

Kierowca właśnie sprawdzał w lusterku jak leży jego nowy siatkowy T-shirt. Widziałam z góry, że na karku rośnie mu mnóstwo czarnych włosów. Brrrr. Pewnie biedny facet nigdy nie widział się z tyłu. W gruncie rzeczy wyglądał podobnie do tych, co śpiewali jego ulubione przeboje. Czarny wąsik i dzinsy tak obcisłe, że spokojnie można je uznać za skrojone specjalnie do epatowania przyrodzeniem.

„A mnie jest wszystko jedno, chcę ciebie na prostej i na zakręcie, w każdej chwili i w każdym momencie”.

Kierowca wypisał sobie w gardło cały ładunek dezodorantu do ust marki Odol (poznałam mimo odległości, bo sama od czasu do czasu używam).

„Dzisiaj księżyc jak malowany, a ja znowu jestem już zalany, lecz takiej nocy do ciebie tylko chcę”.

W tym momencie zapadła cisza.

Biedna Jessica. Jak ona może się całować z facetem, któremu z gęby jedzie kosmetyką, jakby miał coś do ukrycia i którego dzinsy nie pozostawiają niedomówień, ale za to budzą wiele nieuzasadnionych pragnień?



Facet ruszył przed siebie na szeroko rozstawionych nogach, co siedem metrów łapiąc się za tyłek, żeby poprawić spodnie.

W ogóle ciekawym zjawiskiem jest jak łatwo człowiek zaczyna lubić rzeczy nieznośne, jeśli tylko dostatecznie długo ma z nimi do czynienia. Dotyczy to oczywiście nie tylko facetów, którzy przed lustrem w korytarzu wycinają sobie włoski w nosie czy matek, które raz w tygodniu pytają drżącym głosem, czy się już z kimś w końcu spotykamy.

Kiedy w dwa tygodnie później byłam na koncercie niemieckich szlagierów, miałam poczucie, że jestem u siebie. Wszystkie teksty znałam oczywiście na pamięć, jak wszyscy. Trochę mi tylko było głupio, że mimo ciemnych przeciwsłonecznych okularów moja koleżanka Sonia od razu mnie poznała i w dodatku przydybała na tym, że śpiewam razem ze wszystkimi. Sonia powiedziała, że dostała od kogoś bilet i przysłała tylko po to, żeby przestudiować socjologiczne aspekty odrodzenia łzawych niemieckich szlagierów. Zanim sobie poszła spytała jeszcze, czy mam już ten fantastyczny podwójny album Van Morrisona.

Przy wyjściu spotkałam ją znowu i zobaczyłam, jak pośpiesznie chowa przede mną kupioną właśnie składankę „Niemieckie szlagiery wczoraj i dziś”.

Fajnie jest tak sobie siedzieć na balkonie. Obserwuję mikroskopijne wycinki życia i staram się odgadnąć, jak też może wyglądać reszta tych przemaszerowujących pod moim balkonem losów.

Na przykład tamta kobieta. Wygląda jakby jeszcze nigdy w życiu nie miała orgazmu. Dźwiga torby z zakupami taka spięta, jakby przemyciała ściśle tajne mikrofilmy z kraju wroga.

Tego facia z wilczurem znam. Beznadziejny typ. Zawsze mówi do kobietek na bazarku „paniusiu” i demonstracyjnie wylicza drobne, podczas gdy jego przywiązane do słupa psisko wali co najmniej dwie gigantyczne kupy przy słupkach do przypinania rowerów.

O, patrzcie, patrzcie. Student spod trzynastego wybiera się o tej porze na jogging? Wygląda całkiem, całkiem.

A ten facet, który wychodzi za nim z naszego domu, trzyma pod pachą - nie wierzę własnym oczom - saszetkę. Nie ma chyba nic gorszego. Saszetki wyglądają zupełnie jak kosmetyczki. Podobnie groteskowo wyglądają faceci, którzy wychodzą z samą tylko parasolką, jeszcze w dodatku taką mularz, automatyczną. Jestem zdania, i pewnie nie będę tu odosobniona, że facet z parasolką traci coś z męskiej godności. To przecież kobieta ma prawo dbać o fryzurę. Mężczyźni nie muszą się obawiać deszczu i wiążących się z nim deformacji. Facet z parasolką jest jak pies w kagańcu. Żałosny widok.

Pod moim balkonem idzie wolnym krokiem para zakochanych. Ona trzyma rękę w kieszeni jego spodni.

Czy są małżeństwem? Nie chodzi o to, że zależałoby mi, żeby mieć już męża. Ten okropny moment, kiedy on musi przetaszczyć ją przez próg. Straszny zwyczaj. Ale nie miałabym nic przeciwko, żeby mnie ktoś poprosił

o rękę. Albo żebym tak jak dziewczyna Borysa Beckera znalazła w swoim drinku pierścionek z brylantem.

Cora Hofmann. Cora Hofmann-Hübsch. Cora Hübsch-Hofmann. Brzmi całkiem nieźle.

To oczywiste, że zostałabym przy swoim nazwisku. Z pracy mogłabym ewentualnie zrezygnować, ale z nazwiska nigdy.

Niestety, zaczęłam zastanawiać się nad sprawami, które w ogóle nie mają miejsca. To strasznie frustrujące. Ja tu sobie roztrząsam jak mała dziewczynka problemy podwójnego nazwiska, podczas gdy właściciel jego drugiej połowy nie raczy nawet do mnie zadzwonić - nie mówiąc już o poproszeniu o rękę.

Słońce świeci już tylko na moje stopy.

Akurat na nie.

Nie ma sprawiedliwości na świecie. Marianne mieszka ledwie dwa domy dalej a ma słońce co najmniej dwie godziny dłużej niż ja. Ale mimo wszystko nie chciałabym się z nią zamienić. Widzę, jak właśnie wiesza pranie na balkonie. Pewnie pieluszki. Marianne należy do tych zaangażowanych matek, które gardzą pampersami i wolą gotować papkę ze zdrowego szpinaku oraz przerobić pięć pralek tetrowych pieluszek dziennie.

Lepiej będzie, jak niepostrzeżenie schowam się w domu. Nie chciałabym, żeby Marianne mnie zobaczyła i zachciało jej się mnie odwiedzić. Aż tak samotnie się znowu nie czuję.

- Heeeeeej! Cora! Czy to nie piękny wieczór?

Shit. Macham przyjaźnie ze swojego balkonu jak brytyjska królowa matka.

- Zgadnij, co Dennis dzisiaj zrobił?

No tak, takie pytania uwielbiam najbardziej. Co tu jest wielkiego do zgadywania?

- Po raz pierwszy powiedział do ciebie „matka, spadaj”?

Wiem, że matki nie znają się na żartach, jeśli idzie o ich latorośle. Ale wiem też, że Marianne generalnie nie zna się na żartach, więc wszystko mi jedno.

- Nie, no coś ty! Coś o wiele lepszego! - Marianne przechyła się przez balustradę balkonu. Nie lubię takich rozmów. Wydaję się sobie jakąś praczką, która w sobotni wieczór nie ma nic lepszego do roboty, jak plotkować na cały głos przez balkon. Fakt, że tak naprawdę rzeczywiście nie mam nic lepszego do roboty, dodatkowo mnie pognębia.

- Denis zrobił dzisiaj rano „ee” do nocniczka!

Czuję, że należałoby teraz okazać zachwyty. Cisza, jaka zapadła między naszymi balkonami naładowana jest niesłychaną presją.

Ale ja nie jestem zachwycona i w ogóle nie jestem w nastroju, żeby udawać, że jestem.

- Naprawdę? I co, umieściłaś jego kupkę na honorowym miejscu w ga-  
blotce?

- No coś ty? Pewnie, że nie.

Co najbardziej zdumiewa w Marianne to to, że wprawdzie nigdy nie jest zabawna, ale też nigdy tak naprawdę nie jest urażona. Tylko dzięki temu może wytrzymać z taką sąsiadką jak ja i mężem takim jak jej Rüdiger. Coś mi się wydaje, że ona należy do tych, o których się mówi, że mają prosty, pogodny charakter.

Potrafi wybaczyć wszystko. A to dlatego, że połowy przykrości, jakie się jej mówi nie rozumie, a dla tej drugiej okazuje wyrozumiałość.

Kiedy się dowiedziała, że Rüdiger zdradza ją z kobitką z księgowości, była ucieleśnieniem spokoju.

- Wiesz co? - powiedziała do mnie. - Rüdiger nie jest jakoś specjalnie wystrzałowy w łóżku, więc wcale nie zazdrozczę tej kobiecie. Jest za to doskonałym ojcem, i tak jak ja lubi spać przy zamkniętych oknach. I w końcu, o to przecież chodzi, no nie? Znam go lepiej niż ta szantrapa z księgowości.

Pamiętam, że kiedyś prawie jej zazdrościłam. Nie Rüdigera, oczywiście. Ale tego jej nieskomplikowania. Ja nigdy nie będę nieskomplikowana. Co do tego mam stuprocentową pewność.

- Cora, muszę już wracać do domu. Życzę ci miłego wieczoru!

Marianne Berger-Mohr poznałam cztery miesiące temu, kiedy jej dwuletni synek zwymiotował mi na buty.

I tak nie lubię małych dzieci. Są dla mnie zbyt... bezpośrednie. Mówią różne wredne rzeczy i nawet nie ma się jak bronić.

Kiedy moja kuzynka obchodziła czterdziestkę, jej pięcioletnia córeczka Pia pokazała na mnie radośnie paluszkiem i wykrzyknęła:

- Patscie! Ciocia Cora wygląda zupełnie jak zółwica Morla z *Niekończącej się opowieści*!

I wszyscy patrzyli. Najgorsze w tym wszystkim było to, że bachor miał w dodatku rację. Dwa dni wcześniej rozstałam się z Saszą i ostatnie noce spędziłam z coraz bardziej pustą butelką malt whisky w jednej i książką *Rozstanie jako szansa* w drugiej. To jak miałam po czymś takim wyglądać?

- Pia sobie tylko żartuje - próbowała ratować sytuację kuzynka. - Wyglądasz olśniewająco, Cora. Wręcz rozkwitasz. Mówię poważnie.

- Dziękuję - odpowiedziałam. Nie mam nic przeciwko kłamstwom w dobrej wierze.

Całe urodziny spędziłam szlochając w toalecie. Nie mogłam już dłużej znieść tych współczujących min.

Jak kobieta ma ponad trzydziestkę i oświadcza, że właśnie rozstała się z przyjacielem, to wszyscy patrzą na nią tak, jakby się im zwierzyła, że zostało jej tylko kilka dni życia.

- Ach, co tam, jeszcze sobie znajdziesz odpowiedniego faceta - mówią wtedy. Albo: - Niejedna matka ma syna. Albo: - Kobieta taka jak ty nie będzie długo sama.

Ale w duchu myślą zupełnie co innego.

Cóż, w każdym razie moje doświadczenia z małymi dziećmi nie były najlepsze. A kiedy zobaczyłam na chodniku - właśnie chciałam tylko wyskoczyć na chwilę do budki warzywnej - szlochającego w głos Dennisa, w pierwszym odruchu zamierzałam przejść na drugą stronę ulicy i udawać, że intensywnie studiuje listę zakupów.

Nie miałam jednak żadnej listy. Akurat byłam znowu na diecie i chciałam zamknąć mój owocowy dzień jednym kiwi. W zasadzie wolę banany, ale kiwi ze względu na swój kształt są mniej dwuznaczne. Za każdym razem odnoszę wrażenie, że sprzedający warzywa Turek uśmiecha się lubieżnie, kiedy kupuję u niego banany. Zupełnie, jakby uważał, że widocznie nie stać mnie na wibrator. Może go krzywdzę, ale od tamtej pory unikam kupowania u niego określonych warzyw, takich jak ogórki czy wyrosnięte marchewki.

Dennis zanosił się płaczem coraz głośniejszym, no i w końcu zdecydowałam, że nie będę takim potworem.

- Gdzie twoja mamusia? - spytałam miłym głosem przedszkolanki i pogłaskałam go po główce.

Chłopczyk nic nie powiedział, tylko rozdarł się jeszcze głośniejszym.

- Jak się nazywasz, chłopczyku?



Nie miałam pojęcia, czy dzieciaki w tym wieku w ogóle potrafią mówić.

Chłopczyk przestał płakać i spojrzał na mnie przestraszonym wzrokiem. No, przynajmniej tyle. Zebrałam się na odwagę.

- Gdzie mieszkasz? - spytałam siłąc się na miły, w moim pojęciu dla dziecka, uśmiech.

Chłopiec dalej milczał. Gapił się na mnie. A potem wykrzywił buzię i zwymiotował mi na buty.

Kompletnie nie wiedziałam, co w tej sytuacji zrobić, kiedy usłyszałam za plecami przejęty głos.

- Deniiis! Co ty wyprawiasz?! Deniiis!

W tym momencie Deniiis zwymiotował ponownie, tym razem do mojej torebki.

Jakaś kobieta, mniej więcej w moim wieku, rzuciła się w naszą stronę. Była bardzo chuda, pomijając niezwykle rozłożyste biodra. Wyglądało to dość osobliwie. Zupełnie jak stojący pionowo pyton, który połknął znak „Stop”. Co za biodra! Raczej nie miała problemów z wydaniem na świat Deniiisa. Znacznie większe sprawiało jej widać jego wychowanie.

- Deniiis! Czy ty zwymiotowałaś?! Ojej, ojej! Ubrudził panią? O Boże, ależ mi przykro! Zawsze tak robi, jak się zdenerwuje. Deniiis, ty brzydki! Boże! Niech pani poczeka, mam chusteczkę.

Wyjęła jakąś szmatę, która w najśmielszej nawet wyobraźni nie przypominała mi niczego, czym można cokolwiek oczyścić. Cofnęłam się przestraszona.

- Nie trzeba, nie trzeba - powiedziałam pośpiesznie. - Mieszkam tuż obok. Myślę że wystarczy zwykła czysta woda i wszystko zejdzie bez problemu.

- O, to pani też tu mieszka? Sprowadziliśmy się dopiero parę tygodni temu. Boże, jak mi nieprzyjemnie. Bardzo panią proszę, niech pani do mnie wstąpi, żebym mogła to wszystko oczyścić. Bardzo panią proszę, niech się pani zgodzi.

Rezolutnie pociągnęła mnie za sobą przez ulicę, jednocześnie ściskając pod pachą wydzierającego się znowu synka. Nie umiałam się przed tym obronić i w chwilę później znalazłam się w przerażająco szczerze urządzonej mieszkanie.

Powiem tylko tyle: zasłony ze złotym lamowaniem, komplet wypożyczkowy w pokrowcach ochronnych, kasetony z ołowianymi czcionkami, akwarium z gupikami. Ale najstraszniejszy w całym mieszkaniu był mąż siedzący przed telewizorem.

- Rüdiger! Patrz, przyprowadziłam gościa!

Rüdiger nawet nie drgnął. Moim zdaniem, jak ktoś

ma na imię Rüdiger to jest już prawie tak samo strasznie, jakby miał na imię Knut. Rüdiger spojrzał na mnie obojętnie i nastawił telewizor trochę

głośniej. Boże! Takiej tępej gęby w życiu jeszcze nie widziałam. Facet wyglądał jak odbytnica wysilająca się, żeby nie puścić baka.

- Ojej! Ja się chyba jeszcze w ogóle nie przedstawiłam! Nazywam się Berger-Mohr. Marianne Berger-Mohr - powiedziała Marianne Berger-Mohr.

- Nazywam się Hübsch. Cora Hübsch - odpowiedziałam.

TLR

- Och, jak ładnie! Ha, ha, ha! - Marianne roześmiała się ze swojego dowcipu. Rüdiger nie zareagował, tylko nastawił telewizor jeszcze odrobinę głośniej i zwrócił się do żony:

- Która godzina?

Marianne postawiła syna na podłodze i spojrzała na zegarek.

- Piętnaście po szóstej.

- Tak też myślałem - powiedział Rüdiger, a potem wstał i zamknął drzwi do pokoju. Czułam się coraz bardziej nieswojo.

Tego wieczoru spędziłam w mikroskopijnej kuchence Marianne całą godzinę. Czyszcząc moje buty i torebkę, wmusiła we mnie ładnych parę kieliszków likieru wiśniowego i kazała wysłuchać nieprawdopodobnie nudnej historii swego życia, której nawet nie mam zamiaru tu przytaczać. Dopiero, gdy wspomniała, że jest informatyczką, nadstawiłam uszu.

- O, to ciekawe.

- Naprawdę tak uważasz? (Przeszłyśmy na ty po drugim kieliszku likieru) Rüdiger też jest informatykiem. Poznaliśmy się na kursie dokształcającym dla analityków systemowych. Co tu dużo mówić, w rok później urodził się nam Dennis.

Jakoś mnie to rozbawiło. Dwoje informatyków. Trudno sobie nawet wyobrazić, żeby oni mogli cokolwiek wiedzieć o kopulacji.

- To miłe - powiedziałam. - Czyli wasz synek to taki prawdziwy gameboy.

- Słucham?

- Nie, nic. Tak tylko powiedziałam.

Jak już mówiłam, nie lubię, kiedy ktoś nie rozumie moich dowcipów. Mimo wszystko jednak nie chciałam popsuć sobie stosunków z Marianne Berger-Mohr. Tak się bowiem składa, że mam dość napięte stosunki z moim komputerem. A z drukarką jestem wręcz na wojennej ścieżce. Nic nie zaszkodzi mieć w kręgu najbliższych znajomych specja od komputerów.

Od tego czasu Marianne wpada do mnie mniej więcej raz na tydzień, żeby sprawdzić mi komputer i opowiedzieć najświeższe nowości ze swego pasjonującego życia. Przyjacielskie układy z Marianne pozwalają mi od czasu do czasu spojrzeć na moje życie z zupełnie innej perspektywy. W porównaniu z seksem, jaki zapewnia Marianne Rüdiger, każda masturbacja jest szczytem miłosnego uniesienia.

Poniedziałek! Mój poniedziałek. Nasz poniedziałek. Nareszcie poniedziałek. Ostatnie dni spędziłam w stanie maksymalnego napięcia.

Przede wszystkim byłam niesłychanie zaabsorbowana przetrwaniem wieczoru z Danielem. W licznych, wielogodzinnych monologach przedstawiałam Jo jego przebieg. To ważne, bo za każdym razem człowiek przypomina sobie o jakimś drobiazgu.

Na przykład o tym, jak podawał mi parmezan z zachwycającą, czułą a przecież jakże męską gracją.

Albo jak poprosił kelnera, uprzejmie ale z naciskiem, o przyniesienie pieczywa. Jak zdjął marynarkę swobodnym, a jednocześnie młodzieńczym i dynamicznym ruchem.

Były to rzeczy, które dopiero stopniowo odnajdowały drogę do mojej skołowanej pamięci.

Nawet nie umiem powiedzieć, jak bardzo jestem wdzięczna Jo, że na moje ponawiane co godzinę: „Słuchaj, a czy opowiadałam ci już, jak on...” za każdym razem odpowiadała dobrotliwie: „Tak, opowiadałaś. Ale opowiedz jeszcze raz”.

To naprawdę cholernie fajna przyjaciółka.

Ostatnie cztery dni i noce spędziłam na myśleniu o seksie i o tym, jak się do niego przygotować. Podniecająca mieszanka myślowa z erotycznych fantazji i pragmatycznej strategii. Nie miałam wątpliwości, że tym razem pójdziemy na całość. I byłam na to jak najbardziej gotowa.

Najbardziej podniecające godziny w życiu kobiety to te, kiedy przygotowuje się do randki z potencjalnie intymnym zakończeniem. W porównaniu z tym sam seks to już często praktycznie relaks.

A oto poszczególne etapy wstecznego odliczania:

***Poniedziałek, godzina 17.45:***

Wracam z pracy do domu. Chociaż mówienie o pracy to raczej duża przesada. Siedząc przy komputerze, usiłowałam uspokoić się metodami treningu autogenicznego. Uśmiechając się szeroko, siedziałam w kantynie zapominając zupełnie, że mam zjeść fileta z kurczaka w chrupiącej panierce. Od godziny 16.00 bezustannie zerkałam na zegarek i o 17 niemal wybiegłam z budynku. Oczywiście musiałam się wrócić, bo zostawiłam płaszcz i kluczyki od samochodu.

**17.46:**

Odsłuchuję sekretarkę. Dwie wiadomości. Błagam, nie! Żeby tylko nie odwołał spotkania!

Piiiiip.

„Cześć, mówi Jo. Niech zgadnę: właśnie rujnuję twój ściśle rozpisany plan zajęć. Masz jeszcze mniej więcej dwie godziny na peeling całego ciała, zrobienie sobie maseczki na twarz i makijażu. Wiem, że liczy się każda sekunda. Ale jeśli jednak znajdziesz chociaż minutkę, zadzwoń do mnie. A tak w ogóle: trzymam kciuki. I jeszcze jedna rada: broń Boże nie zakładaj body, bo faceci za żadne skarby nie umieją się w tym rozeznąć. Po prostu zrezygnuj z bielizny. Po pierwsze to dla nich strasznie podniecające, a po drugie oszczędza upokarzającego majstrowania przy haftkach. Jeszcze raz



- powodzenia.

Piiiiip.

„Cora, kochanie, tu Big Jim. To dzisiaj jest ten twój wielki wieczór, tak? Chciałem ci tylko życzyć powodzenia. A wiesz, jaki jest stary przepis Casanovy dla facetów przed takimi spotkaniami? Myją zęby Colgate mint forte a potem przepłukują whisky. Stary przepis Casanovy. Zwróć uwagę. Dobra, to nie daj się mu. Chociaż, co ja gadam, może jednak daj. Pozdrowionka.”

**17.48:**

Wypijam kieliszek szampana wznosząc toast za przyjaciół słuchając przy okazji mojego ulubionego utworu Mtume, który nastroja mnie do seksu.

„I will be your lollypop - you can lick me everywhere”.

Mam czas - w końcu kwestię ciuchową przedyskutowałam i wyjaśniłam z Jo wieki temu. Sexy ale nie wyzywające. Eleganckie, ale nie przesadnie zobowiązujące. Dające się zdjąć kilkoma ruchami i nie za obcisłe. Nie ma nic gorszego, niż kiedy w momencie najwyższej ekstazy człowiek zaklinuje się w dżinsach, albo po rozebraniu wygląda tak, jakby kilka dni temu skończyli go torturować agenci obcego wywiadu: zbyt obcisłe ubranie, za ciasna bielizna pozostawiają brzydkie ślady na całym ciele. Odstęczający jest też odcisk guzika od spodni poniżej pępka.

Zdecydowałam się na miękką kremową letnią sukienkę. Z długim zamkiem błyskawicznym na plecach i rękawkami trzy czwarte. To bardzo ważne. Sukienki na ramiączkach są nie dla mnie. Przy moich dość szerokich ramionach wyglądałabym jak Michalczewski w negliżu.

Dzięki paru wizytom w solarium spokojnie mogę zrezygnować z pończoch. Bo na drugim etapie pozbywania się ubrania często zostaje się tylko w samych pończochach. A to już wygląda kompletnie idiotycznie. A takie samonośne pończochy, wiem to z doświadczenia, potrafią zachowywać się dość samowolnie. Albo zsuwają się nagle i plączą w preclach wokół kostek, albo do tego stopnia wpijają się w uda, że skutecznie tamują przepływ krwi w tej i tak problematycznej strefie kobiecego ciała.

**18:00:**

Zabiegi toaletowe.

Prysznic (żel o zapachu kiwi).

Mycie włosów (szampon o zapachu pomarańczy).

Odżywka (o zapachu kokosowym).

Balsam do ciała (o zapachu waniliowym).

**18:30:**

Makijaż Dzięki lekkiej opaleniznie nie wyglądam już jak wyjęta prosto z zamrażarki. Róż. Pomadka. Tusz do rzęs. Starczy.

Tracę niestety mnóstwo bezcennych minut, bo dwa razy muszę zetrzeć cały makijaż. Z tuszem do rzęs nie jest wcale łatwo. Najczęściej zbija się w grudki, tak że rzęsy wyglądają jak nogi chorego na artretyzm pająka ptaszniaka.

**18:50:**

Siedzę w płaszczu kąpielowym i turbanie z ręcznika przy stole w kuchni. Dobrze, że Daniel mnie takiej nie widzi. Zupełnie jak Nefretete, która ledwo umknęła z krwawej masakry. Od kiedy spróbowałam raz polakierować sobie paznokcie u nóg, mój płaszcz kąpielowy cały usiany jest krwawymi plamami.

Wypijam jeszcze łyczek i modlę się, żeby tylko włosy nie zrobiły mi dzisiaj nieprzyjemnej niespodzianki. Są po prostu nieobliczalne. Zostawiłam sobie odżywkę specjalnie o dziesięć minut dłużej na głowie, żeby były posłuszniejsze.

**19.02:**

Sukienka pasuje jak ulał. Koniecznie potrzebuję faceta. Nie tylko po to, żeby mnie rozebrał, ale najpierw, żeby mnie zapiął, bo przy każdej próbie zasunięcia tego cholernego zamka błyskawicznego o mało nie zrywam sobie mięśni karku.

Zdecydowałam się jednak na białą koronkową bieliznę. Daje wrażenie przyzwoitości. Czystości. Dziewictwa.

**19.15:**

Nieeeeeee! Tylko nie to! Nie dzisiaj! Nie teraz!

Wysuszyłam włosy suszarką i wyglądam jak Jezus. Wszystko wisi bez cienia fantazji. Gdzie się podziały moje loki?!

**19:23:**

Koniec. Muszę odwołać spotkanie. Po zabiegu lokówką wyglądam jak Maria Magdalena po ecstacy.

**19:27:**

Muszę się uspokoić, więc wypijam kolejny kieliszek szampana. Jo ratuje mi życie podpowiadając, żebym włosy po prostu upięła.

Super! Tylko czym? Jo wysyła mi rowerową pocztą kurierską szpilki do włosów i przefaksowuje krótki kurs upinania włosów.

**19:45:**

Wychodzę z domu mając około 83 spinek we włosach i około 1,1 promila we krwi.

„Hofmann” czytam na domofonie. Spodobało mi się, bo w zasadzie tytuł doktor przynależy do nazwiska, więc skoro ktoś z niego rezygnuje, to oznacza, że stać go na nieprzywiązywanie wagi do takich powierzchowności.

To tak, jak fundowanie ławek w kościele i rezygnacja z przybijania przy co drugim miejscu z tabliczki z napisem „Ufundowane przez...”. Wszystko jedno.

Wchodząc po schodach imponującej klatki schodowej byłam podchocona i nie do odparcia. Stare budownictwo. Marmurowe schody z dywanem. Fiu, fiu! Niestety bez windy. Kiedy dotarłam do czwartego piętra, zabrakło mi tchu, a w dodatku mniej więcej na drugim dostałam czkawki.

- Cześć - powiedział Daniel. Czekał w drzwiach, oparty swobodnie o framugę drzwi. Granatowe dżinsy i biały T-shirt. Zastanawiałam się, ile godzin musiał spędzić na przygotowaniach, żeby wyglądać na tak perfekcyjnie nieprzygotowanego.

Uśmiechnęłam się uwodzicielsko i powiedziałam: - Czeehyypść!

Kurcze, ale obciach! Pewnie sobie pomyśli, że walnęłam już ze cztery kieliszki szampana. Bo jak już dopada mnie czkawka to taka porządna. Zupełnie jakby ktoś w nieregularnych, ale dość krótkich odstępach czasu, nadeptywał na świnkę morską.

Tak więc, pierwszy kwadrans spotkania spędziliśmy na wypróbowywaniu kolejnych technik pozbywania się czkawki. Szklanka wody. Wstrzymywanie oddechu. Magiczne zaklęcia. Wszystko na próżno.

Wyglądało na to, że Daniel świetnie się bawi. Właśnie byłam przy powtarzaniu od tyłu tabliczki mnożenia, kiedy nagle powiedział:

- Zapomniałem powiedzieć, że niedługo wychodzę. Nagły przypadek w klinice. Mam nadzieję, że się nie gniewasz.

- Co?! - spytałam kamieniejąc w środku, ale w ułamku sekundy jakoś się pozbierałam, przynajmniej na zewnątrz.

- Nie ma sprawy. Nawet dobrze się składa, bo też mam trochę pracy.

- Co ty powiesz? I jak tam czkawka?

- Co czkawka?

- No jak tam czkawka? Zniknęła?

Uważnie wsłuchiwałam się w siebie. Ani śladu czkawki. Zero. Tylko ziejąca, bolesna pustka w moim wnętrzu.

- Zniknęła.

- No widzisz. Ten sposób zawsze skutkuje.

- Jaki sposób.

- Trzeba osobę cierpiącą na czawkę mocno przestraszyć.

- A, no tak. Rzeczywiście.

Niestety, nic więcej nie umiałam w tym momencie powiedzieć. Zastanawiałam się, czy nie zacząć symulować nawrotu czkawki, żeby nie czuć się tak idiotycznie nabita w butelkę, ale dałam sobie spokój. Nie mam doświadczenia w symulowaniu czkawki. Moją domeną jest udawanie zainteresowania, współczucia i orgazmów.

Wydaje mi się, że jedzenie, które ugotował Daniel było wyśmienite. Przynajmniej tak wtedy twierdziłam. Coś tam z kluskami. A może z ryżem. Może zresztą były to ziemniaki.

Chyba też fajnie sobie rozmawialiśmy. O zaletach kuchenek z elektryczną płytą grzejną. Chyba też o zegarkach, albo może o konflikcie palestyńskim. Wydaje mi się, że sprawiałam wrażenie kompletnie odprężonej i radosnej, chociaż przez cały czas zadawałam sobie pytanie, czy:

a. moja fryzura nie zaczyna zmieniać się w byłą fryzurę



- b. nie mam resztek jedzenia między przednimi zębami
- c. moja kremowa sukienka nie wejdzie za chwilę w fatalny konflikt z sosem pomidorowym.

Byłam tak zajęta zastanawianiem się, czy mu się podobam, że zupełnie zapomniałam się zastanowić, czy on mi się podoba.

Salon w jego mieszkaniu bardzo mi się podobał - tyle jeszcze pamiętam. Po jedzeniu Daniel wmanewrował mnie na kanapę ze słowami: „Mamy jeszcze przecież spotkanie z panną Marple”. Ogromny mebel z ciemnym aksamitnym obiciem.

Pamiętam jeszcze, że wprawnym spojrzeniem błyskawicznie sprawdziłam ją pod kątem podejrzanych plam. Bo na przykład sperma zawsze obrzydliwie wyłazi na aksamicie. Dlatego między innymi zdecydowałam się na obicie w zebra. Obicia w zebra dyskretnie zachowują swoje tajemnice dla siebie. Kanapa Daniela była wolna od jakichkolwiek plam.

Co oczywiście wcale nie musi o niczym świadczyć. Znałam raz jednego takiego - obrzydliwy facet, o którym myślę z najwyższą niechęcią - który zawsze odwracał poduszki na kanapie. Czysta strona była zarezerwowana dla jego przyjaciółki. Byli już ze sobą pięć lat, a przy takim stażu nie zostawia się już plam na kanapie. Natomiast poplamioną stronę musiały dzielić między sobą jego trzy, czy cztery dochodzące panienki.

Usiadłam i rozejrzałam się. Wszystko było w swobodnym nieładzie. Zupełnie jak na zdjęciach w czasopiśmie o urządzeniu wnętrz: Tu leży sobie jakieś kolorowe czasopismo czy album wczesnych dzieł Picassa, tam z kolei biały patchwork zwiesza się malowniczo z oparcia fotela.

Kiedy ja wkraczam do pokoju, takie dekoracje mają raczej krótki żywot. Chaos to mój nieodłączny towarzysz. Również w salonie doktora Hofmanna bardzo szybko zrobiło się przytulnie. Ja po prostu potrzebuję paru rzeczy w zasięgu ręki, żeby się dobrze czuć: popielniczka, papierosy, zapalniczka, kieliszek wina. W najszlachetniejszym wydaniu, tak jak to było tutaj, szampan w kubelku z lodem, czekoladki, herbatniczki w czekoladzie, chipsy.

Daniel zadbał, żebym się dobrze u niego czuła, więc już wkrótce jego salon zmienił się w pomieszczenie, które niekoniecznie nadawałoby się do sfotografowania na potrzeby „Schöner Wohnen”.

W zasadzie nie pamiętam próby zbliżenia, która nie miałaby w sobie czegoś wzruszająco nieporadnego. Najczęściej faceci długo, długo nic nie robią, żeby potem, w nagłym akcie rozpaczy zrobić wszystko naraz.

Poczułam niejaką ulgę, że ten boski medyk nie stanowił pod tym względem wyjątku. Miss Marple właśnie odkryła zwłoki Cory Landscane, zamordowanej na bujanym fotelu drutem do robótek, kiedy Daniel położył dłoń na moim karku, który dzięki szpilkom pożyczonym od Jo był całkowicie odsłonięty.

- Jak tam twoje przykurcze? Nosisz wkładki, które ci zapisałem?

Baaardzo zabawne. Postanowiłam przemilczeć tę dyskryminującą uwagę. Zamiast tego świętoszkowato odchyliłam głowę w bok. W którymś z babskich pism przeczytałam, że obnażenie damskiej szyi wzbudza w mężczyznach pierwotne instynkty.

Zadziałało! Dzięki ci „Cosmo”! Daniel nadzwyczaj pierwotnym gestem przyciągnął moją głowę do swojej twarzy. Trochę głupio, że ten jego pierwszy atak odparła moja fantazyjna szpilka do włosów. Roześmieliśmy się oboje, co mnie trochę zbiło z tropu. Humor i erotyka niespecjalnie do siebie pasują, jeśli ludzie się jeszcze nie za dobrze znają. Pierwszy raz to poważna i trudna sprawa.

Czy inni też to mają, że przy pierwszym pocałunku cały czas myślą tylko o tym, co tu powiedzieć, kiedy pocałunek się skończy? Pewnie tak naprawdę w ogóle nie trzeba nic mówić, tylko po prostu patrzeć sobie refleksyjnie w oczy. Ale ja tak nie umiem. Wręcz czuję się zmuszona wypełnić ciszę po pierwszym intymnym kontakcie swobodną konwersacją. Wyskakuję wtedy z rzeczami w rodzaju. „Mogę jeszcze jeden kieliszek wina?” albo „Mogę jeszcze jednego papierosa?” albo - kiedyś, dawniej - „Mogę jeszcze jednego jointa?”. Jestem pewna, że przez te wszystkie lata spowodowało to utrwalenie się moich nałogów.

- Mogę jeszcze jeden kieliszek wina?

- spytałam zatem, kiedy skończył.

- Nie - powiedział Daniel. I pocałował mnie znowu. Podobało mi się to, chociaż oczywiście nie rozwiązało problemu, przesuając go wyłącznie w czasie.

Zdaje się, że było to w momencie, kiedy panna Marple odkryła zwłoki w stajni, a Daniel wstał, żeby zaciągnąć zasłony. Wtedy właśnie po raz pierwszy miałam okazję zauważyć, że coś jest jednak inaczej niż zawsze.

- No i jak było? - spytała Jo, kiedy zadzwoniła do mnie następnego dnia rano.

- Co jak było?

- No jak to „co jak było”? Nie wygłupiaj się. Całowaliście się? Poszliście do łóżka? Jak jest zbudowany? No opowiadaj, dziewczyno, normalnie nie jesteś taka oszczędna w słowach.

- W zasadzie niewiele było.

- Oh! - Jo umilkła zaskoczona.

- Całować się całowaliśmy.

- Tylko się całowaliście? Tylko mi nie mów, że Daniel to jeden z tych facetów, co rezygnują z seksu wieczorem, kiedy muszą rano wstać do pracy. To mi przypomina Olliego, pamiętasz?

- Jakiego znowu Olliego?

- Tego blondasa z biura podróży. No wiesz. Tego, który nie chciał się ze mną obściskować w kinie, bo w końcu zapłacił za to, żeby obejrzeć film.

Trzymaj się z daleka od takich facetów. Oni mają tendencję do braku radości.

- Nie, nie tak też znowu nie było. To o mnie chodzi. Ja nagle nie miałam ochoty na więcej.

- Ty nie miałaś ochoty na więcej?! A co się stało? Czuć mu było z ust, czy jak? Chociaż przecież jak byłeś z tym typasem z ubezpieczeń, jak mu tam było, aha, Aleks, to ci to w niczym nie przeszkadzało. Pamiętasz jak wpychałaś w niego drażetki Fisherman's Friend, żeby bez oporów móc z nim pójść do łóżka?

- Nie, nie, tym razem wszystko było inaczej. A tamto z Alekssem, to też przecież nie było na poważnie. Zresztą, sama już nie wiem. Po prostu nagle poczułam, bo ja wiem? Nie mam pojęcia jak to powiedzieć. Nagle stało się to dla mnie za bardzo ważne. Rozumiesz, co chcę powiedzieć? Ten facet mi się podoba

opomyślałam sobie, że będzie inaczej, jeśli nie zrobimy tego od razu na pierwszym spotkaniu.

- No cóż, przynajmniej oryginalnie. Zupełnie jak wzięcie ślubu kiedy nie jest się w ciąży. Cora?

- Mmmh?

- Wydaje mi się, że naprawdę się zakochałaś.

- Mmmh. Po prostu nie chciałam, żeby zdarzyło się wszystko, co może się zdarzyć.

Poza tym twoja mama zawsze powtarzała: „Kto rzadziej widziany, ten bardziej szanowany”. No to tak zrobiłam. Uważam się za prawdziwą bohaterkę.

- A on? Co on na to?

- Był trochę zaskoczony.

- Wyobrażam sobie. Pewnie do tego nie przywykł. I jak się z tego wywinęłaś?

- No wiesz, miałam na sobie sukienkę...

- Tę kremową?

- Aha. Gdzieś tak około północy poprosiłam, żeby zapiął mi z powrotem zamek z tyłu.

- O, to jednak coś mu się udało.

- I powiedziałam, że rano muszę wcześniej wstać bo mam strasznie dużo do zrobienia.

- Oj, bo pęknę ze śmiechu! I on ci uwierzył? Niesamowite! To się nazywa emancypacja. Taką idiotyczną wymówkę słyszy się zazwyczaj od faceta.

- Mówię ci, Jo, kiedy już wyszłam potem na ulicę, to byłam w absolutnej euforii. Żaden seks nie jest tak dobry, jak rezygnacja z seksu. Wszystko jeszcze było przede mną. Pokonałam własne hormony. I jeszcze przy okazji pewnie urosłam trochę w jego oczach. Czego więcej kobiecie potrzeba?

- Pewnie masz słuszość. Gratuluję. Czy to nie absurd? Zdobywasz jego szacunek tym, że nie dajesz mu tego, czego on chce. Pewnie ludzie mogą ze sobą być na stałe tylko wówczas, gdy całkowicie rezygnują z seksu.

- Nie, nie, tak daleko nie zamierzam się posuwać. Pojutrze znowu się spotykamy. Daniel zabiera mnie ze sobą na jakieś party. Brzmi nieźle, co?

- We środę? O ile pamiętam, miałyśmy iść razem do „Massimo”?

- O kurcze, zupełnie zapomniałam. Mam odwołać spotkanie z Danielem?

- Tylko bez takich. Tego był już było za wiele. Najpierw odmawiasz biedakowi seksu, a potem odwołujesz spotkanie. Mógłby się zbuntować. Nie wolno ci przeciągać struny. On ma się czuć jak zdobywca, a nie jak kretyn. Nie wiadomo dlaczego większość mężczyzn nie lubi się w tej roli, chociaż wielu z nich jest do niej jakby stworzona.

- Na pewno masz rację. Nie będziesz na mnie zła?

- Czyś ty zwariowała?

- A co z dzisiejszym wieczorem? Masz czas? Nie mam pojęcia co założyć na środę.

- Wpadnij do mnie, to ci coś pożyczę. A propos, jak ci wyszło upięcie włosów?

- Kiedy wróciłam do domu, wyglądałam jak sponiewierana wierzchem wierzba płacząca.



- Musimy ci wymyślić jakąś inną fryzurę.
- Ja nie mam fryzury. Ja mam tylko włosy.
- Dobra, dobra, pomyślimy. Mam coś ugotować?
- Nie, jakaś sałatka wystarczy.
- Rozumiem.

**18:58**

Jestem tak zrozpaczona, że zaraz sobie obejrzę w telewizorze magazyn „Dzisiaj”. Mam nadzieję, że była jakaś porządna katastrofa. Może to zabrzmie obrzydliwie i *może* nawet jest obrzydliwe, ale w takich chwilach nieszczęście innych jakoś mnie stawia na nogi. W obliczu straszliwej suszy czy przerażającego głodu nasze własne cierpienie nagle przestaje się wydawać najważniejsze na świecie. Po prostu nie należy się za bardzo sobą zajmować.

Od tej chwili przestaję się sobą zajmować. Ale od razu pojawia się pytanie, czym w takim razie mam się zajmować? Może powinnam wstąpić do jakiegoś stowarzyszenia wyższej użyteczności? Albo przynajmniej dać coś na Czerwony Krzyż, czy coś.

Wiadomości są nudne. Może powinnam zostać z Saszą? Może do niego zadzwonić?

On mnie chyba nadal kocha. Taką mam przynajmniej nadzieję. Lubię, kiedy kochają mnie ci, których ja nie kocham. To mi zwiększa poczucie własnej wartości. Dokładnie pamiętam ten wieczór, kiedy się z nim rozstałam. Całymi tygodniami odsuwałam od siebie ten moment. Nie lubię się rozstawać. A od kiedy mam już ponad trzydziestkę, nie lubię jeszcze bardziej. Ale po prostu dłużej się nie dało i Jo zmusiła mnie, żebym mu to w końcu powiedziała.

- Wezwiesz go do siebie na dwudziestą. O dwudziestej trzeciej dzwonię do ciebie i jeśli do tego czasu sprawa nie będzie definitywnie załatwiona, dopilnuję, żeby twoje zdjęcie z dzieciństwa znalazło się na tytułowej stronie jakiejś bulwarówki.

Jako dziecko wyglądałam okropnie.

- Po prostu do siebie nie pasujemy.

Sasza patrzył na mnie smutnym wzrokiem. To był dla niego cios w samo serce.

- Jak to nie pasujemy?

- Sasza, przecież sam to chyba widzisz? Pierwsze co robię, jak wsiądę do ciebie do samochodu to zmieniam stację, bo nienawidzę tego kulturalnego programu, którego słuchasz! I jestem bałaganiarą! Ja też nie lubię jak mi się rano skwasi mleko w kawie, ale jeszcze mniej mi się podoba bycie z kimś, kto każdego dnia robi mi z tego powodu wymówki. Nie zniosę też

dłużej, żebyś wynosił mi stare gazety do pojemnika na makulaturę, wkładał (właśnie wkładał! żebyś chociaż upychał!) moją brudną bieliznę do kosza na pranie, układał mi według alfabetu kasety wideo, albo wstawał w środku nocy, żeby zakorkować butelkę dobrego czerwonego wina, którą zostawiłam otwartą na stole. Tak się dalej nie da!

- Cora, ja cię lubię taką, jaka jesteś. Mnie to wszystko nie przeszkadza. Mówię poważnie.

- Ale mnie przeszkadza!

- Cora, teraz to już jesteś dziecinna! To, że dwoje ludzi kompletnie się od siebie różni wcale nie znaczy, że do siebie nie pasują - zaczął Sasza tonem, jakim przemawia się do małej dziewczynki, której zamierza się wyjaśnić zawiłości tego świata. - Opowiadałem ci już o moich dziadkach?

Niechętnie pokręciłam przecząco głową.

- Moi dziadkowie byli od siebie tak bardzo różni, jak różni mogą być od siebie ludzie. Dziadek w wieku lat osiemdziesięciu zapisał się na studia historyczne i nie przestawał opowiadać o tym babci, próbując ją zainteresować tym, co robi. Któregoś razu powiedział jej: „Słuchaj, Magda, chodź ze mną dziś wieczorem na wykład. Na pewno cię zainteresuje. Chodzi o Wiosnę Ludów”. A moja babcia pogłaskała go po głowie i powiedziała: „Lepiej idź sam, ja tan wolę jesień.”

Zdobyłam się na wymuszony uśmiech.

- I wiesz co, właśnie za to dziadek ją kochał. Byli bardzo szczęśliwym małżeństwem i mieli trójkę dzieci.

- My nie możemy mieć dzieci.

To było dobre posunięcie, egzystencjalne, że tak powiem.

- A dlaczego nie?

- Przecież nie mogliśmy się zgodzić nawet co do tego, jak mam wychować papużkę!

- Muszę przyznać, że twój Hermann, istotnie był stworzeniem zdegenerowanym. Oduczyłaś go jego zwierzęcych instynktów. Co zresztą kosztowało go życie.

- Co chcesz przez to powiedzieć ? Że to ja zabiłam Hermanna? - zorientowałam się, że w moim głosie pojawiają się histeryczne tony.

- Nie, nie o to chodzi. Ale on oduczył się strachu. Każdy normalny ptak by sobie odleciał. W końcu od tego są, prawda? A Hermann to z pewnością jedyna papużka na świecie, która straciła życie dlatego, że niechcący nadepnął na nią hydraulik.

Zamurowało mnie. Przez chwilę walczyłam ze sobą, żeby nie wybuchnąć. Hermann bardzo wiele dla mnie znaczył. Poza tym potrzebowałam czasu, żeby ułożyć sobie w głowie następny argument.

- A pamiętasz jak było z naszym urlopem w Eifel? - wykrzyknęłam triumfalnie. Ha! Przyszpiliłam go tym na amen.

- Proszę cię, nie zaczynaj znowu o tym samym! - powiedział Sasza niby spokojnie, ale widziałam że wierci się na krześle. Mężczyźni nie lubią, jak

im się przypomina ich błędy. Zwłaszcza że oni bardzo rzadko uznają swoje błędy za błędy.

To było ostatniego lata. Planowaliśmy z Saszą pierwszy wspólny urlop. Wertowałam katalogi biur podróży z napisami *Wakacje w dalekich krajach* albo *Azja inaczej* czy *Egzotyczne podróże*.

Wyobrażałam sobie jak wychodzę rano przed nasz stojący na bambusowych palach bungalow, z kolorowym kwiatem we włosach, biegnę olśniewająco białą plażą, by zanurzyć spalone na brąz, szczupłe (wcześniej ścisła dieta, rozumie się) ciało w lazurowych falach południowego morza, podczas gdy Sasza siedzi na tarasie i rozcina maczetą orzech kokosowy, aby potem czekać na mnie w hamaku rozwieszonym między dwiema palmami o szerokich liściach, romantycznie szeleszczącymi w tropikalnym wietrzyku.

Ach, pomarzyć. Uwielbiam przygotowania do podróży. Uważam, że im wcześniej się je rozpoczyna, tym lepiej. Z tego powodu kompletnie gardzę ofertami last minute, bo one odbierają człowiekowi najpiękniejsze chwile urlopu, mianowicie długie tygodnie radosnego oczekiwania.

Problem w tym, że moje działania przygotowawcze dziwnie mało Saszę wzruszały. Co gorsza, w każdym kraju, jaki proponowałam jako potencjalny cel podróży, znajdował od razu coś, co mu się nie podobało. Mniej więcej na trzy tygodnie przed planowanym terminem podróży wciąż jeszcze byliśmy kompletnie niezdecydowani. W związku z tym profilaktycznie łykaliśmy w wielkich ilościach wszelkie możliwe lekarstwa przeciw malarii. W Tajlandii

bowiem panuje zupełnie inna malaria niż w Indiach, gdzie z kolei zarazki całkowicie różnią się od tych z Wietnamu.

Na tydzień przed pierwszym dniem naszego pierwszego wspólnego urlopu moglibyśmy już objechać cały świat nie padając ofiarą jakiegokolwiek choroby. W końcu zabukowałam Wietnam.

Co ja będę dużo mówić. Na dwa dni przed wylotem Sasza odkrył, że wilgotność powietrza w Wietnamie jest o wiele za wysoka, żeby można było tam przyjemnie spędzić czas.

Odwołałam lot i spędziliśmy dwa tygodnie w domku letniskowym rodziców Saszy w Eifel przy granicy z Belgią. Było okropnie.

Brakowało tylko tego, żebym tam złapała jakąś rzadką odmianę miejscowej malarii.

Siąpiło bez przerwy. Był to ten rodzaj perfidnego deszczu, którego początkowo zupełnie się nie zauważa, ale który potem przemoczy człowieka do suchej nitki. Podczas gdy cała reszta Niemiec, nie mówiąc o Wietnamie, dyszała w słonecznym wyżu, ja siedziałam z Szaszą w murowanym domu z pruskiego muru i grałam w warcaby. Już wtedy powinno mi to dać do myślenia.

- Po prostu do siebie nie pasujemy - powtórzyłam dramatycznym tonem.  
- Nafaszerowana lekami przeciwko malarii przez dwa tygodnie kiblowałam w jedynym miejscu na całej ziemi, które trzeba było tego lata ogrzewać.

Widziałam, jak w Saszy wzbiera gniew. Trafiłam go w czuły punkt. I dobrze. Byłam absolutnie zdecydowana doprowadzić sprawę do końca.

Okay, dobrze, nasz związek zaczął się bardzo pięknie, to prawda. Ale co to zmienia? Dalej już nie było tak pięknie. Widziałam, jak Sasza szykuje się do kontraktu.

- Cora, co jasnej cholery, czemu musisz być zawsze taka nierozsądna? Po co odgrzebujesz zaraz tę starą historię z urlopem? To też typowe dla ciebie. Zawsze jesteś taka mało rzeczowa.

- No właśnie. Dlatego do siebie nie pasujemy. Ja jestem zawsze mało rzeczowa i bardzo mi to odpowiada. Może mi wytłumaczysz, dlaczego miałabym być rzeczowa, co? O wiele bardziej odpowiada mi, że odpowiadam sama za siebie.

- Jak sobie chcesz.

I tak to się skończyło. Sasza odszedł. A ja z własnej winy znowu byłam singlem. Wiedziałam, że dobrze zrobiłam. Jo była ze mnie dumna. Ale ja czułam się arcypodłe.

To znaczy wcale nie jestem taka strasznie bezkompromisowa. Przy najmniej ja się za taką nie uważam. Po prostu mam parę swoich przyzwyczajeń, z których nie zamierzam rezygnować. Wyjadam nutellę prosto ze słoika. Z zasady nie czyszczę szczotki do włosów. Śpię przy otwartym oknie i podkrećcam ogrzewanie. Nie odzywam się przed dziewiątą rano. Nie przestaję mówić przed drugą w nocy. W niedzielny poranek uwielbiam mieć depresyjny nastrój. Nie oglądam francuskich filmów i nigdy nie czytam gazety „Zeit”. Zawsze za dużo wszystkiego kupuję i przechowuję resztki jedzenia w podejrzanych plastikowych pudełeczkach. Pamiętam, jak raz



przyjechała do mnie mama. W środku nocy zgłodniała, poczłapała do lodówki i obudziła mnie przeraźliwym wrzaskiem, bo niechcący otworzyła pudełeczko z resztkami kurczaka po chińsku, którego jakieś trzy tygodnie wcześniej wyczarowałam dla Big Jima.

Mam wspaniałe stare pianino, na którym kilka razy dziennie gram jeden i ten sam utwór. Potrzebuję tego dla uspokojenia. Zależy mi na tym, żeby moja brudna bielizna leżała na podłodze w łazience, a nie w przewidzianym do tego celu koszu. Bo w koszu na brudną bieliznę znalazły sobie należne miejsce mój zestaw do szycia, instrukcja obsługi magnetowidu i telewizora, stary wyciskacz do cytryny i 23 pojedyncze skarpetki, które w niewytłumaczalny sposób straciły swoich partnerów. Należę do pokolenia, które używało drzwi lodówki jako tablicy ogłoszeń. Wisiały tam poźółkłe, obryzgane sosem do spaghetti zdjęcia przyjaciół, wycinki z gazet i historyjki obrazkowe. Moja ulubiona historyjka obrazkowa, towarzysząca mi od lat i zdobiąca drzwi najróżniejszych moich lodówek, zawsze wisi na samym środku: Kobieta trzyma za rękę malutkiego facecika, a druga kobieta mówi do niej: „Jeszcze pani dokarmia piersią, czy to mąż?” Za każdym razem strasznie mnie to bawi. Jednak za każdym razem, kiedy odwiedzali mnie jacyś potencjalni kandydaci, przykrywam ją wyciętym przed laty z jakiejś gazety nagłówkiem: „Bonn zatroskane - kanclerz Kohl myśli”. Na śniadanie lubię zjeść zimne parówki ze słoika, nigdy nie rozstanę się z moim ogromnym podświetlanym bananem stojącym na szafce w kuchni, a życie bez budzika połączonego z wierzą stereo, który każdego ranka budzi mnie wyjątkowo głośno nastawionym „Throughout the Years” Kurtisa Błowa w ogóle nie wchodzi w grę.

Nie jestem specjalnie uciążliwa. Jeśli zostawi się mnie taką, jaka jestem, moja obecność nie jest kłopotliwa tylko raczej wzbogacająca.

**19:02**

O Jezu! Dzwonek do drzwi! A ja mam na nogach puchate papucie z pomponami.

- Tak? - pytam rezolutnie przez domofon, skopując jednocześnie kapcie głęboko pod szafkę w przedpokoju, rozpinając górny guzik koszuli, podciągając spódnicę i palcami zaczesując włosy za uszy. Wzruszający gest wobec aż nazbyt dobrze znanego mi faktu, że długo tam nie pozostaną.

- Tak? Słucham?

Nic. Cisza. Jakiś szum. Potem kroki na klatce. Ohhh! Już jest w środku. Znowu jakiś debil zapomniał domknąć na dole drzwi. Złożę skargę do pani Zappke. Zawsze, kiedy to akurat ja zapomnę domknąć drzwi na klatkę, ona wyłania się jak spod ziemi, żeby mnie pouczyć, zupełnie jakby przez cały dzień nic innego nie robiła, tylko czatowała przy judaszu, żeby przyłapać mnie na kolejnym wykroczeniu przeciwko regulaminowi lokatorskiemu.

Znowu dzwonek. Tym razem do drzwi. Jezu! Słyszę, jak ktoś chrząka. Boże! Mężczyzna!

Ostrożnie wyglądam przez judasza. To dziwne, ale faktem jest, że tak jak wszystkie inne kobiety, nie potrafię sobie wyobrazić, że przez judasza

naprawdę widać tylko w jedną stronę. Tymczasem zachowuję się jak tubylec, który po raz pierwszy patrzy przez lornetkę. Tak więc cofam się przestraszona, kiedy mój wzrok pada w sam środek ponurej gęby. Niechętnie otwieram drzwi.

- Cześć Rüdiger. Co się stało?

- Co ci jest? - Rüdiger gapi się na mnie, jakbym miała na twarzy maskę przeciwgazową.

- A co ma być?

- Dostałaś w nos, czy jak?

- Przestraszona obmacuję twarz. A niech to. Zapomniałam usunąć z nosa plaster Nivea do usuwania zaskórników. Stwardniał już oczywiście na kamień. Będę musiała ściągać pod letnią wodą.

- Wejdz może do kuchni, dobrze, a ja pójdę na chwilę do łazienki.

Podczas kiedy ja próbuję uwolnić nos od zaschniętego plastra, słyszę jak Rüdiger tłucze się po kuchni.

Czego on chce? Po raz pierwszy był u mnie, kiedy poczułam się zobowiązana, zaprosić jego i Marianne na urodziny. Powiedział wtedy coś lekceważącego na temat mojej kuchni z IKEI i moich gości. Wszystko tylko dlatego, że jako jedyny przyszedł w garniturze

- zresztą źle leżącym - a potem, gdy pora była już późna, Big' Jim chciał się z nim mierzyć w długości penisa.

- Weź sobie kieliszek wina! Stoi w lodówce!

Rüdiger coś tam mruczy. Wygląda to na pomruk zadowolenia.

- Marianne pyta, czy nie moglibyśmy pożyczyć od ciebie na dzisiaj składanego łóżka! Właśnie przyjechała niespodziewanie jej siostra.

Auć! Plaster wczepił się w skórę jak kleszcz.

- Jasne, jasne! Łóżko jest gdzieś na pawlaczu. Tak mi się przynajmniej wydaje. Zaraz do ciebie wyjdę.

- Nie ma sprawy.

Auuuu! Ale boli. Nie mam wprawdzie zaskórników, ale jako kobieta otwarta wypróbuję zawsze wszystkie kosmetyczne nowości. Bardzo lubię spędzać czas w perfumeriach. Do moich ulubionych sposobów spędzania wolnego czasu należy upokarzające porównywanie się z ekspedientkami w Douglasie. One zawsze wyglądają tak, jakby właśnie wybierały się na rozdanie Oskarów. Zawsze się zastanawiam, o której one muszą wstawać, żeby mieć dosyć czasu na zrobienie takiego perfekcyjnego makijażu. Pewnie zaraz po północy.

- Tobie też nalać wina?

- Tak, proszę! Zaraz wychodzę.

Kupując kosmetyki w Douglasie czuję się tak, jakbym poszła kupić bieliznę w supermarkecie, gdzie obsługiwałaby mnie Cindy Crawford. Osłabiające. Odzierające z godności. Okropne. I do tego drogie. Ostatnio jedna z tych starannie zagruntowanych, pozbawionych wieku bojowniczek

przemysłu kosmetycznego, których usta są zawsze obwiedzione ciemną konturówką, zaproponowała mi serię kosmetyków „dla cery dojrzałej”.

- Zechce pani rzucić okiem w to powiększające lustro - powiedziała słodziutkim głosikiem.

W tym miejscu pragnę ostrzec: Nigdy w życiu tego nie róbcie!!! Przyjaciółki powyżej trzydziestki, którym się wydaje, że wasza skóra nie jest jeszcze dojrzała. Nigdy nie patrzcie w powiększające lustro.

N-i-g-d-y!

Bo otworzy się przed wami otchłań.

Na miękkich nogach wróciłam wtedy do domu z dwoma drogimi jak diabli mikroskopijnymi słoiczkami z ekstraktami komórkowymi i pierwsze pół godziny spędziłam na odlepianiu folii z napisem „Reparation”. W końcu nie każdy, kto wejdzie mi do łazienki musi od razu wiedzieć wszystko na temat katastrofalnego stanu mojej przedpotopowej epidermy. Nie potrzebuję współczucia.

- No, udało się.

Z czerwonym jak burak, bolącym nosem wchodzę do kuchni, pohańbionej obecnością Rüdigera Mohra, ktoś siedział rozkraczony na moim taborecie, uśmiechając się krzywo krzywo.

Boże, teraz jeszcze ten: Mam nadzieję, że nie zamierza długo zostać. Mam ważniejsze rzeczy do zrobienia niż nudzić się z niesympatycznym mężusiem mojej sąsiadki. W końcu czekam przecież na telefon.

Ta myśl natychmiast sprawia, że siada mi nastrój. Boże, przecież już po siódmej!

Rüdiger pije potężny łyk wina. zupełnie jakby chciał dodać sobie odwagi.

- Co tam u Marianne? - pytam głupio.

- Marianne mnie nie rozumie - Rüdiger patrzy zaskoczony w swój kieliszek, potem patrzy zaskoczony w mój dekolt, który - jak nagle sobie uświadamiam - jest zbyt głęboki, jak na niespodziewaną wizytę niechcianego gościa.

- Że co? Jak to? - także próbuję wyglądać na zaskoczoną.

- W zasadzie w ogóle nikt mnie nie rozumie.

O, Boże! Tego mi jeszcze brakowało! Najnudniejsi ludzie, jakich znam, mają kryzys małżeński. Litości! Rüdiger nigdy wcześniej się do mnie nie odzywał. I nie miałam nic przeciwko.

- Znowu jest w ciąży.

- Zdejmę ci to składane łóżko z pawlacza, dobrze?

Rozpaczliwa próba zmiany tematu.

- Nie potrzebujemy twojego łóżka. To był tylko pretekst. Marianne mnie nie rozumie. Musiałem po prostu z kimś pogadać.

Boże. ale dlaczego ze mną? Dlaczego ja? Ja nie chcę! Ja cię też nie rozumie. Rüdiger, ty głupi bucu!

Przykro mi to słyszeć.

Dlaczego zawsze muszę być taka uprzejma? Dlaczego nie powiem, co naprawdę myślę? Z tej mojej uprzejmości tyle razy już się wmanewrowałam w najbardziej nieprzyjemne sytuacje, ale po prostu nie umiem inaczej.

Pamiętam, jak raz mój kolega, Lüdger Kolberg, zapytał mnie, czy nie miałabym ochoty pójść się z nim gdzieś napić po pracy. W zasadzie powinnam mu odpowiedzieć, że już samo pytanie uważam za szczyt bezczelności. Niektórzy faceci nie umieją po prostu ocenić, gdzie ich miejsce. Są nudni, bez poczucia humoru, nieatrakcyjni i żonaci i jeszcze mnie pytają, czy pójdę się z nimi gdzieś napić po pracy. Jako kobieta zaczynam się wtedy zastanawiać, czy ja przypadkiem nie wysyłam jakichś fałszywych sygnałów.

Oczywiście nic z tych rzeczy panu Kolbergowi nie powiedziałam. Zamiast tego powiedziałam, że w zasadzie bardzo chętnie, ale niestety nie mogę, ponieważ jak dobrze wie, przyjeżdżam do pracy na rowerze, a dzisiaj jak na złość złapałam gumę. Tak więc jestem w pewnym sensie unieruchomiona. Ale innym razem, czemu nie?

I co mi z tego przyszło? Z tego dobrze pojętego kłamstwa, które miało zaspokoić zarówno moje tchórzostwo jak i ego kolegi Kolberga? Pan Ludger Kolberg zaproponował, że zapakuje mnie razem z moim sflaczałym rowerem do samochodu, zabierze gdzieś na drinka, a potem odstawi do domu. Co skończyło się na tym, że tuż przed końcem pracy musiałam się wymknąć cichcem na dół, żeby spuścić powietrze z koła, bo inaczej wyszłabym na kłamczuchę. O, nie, uprzejmość nie popłaca. Muszę nad tym popracować.



I znowu dzwonek!

- Czekasz na kogoś?

- Tak, eeeeh, nie, znaczy właściwie nie - z bijącym sercem podchodzę do drzwi. Jeśli to Daniel, to...

Na szczęście to nie Daniel.

- Czy ten dupek mój mąż jest u ciebie? - Marianne nawet nie czeka na odpowiedź, tylko natychmiast rzuca się w stronę kuchni. Zastanawiam się, czy nie uciec z mieszkania, ale w końcu zostaję. Choćby z przekory

- w końcu, to ja tu mieszkam - no i z ciekawości. Nie wykluczam bowiem, że takie bezpośrednie zetknięcie z kryzysem małżeńskim pogodzi mnie jakoś z moim żalnym stanem bycia po trzydziestce i czekania aż on zadzwoni.

Z zainteresowaniem ale powściągliwie udaję się za Marianne. Stoi w groźnej postawie przed Rüdigerem, tak że jej rozbudowana miednica całkiem zasłania mi jego twarz.

- Zgadnij, co ten baran do mnie powiedział! - wrzeszczy Marianne na wpół odwracając się w moją stronę.

- Nie mam pojęcia - mówię zastanawiając się gorączkowo, jak tu się pozbyć tej pary z mieszkania.

- Zgadnij, co ten mój zasrany małżonek mi powiedział, kiedy usłyszał, że znowu jestem w ciąży! - Marianne groźnie zbliża się w moją stronę. Wielkie nieba, sytuacja staje się uciążliwa. Nie czekając na moją odpowiedź,

Marianne wrzeszczy: - Otóż powiedział, cytuję dosłownie, słuchaj dobrze, bo cytuję dosłownie, Cora, wsłuchaj się uważnie: „Co? Znowu? Jak to się mogło stać?”.

Uważam takie pytanie za logiczne i uzasadnione, ponieważ Marianne uświadomiła mnie przecież na temat ich nad wyraz skromnego życia seksualnego, ale wolę tego nie mówić.

- On się wcale nie cieszy! - wrzeszczy Marianne i wybucha szlochem.

Spieszę oderwać z rolki papierowy ręcznik, zadowolona, że mogę zrobić coś sensownego, a potem zwracam się do Rüdigera:

- Naprawdę w ogóle się nie cieszysz? - staram się nadać głosowi brzmienie, jakie słyszałam u mojej ostatniej terapeutki.

- No jak? Jasne, że się cieszę - mamrocze Rüdiger przewracając oczami.

- Rüdiger ma po prostu problemy z okazywaniem emocji i ich artykulowaniem - powiedziałam do Marianne.

- Pfff, pewnie i tak. Czy ty wiesz, co on powiedział? No zgadnij!

Kurde, co to ja jestem w teleturnieju, czy jak?

- Powiedział, że dwie rzeczy w życiu wyobrażał sobie jako bardziej ekscytujące. Narodziny syna i kupno obrączek. Tymczasem było to dla niego podobno nie większe przeżycie niż kupienie ciastka w cukierni.

Na szczęście tylko mnie to rozśmieszyło.

- I kto to mówi? - odzywa się z kolei Rüdiger. Zrywa się z miejsca i chodzi nerwowo z kąta w kąt.

- A nie pamiętasz, co ty powiedziałaś, zaraz jak się urodził Dennis? Specjalnie przesunąłem ważne spotkanie, żeby osobiście przeciąć pępowinę! Pamiętasz, co powiedziałaś, kiedy wziąłem w ramiona mojego nowo narodzonego, pierworodnego, oblepionego jeszcze śluzem synka? - Rüdiger poczerwieniał na twarzy jak rak, co niespecjalnie dodało mu urody.

- Chodziło mi tylko o ciebie! - biadoli Marianne.

- Powiedziałaś wtedy: Uważaj na koszulę. Uważaj na koszulę! Czy to do czegoś podobne? I może ktoś mi powie, że to właściwe wyrażanie emocji?!!

Teraz z kolei Marianne czerwienieje groźnie.

- Chcesz emocji?! No to masz swoje emocje!

Nie mam wiele cennej porcelany, ale Marianne bez pudła sięga po wazon, który mama przywiozła mi kiedyś z podróży do Chin. Z nieprawdopodobnym impetem ciska cennym naczyniem o podłogę kuchni.

Widzę tysiące cennych odłamków, widzę twarz Marianne, bladą jak kreda, widzę twarz Rüdigera, jeszcze bielszą niż kreda, i słyszę dzwonek do drzwi.

Bilans ostatnich trzydziestu minut można określić jako katastrofalny. Nie mam już swojego cennego chińskiego wazonu, ale za to muszę płacić abonament radiowo-telewizyjny.

Facet przy drzwiach podetknął mi pod nos legitymację i powiedział coś o telewizji i radiu publicznym, i że z pewnością po prostu zapomniałam zgłosić posiadanie objętego obowiązkowym abonamentem sprzętu. Mimo napiętej sytuacji, szalejącej pary małżeńskiej demolującej mi kuchnię, zareagowałam zupełnie przytomnie.

- Zupełnie nic nie zapomniałam. Nie mam żadnego objętego obowiązkowym abonamentem sprzętu. Nie mam nawet radiobudzika - spoglądałam facetowi niezłomnie w oczy. Ha! Byłam gotowa na awanturę. Nie ze mną te numery.

- W takim razie co to takiego?

- Gdzie?

Mściciel z publicznego radia i telewizji wykonał pełen wyższości gest ponad moim ramieniem w stronę dużego pokoju. Drzwi były niestety uchylone i pozwalały zobaczyć mój nowy panoramiczny telewizor Sony, w którym akurat leciała prognoza pogody na ZDF-ie. „Głęboki wyż sięgnie aż po zachodnie krańce północnej części Niemiec”.

- Eeeeehm...

- Bardzo proszę tu podpisać. Naliczymy pani abonament za ostatnie dwa lata. Chyba nie powie mi pani, że kupiła pani telewizor dopiero wczoraj?

W milczeniu pokręciłam przecząco głową zawstydzona. Czułam się bezbronna, zdana na łaskę losu w obrzydliwym męskim, rządzonym przez mężczyzn świecie.

Zły człowiek sobie poszedł i jeszcze bezczelnie pogwizdywał na schodach. Za nim wyszła Marianne z Rüdigerem.

- Zrekompensuję ci straty - powiedziała cichutko Marianne i wcisnęła mi w rękę plastikową torebkę, do której zmiotła żalosne okruchy wazonu. Rüdiger nic nie powiedział. Stał tylko obok żony i z zainteresowaniem wpatrywał się we wzór na mojej podłodze.

- Jeśli to będzie dziewczynka, możecie jej dać na imię Cora, jako małe podziękowanie - próbowałam obrócić wszystko w żart.

- Nie ma potrzeby. Jesteśmy ubezpieczeni - powiedział Rüdiger do mojego parkietu. Mam wrażenie, że miał mi osobiście za złe, że przyłapałam go w chwili wybuchu emocji. Marianne też patrzyła na mnie lekko skonsternowana. Tyle się właśnie ma z uprzejmości. Człowiek udostępnia swoją kuchnię jako pole bitwy i nagle staje się wspólnym wrogiem dla zwaśnionych stron.

Jestem wyczerpana, zaraz rzucę się na swoją sofę w paski i będę rozmyślała o zmarnowanym życiu. Mogłabym też zacząć układać w porządku alfabetycznym kasety wideo.

Albo zacznę wymyślać pieszczotliwe nazwy dla męskich jąder.

Jaja marnotrawne.

Elmex i Aronal.

Flip i Flap.

Astérix i Obelix.

Lewus i Prawuś.

Wór niespodzianek.

Nie, chyba nie jestem w nastroju. Jestem nieszczęśliwa. Jestem gotowa włączyć Van Morrisona i całkowicie pograżyć się w zgryzocie. Na dworze wciąż jeszcze świeci słońce. To nie w porządku. Gwar głosów i śmiechy z włoskiej restauracji na rogu wdzierają się w moją smutną egzystencję. Oni sobie tam siedzą pod barwnymi lampionami, piją podłe białe wino, jedzą lasagne, rzucają sobie letnie spojrzenia i cieszą się na myśl o seksie.

Wszyscy, wszyscy będą się tego wieczora kochać. Tylko ja nie. Ja będę oglądać telewizję i nie podejść do telefonu, żeby moja najlepsza przyjaciółka nie zorientowała się, że ja się niekocham, tylko oglądam telewizję.

Taka jestem niezagospodarowana. To hańba.

Daniel przyjechał po mnie we środę wieczorem około wpół do ósmej. Oczywiście byłam strasznie ciekawa, jaki ma wóz. W końcu należę do pokolenia, dla którego samochód to było pierwsze miejsce, w którym można było szukać samotności we dwoje. Z dumą mogę powiedzieć, że dziewictwo straciłam w volkswagenie busie. W ten sposób zaliczam się do klasy wyższej. Większość moich koleżanek

z klasy zrobiła to co najwyżej w fiacie panda, w garbusie albo renault R4.

Daniel podjechał czarnym BMW wielkości mojej łazienki, wyposażonym w imponującą liczbę różnych przycisków.

Z seksualnego punktu widzenia nie bardzo znam się na BMW, dlatego na początek zaczęłam naciskać wszelkie możliwe guziki. Oczywiście z ciekawości, ale też dlatego, że wiem, że faceci uwielbiają jeśli kobieta traktuje ich samochód z szacunkiem i podziwem.

Samochód, wieża stereo i narządy płciowe danego faceta, to wszystko są rzeczy, o których kobieta powinna się wypowiadać wyłącznie w superlatywach.

Usadowiłam się w mojej fiołkowej mini- sukience na ergonomicznym fotelu obok kierowcy, kokieteryjnie pominęłam milczeniem komplement Daniela: „Wyglądasz oszałamiająco” i natychmiast demonstracyjnie skupiłam się na imponującym wyposażeniu BMW.

- Oh, mogę to nacisnąć? - wykrzyknęłam z dziewczęcym zachwytem w głosie, po czym mój fotel opadł do tyłu i znalazłam się w upokarzająco niskiej pozycji, z której z najwyższym trudem mogłam obserwować ruch. Daniel przywrócił mnie na odpowiednią wysokość i powiedział: „To dla osób chcących podróżować w kapeluszu. Jeśli wiesziesz współ- pasażerkę na wyścigi w Ascot, to bardzo praktyczne”.

- Aha - sukienka trochę mi się przekrzywiła. Ciekawe, co on chciał przez to powiedzieć.



Że już wielokrotnie jeździł do Ascot z zakapeluszoną dziewczyną na siedzeniu obok? A może, że lubi, kiedy kobiety noszą kapelusze? A może, że mu się nie podoba moja fryzura? Postanowiłam nie dać się zbić z tropu i nacisnęłam następny guzik. Nic się nie stało.

- A ten był do czego?

- Poczekaj chwilę.

- A tak właściwie, to co to za party, na które mnie zabierasz?

- Kolega ze studiów obchodzi czterdziestkę. Wynajął gdzieś za miastem stodołę i zaprosił dwieście osób. Pewnie głównie lekarzy. Mam nadzieję, że nie brzmi to zbyt odstraszaająco?

Brzmiało.

- Nie, w ogóle - nagle zrobiło mi się jakoś dziwnie.

- Co się dzieje? - ostrożnie wsunęłam sobie dłoń pod pupę, bo mi się tam zrobiło dziwnie ciepło. Przypomniałam sobie niejasno, jak to było, kiedy ostatni raz zsikałam się w majtki. Ale w tym momencie takie wspomnienie niezbyt mi się podobało.

- Włączyłaś podgrzewanie fotela.

- Oh, a już myślałam, że to pierwsze objawy nietrzymania moczu.

O, o. Tak mi się głupio wysnęło. Nie miałam odwagi spojrzeć, czy Daniel się uśmiecha. Postanowiłam szybko zmienić temat.

- A twoja przyjaciółka Carmen? Ona też będzie?

Było to oczywiście bardzo odważne i ofensywne. Nigdy dotąd nie rozmawialiśmy o Carmen-Ute Koszłowski. Lubię jednak wiedzieć wcześniej, co mnie czeka. I uważam, że nadszedł czas, żeby się dowiedzieć, czy ten facet za kierownicą jest już na stałe zagospodarowany.

- Carmen ma dzisiaj zdjęcia. Jeśli w ogóle przyjdzie, to bardzo późno.

Aha, zdjęcia. Z niewiadomych powodów poczułam się podle. Po prostu już tak jest, że kobiety czują się gorsze od kobiet, które przedtem mają jeszcze zdjęcia.

Postanowiłam nic na ten temat nie mówić i zamiast tego cieszyć się jazdą. W końcu, to przecież ja zostałam poproszona, żeby towarzyszyć doktorowi Danielowi na party. A jeśli Ute Koszłowski przyjdzie dopiero później, to może się to dla niej okazać za późno. W rozmarzeniu patrzyłam pożądliwie na obnażone przedramię Daniela. Męskie przedramiona działają na mnie erotycznie, zwłaszcza jeśli stanowią przedłużenie drążka zmiany biegów w BMW. Jestem wtedy po prostu jak w transie. Faceci w brązowych toyotach tracą większość ze swej seksualnej atrakcyjności.

Odchyliłam się lubieżnie na oparcie fotela, obserwowałam mijane w pędzie pola rzepaku i napawałam się otaczającą mnie muzyką Lloyda Cole'a.

Wprawdzie nie za bardzo go lubię, ale wmawiam sobie, że rozumiem przesłanie, jakie ktoś mi wysyła, puszczając Lloyda Cole'a w BMW pędzącym przez letni wieczór.

I przesłanie to bardzo mi się podoba: „Nie zawsze jeździłem BMW. Tak, tak, ja też jarałem trawkę leżąc na poplamionym futrzaku, gardząc rodzicami, elektrowniami atomowymi i Helmutem Kohlem. To raczej przypadek, że mimo wszystko na kogoś wyszedłem. I wstydzę się, że jestem zmuszony zatrudniać sprzątaczkę i głosować na FDP”.

Ooooooooooh! Ale mi dobrze! Siedzę sobie obok przystojnego lekarza ubranego w czarne dżinsy i białą koszulę, uśmiechającego się od czasu do czasu w moją stronę, wieczorne słońce świeci przez wyposażony oczywiście w szyberdach wóz, a Lloyd śpiewa:

***Are you ready to be heartbroken.***

Tak! Przełamać serce! Podarować drugiej osobie połowę! Zakochać się! Mogłabym tak jechać na koniec świata!

***You say you're so happy now. You can hardly stand.***

To prawda. Uczucie dokładnie takie samo, jak gdy się miało piętnaście lat.

***Are you ready to be heartbroken.***

Daniel położył dłoń na mojej dłoni. Uuuuh. To lepsze od większości orgazmów, jakie w ostatnim czasie przeżyłam.

Jestem nastolatką! Mogłabym teraz gulgocząc pić colę z butelki, tańczyć na stole, nosić overknees, namalować sobie muszkę na prawym policzku i uważać że nikt mi się nie oprze. Mmmh.

***Are you ready to bleed?***

- Budzimy się, budzimy! Jesteśmy na miejscu.

Silnik zamilkł równocześnie z Lloydem Cole.

- Jeśli to ma być stodoła, to nawet nie próbuję zgadywać, jak nazwaliby mój salon

- powiedziałam wsuwając Danielowi rękę pod ramię i idąc razem z nim w stronę czegoś w rodzaju drewnianego wiejskiego dworu.

- Michael jest chirurgiem plastycznym. Tam się dobrze zarabia.

Oh, chirurg plastyczny. Zrobiło mi się trochę nieprzyjemnie, bo przypominałam sobie pewne przyjęcie sprzed paru tygodni.

Siedziałam wtedy obok fryzjera i bardzo nieswojo się czułam. Cały czas miałam wrażenie, że jego fachowy wzrok z obrzydzeniem spoczywa na moich zmierzwionych włosach i tylko z najwyższym trudem powstrzymuje się przed zrobieniem mi porządnej fryzury za pomocą noża i widelca.

- To Micheal jest tym jubilatem, tak? A mamy w ogóle jakiś prezent?

- Nie martw się, dorzuciłem się do czegoś, ale prawdę mówiąc, nawet nie wiem, do czego.

No tak, tacy właśnie są mężczyźni, jeśli są męscy i nie mają żony. Mężczyźni nie mają specjalnej smykałki do prezentów, najczęściej zresztą zapominają nawet z jakiej okazji mają komuś coś podarować. Najfajniejsze

prezenty, jakie dostawały matki moich byłych przyjaciół, zawsze kupowane były z mojej inicjatywy.

Od środka rzekoma stodoła robiła jeszcze większe wrażenie niż od zewnątrz. Gigantyczna przestrzeń przyozdobiona była setkami świetlnych łańcuchów zwisających z prastarych sufitowych bali. Po prawej ustawiony był bar, po lewej kilometrowy bufet. Pomędzy nimi, wokół parkietu tanecznego, rozstawiono dziesiątki białych stolików do jedzenia na stojąco. Kiedy weszliśmy, od razu rzucił się do nas kelner i wręczył po kieliszku szampana.

- Za twoje zdrowie - powiedziałam siląc się na uwodzicielski uśmiech. - Wielkie dzięki za zaproszenie. Aha, a gdybym zapomniała potem powiedzieć: to był cudowny wieczór.

Uniosłam kieliszek i modliłam się w nadziei, że Daniel nigdy nie widział filmu *Pretty Woman*. Od kiedy ja go obejrzałam, zawsze czekałam na odpowiednią okazję, żeby powiedzieć ten tekst. Daniel uśmiechnął się mile połechtany. Ufff, tym razem miałam szczęście.

Bo kiedyś - byłam lekko podochocona alkoholem, więc można mi to wybaczyć - powiedziałam do kogoś: - Mam nosa do interesów i ciało stworzone do grzechu.

A ten ktoś odpowiedział: - Melanie Griffith do Harrisona Forda w *Pracującej dziewczynie*. Też widziałem. Doskonały film.

No tak, głupio wtedy wyszło, ale przynajmniej skończyło się ożywioną dyskusją na temat słynnych scen ze słynnych filmów.

- Za nasze zdrowie - powiedział Daniel.

- Ja z pewnością nie zapomnę tego potem powiedzieć, ale mimo wszystko powiem też teraz: dla mnie też jest to cudowny wieczór.

Wypiłam łyk szampana i uśmiechałam się zakłopotana patrząc gdzieś w dal. W takich sytuacjach strasznie trudno mi patrzeć partnerowi w oczy, zwłaszcza wtedy, kiedy mi naprawdę na nim zależy.

Żeby jakoś rozładować sytuację poszłam do toalety, poprawiłam usta i rozmyślałam o wielkiej niesprawiedliwości, że moje jak najbardziej realne poczucie własnej wartości zawsze mnie opuszcza akurat w decydujących momentach. Dlatego właśnie głównie kretyni leżą u moich stóp. Bo oni nie potrafią mnie onieśmielić. Na nich robię wrażenie humorem, ironią i ciętością języka. Naprawdę, miałam już takich wielbicieli, że do dzisiaj się wstydzę.

- W takim razie ruszajmy w tłum - powiedział Daniel, kiedy wróciłam.

W tym momencie tłum rzucił się na nas. W naszą stronę ruszyła rozkrzyczana grupa prowadzona przez ludzki piorun kulisty.

- Wspaniale, że jesteś! - wykrzyknął piorun zamykając Daniela w uścisku krótkich ramionek.

- Michael, serdecznie dziękuję za zaproszenie i wszystkiego najlepszego z okazji urodzin

- Daniel ujął moje ramię i przyciągnął mnie do siebie. - Pozwól Michael, że ci przedstawię Corę. Michael Hinz. Cora Hübsch. Tylko żebyś nie powiedział „Jak ładnie”, bo ten dowcip jej już nie bawi.

- Nie ma obawy. Cześć Cora. Serdecznie witam. Słowo „ładna” byłoby zresztą obraz- liwie niewystarczające.

- Oh, dziękuję - powiedziałam. - Doceniam komplement z tak kompetentnych ust.

- O, widzę że Daniel cię już uświadomił! Wiem, że nie wyglądam na chirurga plastycznego, tylko raczej na kogoś, kto jak najszybciej sam powinien skorzystać z jego usług! - Michael zakwiczał z uciechy.

Miły facio. Tyle autoironii. Ja też potrafię się zdobyć na autoironię. No, przynajmniej potrafiłam, zanim obecność doktora Daniela Hofmanna nie zmieniła mnie w tępego trepa.

- A co z Carmen? Przyjdzie? - spytał Michael.

- Może później. Na razie ma zdjęcia.

No tak, w ten oto sposób po raz drugi kompletnie straciłam humor. Szczerzyłam się jednak dzielnie w uśmiechu, zupełnie jakby mowa była o mojej najlepszej przyjaciółce.

- Oj, te gwiazdy filmowe - powiedział Michael wzruszając ramionami. - Mnie tam ona nie leży. O wiele za chuda, nic już się nie da odessać. Pod tym względem o wiele bardziej mi się podobasz. - Michael spojrzał na mnie przyjaźnie i tak pożądliwie, jakby oczyma duszy widział siebie szkicującego



na moim ciele przyszłe cięcia. On chyba nawet nie miał nic specjalnego na myśli, ale i tak przez cały wieczór zastanawiałam się, czy fiolet pogrubia i czy nie byłoby jednak lepiej, gdybym założyła coś czarnego.

Mimo wszystko jednak impreza była przyjemna. Zalana w trupa koleżanka Daniela z pracy zmusiła mnie do wypicia bruderszaftu, krzycząc: - My pielęgniarce musimy trzymać się razem.

Na koniec pocałowała mnie w usta.

Jak powiedział mi na ucho Daniel, Clarissę opuścił przyjaciel jakieś trzy tygodnie temu. Podobno dlatego, że ich związek stał się jego zdaniem za bardzo rutynowy. Tydzień później Clarissa zobaczyła go w parku spacerującego za rączkę z jakąś przysadzistą brunetką.

- O, to przykre - powiedziałam zdumiona.

- Rozumiem, gdyby ta nowa była przynajmniej chudą blondyną. Ale żeby odejść z powodu przysadzistej - nie, to nie pasuje do schematu i naprawdę jest krzywdzące.

Daniel spojrzał na mnie rozbawiony i pocałował mnie bez uprzedzenia.

- Ładnie smakujesz - powiedział.

- To nie ja, to *Gouloises legeres* - skorygowałam, bo właśnie niedawno paliłam. Palące nie bardzo lubią być całowane bez uprzedzenia przez niepalących. Ale przynajmniej przez ostatnie dni wystrzegałam się jedzenia czosnku. Ostrzeżeniem była dla mnie historia, jaką opowiedziała mi Jo. W jedną z ostatnich sobót zaprosił ją do kina jakiś smakowity kolega z działu

reklamy. Dzień wcześniej była na kolacji u Greka i śmierdziała czosnkiem jak sto nieszczęść. Przejechała pół miasta, żeby znaleźć jakąś czynną aptekę i strasznie jej było głupio, że musi błagać o jakiś skuteczny środek na przykry zapach z ust.

- Co ty na to, jakbyśmy się teraz stąd urwali i zrobili sobie własne party na moim tarasie?

Wydawało mi się, że słyszę lekko lubieżny ton w głosie Daniela, zwłaszcza, że szepnął mi to wprost do ucha. Kiwnęłam nonszalancko głową. W drodze powrotnej pieściliśmy się na każdym czerwonym świetle, słuchając R. Kelly'ego:

*„Baby, we both just sittin' here.*

*We need to get somewhere private,*

*just you an' me.*

*Throw your underwear on the wall.*

*Who's the greatest lover of them all?*

*Who makes your love come down like waterfalls?*

*I thought you knew. Come on Baby, let's do this”.*

Mmmh. Yes

**19:34**

Telefon!

Nie odbiorę. Nie odbiorę. To na pewno Jo i będzie się na mnie złościła. A jeśli to Daniel? A jeśli nie będzie się chciał nagrać. Muszę się zdobyć na odwagę.

- Cora Hübsch.

- Halo? Zaraz zaczynają się „Milionerzy”. Też oglądasz? Pomyślałam sobie, że zadzwonię na chwilę.

- Cześć mamó.

- Co tam u ciebie, dziecko? Czemu siedzisz w domu przy takiej pogodzie? Byliśmy dzisiaj z tatą na wspaniałej przejażdżce rowerowej. Tatę od razu chwyciło na twarzy, mówię ci. Ale sama wiesz, że jemu wystarczy z daleka zobaczyć słońce, a już jest opalony.

- Nie, bo wiesz...

- Słyszałaś już o Stefanii?

- Nie, a co?

- Twoja kuzynka urodziła wczoraj dziecko! Chłopak! I co ty na to?

- Nawet nie wiedziałam, że jest w ciąży.

- Oczywiście, że wiedziałaś, dziecko! Sama ci o tym mówiłam. Tyle tylko, że w ogóle nie interesujesz się rodziną.

- Ach, mamó, daj spokój.

- Tak, tak. Ale wszystko jedno. W każdym razie poród odbył się bez komplikacji. Maluch wyskoczył jak korek od szampana. Zupełnie inaczej niż było z tobą.

- Mmmmh - Boże, tylko nie to. Wysłuchuję tej opowieści przy każdym rodzinnym spotkaniu. Jak lekarz musiał mnie wyciągać próżniociągiem, taka byłam gruba. I że miałam mnóstwo włosów na głowie, tak że aż położna powiedziała: „No proszę, niektórzy to ledwie przyjdą na świat i od razu muszą iść do fryzjera”.

Za każdym razem, kiedy mama opowiada jak mnie rodziła, przybywa mi 10 dekagramów a bóle trwają o godzinę dłużej. Któregoś razu, kiedy już mnie to naprawdę wkurzyło, powiedziałam, żeby tak nie przesadzała, bo od zaprzyjaźnionej położnej dowiedziałam się, że urodzić dziecko to tak, jakby zrobić najgrubszą kupę w życiu. Naprawdę mi tak powiedziała i uważam, że to dość obrazowe.

Mama śmiertelnie się na mnie obraziła, milczała długą chwilę, a potem powiedziała:

- Niepotrzebnie cię tak zachęcałam, żebyś wreszcie nauczyła się mówić.

Od tego momentu powstrzymywałam się od wszelkich komentarzy.

- Stefania ma dwadzieścia osiem lat. To jej drugie dziecko - usłyszałam ton wyrzutu w jej głosie. Strasznie mnie wkurza, że wszystkie żeńskie istoty w mojej rozgałęzionej rodzinie bez przerwy wydają na świat kolejne mioty. To mnie stawia pod ścianą.

- Moja sąsiadka też właśnie zaszła znowu w ciążę - powiedziałam.

- No widzisz.

- Przed chwilą była u mnie z mężem. Strasznie się pokłócili. A ona nawet stłukła z wściekłości wazon.

- Ale chyba nie ten, który przywiozłam ci z Chin?

- Nie, nie. Inny - Boże, czy ja zawsze muszę być taka głupia? Gdybym tego nie powiedziała, mama nigdy by nie zauważyła, że nie ma jej wazonu.

- No, dziecko, muszę kończyć. Tata chce jeszcze coś zjeść. W przyszłym tygodniu byśmy do ciebie zajrzeli. Powiedz tylko, kiedy ci pasuje. To papa.

Tego mi jeszcze brakowało. Skąd ja wezmę taki sam wazon? Kiedy znajdę czas na gruntowne sprzątnięcie mieszkania? Inaczej mama spędzi połowę czasu na myciu mi szafek wodą z octem i porządkowaniu kosmetyków w łazience. A moja sprzątaczką jest w ciąży i wraca do Polski. Powieszę teraz pranie, a potem zacznę prasować. Jedno i drugie to czynności uspokajające, medytacyjne, wymagające pokory i staranności.

Czy to normalne rozmawiać z prasowaną odzieżą? Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Ale dzisiaj jest taki wieczór, kiedy wątpię w normalność moich najzwyczajniejszych przyzwyczajzeń.

A więc miałam okazję i odwagę dokładniej obejrzeć mieszkanie Daniela. Zwłaszcza kuchnię, kiedy otwierał wino i łazienkę, kiedy szybciotko myłam nogi w umywalce.

Z ulgą skonstatowałam w obydwu pomieszczeniach zrównoważoną mieszankę czystości i grzechu. W lodówce wypatrzyłam dwie tabliczki czekolady dla dzieci, butelkę wódki w zamrażalniku i trzy pojemniczki jogurtu. Na stole w kuchni stała miska z owocami, obok popielniczka dla gości i na szczęście nigdzie nie zauważyłam młynka do zboża.

Także łazienka odpowiadała moim wyobrażeniom o łazience obiecującego mężczyzny. Pudełko kremu Nivea a obok woda „Envy” od Gucciego. Szczoteczka do zębów, która nie wyglądała tak, jakby czyścił nią jeszcze mleczne zęby a obok znany duet past: Elmex i Aronal.

Zawsze powtarzam: dziewczyny, jeśli znajdziecie u faceta w łazience *Cool Water* Davidoffa albo Alpecin Forte albo pilniczek do paznokci w kubku do mycia zębów, to uciekajcie gdzie pieprz rośnie. To samo dotyczy czarnej satynowej pościeli, roślin doniczkowych w sypialni, ułożonych według alfabetu kaset wideo w salonie, suchych kwiatów w kuchni i tablicy do wieszania kluczy w przedpokoju.

Blask świec na tarasie na dachu. Dobrze schłodzone białe wino, ciepłe powietrze. Czy muszę cokolwiek dodawać? Wszystko było idealne. Porozmawialiśmy jeszcze przez chwilę o tamtym przyjęciu, trochę się przy tym pieszcząc, aż wreszcie - był to bardzo uroczysty i dostojny moment - pozwoliłam się zanieść do sypialni.

Tak, tak, dobrze mówię: zanieść! Czegoś takiego w moim dotychczasowym życiu miłosnym jeszcze nie było. Zawsze bezwzględnie odmawiam uczestnictwa w tej uważanej za romantyczną procedurze. Powody są chyba jasne. Ale Daniel wydał mi się dostatecznie silny, żebym mogła mu się wydać lekka.

Mogę chyba bez większej przesady powiedzieć, że nigdy w życiu nie było mi z kimś lepiej w łóżku. Z mojego doświadczenia wynika, że pierwszy raz jest tylko dlatego tak podniecający, że jest pierwszy. Urok nowości pozwala przymknąć oczy na pewne dysonanse w choreografii. Pozwalamy robić ze sobą rzeczy, które przy zdrowych zmysłach i najpóźniej przy trzecim razie skutecznie tłumimy w zarodku.

Z oczywistych i wspomnianych już wcześniej powodów nienawidzę na przykład, kiedy ktoś dogłębnie zajmuje się moimi stopami. Nie jestem też zwolenniczką języków wwiercających mi się w ucho ani pozycji seksualnych wymagających większej niż przeciętna giętkości.

Nie do przyjęcia są też faceci - Jo nazywa takich „bzykacz z kompleksem” - którzy nadal uważają, że kobieta w łóżku też jest wyemancypowana. Stara się taki dogodzić ci za wszelką cenę i nie zrobić broń



Boże czegoś niewłaściwego, zapominając przy okazji zupełnie, że stosunek płciowy to akt, który powinien służyć także ich własnej przyjemności.

Na drugim końcu skali niepożądanych kopulantów znajdują się ego-kutafony, którzy z kolei zupełnie nie interesują się duchowymi i cielesnymi potrzebami partnerki. I tuż przed wytryskiem syczą ci w ucho *Chica. Chica* to podobno po hiszpańsku i oznacza tyle co „napalona laska”. Coś takiego można wybaczyć najwyżej Hiszpanowi. I to też tylko w czasie urlopu.

Zawsze powtarzam, że najszlachetniejsza jest droga środka. I tak właśnie zachował się Daniel.

Smakowało jak... jak pierwszy łyk szampana po długiej abstynencji... jak wbiegnięcie w ubraniach do morza w pierwszy dzień wakacji... jak pójście do łóżka, kiedy człowiek pada ze zmęczenia... jak radosne przebudzenie... jak tiramisu po dobrym posiłku.

Nie będę się teraz wdawać w szczegóły. Zresztą, słowo „szczegół” w ogóle nie ma tu zastosowania.

Gdzieś około czwartej nad ranem do sypialni doktora Hofmanna ponownie zawitał spokój. Przyglądałam się śpiącemu Danielowi i w ogóle nie byłam zmęczona. Seks zawsze działa na mnie ożywczo. Zawsze potem mam ochotę coś zjeść, albo wypełnić zeznanie podatkowe, czy wyszorować ku-

chenkę. Leżąc tak żądna czynu, zastanawiałam się, jak powinnam się teraz zachować.

O zaśnięciu nie chciało mi się myśleć.

O przebudzeniu potem tym bardziej. Cieszyłam się, że nie widzę, jak wyglądam. Ale oczywiście potrafiłam to sobie dość plastycznie wyobrazić. Tusz z rzęs miałam na pewno rozmazany po całym ciele, twarz w czerwone plamy a włosy sprawiały wrażenie jakby nie miały zupełnie nic wspólnego z moją głową i zaraz chciały sobie gdzieś pójść.

Moje pragnienie, żeby nie pokazać się w tym stanie facetowi moich marzeń w bezlitosnym świetle dnia doskonale pokrywało się z moją potrzebą okazania luzu i nonszalancji. Wstałam więc po cichutku. Na poduszce położyłam karteczkę: „Słusznie przeczuwałam: to był cudowny wieczór. Dziękuję”. A potem ubrałam się i wymknęłam z mieszkania.

Oczywiście cieszyłam się jak nie wiem co, że drzwi od domu nie były zamknięte. Sasza spędził kiedyś dwie godziny na klatce schodowej, kiedy wczesnym rankiem musiał zmykać z jakiegoś obcego łóżka, zanim wypuścił go pierwszy wychodzący lokator.

Wyszłam na ulicę, nabrałam głęboko powietrza w płuca i poszłam piechotą do domu. W nowy dzień, a także - jak mi się wydawało - w nowe życie.

**20:01**

- Jo?

- O, cześć! Właśnie miałam do ciebie dzwonić. Co z tobą? Jesteś jakaś rozmemłana.

- Jo, mam tego serdecznie dosyć. Dzwonię do niego.

- Aż tak źle

- Mmmhm.

- To po co dzwonisz najpierw do mnie? Mam ci dać błogosławieństwo czy próbować odwieść od tego zamiaru?

- Sama nie wiem.

- Słuchaj. Jest tylko jeden powód, żeby w takiej sytuacji zadzwonić do faceta.

- Jaki?

- Jeśli już naprawdę nie możesz inaczej.

- Rozumiem. Zaraz do ciebie zadzwonię.

**20:03**

- Jo?

- No, co tam?

- Nie było go.
- Zostawiłaś mu wiadomość?
- Nie, no coś ty. Wtedy by wiedział, że dzwoniłam.
- Cora?
- No?
- Chyba cię pogięło.

**22:05**

Właśnie skończyłam rozmawiać z Jo. O wpół do dziewiątej po prostu wpadła do mnie bez uprzedzenia, wyłączyła mi telewizor i powiedziała: - A teraz się zabawimy, czy tego chcesz, czy nie.

Nastawiła spaghetti i odkorkowała przyniesionego szampana.

Ach, moja kochana przyjaciółka. Zawsze jej się udawało dać mi poczucie, że ze mną wszystko w porządku, że jestem OK taka, jaka jestem. Słuchałyśmy sobie piosenek Udo Jürgensa.

„Nigdy jeszcze nie byłem w Nowym Jorku, naprawdę wolny nie byłem nigdy też, ah, chociaż raz szaleństwa przeżyć chwilę, z gorsetu życia wydobyć się”.

Byłyśmy w takim nastroju, że mogłybyśmy teraz pójść do jakiegoś eleganckiego hotelowego baru, zabawiać rozmową jedenastu kandydatów

na termofory do naszych łóżek, a potem kazać tańczyć im na barze. Niestety Jo musiała jutro wcześniej iść do pracy. Ograniczyliśmy się zatem do użalania się nad tymi, którzy muszą żyć w stałych związkach i zapewniania się nawzajem, że jesteśmy za dobre jak dla facetów.

- A czego tu oczekiwać? - spytała Jo. - Jak postawisz przed piwoszem dziesięć różnych gatunków szampana, to jak myślisz, który wybierze?

- Nie mam pojęcia.

- Ten, z którego najłatwiej wyjdzie korek - Jo turlała się ze śmiechu. Ja też turlałam się ze śmiechu.

- Przecież większość ludzi tylko dlatego jest razem, że stracili nadzieję na znalezienie kogoś lepszego. Albo wspólnie przeczekują do momentu, kiedy jedno z nich znajdzie sobie kogoś lepszego.

Przytakiwałam pocieszona. Dobrze mi to robiło. Chociaż pewnie nie była to tak do końca prawda.

- A inne z kolei pary, powiedzmy sobie szczerze, Cora, są w permanentnym kryzysie. A im się wydaje, że to oznaka stabilizacji.

Zawsze bardzo mnie ciekawi roztrząsanie kwestii, jaka forma istnienia przysparza więcej problemów: kobieta związana czy niezwiązana.

- Jak już kogoś masz, to przynajmniej nie musisz już szukać - powiedziałam mądrze.

- Zakładając, że masz tego właściwego. Ale nawet z tym właściwym po paru latach robi się tak nudno, że znowu zaczynasz się rozglądać. A wtedy

znowu masz taki sam problem, jakbyś była singlem, tyle że nim już nie jesteś. A więc dochodzi ci kolejny problem.

- Ja tam jednak wolę się nudzić we dwójkę niż sama. Poza tym „nuda” to niewłaściwe słowo. Bardziej podoba mi się „zaufanie”. Zaufać komuś to cudowna sprawa.

- Eee, tam. Dochodzenie do zaufania to cudowna sprawa. Odkrywanie kogoś to cudowna sprawa, pozwalanie komuś, żeby nas odkrywał to cudowna sprawa.

- Kiedy nie ma już nic do odkrycia to też cudowna sprawa. Wtedy przynajmniej nie trzeba się obawiać nieprzyjemnych zaskoczeń. Znasz wszystkie jego drobne słabości, nie musisz już zamykać drzwi od łazienki, kiedy czyścisz zęby nitką...

- Tak, tak aż któregoś dnia idziecie razem do kibla, on siada na sedesie, a ty wyciskasz mu pryszczę na plecach. A wtedy już tylko jeden mały krok dzieli cię od chwili, kiedy zaczniesz do niego mówić „tatuśku” i kroić mu schabowego na kawałeczki, żeby mu było łatwo wkładać do ust. Cora, powtarzam ci, zaufanie jest dobre, ale samokontrola lepsza. Kiedy w którymś momencie on zacznie ci obcinać paznokcie u stóp, to to już jest początek końca.

- Nigdy w życiu bym nie pozwoliła, żeby Daniel...

- Okay, okay, może to nie najlepszy przykład jeśli

o ciebie chodzi. Przecież ty nawet zapisując się do pedikurzystki podałabyś pewnie ze wstydu fałszywe nazwisko.

- Przede wszystkim nigdy bym nie poszła do pedikurzystki. Wystarczą mi męki, jakie przeżywam u fryzjera, który za każdym razem wita mnie tymi samymi słowami: „Skarbie! Wygląda pani dzisiaj oszałamiająco!” A kiedy wychodzę stamtąd po dwóch godzinach, wyglądam przeważnie tak samo jak przedtem i nikomu nie przyjdzie do głowy, że kosztowało mnie to 60 euro.

- O, to nieprawda. Pamiętasz, jak poszłaś do Maurice’a?

- Masz na myśli ten numer z refleksami świetlnymi? To mnie kosztowało jeszcze więcej, bo 120 euro. A następnego dnia szef długo na mnie patrzył i w końcu powiedział: „Powinna go pani zaskarżyć”.

Jo znowu śmiała się jak szalona, zarzucając do tyłu swoją blond grzywę. Gdyby nie była moją najlepszą przyjaciółką, znienawidziłabym ją.

- Wiesz, Jo, co mi się tak najbardziej marzy?

- No?

- Najbardziej mi się marzy, żeby ktoś powiedział do mnie „moje kochanie” - pociągnęłam łyk szampana. Nagle zrobiłam się sentymentalna. - Czy ktoś kiedyś powiedział do ciebie „moje kochanie”?

- Nie. Wiem, co masz na myśli. Oni takich rzeczy nie mówią. Oni mówią „skarbie”, albo „myszko” albo co najwyżej „skarbeczku” czy „mysiu”. Jakoś tak już jest, że faceci nie kapują różnicy między prostotą, która ma swoją wielkość, a prostotą, która tej wielkości nie ma.

- Mmmmh.



Milczałyśmy w zamyśleniu. Czy Daniel kiedykolwiek powie do mnie „moje kochanie”? Prawdę mówiąc jeśli o niego idzie, zadowolilibym się nawet „myszką”. Poza tym na początek wystarczyłoby mi, żeby chociaż zadzwonił.

- Nie łudź się, Cora, na pewno tak nie powie. Za dużo wymagasz. Powinnaś się cieszyć, jeśli w ogóle do ciebie zadzwoni.

Razem z Jo postanowiłyśmy od razu teraz zrobić coś dla zdrowia i puściłyśmy sobie kasetę z ćwiczeniami na problemowe strefy ciała kobiety. Kasetę dostałam na trzydzieste urodziny od Big Jima i udawałam, że się cieszę. W odwecie podarowałam mu na ostatnie urodziny trzy kosmicznie drogie tabletki viagry. I on też udawał, że się bardzo cieszy.

Ale ćwiczenia do kasety nie bardzo nam sprawiały przyjemność. Może między innymi dlatego, że prowadząca je aktorka Franzi van Almsick też nie wyglądała na taką, której to sprawia przyjemność. Ona w ogóle zawsze wygląda, jakby nic nie sprawiało jej przyjemności. Wszystko przez to, że w tak młodym wieku odniosła sukces. Bardzo się cieszę, że los mi tego oszczędził.

Jo puściła płytę „Best of salsa” i tańczyłyśmy sobie salsę, wydzierając się razem z wokalistami, chociaż nie znałyśmy słowa po hiszpańsku.

***Equando semare passa, e la begra pur massa! Essa negra sankta camera equo como loko!!!***

- Musimy się tym zadowolić! - wrzasnęłam.

- Czym?

- Że niebo najczęściej pełne jest zwykłych dupków!

Jo zwinęła się ze śmiechu na kanapie, ale jednocześnie zdołała jakoś wznieść kieliszek do toastu.

- Za doktora Daniela Hofmanna! Co za duuuupek! Nawet nie ma pojęcia, co mu się wymyka z rąk! Kretino! Jeśli on cię nie chce, to znaczy że nie jest dla ciebie dostatecznie dobry.

- Dupek!

- Wór!

- Dupek!

- Wór!

- Dupek!

- Wór.

- Jo?

- Czego tam?

- Zakochałam się.

- Wiem.

**22:20**

Nie mogę uwierzyć, że nie zadzwonił. Popadłam w najgłębsze zwątpienie. Co ja zrobiłam nie tak?

Byłam luźna, byłam uwodzicielska. Oryginalna mieszanka powściągliwości i lubieżności. Zachowywałam się wzorcowo. Historia Cory H. mogłaby spokojnie znaleźć się w każdym poradniku „Jak się właściwie zachować na spotkaniu z mężczyzną swoich marzeń i odnieść sukces”. Z tą drobną różnicą, że tutaj sukcesu zabrakło. A przecież miałam wrażenie, że mu się jednak podobam.

**22:25**

Moim zdaniem ludzie dzielą się na dwie grupy: na takich, którzy zwrócą ci uwagę, jeśli masz coś między zębami i takich, którzy tego nie robią.

Nie mam pojęcia, skąd mi to nagle przyszło do głowy. Wszystko jedno.

**22:26**

Idę do łóżka. Nie zniosę dłużej obecności tej ciepłej letniej nocy. „Prześpij się z tym”

- powiedziałyby moja mama. - W nocy wszystkie koty są szare. Rano świat będzie już wyglądał zupełnie inaczej”. Obawiam się jednak, że rano świat wcale nie będzie wyglądał zupełnie inaczej. Dobranoc.

**22:30**

Rozmyśliłam się. Wcale nie jestem zmęczona. Stoję w koszuli nocnej na balkonie i smutno patrzę na moją choinkę. Nie mogę dłużej trzymać w domu tego pomnika mego ostatniego nieudanego związku. Natychmiast się go pozbędę. Do parku jest całkiem niedaleko a odrobina świeżego powietrza mi nie zaszkodzi.

**23:05**

Jestem najgłupszą i najbardziej nieatrakcyjną krową, najbeznadziejniejszą idiotką, jaką kiedykolwiek znałam. Do takiego wniosku doszłam w ciągu ostatnich trzydziestu minut, wszystko dzięki mojej wyschniętej choince. A oto co się stało:

Jak każdego roku późnym latem albo wczesną jesienią, ostrożnie spuściłam choinkę z mojego balkonu na pierwszym piętrze na chodnik. Szybko zmieniłam koszulę nocną na kiedyś niebieską, a teraz bladoszarą spraną letnią sukienkę i zbiegłam do drzewka. Na bosaka zresztą. Uważam, że jak w letnią noc idzie się bosą ulicą, ciągnąc za sobą uschnięte bożonarodzeniowe drzewko, to ma to w sobie coś specyficznego. Takiego wyjątkowego. Niektórzy mogą sobie pomyśleć, że wyjątkowo wariackiego. Ale

nie jestem pewna. Ja w każdym razie uważam to za wyjątkowo interesujące i ekscentryczne.

### *Nagie stopy na nagim asfalcie.*

To mógłby być tytuł jakiegoś trzyczęściowego serialu na RTL. Bohaterką byłaby na przykład piękność o płonących oczach, która rusza w dżunglę nieznanego miasta na poszukiwanie ojca porwanego przez bandytów, którzy próbują wydrzeć mu tajemnicę, gdzie ukrył mikrofilmy otrzymane na łożu śmierci od żony, tajnej agentki prowadzącej dla kamuflażu zwykle mieszczańskie życie.

Jak już nic mi się nie będzie wiodło, to zawsze mogę zacząć pisać scenariusze.

Dumnie i ekscentrycznie ciągnęłam za sobą choinkę, zostawiając wyraźny ślad z osypujących się igieł. W drodze do parku nie spotkałam żywej duszy. Ale i tak było mi wszystko jedno. Dokonałam rozrachunku z własnym życiem. Niech się ze mnie wyśmiewają, niech sobie szydzą. Przyszło mi znieść znacznie gorsze rzeczy.

O tym, że zawsze jednak może być gorzej, przekonałam się skręciwszy w wąską, słabo oświetloną dróżkę do parku, która odchodziła od ulicy, a potem biegła przez mały jodłowy zagajnik, gdzie zamierzałam dyskretnie pochować moje wyłysiałe drzewko wśród jego sióstr i braci.

Z biegiem czasu zrobiło się tam prawdziwe cmentarzysko wysłużonych choinek. Bo mieszkam w tej okolicy od jakichś dziesięciu lat.

Maszerowałam sobie właśnie niezbyt przyjazną ścieżką, kiedy nagle z naprzeciwka nadeszła jakaś para. Trzymali się pod rękę, rozmawiali cicho, wszystko jak trzeba. Aby oszczędzić sobie ich widoku, a im mojego, podniosłam drzewko w górę, tak że jego nędzny, goły szpic zakrywał mi trochę twarz. Też bym wolała trzymać się faceta zamiast drzewka. Ale jak się nie ma co się lubi, to się lubi co się ma. Trzeba sobie jakoś radzić. Z wzrokiem wbitym w ziemię człapałam dalej, już prawie tych dwoje minęłam, kiedy nagle usłyszałam głos, który trafił mnie jak grom:

- Cora?!

Wyjrzałam zza drzewka. I zdębiałam. Gdzież ta otchłań pod moimi stopami, żeby litościwie przyjąć mnie do swego łona? Wystarczy sobie jeszcze raz przypomnieć mój wygląd: stoję nocą, boso, przyodziana w mamą sukienczynę w parku i trzymam w prawej ręce szkielet bożonarodzeniowego drzewka, z którego zwisają jeszcze resztki lamety i które niezbyt dokładnie zasłania moją czerwoną ze wstydu twarz. Zrobiłam zatem jedyną rzecz, jaką w tej sytuacji można zrobić. Mianowicie udałam, że nic się nie stało.

- O, cześć Daniel! Co tam u ciebie? - zdołałam nawet uśmiechnąć się przez zaciśnięte usta do Ute Koszłowski. A ona gapiała się na mnie zupełnie tak, jakby zobaczyła kobietę, która w samym środku lata trzyma pod pachą choinkę.

- Eeh, dzięki, w porządku. - Daniel pośpiesznie zdjął rękę z odstręczające bladego ramienia Ute.

Tylko nie dać po sobie nic poznać! Muszę być cool! Nie świrować. Zanim któreś z nich zdołało coś z siebie wydusić, kiwnęłam przyjaźnie głową.

- No to na razie. Miłego wieczoru! - zawołałam radośnie i ruszyłam w dalszą drogę tak godnie, jak tylko było mnie w tych warunkach stać.

Zdołałam jeszcze dociągnąć drzewko na miejsce pochówku (czy może to ono mnie ciągnęło?) i tam zostawić. Potem usiadłam na jakimś pieńku, gapiałam się tępo na swoje stopy i o niczym nie myślałam.

Czy to się zdarzyło naprawdę? Ute Koszłowski objęta ramieniem mężczyzny, na którego telefon czekam daremnie od wielu godzin? To ja depiluję sobie nogi, maltretuję najlepszą przyjaciółkę zakochanym bełkotem, błagam telefon żeby zadzwonił, a tymczasem doktor Daniel Hoffman spaceruje sobie w ciepłą letnią noc obejmując ramieniem chudą jak szczapa, trzeciego sortu gwiazdkę opery mydlanej.

Miałam jeszcze na tyle przytomności umysłu, żeby przyłożyć sobie pod oczy rąbek sukienki, bo inaczej tusz całkiem by mi się rozmazał, kiedy zaczęłam ryczeć.

Zerwałam się z miejsca, i w czasie piętnastominutowego snucia się po parku przeżyłam wszystkie cztery klasyczne fazy rozstania:

1. ***Faza niedowierzania***



To wszystko na pewno da się jakoś łatwo wyjaśnić. Daniel chciał się pewnie dzisiaj rozstać z Ute Koszłowski, żeby jutro, jako wolny już od uciążliwej przeszłości człowiek, poprosić mnie o zostanie jego żoną.

I nie ma zupełnie znaczenia, że o tak późnej porze obejmował ją ramieniem, chociaż wszystko między nimi było już skończone. To w końcu gest pocieszenia, współczucia, dawnej zażyłości. Spokojnie mogę iść spać.

## **2. *Faza wzbierającej wściekłości***

Co za podłość! Dupek! Wór! Jakie to typowe, jakie nieprawdopodobnie typowe, tchórzliwe, niegodne i męskie. Najpierw nic mi nie mówi o charakterze swojego związku z Ute Koszłowski, chowa się po kątach, raz się ze mną bzyka - cel osiągnięty - a potem spokojnie wraca do wygrzanego łóżka.

Kiedy ja będę się nad imionami dla naszych nienarodzonych dzieci, zastanawiam się czy będziemy je chrzcili, czy nie, ten świniak dawno mnie już odfajkował i odłożył mnie ad acta z nadrukiem „oryginalna przygoda łóżkowa z przysadzistą brunetką”.

I jeszcze w dodatku zostałam wykorzystana, żeby jakiś mamy lekarzyna miał swoją krótkotrwałą przygodę. Poczul się moim kosztem panem życia.

Porysuję mu tę jego beemwicę żyłkami i przykleję silikonem do tylnej szyby jakieś idiotyczne nalepki w rodzaju „Proszę nie trąbić, kierowca przewraca się na drugi bok”, albo „Obsługuję także panów”. Przez trzy miesiące będę mu wysyłała kurierem do domu pięknie zapakowane paczki ze zgniłymi winogronami pełnymi much owocówek. Nadam w jego imieniu

ogłoszenie z numerem telefonu: „Wrażliwy, wiemy lekarz szuka odpowiedniej kobiety. Wygląd obojętny. Zgłoszenia proszę kierować na adres...”.

Zemszczę się, doktorze Danielu Kutafonie Hofmann. Zachciało ci się krótkiego szalonego numerka? Ten numer będzie dzikszy i wcale nie taki krótki, jak byś sobie życzył. Widziałeś może „Fatalne zauroczenie” z Glenn Close? Biada twojemu królikowi, jeśli kiedykolwiek jakiegoś miałeś!

### **3. *Faza przeżywania bólu***

Nikt mnie nie kocha. Jak ja w ogóle mogłam sobie wyobrazić, że ten świetnie zbudowany, inteligentny, piękny, błyskotliwy, doskonale sytuowany mężczyzna może mieć wobec mnie poważne zamiary? Wobec mnie! To przecież śmieszne. Ja jestem przecież kobietą, z którą można tylko zdradzić. O której opowiada się potem w rozbawionym męskim gronie słowami: „A wiecie, miałem raz jedną taką całkiem porąbaną, co to...”

Nikt nie chce ze mną być. Zawsze odchodzą. Nawet Sasza. Wprawdzie było odwrotnie, ale w takiej sytuacji szczegóły nie grają roli. Tak się przynajmniej człowiekowi zdaje. U szczytu dojrzałości płciowej, w wieku, w którym miałam już nadzieję na przeżycie pierwszego orgazmu pochwowego, nadszedł kres mojego życia miłosnego.

Skończyło się. Koniec. Kropka.

### **4. *Faza reorientacji pozytywnej***

Tę fazę przeskoczyłam i zaczęłam wszystko od początku.

Poszłam do domu. Próbowałam znaleźć coś pozytywnego w całej tej sprawie. Próbowałam daremnie. Przeszłam obok włoskiej restauracji na rogu, gdzie nadal siedzieli w ogródku ludzie, rozmawiali, śmiali się, kompletnie nieporuszeni moim tragicznym losem. Było w tym coś pocieszającego. Świat - pomyślałam sobie - ma w nosie moje samopoczucie. Nie interesuje go, że resztę życia spędzę w świadomości, że jakaś inna capnęła mojego faceta. Rzuciłam się na kanapę i gardziłam sobą za to, że zjadłam jeden po drugim cztery Mini-Dickmanny. Żeby chociaż ta rozpacz rzuciła mi się na żołądek. A tu nawet to nie. Tracę apetyt tylko wówczas, kiedy za dużo zjem. A mówiąc za dużo, mam na myśli dużo za dużo.

**23:15**

Cholera. Nie mam papierosów.

**23:16**

Rzucam palenie. Teraz. Muszę nadać nowy sens mojemu życiu. Od zaraz jestem niepaląca.

**23:17**

Wyskoczę na moment po papierosy.

**23:18**

Ze spuszczoną głową wymykam się na ulicę. Do niczego się nie nadaję. Nawet nie umiem rzucić palenia. Nic dziwnego, że nikt mnie nie chce. Mijam dom Marianne, w jej mieszkaniu już nie pali się światło, przechodzę obok postoju taksówek, przy którym nigdy nie ma żadnej taksówki.

- Cześć Cora.

Co? Kto to powiedział? Podnoszę wzrok i nawet nie umiem się zdobyć na uśmiech. Jakiż to straszliwy los się dzisiaj na mnie zawziął? Czy te upokorzenia nigdy się już nie skończą?

- Cześć Ute.

Ute Koszłowski spogląda na mnie z lekkim obrzydzeniem.

- Większość nazywa mnie Carmen.

- Wszystko mi jedno. Nie jestem większość.

Czuję się jak biblijny Hiob. Jedna plaga za drugą.

Czym sobie na to zasłużyłam? Za jakie to grzechy aż taka kara? Na pewno zaraz rzuci się na mnie chmara szarańczy a moją twarz pokryją zielone dzioby ospy. Z pewnością właśnie teraz ktoś włamuje się do mojego mieszkania. Nie, dzisiaj naprawdę nie jest mój dzień. Ute afektowanym gestem odsunęła z twarzy rudy kosmyk i powiedziała:

- Czekam tutaj na taksówkę i nic.

- Aha.

- Daniel poszedł już do domu. Właściwie chciałam iść na piechotę, ale w końcu się rozmyśliłam.

- Aha.

- Strasznie mu zawróciłaś w głowie.

- Słucham? - Gapię się na nią wzrokiem będącym mieszaniną niezrozumienia i wrogości. Co to wszystko ma znaczyć? Czyżby wiedziała o naszym... eee... spotkaniu? Czyżby chciała się jeszcze bardziej napawać moją klęską?

- Wiesz, w zasadzie powinno mi to być obojętne, w końcu nie moja sprawa i nie powinnam się mieszać. Ale skoro się już tutaj spotkałyśmy... Może pójdziemy się gdzieś czegoś napić?

Zastanawiam się przez chwilę. Szorstkie „nie” byłoby chyba jak najbardziej na miejscu.

- Jak sobie chcesz - mruczę niechętnie.

W końcu, co ja mam więcej do stracenia?

W końcu i tak straciłam wszystko.

Idziemy parę kroków do włoskiej knajpy na roku, siadamy przy wolnym stoliku i zamawiamy pół litra firmowego wina. Kelnerowi o mało oczy nie wyszły z orbit na widok mojej rudowłosej, wiotkiej towarzyski.

- I wodę mineralną - rzucam. Równie dobrze mogłabym się zwrócić do głuchoniemego aborygena.

- I jeszcze dwa razy mineralną - świergoce Ute- Carmen.

- ***Due aqua minerale!*** Coś jeszcze dla ***bella signorina?***

Czyżbym nie zdając sobie z tego sprawy zamieniła się w garbatego starca, czy jak? Zresztą, wszystko mi jedno. Kompletny brak poczucia własnej wartości pozwala znieczulić się na wszelkie poniżenia ze strony personelu.

- Daniel dużo mi o tobie opowiadał - zaczyna Ute.

- Tak? A co takiego?

- No, wiesz, moment waszego poznania widziałam osobiście. Przepraszam, że tak cię wtedy objechałam, ale myślałam, że naprawdę zrobiłaś mu krzywdę. Poza tym dla aktorki to zawsze bardzo ważne wmieszać się bohatercko w taką sytuację i narobić dużo szumu, kiedy naokoło jest tylu fotografów. Chyba sama rozumiesz?

Ponieważ nie rozumiem, wolę zachować wieloznaczne milczenie.

- Ten numer, który mu wycięłaś w gabinecie, zrobił na nim wrażenie. Był tobą naprawdę zachwycony. W tej sytuacji, wybacz moją otwartość, uważam to za obrzydliwe, jak z nim postąpiłaś.

Jak ja co? Jak ja z nim co? No nie, to już zakrawa na...! Jezu! Czy ja śnię, czy co? Pociągnęłam łyk wody

- obie szklanki oraz talerz z przystawkami na koszt firmy kelner postawił przed Ute-Carmen.

- Jak ja z nim postąpiłam?! Czy ty masz nie po kolei w głowie? To ja od paru godzin siedzę jak ta głupia przy telefonie, czekając, że może do mnie zadzwoni, a potem spotykam go w parku obejmującego cię ramieniem, podczas gdy ja z rozpaczyny wynoszę do parku choinkę i ty śmiesz mówić, że to ja z nim obrzydliwie postępuję? Dałabyś z tym lepiej spokój. Życzę wam obojgu wszystkiego najlepszego, ale nie sądzę, żebym musiała akurat od ciebie znosić jakieś pouczenia na temat błędów w moim postępowaniu.

Ufff. Wygarnęłam jej, co chciałam. Chyba nigdy w życiu wobec nikogo nie byłam taka szczera. To wcale fajne uczucie. Bo kiedy się jest szczerym, to człowiek nie musi się bać, że zostanie na czymś przyłapany. To tak, jakby się nie wciągało brzucha. Zupełnie nowe dla mnie doświadczenie. I całkiem przyjemne.

- No tak. Powoli zaczynam rozumieć.

To pewnie z kolei całkiem nowe doświadczenie dla niej. Fajnie - to znaczy że obie poszerzyłyśmy sobie tego wieczora horyzonty.

- Jesteś w nim zakochana, zgadza się?



„Kurwa, zgadza się” - pomyślałam.

- Kurwa, zgadza się - powiedziałam.

- Słuchaj, to że jestem lesbijką, wcale nie znaczy, że nie rozumiem kobiet.

- Jesteś lesbijką? - wołam nie posiadając się ze zdumienia.

- Psst, nie tak głośno.

- Jesteś lesbijką - szepczę nie posiadając się z zachwytu.

- No wiesz, w moim zawodzie nie należy się z tym za bardzo obnosić. W końcu widzowie muszą wierzyć, że co najmniej raz w tygodniu zakochuje się we mnie silnie owłosiony doktor. Daniel jest moim przyjacielem, od kiedy trafnie zdiagnozował u mnie podrażnienie wyrostka robaczkowego. Od tamtej pory chodzimy czasem razem na oficjalne uroczystości, żeby ludzie nie zaczęli się za bardzo zastanawiać na temat moich preferencji seksualnych.

- No dobrze, ale w takim razie... - Wszystko, mój obraz świata, obraz mojego wroga, wszystko to legło w gruzach. Nie lubię, kiedy ktoś bez ostrzeżenia pozbawia mnie wszystkich moich uprzedzeń.

- No właśnie, dlaczego w takim razie on ci nic nie powiedział?

Kiwam głową dając wyraz swojemu zdziwieniu.

- A dlaczego ty zakładasz wonderbra kiedy idziesz na spotkanie z nim? Dlaczego udajesz, jakby ci na nim nie zależało, chociaż jesteś w nim po uszy

zakochana? Dlaczego nie dzwonisz do niego po dziesięć razy dziennie, kiedy masz na to ochotę? Tak doskonale zagrałaś swoją rolę luzaczki, że Daniel zupełnie nie wiedział, co myśleć. On też chciał ci się wydawać cool, dlatego nic ci o nas nie powiedział. Od razu mu powiedziałam, żeby się nie wygłupiał, bo takie rzeczy zawsze prowadzą do niepotrzebnych nieporozumień, ale kiedy po pierwszej wspólnie spędzonej nocy tak po prostu się ulotniłaś - wygrałaś na całej linii. Przekonałaś go definitywnie, że nie traktujesz tego poważnie. Boże, żebyś ty wiedziała, jaki ten facet jest nieszczęśliwy!

Milczę. I milczę. Potem zaczynam histerycznie chichotać. Potem zaczynam beczeć. A potem wszystko się ze mnie wylewa:

Jezujakazemniegłupiageś! Atynaprawdejesteślesbijką? Toprzecież,no, toprzecież, a ja chciałam tylko, żeby zobaczył, że jestem taka cool i wogóle, Bożejakajajestemgłupia,naprawdemyślisz,żeon... ?!

Ute-Carmen bierze mnie za rękę i w tym momencie spokojnie mogłabym się w niej zakochać. Jeśli już tego nie zrobiłam. Ach, byłam kompletnie skołowana.

I szczęśliwa. I zawstydzona.

- Kiedy poznałam moją obecną przyjaciółkę, było zupełnie tak samo.

- Masz przyjaciółkę? - Chyba byłam nawet trochę zawiedziona.

- Tak, od czterech lat. Spotkałam ją na castingu do jakiejś głupkowatej roli nocnej pielęgniarki. Ona jest operatorem. Jak tylko ją zobaczyłam, odebrało mi mowę. Oczywiście nie dostałam tej roli. A po castingu była

mała popijawa, grzecznie i miło gadałam ze wszystkimi poza nią. Tylko ją traktowałam jak powietrze, albo jakby miała jakąś zaraźliwą chorobę.

- Mmmh - kiwam głową ze zrozumieniem.

- Pod koniec wieczoru - dostałam już co najmniej dziesięć numerów telefonów od różnych wielbicieli i wielbicielek, którzy gównie mnie obchodzili - ona sama do mnie podeszła.

- I co?

- Spytała, czy nie jesteśmy trochę za stare na taką dziecinadę. Ona ma dosyć takich gierek, więc jeśli mi się spodobała, to powinnam jej to łaskawie okazać. W końcu nie jest terapeutką i nudzi ją ciągła konieczność interpretowania zachowań innych ludzi. Od tego momentu zostałyśmy parą.

- I jesteście szczęśliwe?

- Tak. Jesteśmy szczęśliwe. Raz na tydzień noszę się z myślą o rozstaniu, bo nie znoszę, że ona nie wrzuca bielizny do kosza na pranie. Ona mnie uważa za powierzchowną pinę z telewizyjnych seriali, owładniętą manią kontrolowania innych i zmusza mnie o drugiej w nocy do zasadniczych dyskusji na temat pozycji kobiet o orientacji lesbijskiej w społeczeństwie Zachodu. Jesteśmy szczęśliwe. Mimo to. A może właśnie dlatego. Nie mam pojęcia. Nie chcę innej.

Jestem tak wzruszona, że niestety znowu zaczynam beczeć. Ute wypija swój kieliszek i rezolutnym gestem odstawia go na stół, machając na kelnera, który w ciągu nanosekundy staje przy niej obiecując najbardziej unizowanym głosem, że przyniesie rachunek. Hi, hi, hi! Daremne wysiłki, koleś!

Nie mogę pohamować uśmiešku. Ute lesbijką. Jest jednak na świecie sprawiedliwość.

- Okay. Teraz już wiesz, co masz zrobić?

- Tak, wiem - mówię szlochając i śmiejąc się na przemian.

**23:58**

Nie, nie będę przedtem ćwiczyć głosu. Nie puszczę Lloyda Cole'a. Nie zapiszę sobie na karteczce, co mam powiedzieć. W końcu nie jesteśmy w przedszkolu. Naprawdę jestem już za stara na takie gierki.

Palce trochę mi drżą. Nic dziwnego. Ile to czasu minęło, od kiedy po raz ostatni dzwoniłam do faceta? W takiej sytuacji. Łamię wszelkie zasady podawane w poradnikach. Cora Hübsch rewolucjonistką! Cora Hübsch łamię wszelkie tabu! Cora Hübsch stała się dorosła!

A może puścić w tle wiadomości o północy? A może jakąś klasykę? Chopin? *Sceny dziecięce* Schumanna? Nie, nie. Dostyc tego!

Będę tylko i wyłącznie sobą.

A jaka ja właściwie jestem?

Już ja coś wymyślę.

**00:01**

- Hofmann.

- Cześć Daniel. Mówi Cora.

- ... no nareszcie, Cora, moje kochanie.

Na razie koniec.

TLR